

# Ląd zapomniany przez czas

Burroughs Edgar Rice



calibre 0.9.43

**E. R. Burroughs**

**Ląd zapomniany przez czas**

*Tłumaczył Jacek Manicki*

# Słowo wstępne

Verne, Wells i Burroughs to trzech mistrzowie tzw. romansu naukowego, ludzie, którzy stworzyli podwaliny współczesnej science fiction w jej trzech podstawowych odmianach. Verne odkrywał dramat i napięcie w intelekcie i umiejętnościach, które pozwalają człowiekowi na pokonywanie przeszkód, jakie piętrzy przed nim wrogo nastawiona przyroda. Wells czerpał pomysły i tematy studiując postępy wiedzy, a jego twórczość cechuje zwykle wiara w lepsze jutro, połączona z nutą pesymizmu.

Edgar Rice Burroughs zaczerpnął od obu emocje, napięcie, romantyzm naukowego odkrycia, fascynację nowym i nieznanym i stopił w jedno – czystą egzotyczną przygodę pełną niezwykłości, ożywioną talentem, który sprawił, że jego powieści z zapartym tchem czytał i czyta cały świat w niezliczonych wydaniach, przekładach, przeróbkach, naśladowaniach. Tak, naśladowaniach, a naśladowców ma do dziś (Lin Carter, Philip Jose Farmer, Michael Moorcock, Mikę Resnick etc. etc). Do tego wszystkiego należy wspomnieć także o koszmarnych wręcz ilościach komiksów i setkach filmów (zwłaszcza o Tarzanie i jemu podobnych i zwłaszcza w Indiach).

*Ląd zapomniany przez czas* to jedna z jego najświetniejszych powieści przygodowych. Barwna, wartka, obfitująca w niesamowite perypetie akcja przenosi czytelnika z nawiedzanych przez okręty podwodne oceanów podczas I wojny światowej w pierwotne dżungle wyspy Caspak, gdzie współcześni ludzie muszą stawić czoło drapieżnym dinozaurom i okrutnym ludzkim bestiom z zamierzchłych epok.

Towarzysząc okrętowi podwodnemu U-33 w tej przerażającej podróży do zaginionego świata z zarania dziejów Ziemi, towarzysząc Bowenowi Tylerowi i jego przyjaciółom w fantastycznej wędrówce poprzez dziki świat, dajemy się ponieść talentowi i wyobraźni autora jednej z najpoczytniejszych powieści przygodowych, jakie kiedykolwiek napisano, powieści, którą śmiało można porównać ze *Światem zaginionym* Conan Doyle'a albo z *Kopalniami króla Salomona* Haggarda.

W latach siedemdziesiątych powstały dwa filmy na podstawie I i II części niniejszej powieści: *Ląd zapomniany przez czas* (1975) i *Ludzie, o których zapomniał czas* (1977). Oba reżyserował Kevin Connor. Oba są dostępne w Polsce na kasetach video.

# **Księga pierwsza**

## **Ląd zapomniany przez czas**

# Rozdział I

„Musiała właśnie minąć trzecia po południu, kiedy to się stało – po południu trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset szesnastego roku. Wierzyć się nie chce, że wszystko, przez co przeszedłem, wszystkie te niesamowite i jeżące włos na głowie wypadki, los stłoczył w okresie tak krótkim, jakim są trzy szybko mijające miesiące. Obym doświadczył całego cyklu kosmicznego, z wszystkimi jego zmianami i procesami ewolucji, miast tego, com widział na własne oczy w tym wąskim przedziale czasu. A były to rzeczy, jakich przede mną nie oglądał żaden śmiertelnik: migawki ze świata, który przeminął, który umarł, świata martwego od tak dawna, że jego szczątków nie odnalazłoby się nawet na samym dnie warstwy kambryjskiej. Szczątki te, zmieszane z najgłębszą, półpłynną częścią skorupy ziemskiej, przepadły na zawsze, niedostępne ludzkiemu poznaniu, wyjąwszy ów zagubiony zakamarek naszego globu, w który teraz rzucił mnie los i w którym przypieczętowane zostało moje przeznaczenie. Jestem tutaj i muszę tu pozostać.”

Kiedy doczytałem do tego miejsca, podniecenie moje, i tak już rozbudzone faktem znalezienia rękopisu, sięgnęło punktu wrzenia. Przybyłem na Grenlandię za radą mego lekarza, by spędzić tu lato, i umierałem powoli z nudów, bo nierozważnie zapomniałem o zabranii ze sobą dostatecznej porcji lektur. Ponieważ stosunek do wędkarstwa miałem obojętny, mój zapal do uprawiania tej dyscypliny sportu szybko wygasł; za to, z braku innych form rozrywki, ryzykowałem teraz życie pływając nie nadającą się zupełnie do tego celu łodzią w okolicach przylądka Farewell, wzdłuż najdalej wysuniętego wybrzeża Grenlandii.

Grenlandia – Zielona Kraina! Nadanie tej niegościnniej ziemi takiej nazwy zakrawa na kiepski żart – ale moja opowieść nie ma nic wspólnego ani z Grenlandią, ani ze mną, a więc i jedno, i drugie potraktuję w maksymalnym skrócie.

Pozostawiająca wiele do życzenia łódź nie bez trudu przybiła wreszcie do brzegu z pomocą krajowców brodzących po pas we wzburzonym morzu. Na ląd wyniesiono mnie na rękach. W czasie gdy moi gospodarze przygotowywali wieczorny posiłek, ja włóczyłem się bez celu po skalistym, poszarpanym wybrzeżu. Do zwietrzałego granitu, czy co tam tworzy skały przylądka Farewell, przylegały spłachetki nękanych przybojem plaż i kiedy tak szedłem jedną z nich, skrajem cofającego się z odpływem morza, zobaczyłem to coś. Ktoś, kto natknąłby się na bengalskiego tygrysa w parowie za Bimini Baths, nie byłby bardziej zaskoczony ode mnie, kiedy dostrzegłem ten ćwierćlitrowy termos w idealnym stanie, wirujący i kołyszący się na falach przyboju u brzegów przylądka Farewell, najdalej na południe wysuniętego skrawka Grenlandii. Wyłowilem go, chociaż w tym celu musiałem wejść w wodę powyżej kolan. Usiadłem potem na piasku, otworzyłem termos i w marnym świetle powoli gasnącego dnia przeczytałem napisany ładnym charakterem i ciasno złożony rękopis, który stanowił zawartość naczynia.

Zapoznałeś się już, czytelniku, z akapitem wstępnym i jeśli jesteś takim jak ja postrzeleńcem,

któremu natura nie poskąpiła wyobraźni, będziesz chciał przeczytać resztę; przytoczę ją więc pomijając cudzysłowy – o których i tak trudno pamiętać. Za dwie minuty zapomnisz również o mnie.

Mój dom rodzinny znajduje się w Santa Monica. Jestem, a raczej byłem, młodszym współnikiem w firmie mojego ojca. Prowadzimy stocznię. Ostatnimi laty wyspecjalizowaliśmy się w łodziach podwodnych, które budowaliśmy na zamówienia z Niemiec, Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Znam łodzie podwodne jak matka buzię swego dziecka i dowodziłem dziesiątkami tego typu okrętów podczas rejsów próbnych. Ciągnęło mnie jednak do lotnictwa. Ukończyłem kurs pilotażu u Curtissa i po długim molestowaniu uzyskałem zgodę ojca na próbowanie swych sił w Eskadrze Lafayette'a. Na początek przydzielono mnie do amerykańskich służb sanitarnych i znajdowałem się właśnie w drodze do Francji, kiedy trzy przenikliwe gwizdki odmieniły w parę sekund całe moje życie. Siedziałem na pokładzie z paroma kumplami, którzy podobnie jak ja mieli podjąć służbę w amerykańskim lotnictwie sanitarnym, i z airedalczykiem medalistą drzemającym u mych stóp. Wtedy właśnie pierwszy świdrujący gwizd zburzył spokój i atmosferę bezpieczeństwa panujące do tej pory na statku. Od samego wejścia w strefę działań U-bootów wypatrywaliśmy peryskopów i niczym dzieciaki, za jakie w istocie można było nas jeszcze uważać, pomstowaliśmy na nieprzychylny los: groziło nam, że lada dzień znajdziemy się bezpiecznie we Francji nie rzuciwszy nawet przez moment okiem na tych straszliwych rozbójników. Byliśmy młodzi, łaknęliśmy mocnych wrażeń i Bóg świadkiem, że ów dzień nam ich dostarczył. Jednak w porównaniu z tym, przez co od tamtego czasu przeszedłem, były one równie banalne jak przedstawienie w teatrze marionetek.

Nigdy nie zapomnę popielatych twarzy pasażerów rzucających się hurmem, chociaż bez paniki, po pasy ratunkowe. Nobs podniósł się wydając głuchy pomruk. Ja również wstałem i podszedłszy do nadburcia ujrzałem w odległości nie większej niż dwieście jardów peryskop łodzi podwodnej, a jeszcze bliżej wyraźny ślad torpedy mknącej w kierunku okrętu. Znajdowaliśmy się na pokładzie amerykańskiej jednostki, która – ma się rozumieć – nie była uzbrojona. Byliśmy całkowicie bezbronni, a mimo to torpedowano nas bez ostrzeżenia.

Stałem nieruchomo, jak zahipnotyzowany, obserwując bruzdę spienionej wody, która znaczyła trasę torpedy. Trafiło nas w prawą burtę niemal dokładnie na wysokości centralnego punktu śródokręcia. Statek zakołysał się, jakby morze pod nim wzburzył potężny wulkan. Ścięci wstrząsem z nóg leżeliśmy na pokładzie potłuczeni i ogluszeni, gdy nad statkiem wyrosła tymczasem na wysokość dobrych stu jardów kolumna wody, wynosząc w powietrze strzępy stali, drewna i rozszarpane ludzkie szczątki.

Cisza, jaka zapadła, kiedy umilkło już ostatnie echo detonacji torpedy, była równie przerażająca. Trwała może kilka sekund, by zaraz wypełnić się wrzaskami i jękami rannych, przekleństwami, a wreszcie chrapliwymi rozkazami oficerów statku. Byli wspaniali – i oni, i ich załoga. Nigdy przedtem nie byłem tak dumny ze swej narodowości, jak wówczas. W całym tym chaosie, jaki zapanował po storpedowaniu statku, żaden z oficerów i członków załogi nie stracił głowy – nikt spośród nich nie okazał w najmniejszym stopniu paniki bądź strachu.

Próbowaliśmy właśnie spuścić na wodę szalupy ratunkowe, kiedy okręt podwodny wynurzył się i nakierował na nas swoje działo. Dowodzący nim oficer kazał nam opuścić flagę, ale kapitan naszego statku odmówił wykonania tego polecenia. Statek przechylał się groźnie na sterburtę i szalupy z lewej strony nie nadawały się już do użytku, zaś połowę szalup z prawej zniszczył wybuch. Nie bacząc, że pasażerowie tłoczą się już przy relingu sterburty i gramolą się jeden przez drugiego do nielicznych szalup ratunkowych, jakie nam pozostały, okręt podwodny rozpoczął



ostrzeliwanie statku. Zobaczyłem, jak jeden z pocisków wybucha w samym środku grupki kobiet i dzieci, a potem odwróciłem głowę i zakryłem dłońmi oczy.

Kiedy znowu odważyłem się spojrzeć, do mojego przerażenia doszło jeszcze wielkie przygnębienie, bo w wynurzoną U-boocie rozpoznałem jednostkę zwodowaną w naszej własnej stoczni. Znałem ją na wylot, do ostatniego nita. Osobiście sprawowałem nadzór nad jej budową. Siedziałem w tym kiosku i kierowałem pracą załogi uwijającej się jak w ukropie pod pokładem, kiedy jej dziób po raz pierwszy rozpruł skąpane w letnim słońcu wody Pacyfiku; a teraz ów twór mego umysłu i rąk przeistoczył się w potwora Frankensteina zdecydowanego ścigać mnie aż do śmierci.

Na pokładzie eksplodował drugi pocisk. Jedna z szalup ratunkowych, straszliwie przeładowana, zwisała pod niebezpiecznym kątem na swoich żurawikach. Odłamek pocisku strzaskał wielokrażek dziobowy i zobaczyłem, jak mężczyźni, kobiety i dzieci wysypują się do morza z szalupy dyndającej przez moment na jednym żurawiku, by po chwili z rosnącą szybkością runąć w sam środek kłębowiska miotających się rozpaczliwie na powierzchni wody rozwrzeszczanych rozbitków.

Wtem ujrzałem ludzi wskakujących na reling i rzucających się do oceanu. Pokład pochylał się już pod nieprawdopodobnym kątem. Nobs, zapierając się wszystkimi czterema łapami, żeby nie zsunąć się w lukę odpływową, co chwila popatrywał na mnie z pytającym skomleniem. Schyliłem się i pogłaskałem go po łbie.

– Za mną, stary! – krzyknąłem i podbiegłszy do burty rzuciłem się szczupakiem przez reling, dając nura w odmęty. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzały moje oczy, kiedy wynurzyłem się na powierzchnię, był oszołomiony Nobs pływający w kółko kilka metrów ode mnie. Na mój widok położył uszy po sobie i rozchylił wargi w charakterystycznym psim uśmiechu.

Okręt podwodny odpływał na północ nie zaprzestając ostrzeliwania trzech odkrytych szalup wyładowanych rozbitkami po okrężnicę. Na szczęście małe szalupy przedstawiały sobą raczej trudny cel, co w połączeniu z kiepskim wyszkoleniem niemieckich celowniczych chroniło pasażerów przed najgorszym. Po kilku minutach na wschodnim horyzoncie pojawiła się wreszcie smużka dymu i U-boot zanurzył się znikając nam z oczu.

Szalupy ratunkowe przez cały czas oddalały się skwapliwie od zagrożenia, jakie stanowił tonący statek, i teraz, chociaż wrzeszczałem co sił w płucach, nie docierało do nich moje wołanie o pomoc, a nawet gdyby je usłyszano, nikt nie ważyłby się zawrócić, by przyjść mi w sukurs. Zanim jednak statek przewrócił się w końcu do góry stępką i zatonął, zdołaliśmy z Nobsem mimo wszystko odpłynąć od niego kawałek. Ssąca siła powstałego wiru porwała nas w tył o kilka zaledwie jardów, nie wciągając żadnego z nas pod powierzchnię. Rozglądałem się gorączkowo wokół za czymś, czego mógłbym się uchwycić. Moje oczy skierowane były akurat na miejsce, w którym zniknął statek, kiedy z głębin oceanu doszedł mnie stłumiony huk eksplozji i niemal równocześnie ponad powierzchnię morza wystrzelił gejzer wody wyrzucając w powietrze szczątki szalup ratunkowych, ciała, kłęby pary, węgiel, olej i połamane deski pokładu. Wodna kolumna przez krótką chwilę była pomnikiem na grobowcu jeszcze jednego statku pochłoniętego przez to największe z morskich cmentarzysk.

Kiedy wzburzona kipiela uspokoiła się nieco i morze przestało wypływać szczątki wraku, odważyłem się popłynąć w tamtym kierunku z zamiarem rozejrzenia się za czymś wystarczająco solidnym, by utrzymać ciężar ciała zarówno mojego, jak i Nobsa. Byłem już w obrębie strefy zatonięcia, kiedy nagle, niecałe sześć jardów przede mną, dziobem do przodu, wyprysnęła z oceanu na całą swą długość szalupa ratunkowa, by po chwili, z potężnym pacnięciem, opaść kilem na fale.

Musiała zostać wciągnięta głęboko pod wodę przez swój macierzysty statek, przytroczona doń pojedynczą liną, która wreszcie pękła pod wpływem olbrzymiego naprężenia. W żaden inny sposób nie potrafiłem sobie wytłumaczyć przyczyny, dla której wyskoczyła tak wysoko ponad fale. Temu to szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam niewątpliwie życie Nobsa, swoje i czyjeś jeszcze, daleko mi droższe od własnego. Mówię tu o szczęśliwym zbiegu okoliczności nawet w obliczu faktu, że w oczy zagłada nam teraz los o wiele okropniejszy od tego, jakiemu zdołaliśmy ująć tamtego dnia; bo dzięki owemu zbiegowi okoliczności spotkałem tę, której inaczej nigdy bym nie poznał; spotkałem ją i pokochałem. Dobrze, że chociaż tego wielkiego szczęścia nie poskąpiło mi życie; nawet Caspak ze wszystkimi swymi okropnościami nie może mnie pozbawić wspomnień.

Tak więc po raz setny dziękuję nieodgadnionemu losowi, że zesłał mi tę szalupę ratunkową, wyrzucając ją w powietrze z zielonej, zgubnej otchłani, do której została wciągnięta – wyrzucając ją wysoko w górę, opróżniając z wody, kiedy zawisała na moment ponad falami, i upuszczając na powierzchnię morza, zdolną do utrzymania się na wodzie i bezpieczną.

Nie namyślając się wiele wgramoliłem się do mej i wciągnąłem za sobą Nobsa, po czym rozejrzałem się po otaczającej nas scenie śmierci i zniszczenia. Powierzchnia morza zasłana była szczątkami zatopionego statku, pośród których unosiły się bezwładnie trupy nieszczęsnych kobiet i dzieci utrzymywane na wodzie przez bezużyteczne już pasy ratunkowe. Niektóre ciała były okaleczone i poszarpane, inne kołysały się na falach dostojnie, ze skupionymi obliczami; twarze jeszcze innych zastygły w okropne maski cierpienia i trwogi. Tuż przy burcie szalupy unosiło się ciało dziewczyny. Leżała na wodzie twarzą do góry, utrzymywana na powierzchni przez pas ratunkowy, obramowana pływającą masą ciemnych falujących włosów. Była bardzo piękna. Nigdy nie patrzyłem na tak doskonale rysy, na twarz tak boską, a jednocześnie ludzką – głęboko ludzką. Była to twarz zdradzająca charakter, siłę i kobiecość – twarz istoty stworzonej do kochania i do tego, by być kochaną. Policzki rumieniły się barwą życia, zdrowia i witalności, leżała jednak na łonie morza martwa. Spoglądając z góry na tę promienną wizję poczułem, jak coś ściska mnie za gardło i poprzysiągłem sobie, że dołożę wszelkich starań, by przeżyć i pomścić ją.

A potem jeszcze raz opuściłem wzrok na unoszącą się na wodzie twarz i to, co ujrzałem, sprawiło, że omal nie wpadłem z powrotem do morza, bo oczy w martwej twarzy otworzyły się, rozchyliły się usta i uniosła się ku mnie ręka w niemym wołaniu o ratunek. Ona żyła! Nie była martwa! Wychyliłem się przez burtę szalupy i wciągnąłem szybko dziewczynę do tego względnego azylu, który zesłał mi Bóg. Zdjąłem z niej pas ratunkowy, a potem ściągnąłem z siebie przemoczony płaszcz i podłożyłem jej pod głowę zamiast poduszki. Zacząłem rozcierać jej dłonie, ramiona i stopy. Pracowałem tak nad nią przez godzinę, aż w końcu moje wysiłki nagrodził głęboki oddech i jej wielkie oczy otworzyły się ponownie, by spojrzeć w moje.

Wpędziło mnie to w ogromne zakłopotanie. Nigdy nie miałem śmiałości wobec kobiet; w Leland-Stanford moja beznadziejna nieporadność w obecności ładnej dziewczyny wystawiła mnie na pośmiewisko całej klasy. Ale pomimo to byłem lubiany. W momencie kiedy otworzyła oczy, tarłem akurat jej dłoń – natychmiast wypuściłem ją z rąk jak rozżarzony do czerwoności nit. Oczy zmierzyły mnie powoli od stóp do głów; potem przesunęły się równie powoli po horyzoncie wyznaczonym przez wznoszące się i opadające okrężnice szalupy ratunkowej. Natrafiły na Nobsa i złagodniały, a potem spoczęły znowu na mnie wyrażając nieme pytanie.

– Ja... ja... – wybąkałem cofając się i wpadając tyłem na ławkę.

Zjawa uśmiechnęła się blado.



– Tak jest, sir! – odparła ledwie dosłyszalnie i usta znowu odmówiły jej posłuszeństwa, a długie rzęsy opadły powoli na jędrną, jasną skórę.

– Mam nadzieję, że lepiej się pani czuje – zdołałem wreszcie wykrztusić.

– Wie pan – odezwała się po chwili milczenia – jestem przytomna już od dłuższego czasu! Ale nie śmiałam otworzyć oczu. Byłam pewna, że umarłam; bałam się spojrzeć w obawie, że nie zobaczę wokół siebie nic prócz ciemności. Boję się śmierci! Proszę mi opowiedzieć, co się stało po zatonięciu statku. Pamiętam wszystko, co działo się przedtem... och, chociaż wolałabym o tym zapomnieć! – Z jej krtani wydobył się szloch. – Zwierzęta! – podjęła po chwili. – I pomyśleć, że miałam właśnie poślubić jedno z nich, porucznika niemieckiej marynarki wojennej.

Po tym wyznaniu powróciła do swej opowieści, jak gdyby wcale jej nie przerwała.

– Spadałam, spadałam i spadałam. Myślałam, że już nigdy nie przestanę tonąć. Nie odczuwałam właściwie braku powietrza aż do momentu, kiedy z coraz większą szybkością zaczęłam się unosić; wtedy miałam wrażenie, że pękną mi płuca i straciłam pewnie przytomność, bo nie pamiętam już aż do chwili, kiedy po usłyszeniu steku obelg pod adresem Niemiec i Niemców otworzyłam oczy. Niech mi pan opowie, co się wydarzyło po zatonięciu statku.

Opowiedziałem jej więc, jak umiałem, wszystko, czego byłem świadkiem – o okręcie podwodnym ostrzeliwującym szalupy i o całej reszcie. Uznała za cud, że ocaleliśmy w tak opatrnościowy sposób, a ja miałem już na końcu języka piękną mówkę, jednak zabrakło mi odwagi, żeby ją wygłosić. Nobs podszedł i położył mordę na jej kolanach, ona zaś pogłaskała go po paskudnym łbie, a potem nachyliła się i przytuliła policzek do jego „czoła”. Zawsze lubiłem Nobsa, ale teraz po raz pierwszy przyłapałem się na tym, że pragnąłbym znaleźć się na jego miejscu. Ciekaw byłem, jak przyjmie tę pieszczotę, bo tak samo jak ja nie przywykł do obcowania z kobietami. Ale zareagował na nią niczym kaczka na wodę. Mój brak śmiałości w kontaktach z płcią piękną Nobs z pewnością nadrabia z nawiązką. Ten stary przechera przymknął po prostu ślepią, przybrał najłagodniejszą ze swoich min i stał rozanielony dopominając się o jeszcze. Poczulem ukłucie zazdrości.

– Widzę, że lubi pani psy – zauważyłem.

– Lubię tego psa – odparła.

Nie byłem pewien, czy w tej odpowiedzi kryje się jakaś osobista aluzja, ale tak właśnie ją odebrałem i od razu poczułem się lepiej.

Nic dziwnego, że dryfując wspólnie po ogromnym obszarze pustki szybko zawarliśmy bliższą znajomość. Bez przerwy przeczesywaliśmy wzrokiem horyzont wypatrując śladów dymu i spekulując na temat naszych szans na ocalenie, ale zapadł zmrok i spowila nas czarna noc, a my nie dostrzegliśmy na wodach nawet najmniejszego punkcika.

Dręczyły nas pragnienie i głód, było nam niewygodnie i zimno. Nasze ubrania nie zdążyły dobrze przeschnąć, toteż zdawałem sobie sprawę, że wystawienie na nocny chłód i wilgoć w otwartej łodzi bez odpowiedniego okrycia, w dodatku z pustym żołądkiem grozi dziewczynie śmiertelnym niebezpieczeństwem. Udało mi się złożonymi w miseczkę dłońmi wybrać z szalupy wszystką wodę, a dokończyłem dzieła usuwając pozostałości chusteczką do nosa, co było pracą żmudną i nadwężającą krzyże. W ten sposób przygotowałem dziewczynie stosunkowo suche miejsce do leżenia na dnie szalupy, gdzie przed nocnym wiatrem osłaniać ją miały burty, i gdy w końcu się tam położyła, a właściwie osunęła osłabiona i zmęczona zmęczeniem, przykryłem ją swoim jeszcze wilgotnym płaszczem próbując ochronić przed chłodem. Ale nic to nie dało; gdy tak siedziałem

i patrzyłem, jak księżycowa poświata uwypukla wdzięczne obłóci jej smukłego, młodego ciała, zauważyłem, że drży.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – spytałem. – Nie możesz tak leżeć i marznąć przez całą noc.

Nic ci nie przychodzi na myśl?

Pokręciła głową.

– Musimy znosić to z uśmiechem na ustach – odparła po chwili.

Nobs położył się obok mnie na ławce przywierając grzbietem do mego uda, a ja siedziałem wpatrując się z tępą rozpaczą w dziewczynę, gdyż zdawałem sobie w głębi duszy sprawę, że zanim nastanie świt, może umrzeć, bo już sam szok i dramatyczne chwile, jakie do tej pory przeżyła, wystarczały, by zabić przeciętnie odporną kobietę. I gdy tak patrzyłem na nią z góry, taką drobną, delikatną i bezbronną, w mojej piersi zaczęło się z wolna rodzić nieznane uczucie. Nigdy przedtem go tam nie było; teraz nigdy już nie wygaśnie. Ono sprawiło, że moje pragnienie, by znaleźć jakiś sposób na podtrzymanie ciepła krwi krążącej w jej żyłach, przeszło niemal w obsesję. Sam byłem zziębnięty, ale dotarło to do mnie dopiero wtedy, gdy Nobs poruszył się i odczułem falę chłodu przenikającego moje udo, do którego pies się do tej pory przytulał; wówczas właśnie uprzytomniłem sobie, że jedynie w tym miejscu jestem ciepły. Naraz olśniła mnie pewna myśl i wiedziałem już, jak ogrzać dziewczynę. Ukląknęłam natychmiast obok niej, żeby wprowadzić ów projekt w życie, lecz nagle ogarnęło mnie zakłopotanie. Czy wyrazi zgodę, jeśli nawet zdobędę się na odwagę, by jej to zaproponować? I wtedy zobaczyłem, jak wstrząsają nią konwulsyjne drgawki, jak jej mięśnie reagują na gwałtownie spadającą temperaturę ciała. Posławszy pruderię do wszystkich diabłów padłem obok niej na dno łodzi, wziąłem w ramiona i przytuliłem mocno do siebie.

Szarpnęła się gwałtownie i wydała cichy okrzyk przerażenia usiłując odepchnąć mnie od siebie.

– Wybacz mi – zdołałem wykrztusić. – To jedyny sposób. Umrzesz z zimna, jeśli się nie rozgrzejesz, a Nobs i ja jesteśmy w tej łodzi jedynymi źródłami ciepła.

Przytrzymując ją z całej siły, przywołałem Nobsa i kazałem mu się położyć za jej plecami. Przyjąwszy do wiadomości kierujące mną pobudki, dziewczyna przestała się szamotać; z jej piersi wyrwały się dwa słabe spazmy, a potem rozplakała się cicho, kryjąc twarz w moim ramieniu, i tak zasnęła.

## Rozdział II

Nad ranem chyba się zdrzemnąłem, chociaż wtenczas wydawało mi się, że leżę bez zmrużenia oka nie godziny, ale dni całe. Kiedy w końcu otworzyłem oczy, był już jasny dzień, moją twarz przykryły włosy dziewczyny, a ona sama oddychała normalnie. Podziękowałem za to Bogu. W nocy odwróciła głowę i teraz, kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem jej twarz tuż przy swojej, tak że moje wargi niemal dotykały jej ust.

Tym, który w końcu ją obudził, był Nobs. Wstał, przeciągnął się, obrócił kilka razy w kółko i znowu legł, a wtedy dziewczyna uniosła powieki i spojrzała prosto na mnie szeroko rozwartymi oczami. Wkrótce jednak wróciła jej pamięć i na twarzy pojawił się uśmiech.

– Byłeś dla mnie bardzo dobry – odezwała się, kiedy pomagałem jej wstać, chociaż po prawdzie bardziej niż ona potrzebowałem pomocy; miałem wrażenie, że całkowicie zanikło krążenie wzdłuż całej lewej połowy mego ciała. „Byłeś dla mnie bardzo dobry.” Tak to lakonicznie podsumowała; wiedziałem jednak, że jest mi wdzięczna i że tylko rezerwa powstrzymuje ją przed nawiązaniem do kłopotliwej, skromnie mówiąc, choć nieuniknionej sytuacji.

Wkrótce potem dostrzeżliśmy dym sunący wyraźnie prosto na nas i po jakimś czasie odróżnialiśmy już przysadziste kontury angielskiego holownika – jednego z tych, które wprowadzają statki do francuskich i brytyjskich portów. Stałem na ławce i zacząłem wymachiwać nad głową przemoczonym płaszczem. Nobs wskoczył na drugą i zaszczekał. Dziewczyna siedziała u mych stóp i wyteżając wzrok wpatrywała się w pokład nadpływającej jednostki.

– Zauważyli nas – stwierdziła w końcu. – Jakiś człowiek odpowiada na twoje znaki.

Nie myliła się. Coś ścisnęło mnie za krtań – raczej przez wzgląd na nią niż na siebie. Była ocalona, i to w samą porę. Nie przeżyłaby jeszcze jednej nocy na Kanale; mogłaby nawet nie dożyć wieczora.

Holownik zbliżył się i jeden z członków załogi rzucił nam linę. Usłużne ręce wciągnęły nas na pokład, tylko Nobs wgramolił się tam bez niczyjej pomocy. Nieokrzesane z natury wilki morskie zajęły się dziewczyną niczym niańki. Zасыpując nas oboje pytaniami, ją przenieśli pospiesznie do kabiny kapitana, a mnie do kotłowni. Kazali dziewczynie ściągnąć przemoczone ubranie i wyrzucić im je za drzwi do wysuszenia, a potem wślizgnąć się do koi kapitana i rozgrzać. Mnie, kiedy znalazłem się już w buchającej ciepłem kotłowni, nie musieli przypominać, żebym się rozebrał. Części mojej garderoby wisiały w okamgnieniu tam, gdzie mogły najszybciej wyschnąć, a ja sam wchłaniałem każdym porem skóry rozkoszne ciepło dusznego pomieszczenia. Przynieśli nam gorącą zupę i kawę, a potem ci, którzy nie mieli akurat służby, obsiedli mnie wkoło i wtórowali, kiedy kłamię kajzera i całe jego plemię.

Gdy tylko wyschły nasze ubrania, kazali nam je zaraz wdziać, bo na tych wodach istniało zawsze spore ryzyko natknięcia się na wroga, z czego aż nadto dobrze zdawałem sobie sprawę. Rozgrzany i uspokojony świadomością, że dziewczyna jest bezpieczna, oraz przekonany, iż trochę odpoczynku

i dobre odżywianie przezwyzięją wkrótce skutki doświadczeń, jakich nie szczędził jej los przez ostatnie dramatyczne godziny, po raz pierwszy od tamtych trzech gwizdków z zeszłego popołudnia, które zburzyły spokój mego świata, poczułem się lepiej.

Ale od września roku 1914 spokój na Kanale był stanem tylko przejściowym. I takim okazał się tego ranka, bo ledwie zdążyłem naciągnąć na siebie wysuszone ubranie i zanieść garderobę dziewczynie do kabiny kapitana, maszynowni wydany został gromkim głosem rozkaz: „Cała naprzód” i zaraz potem usłyszałem głuchy wystrzał z działa. W mgnieniu oka znalazłem się na pokładzie. Od lewej burty, mniej więcej dwieście jardów przed naszym dziobem, ujrzałem nieprzyjacielski okręt podwodny. Sygnalizowano z niego, żebyśmy się zatrzymali, ale nasz szyper zignorował to polecenie. Okręt nakierował na nas swe działo i drugi pocisk musnął sterówkę, ostrzegając krnąbrnego kapitana holownika, że czas posłuchać. Do maszynowni poszedł kolejny rozkaz i holownik zwolnił. U-boot przerwał ogień i kazał holownikowi podpłynąć bliżej. Siła bezwładności wyniosła nas nieco poza nieprzyjacielską jednostkę, ale zawracaliśmy teraz po łuku, by znaleźć się z okrętem burta w burtę. Gdy tak stałem obserwując manewr i zastanawiając się, co z nami będzie, poczułem, że ktoś dotyka mego łokcia. Odwróciwszy się ujrzałem obok siebie dziewczynę. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie ze smutkiem.

– Zdaje się, że zagięli na nas parol – powiedziała – i to chyba ta sama łódź, która zatopiła nas wczoraj.

– Ta sama – przytaknałem. – Dobrze ją znam. Brałem udział w jej projektowaniu i wyprowadziłem ją w dziewiczy rejs.

Dziewczyna odsunęła się ode mnie z cichym okrzykiem zaskoczenia i dezaprobaty.

– Myślałam, że jesteś Amerykaninem – wykrztusiła. – Do głowy mi nawet nie przyszło, że możesz być... być...

– Bo nie jestem – odparłem. – Amerykanie od lat budują statki dla wielu krajów. Bodajbyśmy jednak zbankrutowali, mój ojciec i ja, przed zwodowaniem tego stalowego potwora Frankensteina.

Zbliżaliśmy się teraz do U-boota na połowie szybkości i potrafiłem już rozróżnić twarze ludzi na jego pokładzie. W pewnej chwili podszedł do mnie marynarz z naszej załogi i wsunął mi w dłoń coś twardego i zimnego. Bez spoglądania wiedziałem, że to wielkokalibrowy pistolet.

– Bierz i nie pudłuj – mruknął tylko.

W momencie kiedy nasz dziób nakierował się wprost na U-boota, usłyszałem przekazywany skrycie do maszynowni rozkaz: „Cała naprzód.” Natychmiast przejrzałem brawurowy fortel zuchwałego angielskiego szypra – zamierzał staranować pięćsettonowego U-boota pod lufą wycelowanego w nas działa. Ledwie zdołałem stłumić cisnący mi się na usta okrzyk zachwyty. Niemcy nie zorientowali się chyba zrazu w zamiśle kapitana. Najwyraźniej sądzili, że są świadkami pokazu kiepskiego opanowania sztuki manewrowania statkiem, i ostrzegawczymi wrzaskami upominali holownik, by zmniejszyć szybkość i położyć ster ostro na lewą burtę.

Niebezpieczeństwo uświadomili sobie dopiero wtedy, gdy dzieliło nas niecałe piętnaście jardów. Obsługa działa zeszła wcześniej ze swych stanowisk; teraz artylerzyści rzucili się do niego i posłali niecelny pocisk ponad naszymi głowami. Nobs miotał się obok mnie ujadając wściekle.

– Pal! – zakomenderował kapitan holownika i pokład łodzi podwodnej zasypał grad kul z rewolwerów i karabinów. Padło dwóch ludzi z obsługi działa; pozostali nakierowali lufę na linię wodną nadpływającego holownika. Reszta załogi U-boota odpowiedziała na nasz małokalibrowy ogień obierając sobie za główny cel człowieka stojącego za naszym kołem sterowym.

Wepchnąłem pospiesznie dziewczynę do zejściówki prowadzącej do maszynowni, po czym uniosłem pistolet i oddałem swój pierwszy strzał do Szwaba. To, co wydarzyło się w ciągu kilku następnych sekund, działo się tak szybko, że szczegóły zamazują mi się w pamięci. Zobaczyłem, jak sternik wali się bezwładnie na koło sterowe, które obróciło się pod jego ciężarem, przez co holownik zboczył gwałtownie ze swego kursu. Przypominam sobie, że w tym momencie pomyślałem, iż cały nasz wysiłek poszedł na marne, bo ze wszystkich ludzi znajdujących się na pokładzie Opatrzność wyznaczyła właśnie jego na tego, który pierwszy padnie od wrogiej kuli. Zobaczyłem, jak zdekompletowana obsługa działa na łodzi podwodnej daje ognia i poczułem wstrząs, a równocześnie usłyszałem głośną eksplozję pocisku, który trafił w nasz dziób i wybuchł.

Widziałem i rejestrowałem te fakty, chociaż wówczas wskakiwałem już do sterówki i stanąwszy okrakiem nad ciałem poległego sternika, chwytałem za koło sterowe. Z całych sił szarpnąłem ster na prawą burtę, ale było już za późno, by dopiąć celu, jaki zamyślił sobie nasz szyper. Zdołałem doprowadzić tylko do tego, że holownik przepłynął obok łodzi podwodnej ze zgrzytem szorujących o siebie burt. Usłyszałem, jak ktoś wywrzaskujerozkaz do maszynowni; statek zadygotał i zadrżał pod wpływem nagłego odwrócenia kierunku obrotów silników i nasza szybkość gwałtownie spadła. I wtedy zrozumiałem, co uknuł ten szalony szyper, gdy nie powiódł się jego pierwotny plan.

Z gromką komendą na ustach przeskoczył na śliski pokład łodzi podwodnej, a na pięty następowała mu jego nieustraszona załoga. Wypadłem ze sterówki i pogałem za nimi, żeby nie stać z założonymi rękami, kiedy nadarza się okazja dołożenia Szwabom. Z prowadzącej do maszynowni zejściówki wysypali się palacze z pierwszym mechanikiem na czele i razem skoczyliśmy za resztą załogi, by rzucić się w wir walki wręcz. Wkrótce mokry pokład podwodnego okrętu spływał krwią. Obok mnie sadił wielkimi susami Nobs, milczący teraz i ponury. Z otwartego włazu wynurzali się Niemcy, żeby włączyć się do walki. Z początku, pośród przekleństw ludzi i rozkazów wywrzaskiwanych przez kapitana oraz jego zastępcę, dawał się słyszeć huk rewolwerowych wystrzałów; ale teraz stanowiliśmy zbyt przemieszaną ciżbę, by stosowanie broni palnej było bezpieczne i walka o opanowanie jednostki przeistoczyła się w zmagania wręcz.

Najwyższym celem dla każdego z nas było zepchnąć do morza choć jednego wroga. Nigdy nie zapomnę odrażającego wyrazu twarzy tego wielkiego Prusaka, z którym zetknął mnie los. Pochylił głowę i zaszarżował na mnie rycząc niczym byk. Zmyliłem go odskakując szybko w bok i przemykając pod jego rozpostartymi ramionami. Gdy się odwrócił, żeby ponowić atak, poczęstowałem go silnym ciosem w podbródek, wskutek czego zatoczył się na samą krawędź pokładu. Obserwowałem jego szalone wysiłki, by zachować równowagę; obserwowałem, jak chwieje się przez chwilę na skraju wieczności niczym pijany, a potem, z dzikim wrzaskiem, ześlizguje się w morze. W tym samym momencie otoczyła mnie od tyłu i poderwała w powietrze para gigantycznych ramion. Chociaż wierzyłem i wiałem się jak piskorz, nie mogłem ani obrócić się przodem do napastnika, ani uwolnić z jego mocarnego uścisku. Włókł mnie nieubłaganie ku burcie łodzi podwodnej i zarazem ku śmierci. Nie miał go kto powstrzymać, bo każdy z moich towarzyszy był bardziej niż zaabsorbowany jednym, dwoma, a nierzadko i trzema nieprzyjaciółmi. Była już taka chwila, że zacząłem się o siebie obawiać, ale nagle ujrzałem coś, co napełniło mnie daleko większą trwogą.

Mój Szwab dźwigał mnie na tę stronę łodzi podwodnej, o którą wciąż łomotał burtą holownik. Kiedy spostrzegłem dziewczynę stojącą samotnie na pokładzie holownika, kiedy zobaczyłem, jak jego rufa unosi się wysoko w powietrze, a dziób ustawia szybko do ostatniego nurkowania, kiedy

bezsilny ujrzałem śmierć wyciągającą swe łapy po kobietę, którą – wiedziałem to teraz aż za dobrze – kochałem, zapomniałem zupełnie, że mogę zostać starty na miazgę między oboma statkami.

Pozostał mi do przeżycia może ułamek sekundy, kiedy usłyszałem za nami groźne warczenie, któremu zawtórował wrzask bólu i wściekłości taszczącego mnie olbrzymia. Jak rażony gromem runął tyłem na pokład i żeby złagodzić skutki upadku, rozrzucił szeroko ręce, uwalniając mnie tym samym ze swego uścisku. Zwaliłem się na niego, ale w jednej chwili zerwałem się na nogi. Zerknąłem w przelocie na swego przeciwnika. Nigdy nie miał już zagrozić ani mnie, ani nikomu innemu, bo na jego gardle zacisnęły się potężne szczęki Nobsa. Zarejestrowawszy ten fakt, jednym susem znalazłem się na skraju pokładu, w miejscu, z którego miałem najbliżej do dziewczyny na tonącym holowniku.

– Skacz! – wrzasnąłem. – Skacz! – I wyciągnąłem do niej rękę.

Natychmiast, jakby wyrażała w ten sposób swoją ufność w ratunek z mej strony, przeskoczyła przez burtę holownika na pochyły, śliski bok U-boota. Wyciągnąłem rękę najdalej, jak mogłem, żeby pochwycić ją za dłoń. W tym samym momencie holownik zadarł rufę w niebo i znikł nam z oczu w odmętach. Moje palce minęły dłoń dziewczyny o ułamek centymetra i z rozpaczą ujrzałem, jak nieszczęsna zsuwa się do morza; ledwie jednak zetknęła się z wodą, byłem już tam obok niej.

Tonący holownik wciągnął nas głęboko pod powierzchnię, ale wpadając do wody zdołałem jednak pochwycić dziewczynę i dzięki temu zanurzyliśmy się razem i razem wynurzyli – kilka metrów od U-boota. Pierwszą rzeczą, jaką usłyszałem, było wściekłe ujadanie Nobsa; najwyraźniej stracił mnie z oczu i teraz szukał. Jedno spojrzenie rzucone na pokład łodzi podwodnej upewniło mnie, że już po bitwie i że zwycięstwo przypadło w udziale nam, bo ujrzałem niedobitki załogi holownika trzymające pod lufami pistoletów garstkę nieprzyjaciół, podczas gdy reszta niemieckich marynarzy gramoliła się jeden po drugim z wnętrza U-boota i dołączała do szeregu jeńców na pokładzie.

Gdy podpływałem z dziewczyną do łodzi podwodnej, nieustające szczekanie Nobsa zwróciło uwagę kilku ludzi z załogi holownika, dzięki czemu, kiedy tylko znaleźliśmy się przy burcie, wyciągnęło się ku nam mnóstwo rąk, z pomocą których wdrapaliśmy się na pokład. Spytałem dziewczynę, czy nic jej nie jest, ale zapewniła mnie, że wcale nie ucierpiała na skutek tej drugiej już przymusowej kąpieli; nie sprawiała też wrażenia zaszokowanej. Co do mnie, musiałem przyznać w duchu, że to pozornie delikatne stworzenie posiada serce i odwagę wojownika.

Dołączyliśmy do naszych ludzi w chwili, gdy mat z holownika podsumowywał wyniki starcia. Pozostało nas dziesięciu, nie licząc dziewczyny. Brakowało naszego dzielnego szypra i ośmiu innych członków załogi. W grupie abordażowej było nas dziewiętnastu; podczas walki w ten czy inny sposób unieszkodliwiliśmy szesnastu Niemców i wzięliśmy dziewięciu jeńców, a wśród nich kapitana. Jego zastępca poległ.

– Niezła dniówka – zawyrokuje porucznik Bradley dokonawszy przeglądu. – Szkoda tylko, że straciliśmy szypra. To był morowy gość, morowy gość.

Obok Bradleya i mnie stał Olson – który pomimo skandynawskiego nazwiska był Irlandczykiem i choć nie pochodził ze Szkocji, sprawował na holowniku funkcję pierwszego mechanika.

– Taaak – przyznał – odwaliliśmy niezłą dniówkę, ale skorośmy już zdobyli tę łajbę, to co z nią teraz pocniemy?

– No, odprowadzimy ją do najbliższego angielskiego portu – odparł Bradley – i zejdziemy na ląd odebrać należne nam krzyże zasługi – dokończył ze śmiechem.

– A jak chcesz ją tam odprowadzić? – nie ustępował Olson. – Tym Frycom nie można przecież ufać.

Bradley podrapał się w głowę.

– Chyba masz rację – przyznał. – A ja nie znam się ani w ząb na łodziach podwodnych.

– Ja się znam – uspokoilem go. – A o tej tutaj wiem więcej niż dowodzący nią oficer.

Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie zaskoczeni i musiałem im od początku wyjaśnić to, co wyjaśniłem już dziewczynie. Bradley i Olson nie posiadali się z zachwytu.

Z miejsca powierzono mi dowództwo, a pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem, było zejście z Olsonem pod pokład na dokładną inspekcję, której celem było sprawdzenie, czy na jednostce nie ukrywają się jeszcze jakieś Szwaby, oraz wykrycie ewentualnych uszkodzeń. Na dole nie było nikogo, a wszystkie instalacje działały i znajdowały się w idealnym stanie. Następnie poleciłem wszystkim zejść pod pokład pozostawiając na górze tylko jednego człowieka w charakterze obserwatora. Przesłuchując Niemców stwierdziłem, że wszyscy, z wyjątkiem kapitana, wyrażają chęć powrotu na swe stanowiska i służenia nam pomocą w doprowadzeniu jednostki do angielskiego portu. Sądzę, że po tych wszystkich trudach i niebezpieczeństwach, przez jakie przeszli, odczuwali ulgę wobec perspektywy znalezienia się w wygodnym angielskim obozie jenieckim i pozostania tam do końca wojny. Jedyne oficer zapewnił mnie, że nigdy nie przyłoży ręki do uprowadzenia okrętu znajdującego się pod jego komendą.

Nie było więc innego wyjścia, jak tylko zakuć tego człowieka w kajdanki. Gdy przygotowaliśmy się do wprowadzenia tej decyzji w czyn, z pokładu zeszła na dół dziewczyna. Po raz pierwszy od chwili naszego wtargnięcia na pokład U-boota nadarzyła się okazja, by ona i niemiecki oficer ujrzeli nawzajem swe twarze. Pomagałem dziewczynie przy schodzeniu po szczeblach drabinki i trzymałem ją jeszcze za ramię – chociaż może nie było to już konieczne – kiedy, znalazłszy się na dole, odwróciła się i spojrzała Niemcowi prosto w oczy. Z ust obojga wyrwały się mimowolne okrzyki zaskoczenia i konsternacji.

– Lys! – krzyknął oficer i postąpił krok w jej kierunku.

Dziewczyna cofnęła się gwałtownie, a jej oczy rozszerzyły się i wypełniły z wolna wielką trwogą. Po chwili smukła postać zeszywniała niczym żołnierz stojący na baczność, a następnie, zadzierając brodę, dziewczyna bez słowa odwróciła się do Niemca plecami.

– Zabierzcie go – rzuciłem do dwóch ludzi pilnujących niemieckiego kapitana – i zakujcie w kajdanki.

Kiedy go wyprowadzili, dziewczyna podniosła na mnie wzrok.

– On jest tym Niemcem, o którym mówiłam – powiedziała. – To baron von Schoenvorts.

Skinąłem nieznacznie głową. Kochała go! Ciekaw byłem, czy w głębi duszy nadal go kocha. Ogarnęła mnie obłądana zazdrość. Nienawidziłem barona Friedricha von Schoenvortsa tak głęboko, że uczucie to zagroziło mi popadnięciem w rodzaj egzaltacji.

Ale nie dane mi było wtedy rozkoszować się swą nienawiścią, bo niemal w tym samym momencie obserwator wsadził głowę przez otwarty właz i krzyknął, że na horyzoncie, wprost przed nami, widzi dym. Bez zwłoki wspiałem się na górę, żeby to sprawdzić, a razem ze mną wdrapał się do kiosku Bradley.

– Jeśli to statek sojusznicy – powiedział – nawiążemy z nim kontakt. Jeśli nie, zatopimy go. Co, kapitanie?

– Tak, poruczniku – odparłem, a on moje słowa przyjął z uśmiechem.

Wciągnęliśmy na maszt Union Jacka. Ja pozostałem na pokładzie, a Bradleya poprosiłem, żeby zszedł na dół i przydzielił zadania wszystkim członkom załogi, stawiając przy każdym Niemcu



jednego Anglika z pistoletem.

Odległość dzieląca nas od nieznanej jednostki zmniejszała się coraz bardziej i wkrótce widziałem już wyraźnie czerwoną banderę brytyjskiej marynarki handlowej łopoczącą na wietrze. Serce wezbrało mi dumą na myśl, że za chwilę brytyjscy marynarze będą nam z podziwem gratulowali tak znaczącego pryzu; i chyba w tym mniej więcej momencie na parowcu musiano nas dojrzeć, bo statek zmienił kurs skręcając gwałtownie na północ, a zaraz potem z jego kominów buchnęły gęste kłęby dymu. Zygzakując, zaczął się oddalać, jakby uciekał przed morową zarazą. Zmieniłem kurs łodzi podwodnej i puściłem się za nim w pościg, ale parowiec był od nas szybszy i wkrótce tyle go widzieliśmy.

Ze smutnym uśmiechem nakazałem powrót na poprzedni kurs i ponownie skierowaliśmy się ku wesołej Anglii. Minęły trzy miesiące, a my jeszcze tam nie dotarliśmy i nie ma żadnej nadziei, by kiedykolwiek nam się to udało.

Parowiec, który widzieliśmy, musiał nadać przez radio ostrzeżenie, bo po niespełna półgodzinie ujrzeliśmy na horyzoncie dym, i tym razem na maszcie nadpływającej jednostki łopotała biała bandera Royal Navy, a okręt uzbrojony był w działa. Nie skręcił ani na północ, ani w żadną inną stronę świata, tylko płynął szybko wprost na nas. Przygotowywałem się właśnie do wysłania sygnału, kiedy na jego dziobie pojawił się błysk, a w chwilę później eksplodujący przed nami pocisk wyrzucił wysoko w górę fontannę wody.

Bradley wyszedł na pokład i stanął obok mnie.

– Jeszcze jeden taki i nas wymaca – stwierdził. – Zdaje się, że niewiele sobie robi z naszego Union Jacka.

Drugi pocisk przeleciał nad nami, a więc nie czekając już dłużej, nakazałem zmianę kursu i poleciłem Bradleyowi, by zszedł na dół i wydał rozkaz zanurzenia. Podąłem mu Nobsa i zszedłem z pokładu jako ostatni, zamykając i ryglując za sobą klapę włazu.

Wydawało mi się, że nigdy nie widziałem tak wolno napęlniających się zbiorników balastowych. Wyraźnie nad sobą usłyszeliśmy głośną detonację; łódź zadygotała, a wstrząs ściał nas wszystkich z nóg. Oczekiwałem przez chwilę potopu wdzierającej się do wnętrza wody, ale nic takiego nie nastąpiło. Kontynuowaliśmy zanurzanie, dopóki głębokościomierz nie wskazał dwunastu jardów, a wtedy wiedzieliśmy już, że jesteśmy bezpieczni. Bezpieczni! Omal się nie uśmiechnąłem. Zluzowałem Olsona, któremu, z uwagi na to, że był kiedyś członkiem załogi jednej z pierwszych brytyjskich łodzi podwodnych i dzięki temu orientował się trochę w specyfice służby na nich, poleciłem uprzednio pozostać w kiosku. Stojący obok mnie Bradley rzucił mi pytające spojrzenie.

– Co tu, u diabła, robić? – spytał. – Kupiec przed nami zwieje, okręt wojenny będzie nas chciał wykończyć; jeden i drugi ani nie da wiary naszym barwom, ani nie będzie czekał, aż się wytłumaczymy. Kiedy będziemy się kręcić w okolicach angielskiego portu, spotkamy się z jeszcze gorszym przyjęciem – miny, sieci i różne takie. Nie uda nam się.

– Spróbujmy jeszcze raz, kiedy ten tam straci trop – nalegałem. – Musi trafić się statek, który nam uwierzy.

I spróbowaliśmy jeszcze raz tylko po to, by o włos uniknąć staranowania przez ogromny frachtowiec. Potem ostrzelał nas niszczyciel, a dwa statki handlowe czmychnęły na nasz widok. Tak krążyliśmy tam i z powrotem po Kanale przez dwa dni usiłując przekonywać, że jesteśmy przyjaciółmi; nikt jednak nie chciał nas wysłuchać. Po pierwszym spotkaniu z okrętem wojennym poleciłem nadać przez radio komunikat wyjaśniający nasze kłopotliwe położenie, ale ku swemu

zmartwieniu stwierdziłem, że zarówno nadajnik, jak i odbiornik zniknęły.

– Jest tylko jeden port, do którego możecie zawinąć – przekazał mi przez jednego z ludzi von Schoenvorts – Kilonia. Na tych wodach nie uda wam się przybić do brzegu nigdzie indziej. Jeśli chcecie, zaprowadzę was tam i przyrzekam, że zostanieecie dobrze potraktowani.

– Istnieje jeszcze jedno miejsce, do którego możemy zawinąć – kazałem mu odpowiedzieć – i prędzej udamy się tam niż do Niemiec. Tym miejscem jest piekło.

## Rozdział III

Były to nerwowe dni, podczas których niewiele miałem okazji do przebywania w towarzystwie Lys. Oddałem jej kabinę kapitana, ja z Bradleyem zajęliśmy kajutę pierwszego oficera, natomiast Olson i dwóch naszych najlepszych ludzi zamieszkali w pomieszczeniu przydzielanym zazwyczaj młodszym oficerom. Nobsowi urządziłem postanie w kabinie Lys, bo wiedziałem, że dzięki temu będzie się czuła mniej osamotniona.

Od kiedy zostawiliśmy za sobą angielskie wody terytorialne, przez jakiś czas nie działo się nic szczególnego. Posuwaliśmy się wytrwale, w wynurzeniu rozwijając sporą prędkość. Pierwsze dwa statki, jakie zauważyliśmy, umknęły przed nami najszybciej, jak mogły; a trzeci – wielki frachtowiec – ostrzelał nas, zmuszając do zanurzenia. To właśnie od tego incydentu na nowo zaczął nas prześladować pech. Rano nawalił jeden z dieslowskich silników, a kiedy zajęci byliśmy jego naprawą, ni stąd, ni z owad zaczął się napełniać lewy dziobowy zbiornik balastowy. Znajdowałem się w tym czasie na pokładzie i zauważyłem powiększający się stopniowo przechył. Domyśliwszy się od razu, co się dzieje, wskoczyłem do włazu, zatrzasnąłem nad głową pokrywę i spuściłem się po drabinie do centrali. Łódź nurkowała już wtedy dziobem w dół z bardzo nieprzyjemnym przechyłem na lewą burtę, nie traciłem więc czasu na wydawanie rozkazów, tylko sam rzuciłem się co sił ku zaworowi, który sterował napełnianiem lewego dziobowego zbiornika balastowego. Był otwarty do oporu. Zamknięcie go i uruchomienie pompy, która miała opróżnić zbiornik, było kwestią jednej minuty; niewiele brakowało...

Dobrze zdawałem sobie sprawę, że zawór nie mógł otworzyć się sam. Ktoś go musiał odkręcić – ktoś, kto nie wahał się poświęcić własnego życia, byle tylko pociągnąć za sobą w objęcia śmierci nas wszystkich.

Po tym wypadku wyznaczyłem wartownika, który miał się przechadzać tam i z powrotem wąskim przejściem w trzewiach łodzi podwodnej. Pracowaliśmy przy silniku cały ten dzień, całą noc i jeszcze pół następnego dnia. Przez ten czas prawie bez przerwy dryfowaliśmy bezwładnie w wynurzeniu. Około południa dostrzegliśmy smużkę dymu przesuwającą się ku zachodowi. Wiedząc już z doświadczenia, że cały świat zamieszkują sami wrogowie, poleciłem uruchomić drugi silnik, abyśmy mogli zejść z drogi nadpływającemu parowcowi. Jednak w chwili gdy silnik zaskoczył, rozległ się przejmujący zgrzyt torturowanej stali; zatrzymawszy motory stwierdziliśmy, że ktoś wrzucił do jednej z przekładni zębatych precinak ślusarski.

Upłynęły kolejne dwa dni, zanim – doprowadziwszy remont do połowy – byliśmy w stanie ruszyć powoli naprzód. W noc poprzedzającą zakończenie prac remontowych do mojej kajuty przyszedł strażnik i obudził mnie. Był to dość inteligentny facet pochodzący z angielskiej warstwy średniej, któremu bardzo ufałem.

- No, Wilson – spytałem – co tym razem się stało? Położył palec na ustach i przysunął się bliżej.
- Wydaje mi się, że wykryłem tego sabotażystę – szepnął i ruchem głowy wskazał na kabinę

dziewczyny. – Widziałem, jak wymykała się przed chwilą z kubryka załogi – ciągnął. – Była u dowódcy Szwabów. Benson też ją tam widział zeszłej nocy, ale powiedział mi to dopiero, kiedy przejmowałem dzisiaj wachtę. Benson nie jest za bystry i trudno mu dodać dwa do dwóch, dopóki mu się nie powie, że to cztery.

Gdyby ktoś podszedł do mnie i zniecka dał mi w twarz, nie byłbym bardziej zaskoczony.

– Nic nikomu nie mów – rozkazałem. – Miej oczy i uszy otwarte i melduj o wszystkim, co ci się wyda podejrzone.

Mężczyzna zaszalował i wyszedł, a ja przez godzinę przewracałem się jeszcze na swojej twardej koi dręczony zazdrością i lękiem. W końcu zapadłem w niespokojny sen. Kiedy się obudziłem, było już jasno. Zgodnie z moimi wcześniejszymi rozkazami parliśmy powoli przed siebie w wynurzeniu, i miało tak być, dopóki nie poczynimy stosownych obserwacji i na ich podstawie nie określimy swej pozycji. Przez cały poprzedni dzień i przez noc niebo było zasnuwane chmurami; ale gdy tego ranka wkroczyłem do centrali, uradował mnie widok ponownie świecącego słońca. Nastroje załogi jakby się poprawiły; świat wydawał się bardziej przyjazny. Przystąpiwszy do zdejmowania pomiarów, z miejsca zapomniałem o okrutnych rozterkach ostatniej nocy.

Jakiż jednak czekał mnie cios! Sekstans i chronometr, roztrzaskane na drobne kawałki, nie nadawały się już do naprawy, a zniszczono je tej właśnie nocy, kiedy widziano Lys rozmawiającą z von Schoenvortsem. Ta ostatnia myśl zraniła mnie chyba najboleśniej. Innemu nieszczęściu mógłbym stawić czoło ze spokojem, ale sam fakt, że Lys może być zdrajczynią, prawdziwie mnie zatrwożył.

Wywołałem na pokład Bradleya i Olsona i powiedziałem im, co się stało, ale za nic nie potrafiłem zmusić się do powtórzenia tego, co poprzedniej nocy zameldował mi Wilson. Prawdę mówiąc, kiedy tak o tym myślałem, wydawało mi się nieprawdopodobne, aby dziewczyna zdołała przejść przez moją kajutę, w której spaliśmy razem z Bradleyem, a potem przeprowadzić rozmowę w kubryku załogi, gdzie przetrzymywany był von Schoenvorts, nie zauważona przez nikogo poza jednym człowiekiem.

Bradley pokręcił głową.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział. – Któryś z tych Szwabów musi być bardzo sprytny, skoro potrafił nas tak załatwić; ale nie zaszkodzili nam aż do tego stopnia jak im się wydaje; są jeszcze przyrządy zapasowe.

Teraz ja pokręciłem ponuro głową.

– Nie mamy żadnych przyrządów zapasowych – wyznałem im. – Zniknęły tak samo jak radiostacja.

Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie zaskoczeni.

– Ale pozostaje nam jeszcze kompas i słońce – zauważył Olson. – Którejś nocy mogą zwędnąć kompas, ale w dzień za dużo nas się tu kręci, żeby gwizdnęły słońce.

W tym momencie jeden z ludzi wystawił głowę z włazu i dostrzegłszy mnie poprosił o pozwolenie wejścia na pokład; chciał zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. Rozpoznałem w nim Bersona, mężczyznę, który – jak twierdził Wilson – widział dwie noce temu Lys rozmawiającą z von Schoenvortsem. Machnąłem przyzwalająco ręką, a potem odwołałem go na stronę i zapytałem, czy poprzedniej nocy podczas swojej wachty widział coś niezwykłego albo zastanawiającego. Facet drapał się przez chwilę w głowę, a potem zaprzeczył i nagle, jakby to sobie dopiero przypomniał, przyznał, że około północy widział w kubryku załogi dziewczynę rozmawiającą z niemieckim

kapitanem, ale ponieważ nie wydawało mu się, aby było w tym coś zdrożnego, nie podzielił się z nikim swoją obserwacją. Pouczywszy Bensaona, by w przyszłości meldował mi o wszystkim, co choćby w najmniejszym stopniu odbiega od normalności, odprawiłem go.

O pozwolenie wyjścia na pokład poprosiło jeszcze kilku ludzi i wkrótce, paląc i rozmawiając, stali tam w najlepszych humorach wszyscy prócz garstki zajętej naprawdę niezbędnymi obowiązkami służbowymi. Skorzystałem z tego, że większość wyległa na pokład i zszedłem na dół na śniadanie przyrządzone już przez kucharza na elektrycznej kuchence. Znalazłszy się w centrali, natknąłem się na Lys, za którą postępował Nobs. Powitała mnie uprzejmym „Dzień dobry!”, na co, niestety, odpowiedziałem tonem raczej chłodnym i szorstkim.

– Zjesz ze mną śniadanie? – zaproponowałem dziewczynie decydując się nagle na przeprowadzenie własnej sondy, do czego zobowiązywała mnie pełniona funkcja.

Skinęła skwapliwie głową przyjmując moje zaproszenie i usiedliśmy przy małym stoliku w mesie oficerskiej.

– Dobrze spałaś tej nocy? – spytałem.

– Do białego dnia – odparła. – Nie cierpię na bezsenność.

Zachowywała się tak prostolinijnie i naturalnie, że nie potrafiłem się przemóc, by uwierzyć w jej dwulicowość; a jednak, z zamiarem wydobycia z niej poprzez zaskoczenie przyznania się do winy, wyrzuciłem z siebie:

– Tej nocy zniszczono chronometr i sekstans; jest wśród nas zdrajca.

Nie dała po sobie poznać niczego, co świadczyłoby, że w związku z tą katastrofą ma nieczyste sumienie.

– Któż mógłby to zrobić? – wykrzyknęła. – Niemcy byliby szaleni, gdyby się na to poważyli, bo kręciliby sznur na własną szyję.

– Mężczyźni są czasem gotowi umierać za ideały, na przykład z pobudek patriotycznych – odparłem – a gotowość do martyrologii idzie często w parze z gotowością do poświęcania innych, nawet tych, którzy ich kochają. Kobiety zachowują się bardzo podobnie, z tym że zdolne są posunąć się jeszcze dalej niż większość mężczyzn: w imię miłości poświęcą wszystko, nawet honor.

Mówiąc te słowa obserwowałem bacznie jej twarz i wydało mi się, że dostrzegłem ledwie zauważalny rumieniec występujący jej na policzki. Spróbowałem pójść za ciosem.

– Weźmy na przykład takiego von Schoenvortsa – ciągnąłem. – Bez wątpienia oddałby z ochotą życie i pociągnął nas wszystkich za sobą, byle tylko nie dopuścić, aby jego jednostka wpadła w ręce nieprzyjaciela. Poświęciłby każdego, nawet ciebie; a jeśli nadal go kochasz, mogłabyś się stać posłusznym narzędziem na jego usługach. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Patrzyła na mnie przez chwilę szeroko otwartymi oczyma, potem pobladła i podniosła się ze swego krzesła.

– Rozumiem – odparła i odwróciwszy się do mnie plecami oddaliła się szybko w kierunku swojej kabiny.

Ruszyłem za nią, bo chociaż nie miałem wątpiwości co do słuszności swego postępowania, zrobiło mi się przykro, że ją zraniłem. Przekroczyłem próg kubryku załogi tuż za nią – w samą porę, by ujrzeć von Schoenvortsa pochylającego się i szepczącego coś do mijającej go dziewczyny. Musiała się jednak domyślać, że może być obserwowana, bo przeszła nawet na Niemca nie spoglądając.

Tego popołudnia zachmurzyło się; zerwał się silny wiatr, a wzburzone morze zaczęło

niepokojąco rzucać i kołysać naszą łodzią. Niemal wszyscy na pokładzie wymiotowali; w powietrzu unosił się duszący odór. Przez dwadzieścia cztery godziny nie zszedłem ze swego stanowiska w kiosku, bo zarówno Olson, jak i Bradley chorowali. W końcu stwierdziłem, że muszę zażyć trochę wypoczynku, zacząłem się więc rozglądać za kimś, kto by mnie złuzował. Na ochotnika zgłosił się Benson. Nie cierpiał na chorobę morską i zapewnił mnie, że służył kiedyś w Royal Navy, gdzie przeszedł ponad dwuletnie szkolenie podwodniackie. Rad byłem, że to właśnie on miał mnie zastąpić, bo ani przez chwilę nie wątpiłem w jego lojalność; tak więc zszedłem na dół i położyłem się z poczuciem bezpieczeństwa.

Spałem bite dwanaście godzin, a kiedy się wreszcie obudziłem, zaniepokojony pognałem do kiosku. Tkwił tam na posterunku niezmordowany Benson, a ze wskazania kompasu wynikało, że płyniemy prosto na zachód. Sztorm wciąż szalał, jego furia opadła dopiero czwartego dnia. Wszyscy byliśmy porządnie wymęczeni i z utęsknieniem wyczekiwaliśmy chwili, gdy będzie można wyjść na pokład i zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Przez te całe cztery dni nie widziałem dziewczyny, która najwyraźniej nie ruszała się na krok ze swojej kabiny. W tym czasie na okręcie nie zaszedł żaden pożalowania godny incydent – który to fakt zdawał się zacieśniać sieć świadczących przeciwko niej dowodów pośrednich.

Jeszcze przez sześć dni po ustaniu sztormu pogodę mieliśmy pod psem; przez cały ten czas zza powłoki chmur nie przebiło się też ani razu słońce. Jak na tę porę roku – czyli połowę czerwca – sztorm nie był zjawiskiem normalnym; pochodząc jednak z południowej Kalifornii przyzwyczajony byłem do kaprysów pogody. Prawdę mówiąc, dawno już odkryłem, że jak świat długi i szeroki, aura przez cały rok płata figle.

Szliśmy niezmiennie obranym kursem zachodnim, a ponieważ nasza U-33 była jedną z najszybszych łodzi podwodnych, jakie kiedykolwiek zwodowaliśmy, wiedziałem, że musimy się już znajdować bardzo blisko północnoamerykańskich wybrzeży. Najbardziej intrygował mnie fakt, że przez sześć dni nie napotkaliśmy ani jednego statku. Wydawało się co najmniej dziwne, że udało nam się przeciąć Atlantyk i zbliżyć do amerykańskiego kontynentu nie widząc po drodze, choćby w przelocie, dymu bądź żagla, i w końcu doszedłem do wniosku, iż zesliśmy z kursu, ale czy na północ, czy na południe, tego już nie potrafiłem określić.

Siódmego dnia wczesnym świtem morze względnie się uspokoiło. Nad oceanem unosiła się leciutka mgiełka, która uniemożliwiała nam obserwację gwiazd; ale wszystko wskazywało na to, że rano będzie pogodny i stojąc na pokładzie oczekiwałem niecierpliwie wschodu słońca. Wlepiąłem oczy w nieprzeniknioną mgłę za rufą, bo tam, na wschodzie, spodziewałem się dostrzec pierwszy promień wstającego słońca, który miał utwierdzić mnie w przekonaniu, że wciąż podążamy prawidłowym kursem. Niebo rozjaśniło się stopniowo, ale za rufą nie zauważyłem żadnej intensywniejszej poświaty, która świadczyłaby, że za mgłą wschodzi słońce. Stojący obok mnie Bradley dotknął mego ramienia.

– Niech pan spojrzy, kapitanie – mruknął pokazując na południe.

Zwróciłem oczy w tamtą stronę i dech mi zaparło, bo dokładnie na wprost lewej burty dostrzegłem rozmyty przez mgłę czerwony rąbek wstającego słońca. Dopadłszy w kilku susach do kiosku spojrzałem na kompas. Z jego wskazania wynikało, że trzymamy się sztywno obranego przed kilkoma dniami kursu zachodniego. A zatem albo słońce wschodziło na południu, albo ktoś majstrował przy kompasie. Odpowiedź nasuwała się sama.

Wróciłem do Bradleya i podzieliłem się z nim swym odkryciem.

– A do tego – zakończyłem – nie pokonamy kolejnych pięciuset węzłów bez oleju napędowego; nasze zapasy paliwa wyczerpują się, podobnie zresztą jak słodka woda. Bóg jeden wie, jak daleko na południe zboczyliśmy.

– Nie pozostaje nam nic innego – odparł – jak jeszcze raz zmienić kurs na zachodni; jeśli szybko nie ujrzymy stałego lądu, będziemy zgubieni.

Poleciałem mu, żeby to uczynił, a sam zakasałem rękawy i sporządziłem prowizoryczny sekstans. Za jego pomocą określiliśmy wreszcie swoją pozycję, tyle że metodą zgrubną i pozostawiającą wiele do życzenia, bowiem zdjawszy pomiary nie mieliśmy pojęcia, jak daleko od rzeczywistości odbiegają ich wyniki. Wyszło nam, że znajdujemy się mniej więcej na dwudziestym stopniu długości północnej i trzydziestym szerokości zachodniej – czyli blisko dwa tysiące pięćset mil od pierwotnego kursu. Krótko mówiąc, jeśli nasze pomiary były choć w przybliżeniu rzetelne, musieliśmy już od sześciu dni kierować się na południe. Bradley zluzował teraz Bena, bo wachty ustawiliśmy sobie tak, by ten ostatni i Olson pełnili służbę na przemian, co drugą noc, natomiast Bradley i ja – co drugi dzień.

Przesłuchałem dokładnie Bradleya i Olsona w sprawie kompasu, ale każdy z nich twardo utrzymywał, że podczas jego zmiany nikt nawet się do kompasu nie zbliżył.

– No cóż, obaj wiemy, kto za tym stoi – stwierdził Benson uśmiechając się przy tym porozumiewawczo.

Ja jednak nie wierzyłem, że zrobiła to dziewczyna.

Przyjęliśmy z powrotem kurs zachodni i trzymaliśmy się go już przez kilka godzin, kiedy obserwator wrzasnął, że widzi żagiel. Nakazałem zmianę kursu, kierując okręt w tamtą stronę. Moją decyzję podyktowała konieczność. Nie mogliśmy opuścić rąk i pozostać na środku Atlantyku, żeby umrzeć z głodu, jeśli istniał choć cień szansy na zmianę tego stanu rzeczy. Żaglowiec dostrzegł nas, kiedy znajdowaliśmy się jeszcze w sporej od niego odległości, a świadczyły o tym podjęte przezeń wysiłki, by nam umknąć. Ze względu jednak na ledwie wyczuwalny wiatr były one z góry skazane na niepowodzenie. Kiedy więc zmniejszyliśmy dystans i daliśmy statkowi sygnał, żeby się zatrzymał, wszedł w łopot i znieruchomiał na falach z trzepoczącymi bezradnie żaglami. Był to szwedzki drobnicowiec *Balmen* z Halmsted przewożący ładunek z Brazylii do Hiszpanii.

Wyjaśniłem naszą sytuację szyprowi i poprosiłem go o żywność, słodką wodę i olej napędowy, ale ten, dowiedziawszy się, że nie jesteśmy Niemcami, wpadł we wściekłość, posłał nas do wszystkich diabłów i zaczął się oddalać. Nie byłem w nastroju do tolerowania takich numerów.

Odwróciwszy się do Bradleya, który stał w kiosku, rzuciłem:

– Obsługa działa na stanowiska! Przygotować się do zanurzenia!

Nie mieliśmy wiele okazji do ćwiczeń, ale każdy z ludzi został pouczony o swoich obowiązkach, a niemieccy członkowie załogi zdawali sobie sprawę, że albo posłuchają, albo zginą, bo nad każdym stał człowiek z pistoletem. Zresztą większość z nich paliła się wręcz do wypełnienia moich rozkazów.

Bradley przekazał rozkaz pod pokład i w chwilę potem obsługa działa wspięła się po wąskiej drabince, przebiegła obok mnie i nakierowała działo na wolno odpływającego Szweda.

– Jeden pocisk przed dziób – poleciłem dowódcy artylerzystów.

Wierzcie mi, że nie trzeba było wiele czasu, by Szwed uzmysłowił sobie, jak niewłaściwą przyjął postawę, i wciągnął na maszt flagi czerwoną i białą oznaczające: „Zrozumiałem.” Żagle ponownie załopotwały jałowo, a wtedy poleciłem mu spuścić na wodę szalupę i przysłać ją po mnie.



Weszliśmy na statek z Olsonem i jeszcze dwoma Anglikami i wybraliśmy z ładunku, co nam było potrzeba – olej, zapasy żywności, wodę. Wystawiłem kapitanowi *Balmena* pokwitowanie na skonfiskowane towary oraz złożyłem na jego ręce oświadczenie podpisane przez Bradleya, Olsona i mnie, w którym opisałem pokrótce okoliczności, w jakich weszliśmy w posiadanie U-33 i podkreśliłem niezbędność tego, co zabraliśmy. Oba dokumenty zaadresowaliśmy do brytyjskiego agenta, dołączając do nich prośbę o zrekompensowanie strat właścicielom *Balmena*; ale czy tak się stało, czy nie, tego już nie wiem.

Zaopatrzeni w wodę, żywność i olej napędowy mieliśmy wrażenie, że otrzymaliśmy przepustkę na dalsze życie. Wiedzieliśmy też teraz dokładnie, gdzie się znajdujemy i postanowiłem, że skierujemy się do Georgetown w Gujanie Brytyjskiej. Jednak los gotował mi kolejny gorzki zawód.

Na czas naszej przeprawy ze Szwedem zatrzymałem na pokładzie sześciu członków lojalnej załogi, z czego czterech obsługiwało działą, a dwóch odwiedziło wraz ze mną żaglowiec. Teraz spuszczaaliśmy się jeden za drugim po drabince do centrali. Ja schodziłem jako ostatni i dotarwszy na sam dół, znalazłem się oko w oko z lufą pistoletu tkwiącego w dłoni barona Friedricha von Schoenvorts. Pod ścianą ujrzałem swoich ludzi ustawionych w szeregu i trzymany na muszce przez pozostałych Niemców.

Nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, jak do tego doszło, ale stało się. Później dowiedziałem się, że najpierw obezwładnili Bersona, który spał w swojej koi, i zabrali mu pistolet, a następnie bez trudu rozbroili kucharza i jeszcze dwóch Anglików pozostających pod pokładem. Zaczajenie się przy drabince i aresztowanie schodzących po niej pojedynczo ludzi było już potem sprawą stosunkowo prostą.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił von Schoenvorts, było posłanie po mnie i oznajmienie mi, że jako pirat zostaną rozstrzelani następnego dnia wczesnym rankiem. Potem zakomunikował, że U-33 będzie krążył po tych wodach jeszcze przez jakiś czas, zatapiając bez skrupułów statki państw zarówno wrogich, jak i neutralnych, a jednocześnie szukając któregoś z niemieckich rajderów, które powinny grasować na tych akwenach.

Nie rozstrzelał mnie następnego ranka, jak to był zapowiedział, i do dzisiaj nie jest dla mnie jasne, co go skłoniło do odłożenia wykonania wyroku na mojej osobie. Trzymał mnie za to skutego kajdankami, tak jak wcześniej ja jego. Potem wykopał jeszcze Bradleya z mojej kajuty i zajął całą dla siebie.

Krążyliśmy w tym rejonie przez długi czas, zatapiając wiele statków, w tym tylko jeden z działą, ale nie napotkaliśmy żadnego niemieckiego rajdera. Z zaskoczeniem zauważyłem, że von Schoenvorts często powierza dowodzenie łodzią Bersonowi; tłumaczyłem to sobie faktem, że Berson jest widocznie lepiej zapoznany z obowiązkami dowódcy łodzi podwodnej niż którykolwiek z ograniczonych Niemców.

Raz czy dwa przeszła obok mnie Lys; ale przez większość czasu nie ruszała się ze swej kabiny. Za pierwszym razem zawahała się, zupełnie jakby chciała się do mnie odezwać; nie podniosłem jednak głowy i w końcu przeszła bez słowa. W kilka dni później rozeszła się wieść, że wkrótce opłyniemy przylądek Horn i że von Schoenvorts wbił sobie do durnego łba, iż będzie krążył po Pacyfiku wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej i polował na statki handlowe wszelkiej maści i bandery.

– Już ja zaszczenię w nich strach przed Bogiem i kajzerem – zapowiedział.

Zaraz pierwszego dnia po wpłynięciu na południowy Pacyfik spotkała nas przygoda. Okazała się

jedną z najbardziej podniecających, jakie przeżyłem. A było to mniej więcej tak. Jakieś osiem szklanek przed przedpołudniową wachtą usłyszałem radosny okrzyk dobiegający z pokładu, a potem tupot całego znajdującego się na łodzi towarzystwa, o ile zdołałem się zorientować z harmidru, jaki czynili wdrapując się po drabince. Ktoś z góry krzyknął do tych, którzy nie zdążyli się jeszcze wygramolić na pokład.

– To rajder, niemiecki rajder *Geier!*

Zrozumiałem, że dotarliśmy do końca naszej liny. Na dole zapanowała niczym nie zmacona cisza – pod pokładem nie pozostał ani jeden człowiek. Na końcu wąskiego kadłuba otworzyły się drzwi i ujrzałem biegnącego ku mnie truchtem Nobsa. Oblizwał mi twarz i przewrócił się na grzbiet wyciągając do mnie swoje wielkie, niezgrabne łapy. I wtedy usłyszałem inne zbliżające się kroki. Wiedziałem, do kogo należą, i wbiłem wzrok w podłogę. Dziewczyna, pokonawszy niemal biegiem korytarzyk, znalazła się błyskawicznie obok mnie.

– Masz! – krzyknęła. – Szybko! – I wsunęła mi coś w dłoń.

Był to klucz, klucz do moich kajdanek. Położyła jeszcze obok mnie pistolet i pobiegła dalej, w kierunku centrali. Gdy mnie mijała, zauważyłem, że ona również ma pistolet. Oswobodziłem się w okamgnieniu i dogoniłem ją.

– Jak mam ci dziękować? – zacząłem, ale zgasiła mnie.

– Nie dziękuj mi – powiedziała chłodno. – Nie zależy mi na twoich podziękowaniach ani na jakichkolwiek innych wyrazach wdzięczności z twojej strony. Nie stój tak i nie gap się na mnie. Dałam ci szansę, wykorzystaj ją teraz! – Te ostatnie słowa wypowiedziane zostały w tonie tak stanowczej komendy, że aż podskoczyłem.

Zerknąwszy w górę stwierdziłem, że w kiosku nie ma nikogo, nie tracąc więc czasu wspiałem się po drabince i rozejrzałem wkoło. W odległości około stu jardów od łodzi kołysał się na falach mały, szybki krążownik-rajder, a na jego maszcie łopotała bandera niemieckiej marynarki wojennej. Przed chwilą spuszczone z niego szalupę, która, wypełniona oficerami i marynarzami, płynęła teraz w naszym kierunku. Krążownik czekał z zastopowanymi maszynami przed naszym dziobem. O rany, pomyślałem, cóż za wymarzony cel...

Byłem tak zaskoczony i wstrząśnięty zuchwałością własnej wyobraźni, że nie dokończyłem nawet tej myśli. Dziewczyna stała we włązie bezpośrednio przede mną. Spojrzałem na nią z góry z namysłem. Czy mogę jej ufać? Dlaczego uwolniła mnie w tym akurat momencie? Muszę! Muszę! Nie ma innego wyjścia. Zbiegłem po drabince z powrotem na dół.

– Poproś Olsona, żeby zszedł tu do mnie na dół – zwróciłem się do dziewczyny – i zrób to tak, żeby nikt nie zauważył, że się do mego zwracasz.

Popatrzyła na mnie przez ułamek sekundy, zaintrygowana, po czym odwróciła się i wdrapała po drabince na górę. W chwilę później z pokładu schodził już Olson, a tuż za nim dziewczyna.

– Szybko! – szepnąłem do wielkiego Irlandczyka i pognałem w kierunku przedziału dziobowego, gdzie w okrętach podwodnych instalowane są wyrzutnie torpedowe; tam też przechowywane są torpedy. Kiedy towarzysząca nam dziewczyna zrozumiała, co zamierzam, podskoczyła, by pomóc w taszczeniu wielkiego cylindra śmierci i zniszczenia do paszczy wyrzutni. Wyteżając wszystkie siły wepchnęliśmy stalowe cygaro w rurę i zatrzasnęliśmy dekiel. Następnie przebiegłem z powrotem do kiosku modląc się w duchu, aby dziób U-33 nie zmienił swego położenia względem ofiary. Dzięki Bogu nie zmienił!

Lepiej nie można było wycelować.

– Pal! – krzyknąłem do Olsona.

U-33 zadygotał od dziobu po rufę, co świadczyło, że torpeda opuściła wyrzutnię. Ujrzałem biały ślad strzelający z dziobu i mknący w kierunku wrogiego krążownika. Na pokładzie naszej jednostki rozpętała się wrzawa ochrypłych krzyków. Zobaczyłem, jak wstają zmartwiali nagle oficerowie ze zbliżającej się ku nam szalupy i usłyszałem głośne wrzaski i przekleństwa dobiegające z rajdera. Potem całą swą uwagę poświęciłem własnym sprawom. Większość ludzi znajdujących się na pokładzie łodzi podwodnej stała jak sparaliżowana i z fascynacją wpatrywała się w mknącą torpedę. W pewnej chwili Bradley zerknął na kiosk i zobaczył mnie. Zeskoczyłem na pokład i podbiegłem do niego.

– Szybko! – wyszeptałem. – Musimy zdobyć nad nimi przewagę, zanim się opamiętają.

Tuż przed Bradleyem stał jakiś Niemiec. Anglik bez zastanowienia zadał facetowi potężny cios w szyję, wrywając mu jednocześnie pistolet z kabury. Von Schoenvorts szybko otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia i odwrócił się na pięcie, by popędzić do głównego wjazdu i sprawdzić, co się stało. Wymierzyłem w mego swój rewolwer i właśnie w tej chwili torpeda uderzyła w burzę rajdera. Straszliwa eksplozja zagłuszyła rozkaz, jaki Niemiec chciał wydać swoim ludziom.

Bradley biegał już między naszymi i chociaż niektórzy Niemcy widzieli go i słyszeli, zdawali się zbyt ogłuszeni, by mu przeszkodzić.

Olson znajdował się na dole, a więc było nas tylko dziewięciu przeciwko ośmiu Niemcom, ośmiu, bo człowiek, któremu przyłożył Bradley, nadal leżał nieprzytomny na pokładzie. Tylko dwóch z nas miało broń, ale duch walki opuścił chyba Szwabów, gdyż opór stawiali nam raczej niezdecydowany. Najgroźniejszy był von Schoenvorts – oszalały z gniewu i żalu zaszarżował na mnie niczym wściekły byk, naciskając jednocześnie na spust pistoletu. Gdyby zatrzymał się, żeby dokładnie wymierzyć, może by mnie i trafił; ale strzelanie w biegu wykluczało dokładne celowanie, dzięki czemu żaden z pocisków nawet mnie nie drasnął i po chwili zwarliśmy się ze sobą padając na pokład. W ten sposób w rękach wroga pozostały tylko dwa pistolety, które moi ludzie skwapliwie sobie przywłaszczyli. Baron nie był dla mnie godnym rywalem w walce wręcz i wkrótce przygniotłem go do pokładu omal nie wyduszając zeń życia.

Po półgodzinie zapanował spokój i wszystko wróciło właściwie do stanu sprzed buntu naszych więźniów – z tym że teraz lepiej pilnowaliśmy von Schoenvortsa. *Geier* zatonął, kiedy jeszcze walczyliśmy na naszym pokładzie, a więc zaraz po odniesieniu zwycięstwa odpłynęliśmy na północ, pozostawiając ratowanie rozbitków tej jednej szalupie, która zmierzała ku nam, kiedy Olson odpalił torpedę. Przypuszczam, że te biedne sukinsyny nigdy nie dotarły do lądu, a nawet jeśli im się udało, to najprawdopodobniej zamarзли na tym zimnym, niegościnnym wybrzeżu. Ale nie mogłem przyjąć ich na pokład U-33. Mieliśmy na nim akurat tylu Niemców, ilu byliśmy w stanie upilnować.

Tego wieczora dziewczyna poprosiła o pozwolenie wyjścia na pokład. Powiedziała, że odczuwa skutki długiego uwięzienia na dole, a ja z ochotą spełniłem jej życzenie. Nie mogłem jej rozszyfrować i od jakiegoś czasu wyglądałem okazji, by ponownie z nią porozmawiać, wysondować ją, poznać jej intencje, tak więc teraz nie omieszkałem wspiąć się za mą po drabince na górę. Noc była pogodna, zimna i piękna. Nie licząc białej kipieli przed dziobem i dwóch długich, rozchodzących się daleko na boki bruzd, tworzących za rufą wielkie V wypełniane przez nasze śruby krótkimi falkami, morze było spokojne. W kiosku pełnił wachtę Benson, kierowaliśmy się na San Diego i wszystko układało się pomyślnie.

Ujrzałem smukłą sylwetkę Lys owiniętą grubym kocem. Gdy się zbliżyłem, dziewczyna wykonała

w moją stronę półobrót, by zobaczyć, kto nadchodzi. Poznawszy mnie, natychmiast odwróciła się plecami.

– Chcę ci podziękować – zagailem – za twoją odwagę i lojalność... Byłaś wspaniała. Przykro mi, że wcześniej dałem ci do zrozumienia, iż ci nie ufam.

– Bo mi nie ufałeś – odparła spokojnie. – Praktycznie oskarżyłeś mnie o sprzyjanie baronowi von Schoenvortswi. Nigdy ci tego nie wybaczę.

Zarówno w jej słowach, jak i w tonie, którym je wypowiadała, była spora doza nieodwołalności.

– Nie chciało mi się w to wierzyć – powiedziałem – jednak dwukrotnie widziano cię, jak późną nocą rozmawiałaś z von Schoenvortsem.. a rano, po każdej z tych rozmów, stwierdzaliśmy jakieś poważne uszkodzenie wyposażenia łodzi. Nie chciałem cię podejrzewać, ale spoczywała na mnie odpowiedzialność za życie wszystkich tych ludzi, za bezpieczeństwo statku, za życie twoje i moje. Musiałem wziąć cię pod obserwację i postawić przy tobie strażnika, żeby zapobiec dalszym twoim szalonym czynom.

Patrzyła na mnie teraz swoimi wielkimi, szeroko rozwartymi oczyma.

– Kto ci powiedział, że rozmawiałam z baronem von Schoenvortsem w nocy czy o jakiegokolwiek innej porze? – spytała.

– Nie mogę ci tego wyjawić, Lys – odparłem – ale dotarło to do mnie z dwóch różnych źródeł.

– A zatem obaj ci ludzie kłamali – stwierdziła beznamiętnie. – Nie rozmawiałam z baronem von Schoenvortsem poza jednym wyjątkiem, kiedy po raz pierwszy znaleźliśmy się na pokładzie U-33, a wtedy byłeś przy tym obecny. I bardzo proszę, kiedy zwracasz się do mnie, pamiętaj, że dla tych, którzy nie są moimi bliskimi przyjaciółmi, jestem panną La Rue.

Czy wymierzono wam kiedyś policzek wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewaliście? Nie? No cóż, nie wiecie zatem, jak się w tym momencie poczułem. Gorący czerwony rumieniec wystąpił mi na szyję, rozpełzł się po policzkach, przeniósł na uszy i dotarł do samego czubka głowy. I to sprawiło, że jeszcze bardziej ją pokochałem; sprawiło, że złożyłem sobie w duchu tysiąc solennych przysięg, iż ją zdobędę.

## Rozdział IV

Przez kilka dni sprawy biegły tym samym mniej więcej torem. Każdego ranka za pomocą prowizorycznego sekstansu określałem naszą pozycję, ale wyniki były niemal zawsze niezadowolające. Wykazywały wciąż znaczne zboczenie z kursu na zachód, chociaż wiedziałem, że płyniemy bez przerwy na północ. Złożyłem błąd na karb niedokładności przyrządu i nie nakazałem korekty kursu. Pewnego popołudnia podeszła do mnie dziewczyna.

– Wybacz – odezwała się – ale będąc na twoim miejscu obserwowałabym tego Bensaona... zwłaszcza kiedy pełni służbę.

Spytałem, co przez to rozumie, niemal pewny, że dostrzegam tu wpływ von Schoenvortsa, który usiłuje we mnie wzbudzić podejrzliwość wobec jednego z moich najbardziej zaufanych ludzi.

– Jeśli sprawdzisz kurs łodzi w pół godziny po objęciu wachty przez Bensaona – odparła – będziesz wiedział, co mam na myśli i zrozumiesz, dlaczego woli nocną służbę. Zrozumiesz też może parę innych zdarzeń, które miały miejsce na pokładzie.

Nie powiedziawszy nic więcej wróciła do swej kabiny. Odczekałem pół godziny od chwili objęcia wachty przez Bensaona, po czym wyszedłem na pokład przez kiosk, w którym marynarz ten czuwał. Po drodze zerknąłem na kompas. Wskazywał zachód do północy – czyli odchyłkę jednego rumba na zachód od kierunku północnego, co było, biorąc pod uwagę naszą zakładaną pozycję, wskazaniem mniej więcej prawidłowym. Nie stwierdziwszy znaczących uchybień poczułem wielką ulgę, bo słowa dziewczyny wzbudziły we mnie niepokój. Miałem już zawrócić i zejść do swojej kajuty, kiedy przyszła mi do głowy pewna myśl, pod wpływem której zmieniłem zamiar – i tym samym nie wydałem na siebie wyroku śmierci.

Kiedy niewiele ponad pół godziny wcześniej schodziłem z kiosku pod pokład, fale nacierały na dziób od lewej burty. Wydało mi się zupełnie nieprawdopodobne, żeby w tak krótkim czasie mogły się odwrócić, a jednak równie wielkie bałwany zalewały teraz łódź z całkiem przeciwnej strony. Wiatr może zmienić kierunek szybko, ale nie jest tego w stanie uczynić rozkołysane, wzburzone morze. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: po opuszczeniu przez mnie kiosku kurs został zmieniony o jakieś osiem rumbów. Zawróciwszy szybko, wspiąłem się do kiosku. Jedno spojrzenie na niebo potwierdziło moje podejrzenia; konstelacje, które powinny jaśnieć przed nami, widoczne były z prawej burty. Płynęliśmy na zachód.

Zatrzymałem się chwilę dłużej, by sprawdzić swe szacunkowe obliczenia – chciałem zyskać całkowitą pewność, zanim oskarżę Bensaona o zdradę. Tymczasem jedyną chyba rzeczą, co do której nabrałem jakiejś takiej pewności, było widmo śmierci, jakie nade mną zawisło. Do dzisiaj nie pojmuję, jak zdołałem jej ujść. Stałem na skraju kiosku, kiedy ciężka łapa rąbnęła mnie zniemacka między łopatki. Upadek na mały trójkątny pomost u podnóża kiosku mógł się dla mnie łatwo skończyć złamaniem nogi; mogłem też ześlizgnąć się z niego i wpaść do morza. Ale szczęście mi sprzyjało, bo skończyło się tylko na lekkim potłuczeniu. Podźwignąwszy się na nogi usłyszałem łomot

zatraskującej się pokrywy wjazdu w kiosku. Z pokładu na szczyt kiosku prowadzi drabinka. Wspiąłem się po niej najszybciej, jak potrafiłem; ale zanim zdołałem dopaść pokrywy wjazdu, Benson zaryglował ją już szczelnie od środka.

Stałem nad nią zbity z tropu i otępiały. Co ten facet zamierza? Co dzieje się pod pokładem? Jeśli Benson jest zdrajcą, to skąd mogę wiedzieć, że wśród nas nie ma ich więcej? Przeklinałem swoją głupotę, która kazała mi wyjść na pokład, a myśl ta podsunęła mi następną – okropną: kto właściwie jest odpowiedzialny za to, że się tu znajduję?

Z zamiarem zwrócenia na siebie uwagi tych, którzy przebywali we wnętrzu łodzi, zbiegłem ponownie po drabince na mały pomost tylko po to, by stwierdzić, iż stalowe osłony iluminatorów kiosku są zatrzaśnięte. Oparłem się plecami o ścianę kiosku i kłąłem swoją durną naiwność.

Spojrzałem w stronę dziobu. Morze zdawało się burzyć coraz bardziej, bo teraz każda fala zalewała cały dolny pokład. Obserwowałem je przez chwilę, a wkrótce przeszedł mnie od stóp do głów nagły dreszcz. Powodem nie było ani przemoczone ubranie, ani wściekły prysznic, który siekł mi twarz; nie, to w istocie zadrzało moje przerażone serce. W jednej chwili pokonałem ostatni zakręt na autostradzie życia i znalazłem się oko w oko z Wszechmogącym Bogiem... U-33 zanurzała się powoli!

Trudne, jeśli w ogóle możliwe, będzie przelanie na papier tego, co wtedy odczuwałem. Wyraźnie przypominam sobie tylko, że się śmiałem, choć nie wynikało to ani z pogardy dla śmierci, ani z hysterii. I że chciało mi się palić. Boże, jak bardzo chciało mi się zapalić! Ale o tym nie było nawet mowy.

Obserwowałem podnoszącą się wodę dopóty, dopóki nie znalazł się pod nią mały pomost, na którym stałem, a wtedy wspiąłem się raz jeszcze na szczyt kiosku. Z tego, jak powoli zanurzała się łódź, wywnioskowałem, że całą operację Benson przeprowadza sam – że napełnia tylko zbiorniki balastowe, nie ruszając steru głębokości. Ustało dudnienie silników dieslowskich i zastąpiła je miarowa wibracja motorów elektrycznych. Morze podpełzło już do połowy wysokości kiosku! Pozostało mi jeszcze jakieś pięć minut do chwili, kiedy woda miała sięgnąć mych stóp. Zastanawiałem się gorączkowo, co począć, kiedy morze zmyje mnie już za burtę. Czy płynąć, aż zmoże mnie wyczerpanie, czy poddać się bez walki i przeciąć mękę konania idąc od razu pod wodę?

Z wnętrza łodzi doszedł mych uszu stłumiony huk dwóch eksplozji. Brzmiały zupełnie jak wystrzały z broni palnej. Czyżby Benson napotkał opór? Dla mnie osobiście nie stwarzało to wielkiej nadziei, bo gdyby nawet moi ludzie wzięli górę nad buntownikami, to zanim któryś z nich odkryłby, w jak rozpaczliwym znajduję się położeniu, byłoby już za późno, żeby przyjść mi w sukurs. Pod wodę zanurzył się już szczyt kiosku. Przywarłem do masztu antenowego, zalewany co chwila całkowicie wielkimi falami.

Zdawałem sobie sprawę, że koniec jest już bliski i niemal machinalnie uczyniłem coś, czego nie robiłem od dzieciństwa – zacząłem się modlić. Zmówiwszy pacierz poczułem się lepiej.

Czekałem uczepony masztu, ale poziom wody przestał się podnosić i zaczął nawet opadać. Szczytu kiosku sięgały teraz tylko grzebienie wyższych fal; po chwili widać już było mały trójkątny pomost u podstawy kiosku! Co zaszło we wnętrzu łodzi? Czyżby Benson uznał, że już po mnie i postanowił się wynurzyć, czy też on i jego poplecznicy ponieśli klęskę? Ta niepewność była bardziej wyczerpująca od tego, co przeżywałem oczekując śmierci. Spod wody wyłonił się już pokład główny, a zaraz potem otworzyła się za mną pokrywa wjazdu kiosku i odwróciwszy się ujrzałem Bradleya. Na mój widok niepokój malujący się na jego twarzy ustąpił wyrazowi ulgi.

– No, dzięki Bogu! – powiedział tylko, podając mi rękę i wciągając do kiosku.

Byłem zziębnięty, zdrętwiały i ledwie żywy. Jestem pewien, że jeszcze kilka minut i byłby ze mną koniec, ale przywróciły mnie do życia ciepło panujące we wnętrzu łodzi pospołu z łykiem brandy, którą Bradley wlał mi do gardła i która omal nie spaliła mi błony śluzowej przełyku. Ta brandy wskrzesiłaby trupa.

W centrali ujrzałem Niemców ustawionych w szeregu pod ścianą i pilnowanych przez dwóch moich ludzi z pistoletami. Nie zabrakło tam również von Schoenvortsa. Na podłodze leżał pojękując Benson, a nad nim stała dziewczyna z rewolwerem w dłoni. Rozejrzałem się zdezorientowany po pomieszczeniu.

– Co tu się stało? – spytałem. – Mówcie!

– Widzi pan rezultat, sir – odezwał się Bradley. – Mógłby być całkiem odwrotny, gdyby nie panna La Rue. Wszyscy spaliśmy. Benson złuzował strażnika wczesnym wieczorem; nie było nikogo, kto mógłby go obserwować, nikogo prócz panny La Rue. Wyczuła, że łódź się zanurza i wyszła ze swojej kabiny, żeby sprawdzić, co się stało. Uczyniła to w samą porę, by przydybać Bensa przy sterach głębokości. Kiedy ją ujrzałem, podniósł pistolet i nie celując strzelił, ale nie trafił, a wtedy strzeliła ona i... nie chybiła. Ten hałas postawił wszystkich na nogi, a ponieważ nasi ludzie byli uzbrojeni, rezultat, który pan widzi, był nieuchronny. Jednak bardzo wiele zawdzięczamy panie La Rue. To ona pozakręcała zawory zbiorników balastowych, uruchomiła pompy, żeby je opróżnić, a potem zaalarmowała Olsona i mnie.

A ja myślałem, że to za sprawą jej machinacji wywabiony zostałem na pokład w objęcia śmierci! Powinienem doczołgać się do niej na kolanach i błagać o wybaczenie – i zrobiłbym to, gdybym nie był Anglosasem. A ponieważ nim byłem, zdobyłem się jedynie na ściągnięcie z głowy mokrej czapki, ukłon i wymamrotanie pod nosem zdawkowych podziękowań. Nie odpowiedziała, odwróciła się tylko i odeszła bardzo szybko do swojej kabiny. Czy słuch mnie nie mylił? Czy naprawdę wąskim przejściem U-33 doleciał mnie stamtąd szloch?

Benson umarł jeszcze tej nocy. Pozostał hardy niemal do końca; ale tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia skinął na mnie, a ja pochyliłem się, by wychwycić uchem szeptane zamierającym głosem słowa nieszczęśnika.

– Robiłem to sam – wyznał. – Robiłem to dlatego, że cię nienawidzę; nienawidzę całego waszego narodu. Wylano mnie z twojej stoczni w Santa Monica. Wygnano mnie z Kalifornii. Jestem ze Światowej Organizacji Pracowników Przemysłu. Zostałem niemieckim agentem, nie dlatego, że kocham Niemców, bo ich też nienawidzę, ale dlatego, że pragnąłem zaszkodzić Amerykanom, których nienawidzę jeszcze bardziej. To ja wyrzuciłem za burtę radiostację. Ja zniszczyłem chronometr i sekstans. Ja wymyśliłem jak rozkalibrować kompas, żeby wskazywał, co chciałem. Ja powiedziałem Wilsonowi, że widziałem dziewczynę rozmawiającą z von Schoenvortsem i ja wmówiłem temu żalostnemu durniowi, że on też ją na tym przyłapał. Przykro mi... przykro mi, że moje plany wzięły w łeb. Nienawidzę was.

Po tym wyznaniu żył jeszcze pół godziny. Nie odezwał się już głośno, ale kilka minut przed udaniem się przed oblicze Stwórcy poruszył ustami z trudem wydobywając słaby szept. I co waszym zdaniem usłyszałem, kiedy się nad nim pochyliłem? „Teraz... ułóżcie... mnie... do... snu...” To wszystko; Benson nie żył. Wyrzuciliśmy jego ciało za burtę.

Tej nocy wiatr przygnał paskudną pogodę z mnóstwem czarnych chmur, która utrzymywała się przez kilka dni. Nie mieliśmy pojęcia, jakim kursem się posuwamy, a nie można było tego ustalić, bo



nie ufaliśmy już kompasowi, nie wiedząc, co z nim zrobił Benson. Toteż płynęliśmy po omacku, dopóki zza chmur nie wyjrzało słońce. Nigdy nie zapomnę tego dnia ani tego zaskoczenia. Przypuszczaliśmy, a raczej domyślaliśmy się, że jesteśmy gdzieś u wybrzeży Peru. Wiatr, do tej pory dmący kapryśnymi porywami od wschodu, zmienił się gwałtownie na południowy i teraz odczuliśmy nagłe ochłodzenie.

– Peru! – parsknął pogardliwie Olson. – Od kiedy to w pobliżu Peru czuć górami lodowymi?

– Góry lodowe! Jakie góry lodowe?! – wykrzyknął jeden z Anglików. – Człowieku, na tych wodach one nie posuwają się na północ dalej niż do czternastego równoleżnika.

– No to – odparł Olson – jesteśmy na południe od czternastego równoleżnika, synku.

Pomyśleliśmy, że oszalał; ale nie oszalał, bo jeszcze przed wieczorem na południe od nas dojrzeliliśmy wielką górę lodową. A przecież wydawało nam się, że od wielu dni płyniemy na północ. Przyznam, że ogarnęło nas wielkie zniechęcenie. Jednak następnego dnia z samego rana zaświtał nam promyk nadziei, kiedy obserwator pochylając się nad otwartym włazem zawył:

– Ziemia! Ziemia na północny zachód do zachodu!

Sądzę, że wszyscy tęskniliśmy za widokiem stałego lądu. Ja przynajmniej na pewno. Moją radość wszakże szybko rozwiała niespodziewana choroba trzech Niemców. Prawie jak na komendę zaczęli wymiotować. Nie potrafili wyjaśnić swej dolegliwości. Spytałem ich, co jedli i dowiedziałem się, że nic poza pożywieniem przyrządzanym dla nas wszystkich.

– Piliście coś? – spytałem, bo wiedziałem, że na pokładzie znajduje się alkohol przechowywany w tej samej szafce co medykamenty.

– Tylko wodę – jęknął jeden z cierpiących. – Dzisiaj rano wszyscy piliśmy wodę. Otworzyliśmy nowy zbiornik. Może to ta woda.

Wszcząłem dochodzenie, które wykazało coś strasznego: ktoś, prawdopodobnie Benson, zatrul cały zapas słodkiej wody. Byłoby to jednak jeszcze groźniejsze w skutkach, gdyby nie ląd w zasięgu wzroku. Jego widok napełnił nas nową nadzieją.

Zmieniliśmy kurs i zbliżaliśmy się szybko do czegoś, co wyglądało na urwisty cypel. W miarę jak podpływaliśmy, jego strome ściany wyrastające niemal pionowo z morza rozchodziły się na dwie strony tonąc we mgle. Linia brzegowa lądu, który mieliśmy przed sobą, sprawiała tak przytłaczające wrażenie, że mógł to być nawet kontynent; zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że musimy się znajdować o tysiące mil od najbliższego zachodniego masywu lądowego – Nowej Zelandii albo Australii.

Wyznaczyliśmy swoją pozycję naszymi prowizorycznymi, niedokładnymi przyrządami, przewertowaliśmy mapy, zaprzęgliśmy do pracy mózgi i w końcu Bradley zasugerował rozwiązanie. Znajdował się ze mną w kiosku i zwrócił moją uwagę na wskazanie kompasu, który obserwował. Igła wskazywała wprost na ląd. Bradley położył ster na prawą burtę. Poczulem reakcję U-33, a mimo to igła ani drgnęła i swym ostrzem nadal wskazywała prosto jak strzełił na urwiska.

– Co to według ciebie oznacza, Bradley? – spytałem.

– Czy słyszał pan kiedyś o Capronim? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– O tym dawnym włoskim żeglarzu?

– Tak. Około roku 1721 popłynął śladami Cooka. Nawet współcześni mu historycy rzadko o nim wspominają, prawdopodobnie dlatego, że po powrocie do Italii uwikłał się w jakieś awantury polityczne. Wykpiwanie jego relacji z tej podróży należało do dobrego tonu, ale pamiętam, że czytałem jedną z jego prac, właściwie chyba jedyną, w której opisuje nowy kontynent na morzach

południowych, kontynent zbudowany z „jakiegoś dziwnego metalu” przyciągającego igłę kompasu; skalista, niedostępna linia brzegowa bez płaz czy miejsc nadających się na przystań, rozciągająca się na setki mil. Żeglując przez kilka dni wzdłuż tych wybrzeży nie zdołał nigdzie przybić do lądu ani też nie zauważył tam żadnych oznak życia zwierzęcego. Nazwał to miejsce Caprona i odpłynął. Wydaje mi się, sir, że mamy przed sobą nie naniesione na mapę i zapomniane od dwustu lat wybrzeża Caprony.

– Jeśli masz rację, może to wyjaśnić dziwne zachowanie kompasu przez ostatnie dwa dni – rzekłem w zadumie. – To Caprona wabiła nas do swych zdradliwych skał. No cóż, przyjmujemy jej wyzwanie. Wylądujemy na Capronie. Gdzieś musi istnieć jakiś wyłom w tym długim urwisku. Znajdziemy go, Bradley, bo nie mamy innego wyjścia. Musimy zaopatrzyć się na Capronie w wodę, bo inaczej pomrzemy.

I tak zbliżyliśmy się do brzegów lądu, którego nie zbadał dotąd żaden śmiertelnik. Wprost z oceanicznych głębin wyrastały niebotyczne urwiska upstrzone plamami brązu, granatu i zieleni, to jest: obumarłych mchów, porostów, miedzianej śniedzi oraz – gdzie nie spojrzeć – rdzawą ochrą markasytów. Szczyty urwisk, choć postrzępione, na tle nieba rysowały się mniej więcej na jednakowej wysokości, tak że nieodparcie nasuwało się podejrzenie, iż mamy przed sobą kraniec jakiegoś rozległego płaskowyżu. Od czasu do czasu spoza krawędzi tej skalnej skarpy ukazywały się naszym oczom przebliski zieleni, jak gdyby bujna roślinność panosząca się w głębi lądu wypuszczała forpoczątki buszu albo dżungli, by zasygnalizować zaślepionemu światu, że Caprona, za swym surowym i odpychającym wybrzeżem, żyje i raduje się życiem.

Ale metafora, choćby najbardziej poetycka, nie zwilży suchego gardła. Żeby napawać się romantycznymi wizjami podsuwanymi przez Capronę, trzeba było mieć wodę, więc sondując bez przerwy dno, podpłynęliśmy nieco i ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża. Posuwając się tak w odległości, na jaką wazyliśmy się zbliżyć, stwierdzaliśmy wciąż niezmierną głębokość i ciągnącą się bez końca litą, nagą ścianę linii brzegowej. Gdy zaczęło zmierzchać, wycofaliśmy się na pełne morze i tam przeczekaliśmy noc. Na razie nie doskwierał nam jeszcze brak wody pitnej, ale zdawałem sobie sprawę, że niedługo da on o sobie znać, tak więc z pierwszym brzaskiem ponownie podprowadziłem łódź do wybrzeża i znowu podjęliśmy beznadziejną lustrację niedostępnych urwisk.

Około południa odkryliśmy pierwszą od rozpoczęcia poszukiwań plażę. Było to wąskie pasmo piasku zalegającego na niewielkim odcinku u podstawy urwiska, które sprawiało wrażenie niższego od wszystkich, jakie do tej pory dane nam było oglądać. U jego stóp leżały wielkie głazy zagrzebane do połowy w piachu – nieme świadectwo, że w zamierzchłych wiekach jakaś potężna naturalna siła nadwerżyła w tym miejscu barierę Caprony. Bradley pierwszy zwrócił naszą uwagę na dziwny obiekt spoczywający poza zasięgiem fal pomiędzy głazami.

– Wygląda jak człowiek – zawyrokował i oddał mi lornetkę.

Przypatrzywszy się temu czemuś długo i uważnie, gotów byłem przysiąc, iż widzę rozciągniętą na piasku ludzką postać. Na pokładzie była z nami panna La Rue. Odwróciłem się do niej i poprosiłem, żeby zeszła na dół. Posłuchała bez słowa. Kiedy znikła we włazie, rozebrałem się pod pytającym spojrzeniem Nobsa. W domu zwykł kąpać się w morzu ze mną i najwyraźniej nie zapomniiał o tym.

– Co pan zamierza, sir? – spytał Olson.

– Chcę przyjrzeć się temu czemuś z bliska – odparłem. – Jeśli to człowiek, będziemy już wiedzieć, że Caprona jest zamieszkała albo przynajmniej że morze wyrzuciło tu jakichś nieszczęśliwych rozbitków. Po ubraniu powinienem stwierdzić, co jest bliższe prawdy.

– A co z rekinami? – zaniepokoił się Olson. – Bez dwóch zdań, musi pan ze sobą zabrać nóż.

– Ma pan tutaj, sir! – krzyknął jeden z ludzi. Podawał mi nóż o długim, wąskim ostrzu – taki, który płynąc mogłem trzymać w zębach – przyjąłem go więc chętnie.

– Nie oddalajcie się – poleciłem Bradleyowi, dałem nura przez burtę i popłynąłem ku wąskiej plaży.

Tuz za moimi plecami rozległ się drugi plusk i odwróciwszy głowę ujrzałem wierne Nobsa płynącego dzielnie w ślad za mną.

Niezbyt wzburzone morze i brak cofających się fal sprawiły, że dość łatwo dotarliśmy do brzegu i równie łatwo się nań wygramoliliśmy. Plażę pokrywały w przeważającej mierze małe, wypolerowane przez wodę kamyki. Piasku nie było wiele, chociaż na pokładzie U-33 wydawało mi się, że nic prócz niego tu nie ma. Nie zauważyłem również ani śladu mięczaków ani skorupiaków, tak powszechnie spotykanych na wszystkich plażach, jakie dotąd widziałem. Przypisuję ten fakt małej powierzchni plaży, ogromnej głębi otaczających ją wód i wielkiej odległości, jaka dzieli Capronę od najbliższego sąsiedztwa.

Gdy zbliżyliśmy się z Nobsem do postaci leżącej w głębi plaży, mój nos powiedział mi, że była to kiedyś istota organiczna i żywa, ale od jakiegoś czasu jest już martwa. Nobs zatrzymał się wężąc i warcząc. Po chwili usiadł, zadarł pysk w niebo i zawył najposępniej, jak umiał. Cisnąłem w niego małym kamykiem i kazałem mu się zamknąć – jego niesamowity skowyt działał mi na nerwy. Podeszedłem całkiem blisko do postaci, ale nadal nie potrafiłem z całą pewnością stwierdzić, czy to człowiek, czy zwierzę. Tułów był okropnie spuchnięty i znajdował się w częściowym rozkładzie. Na nim ani obok niego nie zauważyłem śladu ubrania. Klatkę piersiową i brzuch pokrywała krótka, rudawa sierść, natomiast twarz, dłonie, stopy, ramiona i plecy pozostawały praktycznie bezwłose. Stwór musiał mierzyć tyle, ile słusznego wzrostu mężczyzna; rysy twarzy miał podobne do ludzkich, ale czy był człowiekiem?

Nie potrafiłem orzec, bo równie dobrze co człowieka, przypominał też małpę. Wielkie palce jego stóp sterczały na boki, zupełnie jak u prowadzących częściowo nadrzewne życie ludów prymitywnych z Borneo, Filipin i innych odległych zakątków świata, gdzie nadal występują niższe gatunki. Fizjonomia ta mogła należeć do osobnika stanowiącego skrzyżowanie pitekanropa, czyli człowieka-małpy z Jawy, i córki gatunku eoantropów z Pildtown zamieszkującej prehistoryczne tereny dzisiejszego hrabstwa Sussex. Obok trupa leżała drewniana maczuga.

I to skłoniło mnie do zastanowienia. W zasięgu wzroku nie było drewna pod żadną postacią. Nic na plaży nie wskazywało, że to rozbitek. W zwłokach nie było absolutnie nic, co sugerowałoby, że za życia osobnik ten służył na morzu. Było to ciało niższego rzędu człowieka albo wyższego rzędu zwierzęcia. W żadnym wypadku nie mogło należeć do przedstawiciela rasy przemierzającej morza. Biorąc powyższe pod uwagę wydedukowałem, iż mam przed sobą krajowca z Caprony, który żył w głębi lądu i spadł – bądź został strącony – ze wznoszącego się nade mną urwiska. Jeśli tak się miały sprawy, Caprona nadawała się do zamieszkania i wiele wskazywało na to, że ktoś już z tej możliwości skorzystał. Ale jak się dostać do tego obiecującego interioru? Oto było pytanie. Bliższe przyjrzenie się urwiskom, które do tej pory dane mi było oglądać tylko z pokładu U-33, utwierdziło mnie w przekonaniu, że żaden śmiertelnik nie zdoła się wspiąć po tej pionowej ścianie; nie było tam gdzie zaczepić palca, nie było gdzie znaleźć oparcia dla stopy. Odwróciłem się zawiedziony.

Podczas przeprawy z powrotem na łódź podwodną nie natknęliśmy się z Nobsem na rekiny. Moja relacja stała się kanwą dla rozmaitych teorii i domysłów, wzbudzając w ludziach nową nadzieję

i determinację. Ich tok rozumowania był identyczny z moim – wnioski nasuwały się same. Wciąż nie załatwiona pozostawała jednak sprawa wody. Pragnienie doskwierało nam teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Resztę tego dnia spędziliśmy na kontynuowaniu skrupulatnego i bezowocnego badania monotonnego wybrzeża. Nie wypatrzyliśmy już w nasrożonych urwiskach żadnego wylomu – nawet kolejnego maleńkiego spłachetka kamienistej płazy. W miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, ogarniało nas coraz większe przygnębienie. Spróbowałem jeszcze raz wyciągnąć do dziewczyny rękę na zgodę, nie przyjęła jej jednak, tak więc byłem nie tylko spragniony, ale także smutny i przybity. Z ulgą powitałem pierwszy promień nowego dnia rozpraszający zmory bezsennej nocy.

Ranek nie przyniósł nam ani cienia nowej nadziei. Caprona była niedostępna – tak orzekli wszyscy – płynęliśmy jednak dalej. Musiało być gdzieś około dwóch szklanek popołudniowej wachty, kiedy Bradley zwrócił moją uwagę na unoszącą się na falach gałąź liściastego drzewa.

– Mogła wypłynąć na ocean wyniesiona przez rzekę – zasugerował.

– Tak – odparłem – mogła; mogła też spaść z jednego z tych urwisk albo zostać zeń zrzucona.

Bradleyowi zrzędła mina.

– O tym też pomyślałem – odparł – ale wolałem wierzyć w to pierwsze.

– I masz rację! – krzyknąłem. – Musimy w to wierzyć, dopóki nie zyskamy całkowitej pewności, że się mylimy. Nie wolno nam upaść na duchu teraz, kiedy owego ducha najbardziej nam potrzeba. Gałąź została wyniesiona w morze przez prąd rzeczny i poszukamy tej rzeki.

Żeby podkreślić swą odartą z nadziei determinację, walnąłem w otwartą dłoń pięścią drugiej ręki.

– Patrz! Tam! – krzyknąłem nagle. – Widzisz to, Bradley? – Wskazałem w stronę brzegu. – Zobacz, człowieku!

Płynęły ku nam jakieś kwiaty, kępa trawy i jeszcze jedna gałąź. Obaj zaczęliśmy przeszukiwać wzrokiem wodę i linię brzegową. Bradley najwyraźniej coś zauważył albo przynajmniej tak mu się wydawało. Zawołał na dół, żeby podano mu wiadro na linie i nabrał w nie wody zza burty. Spróbował, wyprostował się i popatrzył na mnie nie posiadając się z radości, jakby chciał powiedzieć: A nie mówiłem?!

– Ta woda jest ciepła – oznajmił – i świeża! Wyrwałem mu wiadro i popróbowalem zawartości.

Woda była rzeczywiście ciepła oraz świeża, ale miała bardzo nieprzyjemny posmak.

– Czy próbował pan kiedy wody ze stojącej kałuży pełnej kijanek? – spytał Bradley.

– No właśnie – wykrzyknąłem. – Zgadza się, to dokładnie ten smak, chociaż nie czułem go w ustach od dzieciństwa. Ale skąd taki smak w wodzie z płynącego strumienia i czemu, u diabła, jest taka ciepła? Musi mieć z 70 albo z 80 stopni Fahrenheita, a może i więcej.

– Tak – przyznał Bradley – powiedziałbym, że nawet więcej; tylko skąd ona się bierze?

– Teraz, kiedy już ją wykryliśmy, łatwo to stwierdzimy – odparłem. – Nie pochodzi z oceanu, musi więc pochodzić z lądu. Wystarczy tylko posuwać się wzdłuż jej nurtu, a wcześniej czy później natrafimy na źródło.

Mimo że już i tak znajdowaliśmy się dosyć blisko brzegu, poleciłem zwrócić dziób U-33 w kierunku lądu i ruszyliśmy powoli naprzód czerpiąc bez przerwy wodę zza burty i sprawdzając jej smak, by mieć pewność, że nie oddalamy się od słodkowodnego prądu. Od lądu wiał bardzo lekki wietrzyk i morze było stosunkowo spokojne, bez trudności podchodziliśmy więc coraz bliżej brzegu, wciąż nie mogąc wysondować dna. Chociaż znajdowaliśmy się już bardzo blisko, nadal nie

widzieliśmy w pionowych ścianach wybrzeża żadnego wylomu, którym mógłby spływać do oceanu choćby maleńki strumyczek, nie mówiąc już o ujściu wielkiej rzeki, bo taką bezsprzecznie musiała być, skoro potrafiła wylać swe słodkie wody w ocean na odległość aż dwustu jardów od brzegu. Trwał odpływ, co w połączeniu z silnym prądem świeżej wody chroniło nas przed wpadnięciem na skalisty brzeg, nawet gdybyśmy wyłączyli silniki; właściwie to musieliśmy wręcz równoważyć te połączone siły natury mocą naszych motorów, żeby nie dać się zepchnąć w morze. Podpłynęliśmy na odległość dwudziestu pięciu stóp do pionowej ściany piętrzącej się wysoko nad naszymi głowami. Na jej niedostępnej płaszczyźnie nie rysowała się ani jedna szczelina. Gdy tak obserwowaliśmy powierzchnię wody i bładziliśmy wzrokiem po niebotycznej ścianie urwiska, Olson poddał myśl, iż świeża woda może pochodzić z podwodnego gejzeru. To by tłumaczyło jej temperaturę, argumentował; ale nie skończył jeszcze swego wywodu, kiedy za rufą, w otoczce pęcherzyków powietrza, wynurzył się spod wody krzew pokryty gęsto liśćmi i kwieciami, i odpłynął w morze.

– Kwitnące krzaki nie rosną w podziemnych grotach, z których tryskają gejzery – zauważył Bradley.

– To ja już nic nie wiem – mruknął Olson kręcąc głową.

– Mam! – wykrzyknąłem nagle. – Popatrzcie! – I wskazałem na podnóże urwiska ukazujące się stopniowo naszym oczom w miarę postępującego odpływu. Spojrzeli tam wszyscy i wszyscy zobaczyli to co ja: górną część mrocznego otworu w skale, przez który wylewała się na ocean woda. – To podziemny kanał rzeki płynącej w głębi lądu – wołałem dalej. – Rzeka przepływa przez krainę pokrytą roślinnością, a więc przez krainę, w której świeci słońce. W żadnej podziemnej grocie nie rośnie nic takiego, co na naszych oczach wypluła ta rzeka. Za urwiskami rozciąga się żyzna ziemia i jest tam słodka woda... może nawet żyją tam zwierzęta!

– Tak, sir – burknął Olson – za tymi urwiskami! Trafnie pan to określił: za!

Bradley roześmiał się, ale nie był to śmiech wesoły.

– Równie dobrze mógłby pan podzielić się z nami informacją, że według ostatnich badań naukowych woda i roślinność są także na Marsie.

– Wcale nie – zaproponowałem – U-boot nie jest przystosowany do szybowania w przestworzach, ale jego konstrukcja umożliwia mu poruszanie się pod powierzchnią wody.

– Chciałby pan wpłynąć w tę ciemną kieszeń? – spytał Olson.

– Chciałbym, Olson – odparłem. – Nasza szansa na przeżycie jest mniejsza niż jeden do stu tysięcy, jeśli nie znajdziemy pożywienia i wody na Capronie. Woda wypływająca spod urwiska nie jest słona, ale nie nadaje się też do picia, chociaż wszyscy jej próbowaliśmy. Można śmiało założyć, że rzekę w głębi lądu zasilają czyste strumienie, że jest tam obfitująca w owoce roślinność, a także bogaty świat zwierzęcy. Będziemy tu sterczeć i konać z pragnienia i głodu, gdy w zasięgu ręki leży tak kusząca kraina? Przecież mamy jak przepłynąć tę podziemną rzekę. Czy jesteśmy zbyt podszyci tchórzem, by z tej możliwości nie skorzystać?

– Ja jestem za tym, żeby tam wpłynąć – oświadczył Olson.

– Ciekaw jestem, co jest po drugiej stronie – poparł go Bradley.

– No to nurkujemy i raz kozie śmierć! – krzyknął młody chłopak, który był już na froncie.

– Na stanowiska! Przygotować się do zanurzenia! – zakomenderowałem i nim minęła minuta, pokład opustoszał, zatrzasnęła się pokrywa wjazdu w kiosku i U-33 rozpoczął manewr zanurzania, kto wie, czy nie ostatni. Przyznaję, że miałem takie uczucie i sądzę, że większość pozostałych również.

Schodziliśmy w dół, a ja siedziałem w kiosku obsługując reflektor rozpraszający mrok przed

nami swą wąż na pozór wiązką światła. Zanurzaliśmy się bardzo powoli i posuwaliśmy naprzód z szybkością nie większą, niż to było konieczne dla utrzymania dziobu łodzi we właściwym kierunku. W pewnym momencie dostrzegłem przed nami zarysy czarnego otworu w ścianie urwiska. Miał taką średnicę, że pomieściłby śmiało sześć U-bootów płynących burta w burtę, był z grubsza cylindryczny w przekroju poprzecznym – i mroczny niczym brama piekieł.

Wydając do maszynowni rozkaz „mała naprzód” nie potrafiłem się oprzeć jakiemuś nieokreślonemu przeczuciu nadciągającego nieszczęścia. Dokąd zmierzamy? Co znajduje się po drugiej stronie tego wielkiego ścieku? Czy na zawsze żegnamy się już ze słonecznym światłem i życiem albo czy czyhają na nas niebezpieczeństwa przekraczające wszystko, czemu do tej pory stawialiśmy czoło? Usiłowałem zamknąć swój umysł przed zupełnie niepotrzebnie podsuwanymi przez wyobraźnię obrazami, gromkim głosem relacjonując nastawionym na dole uszom wszystko co widzę. Spełniałem rolę oczu całej załogi i starałem się jak mogłem, żeby dobrze się z tego wywiązać. Przebyliśmy może sto jardów, kiedy zagroziło nam pierwsze niebezpieczeństwo. Tuż przed tunel zakręcał gwałtownie pod kątem prostym. Widziałem, jak niesione potężnym prądem rzeczonym szczątki wałą w skalną ścianę po lewej i zdjęła mnie obawa o nasz okręt wykonujący tak ostry skręt w tak niesprzyjających warunkach. Ale nie było innego wyjścia, jak spróbować. Nie uprzedziłem swoich towarzyszy o zagrożeniu – niepotrzebnie by to ich zdenerwowało, a przecież, jeśli pisane nam było roztrzaskać się o tę skalną ścianę, to żadna siła na ziemi nie była w stanie zapobiec szybkiemu końcowi, jaki by nas wtedy czekał. Wydałem rozkaz „cała naprzód” i zaszarżowałem w kipiel. Aby wykonać zwrot, zmuszony byłem zbliżyć się do tej groźnej lewej ściany i zdać się na moc motorów w nadziei, że przepchają nas bezpiecznie przez wzburzone wody. No cóż, udało się, choć szansę były niewielkie. Wchodząc w zakręt dostaliśmy się w sam środek rwącego nurtu, który porwał nas i rzucił rufą na skały; rozległ się łomot, od którego zadygotała cała łódź, a potem usłyszeliśmy okropny zgrzyt, z jakim stalowy kadłub szorował po skalistej ścianie. Oczekiwałem lada moment widoku wdzierającej się do wnętrza wody, co przypieczętowałoby nasz los, ale po chwili z dołu zawołano, że wszystko w porządku. Wiadomość tę przyjąłem z nieklamana ulgą.

Pięćdziesiąt jardów dalej czekał nas następny skręt, tym razem w lewo, ale ten był łagodniejszy i pokonaliśmy go bez kłopotu. Potem było już łatwo, chociaż zdawałem sobie sprawę, że w każdej chwili możemy się spodziewać wszystkiego i przez cały czas nerwy miałem napięte do ostatnich granic. Za drugim zakrętem kanał biegł stosunkowo prosto na odcinku stu pięćdziesięciu do dwustu jardów. Prąd nagle zelżał, a ja nabrałem więcej otuchy. Wrzasnąłem do tych pode mną, że widzę przed nami dzieńne światło i po łodzi poniósł się echem dziękczynny krzyk. Chwilę później wypłynęliśmy na wody rozjaśnione promieniami słońca, a ja natychmiast podniosłem peryskop i rozejrzałem się po najosobliwszym krajobrazie, jaki kiedykolwiek widziałem.

Znajdowaliśmy się pośrodku szerokiej rzeki teraz ospale toczącej swe wody. Brzegi jej porastały gigantyczne drzewiaste paprocie, dźwigające swe potężne, postrzępione liście na pięćdziesiąt, sto, dwieście stóp. Coś wypłynęło blisko nas spod wody i opryskało szkła peryskopu. Przez chwilę mignęły mi szerokie, rozwarte szczęki, a potem wszystko się rozmazało. Stwór otarł się o peryskop wprawiając w drżenie cały kiosk. Zaraz potem usunął się odsłaniając mi widok. W moje pole obserwacji wpłynęło teraz wyłaniające się zza drzew ogromne stworzenie o skrzydłach nietoperza – istota dorównująca wielkością gigantycznemu wielorybowi, ale z wyglądu przypominająca bardziej jaszczura. Potem znowu coś natarło na peryskop i opryskało zwierciadło. Przyznam, że wydając rozkaz wynurzenia, z trudem dobywałem z siebie głosu. Do jakiejże to dziwacznej krainy zagnał nas

los?

Ledwie woda zdążyła spłynąć z pokładu, otworzyłem właz i wyszedłem na zewnątrz. Po minucie uniosła się pokrywa włazu pokładowego i po drabinie wysypali się na świat ci, którzy nie mieli akurat służby na dole. Wśród nich był Olson dźwigający pod pachą Nobsa. Przez kilka minut nikt się nie odzywał; wydaje mi się, że im wszystkim – tak samo, jak mnie – mowę odebrała groza połączona z nabożnym zachwytem. Zewsząd otaczały nas flora i fauna tak dla nas obce i tak niepojęte, jak mogłaby się nam wydać przyroda innej, odległej planety, gdybyśmy momentalnie i w cudowny sposób przeniesieni zostali w jakiś nieznaną zakątek kosmosu. Nieziemska była nawet trawa porastająca bliższy nam brzeg: rosła bujnie i wysoko, a na czubku każdego źdźbła pysznił się wspaniały kwiat – tu fioletowy, tam żółty, tam znów karminowy albo błękitny – przez co piękno łąki przekraczało wszystko, co człowiek może sobie wyobrazić. A życie! Ono tętniło. Wysokie paprociowate drzewa roiły się od małych, węży i jaszczurek. Tu i ówdzie bzyczały i buczały wielkie owady. Na ziemi, wśród gęstych zarośli, widać było przewalające się ociężałe ogromne cielska, w głębinach rzeki kipiało życiem, a w górze trzepotały skrzydła gigantycznych stworów, które, jak nas uczono, wymarły przed niezliczonymi stuleciami.

– Patrzcie! – krzyknął Olson. – Widzicie tę żyrafę wylazłą z wody?

Spojrzelismy we wskazanym przez niego kierunku i ujrzeliśmy długą, połyskliwą szyję zwieńczoną małym łbem, która wystawała ponad powierzchnię rzeki. W chwilę później wyłonił się ociekający wodą brązowy i błyszczący grzbiet. Stworzenie zwróciło na nas swe ślepie, rozdziawiło jaszczurzą paszczę, wydało wibrujący syk i ruszyło w naszą stronę. Potwór musiał mieć dobre siedemnaście stóp długości i bardzo przypominał ilustracje przedstawiające zrekonstruowanego plezjozaura z wczesnego okresu jurajskiego. Szarżował na nas z impetem wściekłego byka, tak iż można by pomyśleć, że powziął zamiar zgruchotania i pożarcia wielkiego U-boota, o co zaiste go podejrzewałem.

Posuwaliśmy się wolno pod prąd, a stwór sunął na nas z rozwartą paszczką. Wyciągał przed siebie długą szyję, a cztery płetwy, którymi się posługiwał przy pływaniu, pracowały potężnymi zamachami pchając go naprzód z ogromną szybkością. Dopadłszy statku zatrzasnął swe szczęki na słupkach pokładowego relingu i wyrwał je z gniazd niczym wykałaczkę wetkniętą w kit. Widząc tę demonstrację tytanicznej siły, wszyscy cofnęliśmy się chyba jak jeden mąż, a Bradley wyciągnął pistolet i strzelił. Pocisk trafił zwierzę w szyję, tuż nad tułowiem, ale zamiast je unieszkodliwić, wzmógł tylko jego wściekłość. Syk przybrał na sile przechodząc w wibrujący wrzask, stwór konwulsyjnym ruchem wyrzucił swe cielsko ponad wodę i runąwszy połową tułowia na pochyły bok U-33 zaczął wdrapywać się na pokład, by nas pożreć. Huknęło kilkanaście strzałów, bo wszyscy, którzy byli uzbrojeni, wyciągnęli automatycznie pistolety i otworzyli ogień do potwora; ale ten, choć trafiony kilka razy, nie wykazywał żadnych oznak osłabienia i dalej gramolił się na nasz okręt.

Zauważyłem wcześniej, że na pokład wyszła dziewczyna i stanęła za moimi plecami, toteż uświadomiwszy sobie grożące nam wszystkim niebezpieczeństwo, odwróciłem się i popchnąłem ją w kierunku włazu. Od kilku dni nie rozmawialiśmy i teraz też się do siebie nie odezwaliśmy. Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem, równie wymownym co słowa, i wyrwała się z mego uścisku. Zrozumiałem, że nie poradzę sobie z nią bez użycia siły, odwróciłem się więc do niej plecami, aby osłonić ją własnym ciałem przed odrażającym gadem, w razie gdyby temu rzeczywiście udało się wdrapać na pokład. Kiedy to uczyniłem, ujrzałem, jak stwór przerzuca właśnie ponad relingiem płetwę, błyskawicznym ruchem wysuwa do przodu łeb i porywa jednego ze Szwabów.



Pognałem w tamtą stronę strzelając z pistoletu w płonnej nadziei, że zmuszę tym potwora do porzucenia łupu, ale z równym skutkiem mógłbym strzelać w słońce.

Ściągnięty z pokładu Niemiec wrzeszczał rozdzierająco. Tymczasem gad, kiedy tylko zsunął się z boku łodzi, zanurkował pod powierzchnię pociągając za sobą przerażoną ofiarę. Wszyscy chyba byliśmy bardziej lub mniej wstrząśnięci straszliwością tej tragedii – aż dopiero Olson wygłosił uwagę, że nareszcie osiągnięta została właściwa równowaga sił. Po śmierci Bensona było nas dziewięciu na dziewięciu – dziewięciu Niemców przeciwko dziewięciu Sprzymierzonym, bo tak siebie określaliśmy; obecnie pozostało tylko ośmiu Niemców. Dziewczyny nigdy nie zaliczaliśmy do żadnej ze stron, chociaż dobrze teraz wiedzieliśmy, że jest po naszej.

I tak uwaga Olsona przyczyniła się do rozładowania atmosfery, przynajmniej jeśli chodzi o Sprzymierzonych. Ponownie skierowaliśmy swą uwagę na rzekę, bo wokół nas rozpętała się istna kakofonia wrzasków, syków i posapywań wydawanych przez obrzydliwe gady nie znające uczucia strachu i trawione jedynie głodem i wściekłością. Wdrapując się, rzucając i wijąc usiłowały wdrzeć się na pokład, i choć bez przerwy prowadziliśmy do nich ogień z pistoletów, zmuszeni byliśmy jednak wycofywać się coraz dalej. Występowały tu wszelkie gatunki i odmiany strasznych stworów. Były ogromne, odrażające, groteskowe i budzące trwogę – istny mezozoiczny horror. Zauważyłem, że dziewczyna schodzi pospiesznie pod pokład zabierając ze sobą Nobsa. Biedny Nobs niemal już ochryplł od ujadania – chyba po raz pierwszy od wieku szczenięcego poznał uczucie strachu. Wcale go za to nie winiłem. Posłałem w ślad za dziewczyną Bradleya i większość Sprzymierzonych, a potem wszystkich przebywających na pokładzie Niemców (von Schoenvorts nadal siedział na dole zakuty w kajdanki).

Zanim zszedłem do włazu i zatrzasnąłem za sobą klapę, zauważyłem jeszcze, że stwory zbliżyły się niebezpiecznie. Wbiegłem potem do kiosku i wydałem rozkaz: „Cała naprzód” w nadziei, że uda nam się oderwać od tej straszliwej menażerii; ale na próżno. Nie dość, że każdy z tych potworów potrafił z łatwością prześcignąć naszego U-33, to jeszcze im dalej w górę rzeki się posuwaliśmy, tym bardziej rosła liczba oblegających, aż w końcu, lękając się prowadzenia okrętu po nieznannej rzece z maksymalną szybkością, wydałem rozkaz jej zmniejszenia i zaczęliśmy płynąć powoli, majestatycznie poprzez miotającą się rozsyczaną ciżbę. Wielce byłem rad, że nasz pochód w głąb Caprony odbywa się we wnętrzu łodzi podwodnej, a nie na pokładzie jednostki pływającej jakiegoś innego rodzaju. Dobrze teraz rozumiałem, dlaczego do świata zewnętrznego nie dotarła nigdy żadna wieść o wtargnięciu na Capronę jakichś dawnych zuchwałych żeglarzy. Zapewniam was, iż tylko łodzią, podwodną wpłynąć może człowiek w tę wielką, leniwą rzekę nie tracąc przy tym życia.

Zanim zapadł zmrok, zdołaliśmy przebyć jakieś czterdzieści mil w górę rzeki. Zrezygnowałem z pomysłu zanurzenia się i przeczekania nocy na dnie w obawie przed zbyt głęboką warstwą mułu, w którym moglibyśmy ugrzęznąć na dobre. Ponieważ nie udało nam się zarzucić kotwicy, podprowadziłem łódź blisko brzegu i wykorzystując krótką przerwę w zmasowanym gadzim ataku przycumowaliśmy do wielkiego drzewa. Zaczepiliśmy też trochę wody z rzeki i stwierdziliśmy, że ci – ciąż nadal jest bardzo ciepła, to smakuje już lepiej niż poprzednio. Żywności było na okręcie pod dostatkiem, a mając teraz w zasięgu ręki słodką wodę poczuliśmy się wszyscy o wiele pewniej; brakowało nam jednak świeżego mięsa. Okres, przez jaki nie mieliśmy go w ustach, liczył się już na tygodnie i widok gadów podsunął mi pewną myśl – a mianowicie, że dobrze byłoby popróbować steku z jednego z nich. Wszedłem więc na pokład z karabinem, jakich w arsenale U-33 mieliśmy dwadzieścia. Ujrzawszy mnie, na łódź zaszarżował ogromny potwór, by po chwili wspinać się już na

pokład. Wycofałem się na szczyt kiosku i kiedy tułów gada był już na wysokości małego pomostu, gdzie stałem, posłałem mu kulkę prosto między ślepie.

Stwór znieruchomiał nagle i popatrzył na mnie przez chwilę zupełnie tak, jakby chciał powiedzieć: O, ten kurdupel ma żądło! Muszę uważać. A potem wyciągnął ku mnie długą szyję, rozwarł potężną paszczkę i zatrzasnął ją nad miejscem, gdzie dopiero co stałem; tylko że mnie tam już nie było. Czym prędzej spuściłem się po drabince do wnętrza kiosku, o mało się przy tym nie zabijając. Kiedy zerknąłem w górę, ujrzałem mały łeb na końcu długachnej szyi wsuwający się tuż za mną w otwór wjazdu i rzuciwszy się ponownie w tył, byle dalej od niego, rozciągnąłem się jak długi na podłodze centrali.

Olson spojrział w górę i zorientowawszy się, co zagłada do kiosku, pognął po siekierę; wróciwszy z nią nie zawahał się ani przez moment, tylko wskoczył na drabinkę i zaczął rąbać odrażający pysk. Mały mózdzek uniemożliwiał potworowi przetwarzanie więcej niż jednej informacji na raz. Pomimo że pokaleczony, porąbany i z dziurą po kuli między ślepiami, wciąż nie ustawał w szalonych wysiłkach wciśnięcia się do wieżyczki i pożarcia Olsona, chociaż średnica jego cielska wielokrotnie przekraczała średnicę wjazdu. Nie zrezygnował, dopóki Olsonowi nie udało się odrąbać mu łba. Gdy było już po wszystkim, dwaj ludzie wyszli wjazdem głównym na pokład i podczas gdy jeden z nich rozglądał się czujnie wokół, drugi wyciął kawał zadu przedstawicielowi gatunku *Plesiosaurus Olsoni*, jak nazwał potwora Bradley. Tymczasem Olson odciął długą szyję twierdząc, że wyjdzie z niej wspaniała zupa. Zanim zdążyliśmy oczyścić kiosk ze śladów krwi i usunąć skutki szamotaniny, kucharz serwował już soczyste steki i parujący bulion. Unoszący się ponad potrawami z *Plesiosaurusa Olsoni* aromat wypełniał nas wszystkich nie odczuwanym dotąd zachwytem dla niego i całego jego rodzaju.

## Rozdział V

Tego wieczora jedliśmy wyborne steki; a nazajutrz raczyliśmy się bulionem. W konsumowaniu stworzenia, które według wszelkich praw paleontologii powinno wymrzeć przed kilkoma milionami lat, było coś niesamowitego. Ta nowinka wprawiała nas w pewne zakłopotanie, które jednak nie wpływało hamująco na nasze apetyty. Olson jadł aż mu się uszy trzęsły i w końcu zacząłem się bać, że pęknie.

Dziewczyna spożywała posiłek razem z nami, w małej mesie oficerskiej tuż za przedziałem torpedowym. Rozłożyliśmy tam wąski stół, rozstawiliśmy wokół niego cztery stołki i po raz pierwszy od wielu dni zasiedliśmy do jedzenia wszyscy razem. Po raz pierwszy też od tygodni składało się nań coś, co przełamywało monotonię skromnych racji wydzielanych ze zubożałej spiżarni U-boota. Nobs przysiadł między dziewczyną a mną i skwapliwie pałaszował podrzucane mu przez biesiadników ochłapy steku z plezjozaura, co groziło trwałym spaczeniem jego manier. Wlepiął we mnie bez przerwy przymilne ślepie, bo wiedział, że żaden dobrze urodzony pies nie powinien jeść ze stołu. Ale niewłaściwe odżywianie tak biedaka wycieńczyło, że ten smakowity posiłek stanąłby mi chyba w gardle, gdybym w takiej chwili zabronił mu udziału w naszej biesiadzie; zresztą Lys karmiła go bez żadnych obiekcji. A niech mu będzie na zdrowie.

Lys odnosiła się z chłodną uprzejmością do mnie i z ostentacyjną serdecznością do Bradleya i Olsona. Wiedziałem, że nie należy do osób wylewnych, nie spodziewałem się więc po niej wiele i z wdzięcznością przyjąłem tych kilka okruczeń uwagi, jakie mi poświęciła. Posiłek mijął w przyjemnej atmosferze, może poza jednym niefortunnym incydentem, kiedy Olson zasugerował, że kto wie, czy spożywany przez nas potwór nie jest czasem tym samym, który pożarł Niemca. Nie od razu udało nam się nakłonić dziewczynę do kontynuowania posiłku, ale w końcu dała się przekonać argumentacji Bradleya, który tłumaczył, że od miejsca, gdzie porwany został Szwab, przepłynęliśmy już czterdzieści mil w górę rzeki i że po drodze widzieliśmy dosłownie tysiące tych mieszkańców słodkich wód, co niezmiernie pomniejsza prawdopodobieństwo, aby był to ten sam plezjozaur.

– A poza tym – zakończył swój wywód Bradley – był to tylko podstęp pana Olsona, który chciał w ten sposób zagarnąć wszystkie steki dla siebie.

Dyskutowaliśmy potem o przyszłości i zastanawialiśmy się, co jeszcze nas czeka, ale mogliśmy jedynie teoretyzować, bo żadne z nas nic nie wiedziało. Gdyby całą tę krainę zamieszkiwały te i podobne im koszmarnie potwory, życie w niej byłoby niemożliwe i postanowiliśmy, że będziemy prowadzili poszukiwania tylko tak długo, jak to konieczne, by znaleźć pitną wodę i poczynić jej zapasy oraz by zdobyć świeże mięso i nazbierać owoców, jeśli nie miałyby to nastreczyć kłopotów. Ustaliliśmy, że potem po własnych śladach wycofamy się pod urwiskiem na otwarte morze.

Tak więc legliśmy w końcu na naszych wąskich kojach pełni nadziei, szczęśliwi, w zgodzie z sobą, ze swoimi żołądkami i swoim Bogiem, by obudzić się nazajutrz ciągle pełni energii i optymizmu. Odbicie od brzegu odbyło się bez żadnych przeszkód, bo – jak się później

przekonaliśmy – gady wyruszają na żer dopiero późnym rankiem. Krzywa ich aktywności osiąga swe maksimum w przedziale czasowym zawierającym się między południem a północą, natomiast na okres od brzasku do godziny dziewiętej spada do minimum. I faktycznie, przygotowując się do drogi nie widzieliśmy ani jednego z nich, chociaż na wszelki wypadek kazałem wysunąć spod pokładu działo i obsadziłem je ludźmi. Żywiłem nadzieję, choć pewności nie miałem, że pociski mogą odstraszyć tych prehistorycznych drapieżców. Na drzewach roiło się od małych wszelkiej maści i wielkości, a w pewnej chwili wydało się nam, że widzimy obserwującą nas z gęstwiny leśnej człekopodobną istotę.

Wkrótce po podjęciu żeglugi w górę rzeki dostrzegliśmy ujście innej, mniejszej rzeki, wpadającej do koryta głównego od południa, czyli z naszej prawej strony. Zaraz potem wyrosła przed nami wielka wyspa, długa na dobre sześć mil. Zaś na pięćdziesiątej mili napotkaliśmy rzekę większą od tej ostatniej, płynącą z północnego zachodu – i w tym miejscu bieg koryta głównego uległ zmianie: rzeka skręcała na północny wschód do południowego zachodu. Gadów w wodzie nie było wcale, a roślinność porastająca brzegi przeszła w rzadszy, przypominający rezerwat las składający się z eukaliptusów i akacji przemieszanych tu i ówdzie z drzewiastymi paprociami, zupełnie jakby nakładały się tutaj i mieszały dwie różne epoki geologiczne. Również trawa była mniej wybujała, chociaż gdzieśgdzie zdarzały się jeszcze wspaniałe polany pokryte przepyszną murawą. I wreszcie – fauna tutaj była mniej urozmaicona.

Sześć do siedmiu mil dalej koryto rzeki znacznie się poszerzało: przed nami otwierała się przestrzeń wodna sięgająca horyzontu. Wpływaliśmy na śródlądowe morze, tak wielkie, że linię brzegową widzieliśmy tylko po naszych obu stronach. Otaczające nas wody tętniły życiem. Gadów nadal było mało, za to nieprzeliczone miliony ryb.

Woda w tym śródlądowym morzu była bardzo ciepła, niemal gorąca, a powietrze nad nią – duszne i ciężkie. Nie chciało się wierzyć, że za stromymi ścianami Caprony pływają góry lodowe i dmie mroźny południowy wicher, bo powierzchnię tych żyjących wód mąciła tylko lekka bryza, a ta była wilgotna i ciepła. Stopniowo zaczęliśmy pozbywać się naszych ubrań, pozostawiając na sobie tylko tyle, ile nakazywała skromność, słońce bowiem prażyło niemiłosiernie. Upał był porównywalny nie tyle z łaźnią, co z wnętrzem pieca.

Posuwaliśmy się wzdłuż brzegu jeziora w kierunku północno-zachodnim, często zapuszczając sondę. Stwierdziliśmy, że jezioro jest głębokie i ma skaliste dno, które opada stromo ku środkowi, i kiedy odpłynęliśmy dalej od brzegu, żeby poczynić trochę więcej pomiarów głębokości, dna nie mogliśmy wysondować w ogóle. W widocznych na brzegu od czasu do czasu przesiekach majaczyły niewyraźne zarysy odległych urwisk i tutaj, w głębi łądu, sprawiały one wrażenie nieco mniej stromych niż te, które otaczały Capronę od strony oceanu. Domyślałem się, że w jakichś zamierzchłych czasach Caprona była gigantyczną górą. Najpotężniejsza być może w dziejach świata erupcja wulkanu zerwała cały wierzchołek i wyrzucone w powietrze tysiące stóp szczytu opadły na rozciągający się wokół kontynent, a jednocześnie w wyniku wybuchu powstał wielki krater. Potem zapewne łąd zatonął, dzieląc los wielu prehistorycznych kontynentów, i ponad powierzchnią morza pozostał z niego tylko wierzchołek Caprony. Pierścień stromych skalnych ścian, jezioro pośrodku, wpadające doń gorące strumienie – wszystko to prowadziło do takiego właśnie wniosku, a fauna i flora stanowiły niezbity dowód, że Caprona była niegdyś częścią jakiejś wielkiej masy lądowej.

Posuwając się wzdłuż brzegu porośniętego wciąż mniej lub bardziej gęstym lasem, dostrzegaliśmy tu i ówdzie małe polanki z pasącymi się na nich zwierzętami. Obserwując je przez

lornetkę rozróżniłem kilka sztuk wielkich czerwonych jeleni, parę antylop i coś, co wyglądało mi na konia, a raz zobaczyłem włochate stworzenie, które przypominało bizona monstrualnych rozmiarów. Ależ tu było zwierzyny! Śmierć głodowa raczej nam na Capronie nie zagrażała. Z tym że zwierzęta były jednak bardzo płochliwe, bo odkrywszy naszą obecność natychmiast poderwały łby i ogony i oddaliły się kłusem; te skubiące trawę dalej od brzegu poszły za ich przykładem i po chwili wszystkie przepadły w labiryntach odległej puszczy. Tylko wielki włochaty byk nie ruszył się z miejsca. Obserwował nas z opuszczonym łbem, dopóki go nie minęliśmy, po czym wrócił do przerwane go posiłku.

Około dwudziestu mil od ujścia rzeki napotkaliśmy niskie urwiska z piaskowca – popękany i zmurszały dowód wielkiego wstrząsu, jaki rozerwał niegdyś Capronę – wyrastające z podłoża w postaci formacji skalnych, które pochodziły z odległych sobie epok, i które miejscami stapiały się ze sobą, podczas gdy gdzie indziej wyraźnie się od siebie odcinały.

Płynęliśmy wzdłuż tych stromych ścian przez dobre dziesięć mil, by wreszcie natknąć się na szeroką wyrwę prowadzącą do czegoś, co okazało się kolejnym jeziorem. Ponieważ celem naszych poszukiwań była woda pitna, nie mogliśmy sobie pozwolić na poniechanie zbadania choćby skrawka wybrzeża. Tak więc stwierdziwszy za pomocą sondy, że głębokość jest wystarczająca, wprowadziłem U-33 między cyplami do portu otoczonego ze wszystkich stron lądem i tak małowniczego, że uradowałby oko każdego żeglarza, z wodą pitną nie dalej niż kilka jardów od brzegu. Gdy posuwaliśmy się wolno naprzód, dwóch Szwabów zauważyło coś, co uznali za człowieka albo istotę człękoksztalną. Istota ta obserwowała nas z kępy drzew rosnących sto jardów od brzegu. Wkrótce potem odkryliśmy ujście małego strumyka wpadającego do zatoki. Był to pierwszy strumień, jaki znaleźliśmy od czasu, kiedy pozostawiliśmy za sobą rzekę, poczyniłem więc z miejsca przygotowania do pobrania próbki wody. Aby dostać się na ląd, trzeba było podprowadzić U-33 jak najbliżej brzegu, bo nawet te wody były zamieszkałe – choć nie tak gęsto – przez krwiożercze gady. Kazałem napełnić zbiorniki balastowe do takiego poziomu, by zanurzenie łodzi wzrosło o jakąś stopę, po czym skierowałem powoli dziób ku brzegowi mając pewność, że jeśli nawet wpadniemy na mieliznę, to wypompowując wodę ze zbiorników dysponować będziemy wystarczająco dużą siłą wznoszenia, by się wyswobodzić. Jednak dziób przebił się gładko przez szuwary i dotknął brzegu, a kil nie otarł się jeszcze o dno.

Wszyscy moi ludzie byli teraz uzbrojeni zarówno w karabiny, jak i pistolety, i każdy miał przy sobie mnóstwo amunicji. Kazałem jednemu z Niemców zejść na brzeg z liną i posłałem z nim dla ochrony dwóch naszych, bo to, co do tej pory widzieliśmy na Capronie, czy na Caspak, jak nazywał się ten ląd, a czego dowiedzieliśmy się później, nauczyło nas, że w każdej chwili może nam zagrozić jakieś nowe i straszne niebezpieczeństwo. Lina została przywiązana do małego drzewa i jednocześnie kazałem rzucić kotwicę rufową.

Gdy tylko Szwab i jego obstawa znaleźli się z powrotem na łodzi, wywołałem na pokład wszystkich, z von Schoenvortsem włącznie, i oznajmiłem zebrany, że nadszedł czas zawarcia czegoś w rodzaju rozejmu, który uwolni nas od nerwowej i niezręcznej atmosfery wynikającej z podziału na dwie antagonistyczne grupy – jeńców i strażników. Powiedziałem im, że to oczywiste, iż nasze „być albo nie być?” zależy od jedności w działaniu, że praktycznie rzecz biorąc wkraczamy w nowy świat, tak odległy od teatru działań toczącej się wojny i przyczyn, które do niej doprowadziły, jak gdyby miliony mil przestrzeni i eony czasu dzieliły nas od dotychczasowego życia i miejsc zamieszkania.

– Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy przynosić na Capronę swoje rasowe i polityczne uprzedzenia – przekonywałem. – Nawet gdyby znajdujący się wśród nas Niemcy pozabijali wszystkich Anglików albo Anglicy wyrzneli Niemców do ostatniego, i tak nie wpłynęłoby to w najmniejszym stopniu na wynik choćby najmniej znaczącej potyczki na froncie zachodnim ani na opinię choćby jednego obywateli w którymkolwiek z krajów czy to biorącym udział w wojnie, czy neutralnym. Spytam więc bez ogródek: czy zapomnimy na czas pobytu na Capronie o naszych animozjach i staniemy do wspólnej pracy, kierując się zasadą „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, czy, podzieleni i w połowie bezbronni, trwać będziemy w swoim zacierzewieniu, dopóki, co zupełnie możliwe, ostatniego z nas nie zabierze śmierć? A jeśli do tej pory nie zdaliście sobie z tego sprawy, to pozwólcie, że wam uświadomię, iż szansę, by ktokolwiek z nas ujrzał jeszcze kiedyś świat zewnętrzny, są jak tyśiąc do jednego. W żywność i wodę jesteśmy teraz w stanie zaopatrzyć U-33 na długi rejs, ale praktycznie skończyło się paliwo, a bez paliwa nie ma nadziei, żeby udało nam się dotrzeć do oceanu, bo tylko łodzią podwodną można się przedostać pod granicznymi urwiskami. Jaka jest wasza odpowiedź? – Zwróciłem się z tym pytaniem do von Schoenvorts.

Zmierzył mnie tym swoim nieprzyjaznym wzrokiem i zażądał określenia ich statusu w razie, gdyby przyjął propozycję, a potem udało nam się wydostać na U-33 z pułapki, w której się znaleźliśmy. Odparłem, iż moim zdaniem, jeśli byśmy wszyscy lojalnie współpracowali, to powinniśmy opuścić Capronę na równych prawach. Co oznaczało, że gdyby urzeczywistniła się nikła nadzieja wydostania się stąd na łodzi podwodnej, proponowałbym popłynąć natychmiast do najbliższego neutralnego portu i oddać się w ręce władz. Wówczas według wszelkiego prawdopodobieństwa zostalibyśmy internowani do czasu zakończenia działań wojennych. Ku memu zdziwieniu przyznał, że to sprawiedliwe rozwiązanie, i oświadczył, że przyjmują moje warunki i że mogą polegać na ich lojalności i oddaniu wspólnej sprawie.

Podziękowałem mu, po czym, zwracając się indywidualnie do każdego z jego ludzi, odebrałem od nich słowo, że będą mieli na uwadze wszystko, co przed chwilą ode mnie usłyszeli. Ustaliliśmy ponadto, że tworzymy organizację wojskową kierującą się zasadami regulaminu i dyscypliny obowiązującymi w armii – dowódcą jestem ja, moim pierwszym zastępcą Bradley, a drugim Olson i mamy pod swoją komendą Anglików, natomiast von Schoenvorts pełni funkcję pomocniczego drugiego zastępcy i ma pod sobą swoich ludzi. Oświadczyłem też, że nasza czwórka będzie stanowić skład trybunału polowego z zadaniem sądenia za łamanie regulaminu i dyscypliny wojskowej oraz ferowania wyroków do kary śmierci włącznie.

Następnie kazałem wydać Niemcom broń i amunicję, po czym zesłaliśmy na ląd zostawiając na U-33 Bradleya z pięcioma ludźmi, by pilnowali łodzi. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było skosztowanie wody z małego strumienia, która, ku naszej radości, okazała się słodka, czysta i zimna. W strumieniu zupełnie nie było niebezpiecznych gadów, bo te, jak później odkryłem, pod wpływem temperatury dużo niższej niż 70 stopni Fahrenheita (38,9°C), zapadają natychmiast w sen. Nie lubią bowiem zimnej wody i trzymają się od niej możliwie jak najdalej. W strumieniu roilo się za to od pstrągów, a także zapraszających do kąpieli głębokich dołów, natomiast wzdłuż brzegów rosły drzewa przypominające bardzo jesiony, buki i dęby, który to wygląd zawdzięczały najwyraźniej niższej temperaturze nad zimną wodą oraz temu, że ich korzenie pobierały wodę ze strumienia, a nie z ciepłych potoków, jakie napotykalismy później wszędzie w obfitości.

Naszym głównym zadaniem było napełnienie świeżą wodą zbiorników wody pitnej U-33 i po

wykonaniu go wyruszyliśmy na krótki rekonesans w głąb lasu połączony z polowaniem na zwierzynę. Towarzyszyli mi Olson, von Schoenvorts, dwóch Anglików i dwóch Niemców, a na straży łodzi pozostało dziesięciu ludzi plus dziewczyna. Zamierzałem zostawić też na pokładzie Nobsa, ale ten zeskoczył na brzeg, dogonił mnie i był tak uszczęśliwiony, że nie miałem sumienia odsyłać go z powrotem. Podleliśmy w górę strumienia jego brzegiem przez przepiękny kraję, by po przejścia jakichś pięciu mil natknąć się na źródło tryskające pośród małej, usłanej gładzi polanki. Spomiędzy skał wypływało z bulgotem ze dwadzieścia lodowato zimnych strug. Po północnej stronie polanki wznosiły się na wysokość dobrych siedemdziesięciu stóp strome ściany z piaskowca, u podnóża których rosły wysokie drzewa niemal zasłaniając urwiska przed naszym wzrokiem. Na zachodzie rozciągała się płaska i rzadko zadrzewiona kraina i tam właśnie ujrzelśmy naszą pierwszą sztukę – wielkiego czerwonego jelenia, Skubał w oddali trawę i nie zauważył nas jeszcze, kiedy jeden z ludzi mi go pokazał. Poleciwszy im na migi, by zachowali ciszę i położyli się, popędziłem w kierunku ofiary zabierając ze sobą tylko Whitely'ego. Zdołaliśmy podczołgać się do jelenia na odległość niespełna stu jardów, kiedy ten nagle poderwał zwieńczony wspaniałym porożem łeb i zastrzygł wielkimi uszami. Wypaliliśmy obaj równocześnie, by z satysfakcją ujrzeć, że zwierzę pada; potem zerwaliśmy się z ziemi i pobiegliśmy, by dobić je nożami, jeleni leżał na niewielkiej polance przylegającej do kępy akacji. Zbliżywszy się do naszej zdobyczy na kilka jardów, stanęliśmy jednocześnie jak wryci. Whitely zerknął na mnie, ja na Whitely'ego, a potem obaj spojrzeliśmy znowu w kierunku, gdzie leżał jeleni.

– Jasny gwint! – mruknął Whitely. – Co za licho, sir?

– Wygląda mi to. Whitely, na błąd w sztuce – powiedziałem. – Jakiegoś pomocniczego boga, który zajmował się stwarzaniem słońi, musiano czasowo przenieść do działu jaszczurek.

– Ja bym tak nie mówił, sir – obruszył się Whiteley. – To mi podpada pod bluźnierstwo.

– Nie więcej tu bluźnierstwa niż w tym stworze, który doprowadza nam mięso – odparłem, bo czymkolwiek był rzeczony stwór, dopadł on naszego jelenia i rozdzierając go na wielkie kęsy pożerał je łapczywie łykając bez przeżuwania. Potwór okazał się wielkim jaszczurem mierzącym co najmniej dziesięć stóp wysokości, z grubym silnym ogonem takiej samej długości co tułów, silnie umięśnionymi kończynami zadnimi i krótkimi przednimi Wyłoniwszy się spośród drzew poruszał się skokami na modłę kangura, odbijając się od ziemi tylnymi nogami, a kiedy przystawał, podpierał się ogonem. Łeb miał długi i masywny, spłaszczony na przodzie, a szczęki były zbrojne w długie ostre zęby. Łuskowate cielsko pokrywały czarno-żółte łaty o średnicy mniej więcej jednej stopy i nieregularnym konturze. Łaty te obrysowane były czerwonymi obwódkami szerokości cala. Dolna część klatki piersiowej, podbrzusza i spód ogona miały barwę zielonkawo-białą.

– A może by tak ustrzelić tego pawia, sir? – zasugerował Whitely.

Poleciłem mu, żeby czekał na mój znak, a potem wypalimy równocześnie – on w serce, ja w kark.

– Tak jest, sir, w serce – odparł i uniósł broń do ramienia.

Huk naszych wystrzałów zlał się w jedną salwę. Stwór poderwał łeb i rozglądał się dopóty, dopóki jego wzrok nie spoczął na nas; wówczas wydał z siebie najbardziej zatrważający syk, jaki dane mi było słyszeć, który narósł stopniowo do crescendo straszliwego wrzasku. Wtedy właśnie zwierzę na nas ruszyło.

– W nogi, Whitely! – krzyknąłem odwracając się, by samemu wziąć nogi za pas.

Znajdowaliśmy się mniej więcej ćwierć mili od reszty oddziału i widzieliśmy ich doskonale, jak leżą w wysokiej trawie obserwując nasze poczynania. O tym, że śledzili wszystko, co zaszło,

świadczył fakt, iż teraz poderwali się z ziemi i ruszyli biegiem w naszą stronę, a na czele sadił wielkimi susami Nobs. Ścigający nas stwór zbliżał się szybko. Wierny Nobs, który przemknął obok mnie niczym meteor, rzucił się na straszliwego gada bez chwili wahania. Usiłowałem go przywołać, ale nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, a ponieważ nie darowałbym sobie, gdyby zginął poświęcając się za mnie, sam się zatrzymałem i stawiłem czoło potworowi. Wyglądało na to, że na zwierzu większe wrażenie wywarł Nobs niż nasza broń palna, bo widząc atakującego i ujadającego airedalczyka zatrzymał się i kłapał wściekle szeroką paszczą, by go pochwycić.

Ale w porównaniu z wolno myślącą bestią Nobs był niczym błyskawica i z łatwością uniknął ataku przeciwnika, by zaszedłszy ogromnego stwora od tyłu capnąć go za ogon. I tu Nobs popełnił największy błąd swego życia. W tym cętkowanym organie znajdowały się bowiem tytaniczne mięśnie o mocy tuzina potężnych katapult. Właściciel ogona był w pełni świadom swych ukrytych możliwości. Jednym ruchem jego czubka wyrzucił Nobsa na sto stóp ponad ziemię i nieszczęsne psisko, zataczając w powietrzu wielki luk, wylądowało dokładnie w kępie akacji, spomiędzy których bestia rzuciła się na nasze trofeum. W chwilę potem groteskowy potwór osunął się bez życia na ziemię.

Nim upłynęła minuta, Olson i von Schoenvorts ze swymi ludźmi byli już przy nas; podeszliśmy wszyscy ostrożnie do nieruchomego cielska spoczywającego na ziemi. Stwór był martwy, a oględziny wykazały niezbitcie, że pocisk Whitely'ego przeszył mu serce, mój zaś przerwał rdzeń pacierzowy.

– No to dlaczego nie padł na miejscu? – wykrzyknąłem.

– Dlatego – powiedział von Schoenvorts właściwym sobie pogardliwym tonem – że ta bestia jest tak wielka, a jej system nerwowy tak słabo rozwinięty, iż tyle czasu trwało dotarcie komunikatu o śmierci do jej małego mózgu i przetworzenie przezeń tej informacji. Stwór zginął w momencie, gdy weszły w niego wasze pociski; ale przez kilka sekund – może przez minutę – nie wiedział o tym. O ile się nie mylę, jest to allozaur z górnej jury, którego szczątki znaleziono niedawno w środkowym Wyoming, na przedmieściach Nowego Jorku.

Irlandczyk o nazwisku Brady uśmiechnął się. Dowiedziałem się później, że służył kiedyś trzy lata w wydziale drogowym policji miasta Chicago.

Przez cały ten czas przywoływałem Nobsa i miałem właśnie ruszyć na jego poszukiwanie (prawdę mówiąc, zwlekałem w obawie, że znajdę go pokiereszowanego lub martwego pośród drzew tego akacyjowego lasu), kiedy raptem psisko wyłoniło się spomiędzy pni z uszami po sobie, podwiniętym ogonem i ciałem wykręconym w pokorne S. Nie licząc drobnych potłuczeń nic mu się nie stało; ale wyglądał na najkarniejszego psa pod słońcem.

Pozbieraliśmy, co zostało z czerwonego jelenia po obdarciu go ze skóry i oczyszczeniu, i wyruszyliśmy w drogę powrotną na U-boota. Podczas marszu ja, Olson i von Schoenvorts omawialiśmy niezbędne posunięcia na najbliższą przyszłość i jednomyślnie postawiliśmy na pierwszym miejscu potrzebę założenia stałego obozowiska na brzegu. Z punktu widzenia przydatności do zamieszkiwania wewnątrz U-boota jest miejscem nieznośnym i niewygodnym – jak to sobie nietrudno wyobrazić – no a w ciepłym klimacie i na ciepłej wodzie wprost nie można w nim było wytrzymać. Postanowiliśmy zatem zbudować obóz na lądzie otoczony palisadą.



## Rozdział VI

Wracaliśmy niespiesznie na łódź, dyskutując nad tym projektem i dogadując szczegóły, kiedy nagle wstrząsnął nami huk głośnie; detonacji.

– To wystrzał z U-33: – krzyknął von Schoenvorts.

– Co to może oznaczać? – zdumiał się Olson,

– Mają jakieś kłopoty – odpowiedziałem za wszystkich. – Musimy tam jak najszybciej wracać. Rzućcie to ścierwo – poleciłem ludziom dźwigającym mięso – i za mną! – Puściłem się pędem w kierunku przystani.

Przebiegliśmy ponad pół mili i nie słysząc niczego więcej od strony przystani, zwolniliśmy, by przejść w marsz, gdy zaczęły dawać o sobie znać skutki długotrwałego przebywania w ciasnym wnętrzu U-33. Sapiąc i dysząc ciężko, wlekliśmy się noga za nogą, aż niecałą milę od przystani oczom naszym ukazał się widok, który osadził wszystkich w miejscu. Przedzieraliśmy się właśnie przez zarośla nieco gęstsze niż przeciętnie w tej okolicy i nagle znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Niedaleko od nas stała gromada na której widok nawet najodważniejsi zatrzymaliby się jak wryci. Składała się z ponad pięciuset osobników reprezentujących kilka gatunków blisko spokrewnionych z człowiekiem. Były tam małpy człekokształtne i goryle – z rozpoznaniem tych nie miałem żadnych trudności; ale wśród nich dostrzegałem też istoty, których nigdy dotąd nie widziałem i trudno mi było nawet stwierdzić, czy to małpy, czy ludzie. Niektóre przypominały trupa, którego znaleźliśmy na wąskiej plaży u stóp ściany odgradzającej Capronę od morza, podczas gdy inne należały do niższego typu, bardziej przypominając małpy, a jeszcze inne wykazywały bezsprzecznie wiele cech wspólnych z człowiekiem, i te stały na dwóch nogach, były mniej obficie owłosione i miały lepiej ukształtowane dłonie.

W tej zbieraninie wyróżniał się jeden osobnik, najwyraźniej przywódca, cechujący się bliskim podobieństwem do tak zwanego człowieka neandertalskiego z La Chapelle-aux-Saints. Ten sam krótki, krepy tułów, na którym tkwiła olbrzymia głowa pochylona z nawyku do przodu, przez co potylicą stanowiła przedłużenie krzywizny pleców; ramiona krótsze od nóg; golenie znacznie krótsze niż u współczesnego człowieka; kolana zaś podane w przód i nigdy się nie prostujące. Stworzenie to, jak również dwa inne osobniki stojące na drabinie ewolucji niżej od niego, wyżej jednak od małp, dzierżyły ciężkie maczugi, reszta uzbrojona była tylko w potężne mięśnie i ostre kły – czyli w broń, w jaką wyposażyła je natura. W gromadzie były wyłącznie samce i wszystkie zupełnie nagie; nawet na stojących najwyżej pod względem rozwoju nie dostrzegłem śladu jakichkolwiek ozdób.

Na nasz widok zwróciły się ku nam z niskim pomrukiem, szczerząc kły. Nie chciałem otwierać do nich ognia, chyba że okazałoby się to absolutnie konieczne, poprowadziłem więc swój oddział w bok, obchodząc je szerokim łukiem; ale neandertalczyk odgadł najwyraźniej moje zamiary i uznając je za przejaw tchórzostwa rzucił się na nas z dzikim okrzykiem, wymachując nad głową maczugą. Reszta poszła za jego przykładem i jeszcze chwila, a musielibyśmy ulec ich liczebnej

przewadze. Wydałem rozkaz otwarcia ognia i po pierwszej salwie padło sześciu napastników, a wśród nich neandertalczyk. Pozostali wahali się przez moment, po czym umknęli pod osłonę drzew, jedni wdrapując się na nie i biegnąc zwinnie po konarach, inni niknąc nam z oczu za pniami. Zarówno von Schoenvorts, jak i ja zauważyliśmy, że dwa stojące wyżej pod względem ewolucji osobniki z gatunku człekokształtnych w drapały się na drzewo równie zwinnie co małpy, podczas gdy inne, które bardziej przypominały człowieka, jeśli chodzi o sposób poruszania się i wygląd, wraz z gorylami szukały schronienia na ziemi.

Oględziny pola walki wykazały, że pięciu z naszych niedoszłych napastników nie żyje, a szósty, ten neandertalczyk, jest tylko lekko ranny od pocisku, który ześlizgnął się po grubej czaszce ogłuszając go. Postanowiliśmy zabrać go ze sobą do obozu. Nie czekając aż odzyska przytomność, skrępowaliśmy mu pasami ręce za plecami i założyliśmy pętlę na szyję. Potem, wyciągnąwszy z przeżytej przygody uspokajający wniosek, że ci z U-33 byli w stanie przepłoszyć tę gromadę jednym wystrzałem z działa, wróciliśmy po własnych śladach do porzuconego mięsa – ale kiedy dotarliśmy na miejsce, jelenia już tam nie było.

W drodze powrotnej Whitely i ja wysforowaliśmy się na jakieś sto jardów przed resztą oddziału w nadziei, że uda nam się ustrzelić jeszcze coś jadalnego, bo wszyscy byliśmy wielce przygnębieni i rozgoryczeni utratą upolowanej dziczyzny. Posuwaliśmy się z Whitelym bardzo ostrożnie i dzięki temu, że nie szliśmy z całą grupą, powiodło nam się lepiej niż w drodze w tamtą stronę, bo niecałe pół mili od przystani położyliśmy trupem dwie wielkie antylopy. I tak, z upolowaną zwierzyną i pojmanym jeńcem, wróciliśmy pokrzepieni na duchu na łódź, gdzie zastaliśmy wszystko w najlepszym porządku. Na brzegu, trochę na północ od miejsca, w którym przycumowaliśmy, leżały trupy dwudziestu dzikich stworzeń, które pod naszą nieobecność zaatakowały Bradleya i jego grupę, a których resztę napotkaliśmy i pogoniliśmy w kilka minut później.

W naszym odczuciu daliśmy dzikim małpoludom lekcję i mieliśmy nadzieję, że dzięki temu będziemy bezpieczniejsi w przyszłości – przynajmniej jeśli chodzi o te istoty. Postanowiliśmy jednak ani trochę nie zaniedbywać ostrożności czując, że otaczający nas świat pełen jest zagrożeń, o których wciąż jeszcze nic nie wiemy. No i nie myliliśmy się.

Polowe nocy przesiedzieliśmy z Bradleyem, Olsonem, von Schoenvortsem i panną La Rue omawiając sprawę budowy obozu i szkicując plany, a rano rozpoczęliśmy prace. Wysłaliśmy ludzi do wyrębu drzew na budulec, decydując się ostatecznie *najarrah* – twarde, wodoodporne drzewo przypominające właściwościami mahoń, rosnące nie opodal w wielkiej obfitości. Podczas gdy połowa ludzi pracowała, druga połowa stała na straży, przy czym co godzinę następowała zmiana ról, a w południe zarządziliśmy godzinny odpoczynek. Pracami przy wyrębie kierował Olson. Bradley, von Schoenvorts i ja, mając do pomocy pannę La Rue, wytyczaliśmy palikami miejsca pod baraki rozmaitego przeznaczenia i zewnętrzną palisadę. U schyłku dnia mieliśmy już spory zapas pni z wyciętymi fachowo wrębami, gotowych do montażu, który miał się rozpocząć nazajutrz, i byliśmy zmordowani, bo po zakończeniu palikowania wszyscy, prócz von Schoenvortsa, zabraliśmy się do ścinania drzew i pomocy przy ich wstępnej obróbce. Jeśli chodzi o niemieckiego kapitana, to będąc Prusakiem i dżentelmenem nie mógł się zniżyć do tak służebnego zajęcia w obecności swoich ludzi, a mnie nie wypadało go o to prosić, ponieważ udział w pracach był z naszej strony całkowicie dobrowolny. Niemiec spędził więc popołudnie strugając sobie laseczkę z gałęzi *jarrab* i gawędząc z panną La Rue, która na tyle już mu przebaczyła, że zaczęła zauważać jego istnienie.

Nie dostrzegliśmy śladów obecności dzikich ludzi z poprzedniego dnia i tylko raz zagroził nam

jeden z niesamowitych mieszkańców Caprony w postaci przerażającego koszmaru, który spłynął na nas z nieba, ale został zaraz odpędzony gradem pocisków. Stwór był chyba jakąś odmianą pterodaktyla i – potężny i dziki – wzbudził w nas wielką grozę. Wydarzył się też jeszcze jeden incydent, który, przynajmniej dla mnie, był o wiele bardziej przykry od niespodziewanego ataku latającego gada. Dwaj ludzie, obaj Niemcy, oczyszczali zrąbane drzewo z gałęzi. Von Schoenvorts ukończył już swoją laseczkę i razem ze mną przechodził w pobliżu miejsca, w którym pracowała ta dwójka.

Jeden z drwali odrzucił za siebie odciętą właśnie małą gałąź i ta, nieszczęśliwym zrzędzeniem losu, trafiła von Schoenvortsa w twarz. Nie mogła wyrządzić mu krzywdy, bo po uderzeniu nie pozostał żaden ślad, ale von Schoenvorts wpadł w straszny szal.

– Baczność! – wrzasnął rozjuszony. Marynarz wyprostował się niczym pchnięty sprężyną i wykonawszy w tył zwrot stanął twarzą w kierunku swojego przełożonego stukając przy tym obcasami i salutując. – Ty świnió! – ryknął baron i rąbnął pechowca pięścią w twarz łamiąc mu nos.

Schwyciłem von Schoenvortsa za ramię i odciągnąłem go energicznie do tyłu, zanim zdążył zadać kolejny cios, jeśli w ogóle miał taki zamiar, a wtedy on uniósł swoją laseczkę” żeby mi nią przyłożyć. Zanim ją jednak opuścił, wpakowałem mu w brzuch lufę swego pistoletu i musiał dostrzec w moich oczach zapowiedź, że nic nie sprawi mi większej satysfakcji jak pretekst do naciśnięcia na spust. Podobnie jak wszystkie zbiry jego pokroju, von Schoenvorts był podszyty tchórzem, tak więc opuścił uniesioną rękę i zaczął się odwracać. Ja jednak powstrzymałem go i w obecności jego ludzi zapowiedziałem mu, że coś takiego nie może się już powtórzyć, że żaden człowiek nie będzie tu bity ani w jakikolwiek inny sposób karany inaczej niż na podstawie wyroku zgodnego z uchwalonym wspólnie kodeksem i wydanego przez powołany sąd. Marynarz stał przez cały czas wyprężony, a z wyrazu jego twarzy nie potrafiłem odczytać, czy jest bardziej oburzony ciosem, jaki wymierzył mu przełożony, czy tym, że zakwestionowałem prawa potomka kajzera. I nie poruszył się, dopóki nie zwróciłem się bezpośrednio do niego:

– Plessler, możecie wrócić na kwaterę i opatrzyć sobie ranę.

Wtedy dopiero zsalutował i odmaszerował sztywno w kierunku U-33.

Tuż przed zmierzchem wypłynęliśmy na zatokę i zarzuciliśmy kotwicę sto jardów od brzegu, bo miałem przecucie, że tam będziemy najbezpieczniejsi. Wyzaczyłem też ludzi do trzymania nocnej wachty, a jej dowódcą mianowałem Olsona, radząc mu, by wyniósł na pokład swoje koce i wypoczął, na ile to będzie możliwe. Podczas obiadu kosztowaliśmy naszej pierwszej na Capronie pieczeni z antylopy, a na deser była papka z rosnać; nad strumieniem zieleniny, której nazrywał kucharz. Przez cały posiłek von Schoenvorts siedział naburmuszony i nie odzywał się.

Po obiedzie wyszliśmy wszyscy na pokład, by obserwować egzotyczne sceny rozgrywające się pośród caprońskiej nocy – a ściślej mówiąc wszyscy z wyjątkiem von Schoenvortsa. Więcej było słycać niż widać. Z wielkiego śródziemnego jeziora, które zostawiliśmy za sobą, dochodziły posykiwania i wrzaski niezliczonych jaszczurów. Nad sobą słyszeliśmy łopot gigantycznych skrzydeł, natomiast z brzegu wznosiła się pod niebo wrzawa tropikalnej dżungli, której parna, wilgotna atmosfera musiała spowijać całą ziemię w erach paleozoicznej i mezozoicznej. Ale tutaj rozlegały się też odgłosy z er późniejszych: – wrzask pantery, ryk lwa, wycie wilków i grzmiące pomruki, których nie potrafiliśmy przypisać żadnej ziemskiej istocie, ale które pewnego dnia mieliśmy skojarzyć z najstraszliwszym z prehistorycznych stworów.

Jeden po drugim Judzie rozchodzili się do swoich kajut, aż w końcu na pokładzie pozostaliśmy

tylko ja i dziewczyna, bo pozwoliłem wachcie zejść na kilka minut na dół. Panna La Rue zachowywała się bardzo powściągliwie, chociaż dosyć uprzejmie odpowiadała na wszystko, co mówiłem, a co wymagało odpowiedzi. Spytałem, czy dobrze się czuje.

– Tak – odparła – ale przygnębia mnie okropność tego wszystkiego. Czuję się taka zagubiona, taka mała i bezradna w obliczu mnogości przejawów życia przesiąkniętych do szpiku kości okrucieństwem i brutalnością. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak kruche i bezwartościowe jest życie. Życie wydaje się tu żartem, okrutnym, ponurym żartem. Jest się tu przypadkiem śmiechu wartym albo mrozącym krew w żyłach, zależnie od tego, czy los dał mniej, czy więcej siły niż jakiejś innej formie życia, która staje na drodze. Ale w zasadzie nie znaczy się zupełnie nic dla niczego, prócz samego siebie. Jest się komiczną małą figurką przeskakującą z kołyski wprost do grobu. Tak, w tym cała nasza tragedia, gdyż bierzemy siebie zbyt poważnie; ale Caprona powinna być na to skutecznym lekarstwem. – Urwała i roześmiała się.

– Wysznułaś piękną teorię filozoficzną – powiedziałem. – Wypełnia tę tęsknotę, jaka tkwi w ludzkiej piersi. Jest spójna, jest satysfakcjonująca, nobilituje. Rasa ludzka byłaby bliższa doskonałości, gdyby teorię tę wymyślił pierwszy człowiek i gdyby przetrwała ona do dnia dzisiejszego jako credo ludzkości.

– Nie cierpię ironii – fuknęła. – Oznacza małoduszność.

– A czegoż innego spodziewałabyś się po „komicznej małej figurce przeskakującej z kołyski do grobu”? – odparowałem. – A zresztą jaka to różnica, co ci się podoba, a co nie? Jesteś tutaj tylko przez chwilę i nie możesz brać siebie tak poważnie.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Wydaje mi się, że jestem przerażona i przygnębiona – powiedziała – i wiem, że bardzo, ale to bardzo tęsknię za domem i że czuje się samotna.

Gdy skończyła, głos jej się niemal załamywał. Po raz pierwszy rozmawiała ze mną w ten sposób. Mimowolnie położyłem rękę na jej zaciśniętych na relingu dłoniach.

– Wiem, jak trudna jest twoja sytuacja – rzekłem – ale nie wmawiaj sobie, że jesteś samotna. Jest... jest taki ktoś, kto... kto uczyniłby dla ciebie wszystko – dokończyłem zażenowany.

Nie cofając ręki podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Po policzkach spływały jej łzy, a w oczach wyczytałem podziękowanie, które nie mogło przejść jej przez usta. Zaraz jednak odwróciła wzrok i zapatrzony się w niesamowity krajobraz zalany księżycową poświatą, westchnęła. Nowo odkryta przez nią filozofia najwyraźniej rozbrzmiewała jej wciąż w uszach, bo chyba traktowała siebie poważnie. Zaprzagnąłem wziąć ją w ramiona i wyznać jak bardzo ją kocham, i już odrywałem jej dłoń od relingu, by przyciągnąć Lys do siebie, kiedy na pokład wygramolił się Olson ze swym posłaniem.

Nazajutrz zabraliśmy się na dobre do stawiania ścian i praca posuwała się sprawnie. Trochę kłopotów sprawiał neandertalczyk. Kiedy ktoś się do niego zbliżał, wpadał w dziki szał i musieliśmy trzymać go bez przerwy zakutego w kajdanki. Ale z czasem złagodniał nieco, a wtedy podjęliśmy próbę przekonania się, czy włada jakimś językiem. Lys poświęciła wiele czasu na przemawianie doń i próby nawiązania z nim kontaktu, długo jednak jej starania spełzały na niczym. Budowa wszystkich baraków, które wznosiliśmy blisko zimnego strumienia, jakieś dwie mile od przystani, zajęła nam trzy tygodnie.

Skorygowaliśmy nieco nasze plany, kiedy przyszło do stawiania palisady, bo w pobliżu znaleźliśmy zwietrzałe urwisko, skąd mogliśmy pozyskiwać budulec i korzystając z tego otoczyliśmy wszystkie budynki kamiennym murem. Wznieśliśmy go na planie kwadratu o boku stu trzydziestu

pięciu stóp, z bastionami i wieżami w każdym narożu, które miały umożliwić prowadzenie ognia wzdłuż dowolnego boku fortu. Grubość muru u podstawy wynosiła trzy stopy, a u szczytu około półtorej stopy, natomiast jego wysokość – piętnaście stóp. Budowa muru trwała dosyć długo i braliśmy w niej udział wszyscy prócz von Schoenvortsa, który, nawiasem mówiąc, jeśli nie liczyć spraw oficjalnych, nie odzywał się do mnie od czasu naszego starcia; ten stan zbrojnej neutralności nawet mi odpowiadał.

Dzisiejszy dzień upłynął nam na ostatnich pracach wykończeniowych. Dopiero przed tygodniem zszedłem z placu budowy i podjąłem prowadzenie kroniki naszych niesamowitych przygód, co usprawiedliwia ewentualne drobne nieścisłości w chronologii, które, niewykluczone, że się wkradły; materiału było tyle, że mogłem popełnić jakieś błędy, ale jeśli nawet, to są one z pewnością mało istotne i nieliczne.

Czytając teraz kilka ostatnich stron zauważam, że pomiąłem milczeniem takt poczynionego w końcu przez Lys odkrycia, iż neandertalczyk posługuje się jednak jakimś językiem. Rozszyfrowała go w pewnym zakresie i podzieliła się ze mną swą wiedzą. To właśnie neandertalczyk – a twierdził, że nazywa się Am albo Ahm – powiedział nam, że kraina, w której się znajdujemy, nazywa się Caspak. Kiedy zapytaliśmy go, jak daleko się rozciąga, zamachał nad głową obiema rękami we wszechogarniającym geście, który najwyraźniej oznaczał cały wszechświat. Zachowuje się teraz bardziej ugodowo i zamierzamy go uwolnić, bo zapewnił nas, że nie pozwoli swoim współziomkom wyrządzić nam krzywdy. Nazywa nas Galu i utrzymuje, że wkrótce on też będzie Galu. Nie bardzo wiemy, co chce przez to powiedzieć. Twierdzi, że na północy żyje wielu podobnych nam Galu i jak tylko on się takim stanie, uda się tam, by wśród nich zamieszkać.

Ahm wybrał się z nami wczoraj na polowanie i był pod wielkim wrażeniem łatwości, z jaką nasze karabiny zadają śmierć antylopom i jeleniom. Wszystkiego mamy w bród, bo Ahm pokazał nam jadalne owoce, bulwy i zioła, a dwa razy w tygodniu robimy wypady po świeże mięso. Pewną część mięsa suszymy (a właściwie wędzimy) i magazynujemy, bo nie wiemy, co nas jeszcze czeka. Przesuszyliśmy też wielkie ilości dwóch odmian zboża, które rośnie dziko kilka mil na południe od nas. Jedną z tych odmian jest gigantyczna indiańska kukurydza – wysokopienna bylina osiągająca często wysokość pięćdziesięciu i sześćdziesięciu stóp, o kolbach rozmiarów ludzkiego tułowia i ziarnach wielkich jak pięść. Wznieśliśmy drugi barak magazynowy, aby pomieścić wielką obfitość zgromadzonych zapasów.

*3 września 1916.*

Dziś mija trzeci miesiąc od chwili, gdy torpeda wystrzelona z U-33 zmusiła mnie do opuszczenia spokojnego pokładu amerykańskiego statku i dała początek niesamowitej podróży, która zakończyła się tu, na Caspak. Pogodziliśmy się już z naszym losem, bo wszyscy jesteśmy przekonani, że żadne z nas nigdy już nie ujrzy świata zewnętrznego. Powtarzane przez Ahma zapewnienie, iż na Caspak żyją podobne nam ludzkie istoty, mocno nas zaintrygowało i bardzo chcieliśmy się przekonać, czy jego słowa są prawdziwe. W zeszłym tygodniu wysłałem grupę zwiadowczą pod dowództwem Bradleya. Towarzyszył im Ahm, któremu daliśmy już swobodę poruszania się. Maszerowali przez dwadzieścia pięć mil w kierunku zachodnim napotykając po drodze mnóstwo strasznych bestii i gadów, ale tylko kilka istot człękokształtnych, które Ahm odprawił. A oto raport Bradleya z tej ekspedycji:

„Tego dnia przeszliśmy piętnaście mil i rozbiliśmy obóz na brzegu wielkiego strumienia

płynącego na południe. Zwierzyny jest mnóstwo i zaobserwowaliśmy kilka gatunków, których dotąd na Caspak nie widzieliśmy. Tuż przed przystąpieniem do rozbijania obozu zostaliśmy zaatakowani przez ogromnego nosorożca włochatego, którego Plesser położył wspianym strzałem. Na kolację jedliśmy steki z nosorożca. Ahm nazwał tego stwora *atis*. Od chwili opuszczenia fortu aż do założenia obozu toczyliśmy prawie nieprzerwaną bitwę. Umysłowi człowieka niełatwo ogarnąć obfitość krwiożerczych form życia zamieszkujących ten zaginiony świat; a tych, które padają ich ofiarą, jest, ma się rozumieć, jeszcze więcej.

Drugiego dnia, po pokonaniu około dziesięciu mil, znaleźliśmy się u stóp urwiska. Przedzieraliśmy się przez gęste lasy rosnące tuż u podnóża. Napotkaliśmy stado składające się ze stworzeń człekokształtnych i małą niższego rzędu, a kilku moich ludzi przysięga, że widzieli wśród nich białego człowieka. W pierwszej chwili stado było skłonne nas zaatakować, ale salwa z karabinów wybiła im to ze łbów. Wdrapaliśmy się na urwisko najwyżej, jak się dało, ale przed samym szczytem jest ono idealnie pionowe i pozbawione jakichkolwiek zagłębień czy występów, które posłużyć by mogły za uchwyt dla ręki albo oparcie dla stopy. Wszyscy byliśmy rozczarowani, bo tęskniliśmy za widokiem oceanu. Mieliśmy nawet nadzieję, że dostrzeżemy jakiś przepływający statek i ściągniemy na siebie jego uwagę. Nasza wyprawa ustaliła jedną rzecz, która prawdopodobnie okaże się mało nam przydatna i nigdy nie przeniknie poza ściany Caprony – krater ten był niegdyś całkowicie wypełniony wodą. Niezaprzeczalny tego dowód widnieje na ścianach urwiska.

Droga powrotna zajęła nam dwa dni i jak zwykle obfitowała w przygody. Wszyscy coraz bardziej przywykamy do przygód. Wręcz zaczynają nam się przejadać. Ofiar w ludziach nie było, nikt też nie zachorował.”

Czytając raport Bradleya nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Przez te cztery dni przeżył niewątpliwie więcej przygód niż afrykański łowca grubego zwierzka przez całe życie, a skwitował to wszystko kilkoma linijkami tekstu. Tak, zaczynaliśmy się przyzwyczajać do wydarzeń niezwykłych. Nie było dnia, żeby ktoś z nas przynajmniej raz nie zajrzał w oczy śmierci. Ahm nauczył nas paru sposobów na przetrwanie; okazały się przydatne i pozwalają oszczędzać amunicję, której nie warto marnować na cele inne niż zdobywanie pożywienia lub w ostateczności dla obrony własnej. Przed atakiem wielkich latających gadów uciekamy teraz pod osłonę rozłożystych drzew; gdy zagrozi nam drapieżnik naziemny, wspinamy się na drzewa i nauczyliśmy się już, że nie wolno strzelać do dinozaurów, o ile nie jest się w stanie utrzymać poza ich zasięgiem przez co najmniej dwie minuty od chwili trafienia gada w mózg lub kręgosłup albo pięć minut od przestrzelenia mu serca – tyle czasu umierają. Trafić je w jakiegokolwiek inne miejsce to tak, jakby nie trafić w ogóle, bo zdają się tego w ogóle nie zauważać; odkryliśmy ponadto, że takie strzały nie tylko ich nie uśmiercają, ale również nie okaleczają.

*7 września 1916.*

Wiele się wydarzyło od czasu, kiedy dokonałem ostatniego wpisu. Bradley znowu wyruszył na kolejną ekspedycję badawczą do urwisk. Przewiduje, że zajmie mu ona kilka tygodni, podczas których będzie się posuwał podnóżem szukając miejsca dogodnego do wspinaczki. Zabrał ze sobą Sinclaira, Brady’ego, Jamesa i Tippeta. Ahm gdzieś zniknął. Nie ma go już od około trzech dni. Ale najbardziej sensacyjnym wydarzeniem, jakie muszę odnotować, jest odkrycie mniej więcej piętnaście mil na północ od nas, za piaskowym urwiskiem, ropy naftowej. Zawdzięczamy to von

Schoenvortsowi i Olsonowi, którzy wybrali się wczoraj na polowanie. Olson mówi, że tryska tam gejzer ropy, a von Schoenvorts czyni przygotowania do jej rafinacji. Jeśli mu się powiedzie, będziemy mogli wydostać się z Caspak i powrócić do naszego świata. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Jesteśmy wszyscy w siódmym niebie. Daj Boże, abyśmy nie doznali wielkiego rozczarowania.

Próbowałem kilkakrotnie wyznać Lys swą miłość, ale nie chciała mnie słuchać.

## Rozdział VII

*8 października 1916.*

To ostatni wpis do mojego notatnika, jakiego dokonam. Uczyniwszy to, zaprzestam prowadzenia kroniki. Choć modlę się, by relacja moja trafiła na szlaki uczęszczane przez cywilizowanego człowieka, rozsądek podpowiada mi, że poza mymi nie spoczną na niej nigdy niczyje oczy, a nawet gdyby stało się inaczej, będzie za późno, by mi pomóc. Stoję sam na szczycie wielkiego urwiska wychodzącego na szeroki Pacyfik. Zimny południowy wiatr przenika mnie do szpiku kości, a ja widzę daleko w dole tropikalną roślinność Caspak z jednej strony i ogromne góry lodowe z okolic Antarktyki z drugiej. Za chwilę wepchnę mój rękopis do termosu, który zabrałem specjalnie w tym celu opuszczając fort – nazwaliśmy go Fortem Dinozaur – i cisnę z szczytu urwiska daleko przed siebie w Pacyfik. Nie wiem, jaki prąd omywa wybrzeża Caprony; nie mam pojęcia, dokąd poniesiony zostanie mój termos; ale uczyniłem wszystko co w mocy śmiertelnika, żeby powiadomić świat o miejscu mojego pobytu i o niebezpieczeństwach, które zagrażają tym z nas, którzy pozostali jeszcze na Caspak przy życiu – jeśli poza mną żyje tu ktoś jeszcze.

Około ósmego września wybrałem się z Olsonem i von Schoenvortsem do gejzera ropy. Towarzyszyła nam Lys i zabraliśmy ze sobą sprzęt potrzebny von Schoenvortsowi do sklecenia prowizorycznej rafinerii. Przyплыliśmy na U-33 jakieś dziesięć do dwunastu mil wzdłuż brzegu i przycumowaliśmy w pobliżu ujścia małego strumienia, którym spływały do morza – trudno mi inaczej nazwać to ogromne jezioro – wielkie ilości ropy. Tam zeszliśmy na brzeg i ruszyli w głąb lądu, by pokonawszy około pięciu mil wyjść na wypełnione całkowicie ropą naftową małe jezioro, pośrodku którego tryskał gejzer.

Pomogliśmy von Schoenvortsowi w budowie jego prymitywnej rafinerii na brzegu jeziora. Pracowaliśmy z nim przez dwa dni, aż do pomyślnego rozruchu instalacji, po czym wróciliśmy do Fortu Dinozaur, bo obawiałem się, że Bradley wróci i będzie zaniepokojony naszą nieobecnością. U-33 wysadził tylko na ląd tych z nas, którzy mieli wrócić do fortu i zaraz odplynał z powrotem do roponośnego szybu. Na ląd zeszli Olson, Whitely, Wilson, panna La Rue i ja, a von Schoenvorts ze swą niemiecką załogą wrócił, by rafinować naftę. Następnego dnia nadeszli lądem Plesser z jeszcze dwoma Niemcami, by pobrać amunicję. Plesser twierdził, że zostali zaatakowani przez dzikich ludzi i mnóstwo amunicji zużyli w walce. Prosił też o pozwolenie zabrania zapasu suszonego mięsa i kukurydzy argumentując, że są zbyt zajęci przy rafinowaniu, by znaleźć czas na polowania. Dałem mu wszystko, o co prosił, i nie przyszło mi do głowy najmniejsze podejrzenie co do ich zamiarów. Tego samego dnia wyruszyli w drogę powrotną do roponośnego pola, a my zajęliśmy się znowu wielorakimi obowiązkami obozowego życia.

Przez trzy dni nie wydarzyło się nic ważnego. Bradley nie wrócił. Nie mieliśmy też żadnych wiadomości od von Schoenvortsa. Pewnego wieczora weszliśmy z Lys na jedną z wież bastionu i słuchaliśmy ponurych, strasznych odgłosów nocnego życia tych przerażających, zamierzchłych



wieków. W pewnej chwili ryknął niemal pod nami tygrys szablatozębny i dziewczyna wzdrygnąwszy się przywarła do mnie. Gdy poczułem dotyk jej ciała, cała moja miłość tłumiona przez te trzy długie miesiące zerwała pęta nieśmiałości i niezdecydowania. Wzięłem Lys w ramiona pokrywając pocałunkami jej twarz i usta. Nie próbowała mi się wyrwać; wręcz przeciwnie – otoczyła mą szyję ramionami, by przyciągnąć moją twarz jeszcze bliżej ku swojej.

– Kochasz mnie, Lys? – krzyknąłem. Wyczułem, jak przytulona do mych piersi głowa dziewczyny porusza się potakująco.

– Powiedz mi to, Lys – błagałem – powiedz mi na głos, jak bardzo mnie kochasz.

Padła cicha, słodka i czuła odpowiedź:

– Kocham cię bez pamięci.

W tym momencie uniesienie wypełniło moje serce. Jest nim wypełnione i teraz, podobnie jak za każdym razem, kiedy wspominam te drogie mi słowa, jak będzie się wypełniać zawsze, do kresu mych dni. Mogę jej już nie ujrzeć. Ona może nie wie, jak bardzo ją kocham, może nie wierzy w moje zapewnienia, może wątpi, ale moje serce rozpala zawsze szczerą i niezmienną miłość do dziewczyny, która tamtej nocy powiedziała: „Kocham cię bez pamięci.”

Długo siedzieliśmy na małej ławeczce zbitej dla strażnika, którego do tej pory nie uznaliśmy za konieczne wystawiać w więcej niż jednej wieży. Przez te dwie krótkie godziny poznaliśmy się nawzajem lepiej niż przez wszystkie miesiące, jakie minęły od chwili, gdy w tak dramatycznych okolicznościach zetknął nas los. Wyznała mi, że kocha mnie od pierwszego wejrzenia i że nigdy nie kochała von Schoenvortsa, a ów związek został zaaranżowany przez jej ciotkę ze względów towarzyskich.

Był to najszczęśliwszy wieczór mego życia i nigdy nie spodziewałem się podobnego doświadczyć, ale jak to ze szczęśliwymi chwilami bywa, skończył się, niestety. Zeszliśmy do obozowiska i odprowadziłem Lys do drzwi jej kwatery. Tam znowu mnie pocałowała i życzyła dobrej nocy, a potem weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Wróciłem do swojej izby i siedząc przy świetle jednej z prowizorycznych świec, jakie sporządziliśmy z sadła upolowanej bestii, przeżywałem po wielokroć słodkie chwile tego wieczoru. W końcu zmogło mnie zmęczenie i zapadłem w sen śniąc szczęśliwe wizje i snując plany na przyszłość, bo nawet w dzikim Caspak spoczywał na mnie obowiązek zapewnienia mej dziewczynie bezpieczeństwa i szczęścia. Gdy się obudziłem, był już jasny dzień. Wilson, który pełnił funkcję kucharza, był już na nogach i krzątał się w baraku przeznaczonym na kuchnię. Pozostali jeszcze spali, ja jednak wstałem i w towarzystwie Nobsa udałem się nad strumień, by zażyć kąpieli. Szedłem, jak to mieliśmy w zwyczaju, uzbrojony zarówno w karabin jak i rewolwer. Rozebrałem się jednak i wykąpałem nie niepokoiony przez nic, nie licząc podejścia jednej z wielkich hien, których mnóstwo zamieszkuje jaskinie w piaskowcowych urwiskach na północ od obozu. Zwierzęta te osiągają niebywale rozmiary i będąc nadzwyczaj dzikimi. Wydaje mi się, że są odpowiednikami prehistorycznej hieny jaskiniowej. Osobnik ten zaatakował Nobsa. Caprońskie doświadczenia nauczyły już mojego wiernego przyjaciela, że od odwagi lepsza rozwaga, toteż po wydaniu serii odstraszących pomruków, które na *Hyaena spelaeus* zrobiły takie samo wrażenie, jak słodki uśmiech na rozwścieczonym odyńcu, nie zastanawiał się dłużej i dołączył do mnie skacząc na łeb na szyję do potoku. Zastrzeliłem potem tę bestię i kiedy się ubierałem, Nobs miał ucztę, bo podczas licznych wypraw myśliwskich, w których brał udział, zawsze dostawał od nas część upolowanej zwierzyny i zasmakował w surowym mięsie.

Kiedy wróciłem, Olson i Whitely już wstali, zasiedliśmy więc do pożywnego śniadania. Zastanawiało mnie, dlaczego nie ma przy stole Lys, która zaliczała się zawsze do rannych ptaszków obozu, tak więc około dziewiątej, zaniepokojony, że być może źle się poczuła, podszedłem do drzwi jej baraku i zapukałem. Nie doczekałem się żadnej odpowiedzi, chociaż na koniec waliłem już w drzwi z całych sił, przekręciłem więc skobel i wszedłem do środka po to tylko, by stwierdzić, iż jej nie ma. Łóżko było rozgrzebane, ubranie leżało tam, gdzie je ułożyła rozbierając się wieczorem; ale sama Lys zniknęła. Określenie „oszałały z przerażenia” w niewielkim tylko stopniu oddaje to, co wtedy przeżywałem. Chociaż wiedziałem, że nie może jej być w obozie, przeszukałem każdy cal kwadratowy placu i wszystkie baraki. Na próżno.

Dopiero Whitely odkrył pierwszą wskazówkę – ogromny odcisk stopy podobnej do ludzkiej w miękkiej ziemi nad strumieniem i ślady szarpaniny w błocie. Potem w pobliżu zewnętrznego muru znalazłem małą chusteczkę. Lys została porwana. Było to aż zbyt oczywiste. Jakiś odrażający członek plemienia małpoludów zakradł się do fortu i uprowadził ją. Gdy tak stałem ogłuszony i przerażony strasznym dowodem, który trzymałem w ręku, od strony wielkiego jeziora doleciał przybierający na sile odgłos. Spojrzeliśmy wszyscy w górę, bo ten przenikliwy wizg docierał najwyraźniej z nad naszych głów i w chwilę później usłyszeliśmy strasliwą eksplozję, która ścięła nas z nóg. Pozbierawszy się z ziemi stwierdziliśmy, że mur od strony zachodniej jest na długim odcinku zwalony i potrzaskany. Tym, który pierwszy otrząsnął się z oszołomienia na tyle, by zorientować się w przyczynie tego zjawiska, był Olson.

– Pocisk! – krzyknął. – A na Caspak nie ma innych pocisków poza tymi z U-33. Te skubane Szwaby ostrzeliwują fort. Szybciej! – z tymi słowami porwał swój karabin i puścił się biegiem w kierunku jeziora.

Było do niego ponad dwie mile, ale nie zatrzymaliśmy się, dopóki naszym oczom nie ukazała się przystań, a i tak nie widzieliśmy jeszcze jeziora, bo widok przesłaniały piaskowcowe urwiska. Obiegliśmy co sił w nogach niżej położony kraniec przystani, wdrapaliśmy się na wzniesienie i stanęliśmy wreszcie na szczycie, z którego roztaczał się widok na całą taflę. Hen w oddali, przy brzegu od strony rzeki, którą wpłynęliśmy kiedyś na jezioro, ujrzeliśmy na powierzchni sylwetkę U-33; z komina buchały kłęby czarnego dymu.

Von Schoenvortsowi powiodła się rafinacja nafty! Ten pies łamał wszystkie swoje obietnice i odpływał pozostawiając nas własnemu losowi. Na do widzenia ostrzelał nawet fort; oto prawdziwie pruskie pożegnanie barona Friedricha von Schoenvortsa.

Olson, Whitely, Wilson i ja staliśmy przez chwilę spoglądając jeden na drugiego. Wydawało nam się nieprawdopodobne, że człowiek może być tak perfidny – że naprawdę na własne oczy widzimy to, co widzimy; kiedy jednak wróciliśmy do fortu, zrujnowany mur dał nam namacalny dowód, że to nie zły sen.

Zaczęliśmy się teraz zastanawiać, czy Lys została uprowadzona przez małpoluda, czy przez Prusaków. Znając von Schoenvortsa wiedzieliśmy, że można się po nim spodziewać wszystkiego; ale odciski stóp nad strumieniem wydawały się niezbitym dowodem na to, że moją ukochaną porwał jednak jeden z prymitywnych caprońskich ludzi.

Gdy tylko upewniłem się, że tak właśnie było, zacząłem się przygotowywać do wyruszenia jej na ratunek. Olson, Whitely i Wilson chcieli mi towarzyszyć, ale przekonałem ich, że bardziej potrzebni są tutaj, bo w sytuacji, kiedy Bradley jeszcze nie powrócił, a Niemcy odeszli, oszczędzanie naszych sił staje się sprawą najwyższej wagi.



## Rozdział VIII

Smutne to było pożegnanie; w milczeniu wymieniliśmy uściski dłoni z pozostającymi w obozie trzema ludźmi. Nawet biedny Nobs wyglądał na przygnębionego, kiedy opuszczaliśmy fort podejmując wyraźny trop porywacza. Ani razu nie obejrzałem się, by pożegnać wzrokiem Fort Dinozaur. Nie spojrzałem na niego wtedy i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy już go nie zobaczę. Trop prowadził na północny zachód aż do krańca piaskowcowych urwisk na północ od fortu; tam skręcał na dobrze wydeptany szlak wiodący w kierunku północnym w okolice, których dotąd nie zbadaliśmy. Była to piękna, łagodnie pofałdowana kraina, usiana wyspami nagiego piaskowca i kępami gęstego lasu, który tu i ówdzie ustępował miejsca otwartym, parkowym zgoła przestrzeniom i rozległym łąkom, gdzie pasło się nieprzeliczone mrowie roślinożerców – czerwone jelenie, żubry i nieskończona różnorodność antylop oraz co najmniej trzy różniące się od siebie zdecydowanie odmiany konia, od stworzenia mniej więcej wielkości Nobsa do wspaniałego zwierzęcia mierzącego dobre pięć stóp wysokości. Wszystkie skubały trawę w idealnej komitywie; nie okazywały też szczególnego strachu, gdy zbliżaliśmy się do nich z Nobsem. Schodziły nam z drogi i odprowadzały wzrokiem, dopóki nie przeszliśmy; potem powracały do posiłku.

Szlak wiódł prosto jak strzelił przez polanę do następnego lasu, na którego skraju dostrzegłem plamkę bieli. Zdecydowanie odcinała się od całego otoczenia i kiedy przystanąłem, żeby lepiej się jej przyjrzeć, stwierdziłem, że to mały strzęp muślinu – kawałek koronki oddarty od jakiejś części garderoby. Natychmiast ogarnęło mnie wielkie podniecenie, bo zorientowałem się, iż to pozostawiony przez Lys znak, że niesiono ją tędy; był to maleńki skrawek lamówki zdobiącej halkę, którą nosiła w zastępstwie utraconej w czasie przygód na morzu nocnej koszuli. Przyciskając ten strzęp materiału do warg jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku, bo wiedziałem teraz, iż podążam właściwym tropem i że do tego przynajmniej miejsca Lys jeszcze żyła.

Tego dnia pokonałem ponad dwadzieścia mil, bo spędziwszy sporo czasu na polowaniach i pieszych rekonesansach w bezpośrednim sąsiedztwie obozu, uodporniłem się na zmęczenie i przywykłem do długich marszów. Do wieczora kilkanaście razy życiu memu zagroziły straszne potwory ziemi i powietrza, nie uszło jednak mej uwagi, że im dalej na północ się posuwam, tym rzadziej napotykam na swej drodze wielkie dinozaury i choć trafiają się jeszcze, to jest ich coraz mniej. Rosła natomiast liczba przeżuwaczy oraz różnorodność i częstość występowania zwierząt mięsożernych. Każda mila kwadratowa Caspak była siedliskiem właściwych sobie zagrożeń.

Maszerując tak, w regularnych odstępach znajdowałem kawałki muślinu, które często pomagały mi podjąć decyzję na skrzyżowaniach szlaków i rozwidleniach, gdzie nie byłem pewien, którą drogę wybrać, a było kilka takich miejsc. Tym sposobem dotarłem pod wieczór do południowego krańca pasma urwisk wynioślejszych niż wszystkie, jakie dane mi było dotąd oglądać, i kiedy się do nich zbliżyłem, do mych nozdrzy doleciał gryzący swąd dymu z palącego się drewna. Co to mogło oznaczać? Wyjaśnienie mogło być tylko jedno: gdzieś blisko biwakował człowiek, człowiek stojący

na drabinie ewolucji wyżej od tych, których od tej pory widywałem, człowiek przewyższający Ahma – choć też neandertalczyk. Już nie pierwszy raz tego dnia przyszło mi do głowy, czy to czasem nie Ahm porwał Lys.

Zbliżyłem się ostrożnie do flanki urwiska, tam gdzie kończyło się ono pionową skarpą, zupełnie jakby jakaś przepotężna łapa wyłamała wielki kawał skały i ustawiła go na powierzchni ziemi. Było już całkiem ciemno. Wypełznawszy z za węgła ujrzałem w niewielkiej odległości imponujących rozmiarów ognisko, a wokół niego mnóstwo postaci – postaci zdecydowanie ludzkich. Nakazawszy Nobsowi zachowanie ciszy, a podczas naszego pobytu na Caspak przerobił on wiele lekcji ze znaczenia posłuszeństwa, zacząłem się przemykać w tamtą stronę kryjąc się, za czym tylko było można, dopóki z za kępy krzaków nie ujrzałem wyraźnie osobników zgromadzonych przy ogniu. Byli ludźmi, a zarazem nie ludźmi. Powiedziałbym, że w skali ewolucji stali nieco wyżej od Ahma, plasując się może gdzieś pomiędzy neandertalczykiem a tym, co nazywamy rasą Garimaldiego. Rysy twarzy mieli zdecydowanie negroidalne, ale skórę białą. Znaczną część ich tułowia i kończyn porastały krótkie włosy, a proporcjami przypominali pod wieloma względami małpy, choć może nie w takim stopniu co Ahm. Postawę utrzymywali bardziej wyprostowaną, ale ręce mieli znacznie dłuższe od neandertalczyka. Obserwując ich zorientowałem się, że posługują się jakimś językiem, że posiadli sztukę rozpalania ognia i że ich uzbrojenie, poza drewnianymi maczugami, takimi samymi jak u Ahma, składa się również z czegoś, co przypomina prymitywny kamienny topór. W skali cech ludzkich stali wyraźnie nisko, ale w porównaniu z tym, co do tej pory widziałem na Caspak, stanowili krok w górę.

Najbardziej interesowała mnie jednak smukła postać filigranowej dziewczyny odzianej w strzęp cienkiego muślinu, który ledwie osłaniał jej kolana – strzęp muślinu z porozdzieraną i wystrzępioną dolną lamówką. Była to Lys, Lys cała i, na ile mogłem się zorientować, zdrowa. U jej boku stał ogromny drab o grubych wargach i wysuniętej szczęce. Szwargotał coś głośno, zapamiętałe gestykulując. Znajdowałem się wystarczająco blisko, by słyszeć jego słowa, które przypominały mi język Ahma, tyle że bardziej rozbudowany, bo wielu wyrazów nie rozumiałem. Chwytałem jednak sens tego, co mówił – a mianowicie, że to on znalazł i pojmał tę Galu, że należy ona do niego, i że przegna każdego, kto zakwestionuje jego prawo własności. Odnosiłem wrażenie, a później okazało się, iż tak w istocie było, że jestem świadkiem ceremonii zaślubin najprymitywniejszej z możliwych. Zgromadzeni członkowie plemienia patrzyli i słuchali pogrążeni w apatii, bo mówca był bez dwóch zdań najpotężniejszym z klanu. Chyba nikt nie stawiał w wątpliwość jego roszczeń, gdy powiedział, a właściwie wyrzeszczał tubalnym głosem:

– Jestem Tsa. To moja samica. Kto pragnie jej bardziej od Tsa?

– Ja – odkrzyknąłem w języku Ahma i wkroczywszy w krąg światła rzucanego przez płonący ogień, pokazałem się im.

Lys wydała cichy okrzyk radości i chciała do mnie podbiec, ale Tsa pochwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

– Kim jesteś? – wrzasnął. – Zabiję! Zabiję! Zabiję!

– Ta samica jest moja – odparłem – i właśnie po nią przyszedłem. To ja zabiję ciebie, jeśli mi jej nie oddasz. – I uniosłem pistolet celując w jego serce.

Drab nie miał oczywiście pojęcia o przeznaczeniu dziwnego małego przedmiotu, z którego doń mierzyłem. Z jego krtani wydobył się dźwięk na wpół ludzki, a na wpół przypominający pomruk dzikiej bestii, i po chwili olbrzym skoczył na mnie. Nacisnąłem spust, a kiedy napastnik rozciągnął

się jak długi na ziemi, reszta jego plemienia, przerażona hukiem wystrzału, rozpięzchła się w panice, szukając schronienia pod urwiskami – Lys natomiast podbiegła z wyciągniętymi ramionami do mnie. Gdy tuliłem ją z całych sił do piersi, z czarnej nocy za naszymi plecami, a potem po naszej prawej i lewej stronie podniosła się wrzawa strasznych wrzasków, pisków, wycia, ryków i pomruków. Były to odgłosy nocnego życia tego świata dżungli – ogromnych, krwiożerczych, żerujących po ciemku bestii, czyniących noc na Caspak istnym koszmarem. Całym ciałem Lys wstrząsnął spazmatyczny szloch.

– O Boże – krzyknęła – zmiłuj się, daj mi siłę, bym wytrzymała!

Było dla mnie jasne, że strach, jaki musiała przeżyć tego dnia, doprowadził ją na krawędź załamania, próbowałem więc uspokoić ją i pocieszyć najlepiej jak umiałem; ale nawet ja widziałem przyszłość w najczarniejszych barwach, bo jakież szansę przeżycia mieliśmy wobec tych strasznych łowców nocy, którzy z każdą chwilą coraz bardziej się do nas zbliżali?

Odwróciłem się, żeby zobaczyć, gdzie podziela się cała gromada i w migotliwej poświacie padającej od ogniska zauważyłem, że czoło urwiska podziobane jest wielkimi otworami, do których wspinają się te zwierzoludy.

– Chodź – powiedziałem do Lys – musimy pójść w ich ślady. Nie możemy tkwić tu godzinami. Musimy znaleźć sobie jakąś jaskinię.

W tym momencie dostrzegłem tuż-tuż rozjarzone zielone ślepia głodnego drapieżnika. Wyszarpnąłem z ogniska płonąca głównię i cisnąłem ją w noc. Odpowiedzią był chóralny protest pełen furii i wściekłości; ale ślepia na krótką chwilę zniknęły. Wyjawszy sobie z ognia po jednej płonącej gałęzi, ruszyliśmy w kierunku urwisk, skąd przywitały nas wściekłe pogroźki.

– Pozabijają nas – jęknęła Lys. – Lepiej poszukać innej kryjówki.

– Pewniejsza śmierć czai się za naszymi plecami – odparłem. – Zamierzam znaleźć schronienie w jednej z tych jaskiń i żadne zwierzoludy nam w tym nie przeszkodzą. – I parłem dalej w kierunku podnóża urwiska.

Na skalnym występie ponad nami wyrósł nagle wielki małpolud i potrząsnął swoim kamiennym toporem.

– Podejdz tylko, a zabiję cię i zabiorę twoją samicę – zagroził chełpliwym tonem.

– Widziałeś, jak skończył Tsa, kiedy chciał mi zabrać samicę – odparłem w jego języku. – Tak samo skończysz ty i wszyscy twoi pobratymcy, jeśli nie pozwolicie nam schronić się wśród was przed niebezpieczeństwami nocy.

– Idźcie na północ! – wrzasnął. – Idźcie na północ między Galu, a nie wyrządzimy wam krzywdy. Pewnego dnia i my będziemy Galu; ale jeszcze nimi nie jesteśmy. Wy nie jesteście swoi. Odejdźcie, bo was zabijemy. Samica może zostać, jeśli się boi, przyjmujemy ją do siebie; ale samiec musi odejść.

– Samiec nie odejdzie – odparłem i podchodziłem coraz bliżej.

Do jaskiń można się było dostać po nierównych wąskich stopniach skalnych uformowanych przez naturę. W normalnych okolicznościach wdrapanie się po nich na górę nie przedstawiało większego problemu, ale wspinaczka utrudniana przez wojowniczo nastawione plemię półludzi i jedynie z dziewczyną do pomocy przekraczała moje możliwości.

– Nie boję się ciebie! – wrzasnął jaskiniowiec. – Do Tsa miałaś blisko, a ja stoję wysoko nad tobą. Nie możesz mi zrobić tego, co zrobił Tsa. Odejdź!

Postawiłem stopę na najniższym występie i wszedłem nań, po czym podałem rękę Lys i wciągnąłem ją za sobą na stopień. Czuję się już bezpieczniejszy. Wkrótce mieliśmy znaleźć się

poza zasięgiem krwiożerczych, ponownie się do nas zbliżających bestii. Człowiek z kamiennym toporem uniósł nad głową swoją broń i zaczął zwinnie schodzić nam na spotkanie. Znajdując się wyżej miał nade mną przewagę, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo szedł z wielką pewnością siebie. Czyniąc to z ciężkim sercem, ale nie widząc innego wyjścia, zastrzeliłem go, tak jak wcześniej zastrzeliłem Tsa.

– Widzicie – krzyknąłem do jego pobratymców – że mogę was zabijać, gdziekolwiek jesteście. Mogę was zabijać tak samo z daleka, jak i z bliska. Przyjmijcie nas do swojego grona w pokoju. Nie wyrządę wam krzywdy, jeśli wy nas nie skrzywdzicie. Zajmiemy jaskinię wysoko w górze. Mówcie!

– Chodźcie więc – odezwał się jeden. – Jeśli nic nam nie zrobicie, możecie przyjść. Weźcie sobie grootę Tsa, która znajduje się zaraz nad wami.

Nasz rozmówca pokazał nam wylot czarnej jaskini, ale czyniąc to trzymał się w bezpiecznej odległości. Wczołgałem się tam, by zbadać wnętrze, a za mną wpęzła Lys. Miałem przy sobie zapalki i w świetle jednej z nich ujrzałem małą grootę z płaskim sklepieniem i płaską podłogą, powstałą w wyniku rozszczepienia warstw geologicznych. Leżące na podłodze kawały stropu wykruszyły się bardzo dawno temu, czego dowodem była wysokość kopców nieczystości i małych kamyków, w jakich były one zagrzebane. Nawet pobieżne oględziny pozwoliły mi stwierdzić, że nie próbowano stworzyć w jaskini najmniejszych choćby wygod. Powiedziałbym też, że nigdy tu nie sprzątało. Z wielkim trudem przesunąłem kilka większych odłamów skalnych zawałających podłogę i zabarykadowałem nimi wejście. Było zbyt ciemno, by zrobić coś więcej. Następnie poczęstowałem Lys kawałkiem suszonego mięsa i siedząc u wylotu jaskini spożywaliśmy kolację w warunkach, w jakich musieli to robić nasi prehistoryczni przodkowie u zarania dziejów człowieka, podczas gdy w dole rozbrzmiewał szeroki diapazon dzikiej nocy, niesamowity i zatrważający dla naszych nienawykłych uszu. W świetle wciąż palącego się wielkiego ogniska dostrzegliśmy ogromne skradające się cienie, a na mroczniejszym tle – nieprzeliczone płonące ślepia.

Lys drżała, otoczyłem ją więc ramieniem i przyciągnąłem do siebie; i siedzieliśmy tak pośród parnej nocy. Opowiedziała mi o swoim uprowadzeniu i o strachu, jaki przeżywała, i wspólnie dziękowaliśmy Bogu, że wyszła z tego bez szwanku, bo wielki drab nie ważył się zatrzymać na dłużej podczas najeżonej niebezpieczeństwami drogi. Powiedziała, że kiedy się pojawiłem, oni dopiero co dotarli do urwisk, bo porywacz był kilka razy zmuszony wdrapywać się z nią na drzewa, by ująć przed pazurami jakiegoś wygłodniałego lwa jaskiniowego albo szablatozębnego tygrysa, i że dwukrotnie musieli pozostawać przez dłuższy czas na gałęzi, czekając, aż bestia odejdzie.

Nobs, gramoląc się rozpaczliwie pod górę i ze dwa razy o włos unikając śmierci, zdołał wreszcie wdrapać się za nami na urwisko i pożarłszy łąpczywie kawał suszonego mięsa, które najwyraźniej ogromnie mu smakowało, leżał teraz zwinięty w kłębek pomiędzy mną a wylotem jaskini. On pierwszy zasnął, ale wydaje mi się, że bardzo szybko musieliśmy pójść za jego przykładem, bo oboje byliśmy wyczerpani. Odłożyłem przedtem na bok mój pas z nabojami i karabin, uważając jednak, żeby mieć je w zasięgu ręki. Pistolet położyłem sobie na kolanach. Nic jednak nie zakłóciło nam nocnego odpoczynku i kiedy się obudziłem, słońce wspięło się już w oddali ponad wierzchołki drzew. Głowa Lys opadła na moją pierś, a moja ręka wciąż obejmowała jej ramiona.

Wkrótce potem również Lys otworzyła oczy i przez chwilę zdawała się nie pojmować, co się z nią dzieje. Spojrzała na mnie, potem odwróciła głowę i popatrzyła na obejmujące ją ramię i chyba dopiero wtedy, uświadomiwszy sobie nagle, jak skąpy ma na sobie strój, odsunęła się ode mnie

zakrywając twarz dłońmi i rumieniąc się gwałtownie. Przyciągnąłem ją z powrotem do siebie i pocałowałem, a wtedy zarzuciła mi ręce na szyję i zapłakała cicho w niemym poddaniu się temu co nieuniknione.

Upłynęła jeszcze godzina, zanim plemię zaczęło się budzić. Obserwowaliśmy ich z naszego „apartamentu”, jak nazwała jaskinię Lys. Nikt, ani mężczyźni, ani kobiety, nie miał na sobie jakiegokolwiek odzienia ani nie nosił ozdób. Wszyscy byli chyba mniej więcej w naszym wieku; nie zauważyliśmy też wśród nich ani jednego niemowlęcia czy starszego dziecka. Był to dla nas najdziwniejszy i najtrudniejszy do wyjaśnienia fakt, przypominał nam jednak, że chociaż widzieliśmy do tej pory wielu dzikich ludzi zamieszkujących Caspak, to nigdy nie spotkaliśmy jeszcze dziecka ani też mężczyzny czy kobiety w podeszłym wieku.

Po niedługim czasie plemię stało się w stosunku do nas najpierw mniej nieufne, a potem zaczęło nas traktować całkiem przyjaźnie na swój nieokrzesany sposób. Obmacywali materiał naszych ubrań, które zdawały się ich bardzo interesować, oraz oglądali ciekawie mój karabin, pistolet i amunicję umieszczoną w pasie otaczającym me biodra. Pokazałem im termos i kiedy wylałem z niego trochę wody, byli zachwyceni, sądząc, iż to strumień, który noszę ze sobą – niewyczerpane źródło wody pitnej.

Pośród innych cech, którymi się charakteryzowali, zauważyliśmy jedną rzecz: nigdy nie wybuchali śmiechem ani się nie uśmiechali; i wtedy przypominało nam się, że Ahm też nigdy tego nie robił. Spytałem ich, czy znają Ahma. Zaprzeczyli.

– Tam może go znaleźliśmy – powiedział jeden z nich wskazując ruchem głowy na południe.

– Stamtąd przyszliście? – spytałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Wszyscy stamtąd przychodzimy – zachnął się. – Niedługo idziemy tam. – Tym razem wskazał ruchem głowy na północ. – Żeby zostać Galu – dorzucił.

Już wiele razy słyszeliśmy to twierdzenie o stawaniu się Galu. Ahm powtarzał je wielokrotnie. Doszliśmy z Lys do wniosku, że chodzi tu o rodzaj przesądu religijnego, zarówno tkwiącego w ich umysłach, jak i wynikającego z instynktu samozachowawczego – o jakąś pierwotną akceptację życia pozagrobowego i świętego stanu. Była to teoria błyskotliwa, ale całkowicie mylna. Wiem teraz, jak dalecy byliśmy od odgadnięcia wspaniałej, cudownej, niebywałej prawdy, której nawet w tej chwili mogę się tylko domyślać – rewelacji, która odcina Caspak od całej reszty świata bardziej skutecznie niż wyizolowane położenie geograficzne czy nieprzebyta bariera niebotycznych urwisk. Gdyby dane mi było powrócić kiedyś do cywilizacji, dostarczyłbym klerowi i laikom – jak również ewolucjonistom – materiału do przemyśleń na całe lata.

Po śniadaniu mężczyźni wyruszyli na polowanie, a kobiety udały się nad wielką, pokrytą zieloną pianą sadzawkę ciepłej wody, w której roilo się od miliardów kijanek. Weszły w wodę do miejsca, gdzie głębokość wynosiła około stopy i położyły się w mule. Pozostawały tam przez prawie dwie godziny, po czym wróciły pod urwisko. Przez cały czas, jaki wśród nich przebywaliśmy, co rano byliśmy świadkami takiej samej sceny; ale chociaż pytaliśmy, dlaczego to robią, nie uzyskaliśmy sensownej odpowiedzi. Całe wyjaśnienie, jakiego raczyły nam udzielić, zawierało się w jednym słowie: *ata*. Próbowwały namówić Lys, żeby weszła do wody z nimi i nie mogły zrozumieć, dlaczego się wzbrania. Z wyjątkiem pierwszego dnia chodziłem na polowania z mężczyznami, zostawiając Lys swój pistolet i Nobsa, ale nigdy nie była zmuszona z nich skorzystać, bo do sadzawki nie zbliżył się ani razu żaden gad czy inny zwierz – ani wtedy, kiedy moczyły się w niej kobiety, ani, o ile nam



wiadomo, o żadnej innej porze dnia. W grząskim błocku wzdłuż brzegów nie było tropów dzikich zwierząt, a woda z pewnością nie wyglądała na nadającą się do picia.

Plemię to żywiło się przeważnie mniejszymi zwierzętami, w które rzucali swoimi kamiennymi toporami. Obchodzili najpierw ofiarę szerokim łukiem, a potem tak ją naganiali, by musiała przebiec blisko jednego z myśliwych. Małych koni i mniejszych antylop zabijali tyle tylko, ile mogli zjeść, a poza tym spożywali wielką różnorodność owoców i warzyw. Nigdy nie zdobywali więcej pożywienia, niż wymagały tego bezpośrednie potrzeby; bo też i po co? To nie problemy z wyżywieniem stanowiły przyczynę zmartwień mieszkańców Caspak.

Czwartego dnia Lys powiedziała mi, że czuje się na siłach, by nazajutrz wyruszyć w drogę powrotną, tak więc szedłem na polowanie podniesiony na duchu, bo nie mogłem się już doczekać, kiedy znajdę się w forcie i przekonam, czy wrócił Bradley ze swoją grupą i jaki wynik przyniosła wyprawa. Pragnąłem też usmierzyć ich obawy o Lys i o mnie, bo zdawałem sobie sprawę, że stracili już pewnie nadzieję ujrzenia nas żywymi. Dzień był pochmurny, ale parny, jak zawsze na Caspak. Niesamowite odczucie przynosiła świadomość, że zaledwie kilka mil stąd nad oceanem miotany sztormem zalega zima i że wokół całej Caprony może sypać śnieg; ale żadna śnieżycyca nie była w stanie przeniknąć poprzez wilgotną, duszną atmosferę tego wielkiego krateru.

Musieliśmy zapuścić się spory kawałek dalej niż zazwyczaj, zanim zdołaliśmy osaczyć małe stadko antylop, i kiedy pomagałem je naganiać, kilkaset jardów za sobą dojrzałem wspaniałego czerwonego jelenia. Pewnie spał w wysokiej trawie, bo kiedy go dostrzegłem, wstawał właśnie i oszołomiony rozglądał się dookoła. Uniosłem karabin do ramienia i położyłem go jednym strzałem. Upadł, a ja puściłem się biegiem w tamtą stronę, żeby go dobić długim nożem o cienkim ostrzu, który dostałem od jednego z moich ludzi. Kiedy jednak byłem już blisko, rogacz podźwignął się z trudem na nogi i zdołał odbiec jeszcze dobre dwieście jardów, zanim dosięgła go druga moja kula. Powtórzyło się to jeszcze raz, zanim dopadłem go wreszcie i poderżnąłem mu gardło. Uporawszy się z jeleniem rozejrzałem się za moimi towarzyszami, bo chciałem ich przywołać, żeby przenieśli mięso do obozowiska; ale nigdzie ich nie widziałem. Zawołałem kilka razy i czekałem, ale żadna odpowiedź nie nadeszła i żaden z nich się nie pojawił. W końcu straciłem cierpliwość i wyciąwszy tyle mięsa, ile mogłem unieść, ruszyłem w drogę powrotną do urwisk. Musiałem przejść chyba z milę, zanim zaczęła do mnie docierać ponura prawda – zabłądziłem, beznadziejnie zabłądziłem.

Całe niebo zasnuwała gęsta powłoka chmur; nie dostrzegałem też żadnego punktu orientacyjnego, dzięki któremu mógłbym się połapać, gdzie jestem. Szedłem dalej w kierunku, który w moim odczuciu był południem – ale który, jak mi się teraz wydaje, musiał być bardziej zbliżony do północnego – nie napotykając po drodze niczego znajomego. Przedzierając się tak przez gęsty las natrafiłem raptem na coś, co z początku wypełniło mnie nadzieją, a zaraz potem doprowadziło do skrajnej rozpacz i depresji. Był to mały kopczyk świeżo usypanej ziemi pokryty dawno zeschniętymi kwiatami, a po jednej jego stronie tkwiła w ziemi płyta piaskowca. Ten grób oznaczał, że wreszcie przybłąkałem się do okolic zamieszkałych przez człowieka. Znajdę tych ludzi, wskażą mi drogę do urwisk, może mnie tam odprowadzą, a potem zabiorą razem z Lys z powrotem do swych siedzib – do siedzib podobnych nam mężczyznom i kobiet. Moje nadzieje i wyobrażenia legły w gruzach po kilku jardach, jakie musiałem przebyć, by stanąć nad tą samotną mogiłą. Pochylając się odczytałem koślawe litery wydrapane na prostej płycie nagrobnej. Oto co napisano:

ANGLIK  
ZABITY PRZEZ TYRANOZAURA  
10 WRZEŚNIA A.D. 1916  
NIECH SPOCZYWA W POKOJU

Tippet! To wydawało się niewiarygodne. Tippet spoczywający snem wiecznym w tym ponurym lesie! Tippet martwy! Był dobrym człowiekiem, ale to nie osobista strata najbardziej na mnie podziałała. O wiele silniejsze wrażenie wywarł na mnie fakt, że Bradley dotarł ze swoją wyprawą aż tutaj i że prawdopodobnie zablądził, bo nie leżało w naszych planach, by ekspedycja trwała tak długo. Jeśli natknąłem się na grób jednego z członków grupy, to czy nie można było się spodziewać, że gdzieś w pobliżu leżą rozrzucone kości pozostałych?

## Rozdział IX

Gdy ogarnięty najbardziej ponurymi refleksjami stałem zapatrzony w ten smutny, opuszczony kopczyk, coś pochwyciło mnie raptem od tyłu i powaliło na ziemię. Gdy upadłem, przygniotło mnie ciepłe ciało, a czyjeś dłonie przytrzymały moje ręce i nogi. Znalazszy wreszcie okazję, by spojrzeć w górę, ujrzałem kilka olbrzymich postaci przyszpilających mnie do ziemi oraz parę innych, stojących w pewnej odległości i przyglądających mi się ciekawie. Był to jeszcze inny gatunek człowieka – stojący pod względem rozwoju wyżej od członków prymitywnego plemienia, których właśnie bezskutecznie próbowałem odszukać. Osobnicy ci byli również roślejsi, mieli lepiej ukształtowane czaszki i inteligentniejsze twarze. W ich rysach mniej było podobieństwa do małpy i mniej cech negroidalnych. Uzbrojeni we włócznie z kamiennymi grotami, kamienne noże i topory, nosili też ozdoby i opaski biodrowe – rolę tych pierwszych odgrywały wetknięte we włosy pióra, te ostatnie natomiast sporządzone były ze skóry węża, a dyndający z przodu łeb gada zwisał im do kolan.

Nie zaobserwowałem, ma się rozumieć, wszystkich tych szczegółów w chwili pojmania, bo moją uwagę zaprzętały wtedy inne sprawy. Trójka wojowników siedziała na mnie wyteżając wszystkie siły, by mnie przytrzymać, a zapewniam was, że mieli z tym pełne ręce roboty. Nie chcę wychodzić na zarozumialca, ale muszę tutaj przyznać, że jestem dumny ze swej siły i nabytych umiejętności w wykorzystywaniu jej – tym, podobnie jak doświadczeniem w konnej jeździe, zawsze się szczyliłem. I teraz długie godziny, jakie poświęciłem na pilną naukę, ćwiczenia praktyczne i trening, zwróciły mi w niespełna trzy minuty wszystko, co wtedy zainwestowałem. Kalifornijczycy znają z reguły ju-jitsu, a ja ze szczególnym samozaparciem zgłębiałem przez kilka lat jego tajniki zarówno w szkole, jak i w sali gimnastycznej Los Angeles Athletic Club, przy czym ostatnio zatrudniałem nawet Japończyka, który był czarodziejem tej sztuki walki.

Potrzebowałem zaledwie trzydziestu sekund, żeby jednemu z napastników złamać rękę w łokciu, drugiemu podstawić nogę i zataczającego się posłać tyłem w grupę kompanów, a trzeciego przerzucić przez głowę w taki sposób, że padając skręcił sobie kark. Wykorzystując tę krótką chwilę, kiedy reszta bandy stała oniemiała z zaskoczenia, zerwałem z ramienia karabin, który nierozważnie miałem przewieszony przez plecy. Kiedy zaatakowali, co z góry przewidziałem, wpakowałem kulkę w czoło jednego z nich. Powstrzymało ich to na moment – nie śmierć pobratymca, ale huk wystrzału, pierwszy, jaki kiedykolwiek słyszeli. Zanim ponownie zebrali się do ataku, jeden z nich warknął coś do reszty rozkazującym tonem w języku podobnym do tego, jakim posługiwało się plemię z południa, ale bogatszym – tak jak mowa już znanych mi jaskiniowców była pełniejsza od tej, którą władał Ahm. Osobnik wyglądający na przywódcę kazał im się zatrzymać, po czym podszedł i przemówił do mnie.

Zapytał, kim jestem, skąd przychodzę i jakie mam zamiary. Odparłem, że nie jestem z Caspak, że zabłądziłem i że jedynym moim pragnieniem jest odnalezienie drogi powrotnej do moich towarzyszy.

Spytał, gdzie są i odpowiedziałem mu, że gdzieś na południu, posługując się caspakijskim zdaniem, które w dosłownym tłumaczeniu oznacza: „Tam, gdzie początek.” Zdumienie, zanim zdążył je wyrazić słowami, pojawiło się najpierw na jego twarzy.

– Tam nie ma żadnych Galu – powiedział.

– Mówię ci – odparłem ze złością – że pochodzę z innej krainy leżącej daleko od Caspak, daleko za wysokimi urwiskami. Nie wiem, kim są Galu; nigdy ich nie widziałem. To najdalej na północ wysunięty punkt, gdzie się zapuściłem. Spójrz tylko na mnie – popatrz na moje ubranie i broń. Czy widziałeś kiedy na Caspak Galu czy jakąkolwiek inną istotę, która posiadała takie rzeczy?

Musiał przyznać, że nie widział, jak również, że bardzo zainteresowała go moja osoba, mój karabin i sposób, w jaki poradziłem sobie z trzema jego wojownikami. W końcu chyba mi uwierzył i zaoferował pomoc – pod warunkiem, że mu pokażę, jak przerzuciłem przez głowę człowieka, i że sprezentuję mu „grzmiący kij”, jak nazwał mój karabin. Odmówiłem oddania karabinu, ale obiecałem pokazać sztuczkę, której pragnął się nauczyć, jeśli tylko wskaże mi właściwy kierunek. Odparł, że uczyni to nazajutrz, że dzisiaj już za późno i że mogą wrócić z nimi do ich wioski i spędzić tam noc. Nie w smak było mi tracić tyle czasu, ale małpolud uparł się, poszedłem więc z nimi. Dwóch zabitych zostawili tam, gdzie padli, nie zaszczycając ich nawet pożegnalnym spojrzeniem – tak nisko ceni się na Caspak życie.

Ludzie ci również mieszkali w jaskiniach, ale w ich siedzibach zauważało się wpływ wyższej inteligencji, która, w porównaniu z plemieniem żyjącym „tam, gdzie początek”, przybliżyła ich o krok do cywilizowanego człowieka. Wnętrza tych jaskiń, choć oczyszczone z kamiennego śmiecia, przedstawiały sobą wszelako wiele do życzenia, jeśli chodzi o czystość. Znajdowały się w nich jednak legowiska wymoszczone suchą trawą i przykryte skórą leoparda, rysia bądź niedźwiedzia, natomiast w wejściach wznosiły się kamienne murki ochronne i małe, z grubsza okrągłe paleniska – także z kamienia. Ściany jaskini, do której mnie wprowadzono, pokryte były wydrapanymi w piaskowcu rysunkami. Wypatrzyłem wśród nich kontury czerwonych jeleni, mamutów, tygrysów i innych dzikich zwierząt. Podobnie jak w dzikim plemieniu, do którego nie umiałem wrócić, tutaj również nie było ani dzieci, ani osobników w podeszłym wieku. Ludzie tego szczepu nosili dwa imiona, a właściwie jedno imię składające się z dwóch sylab. W ich języku występowały już bowiem często dwusylabowe słowa, podczas gdy słowa plemienia Tsa były wyłącznie jednosylabowe, z wyjątkiem nielicznych, takich jak Atis i Galu. Imię wodza brzmiało To-jo, a w skład jego rodziny wchodziło siedem kobiet. Kobiety te były bardziej urodziwe, a raczej należałoby powiedzieć: mniej szpetne od samic z plemienia Tsa. Jedna z nich, mniej od innych owłosiona, o raczej gładkiej, śniadej skórze, była nawet ładna.

Wszyscy bardzo się mną zainteresowali i oglądali z nabożeństwem moje ubranie oraz ekwipunek, macając, głaszcząc i wachając każdą jego sztukę. Dowiedziałem się od nich, że nazywają się Band-lu, czyli Włócznicy; plemię Tsa nosiło nazwę Sto-lu, czyli Toporowcy. Trochę niżej od nich w skali ewolucji Bo-lu, czyli Maczugowcy, a za nimi plasowali się Alu, którzy nie posługiwali się żadną bronią ani nie władali żadnym językiem. W tej ostatniej nazwie uderzyło mnie coś, co wydało mi się najbardziej niezwykłym odkryciem, jakiego dokonałem na Capronie, bo jeśli nie był to zwyczajny zbieg okoliczności, to natknąłem się na słowo będące w użyciu od zarania języka mówionego na Ziemi, używane, może z niewielkimi zmianami, od milionów lat. Był to jedyny ślad zamierzchłej kultury pamiętającej czas, gdy Caprona stanowiła ognistą górę wznoszącą się ponad wielkim lądem tętniącym życiem. Słowo to stanowiło pomost pomiędzy niezmiernym „wczoraj” a wiecznym

„teraz”. A może to tylko zwyczajny zbieg okoliczności; zdrowy rozsądek podpowiada mi bowiem, że tylko w ten sposób wytłumaczyć można fakt, iż określeniem nie posługującego się mową człowieka na Caspak jest *alu*, a we współczesnym nam świecie zewnętrznym – *alalus*.

Ładna kobieta, o której wspomniałem, nazywała się So-ta i interesowała się mną tak ostentacyjnie, że To-jo poskromił wreszcie jej zapędy, podkreślając swoje niezadowolenie zwaleniem jej pięścią z nóg i zapędzeniem kopniakami w kąt jaskini. Skoczyłem między nich, kiedy jeszcze ją kopał, i założywszy brutalowi obezwładniający chwyt wywlokłem go wrzeszczącego i miotającego się w mym uścisku z jaskini. Tam, pod groźbą zadania jeszcze większego bólu, wymogłem na nim przyrzeczenie, że już jej nie skrzywdzi. So-ta posłała mi pełne wdzięczności spojrzenie, ale To-jo i reszta jego kobiet popatrywali na mnie spode łba, posępnie i złowrogo.

Później, tego samego wieczora, So-ta zwierzyła mi się, że wkrótce opuszcza plemię.

– So-ta będzie niedługo Kro-lu – powiedziała cichym szeptem.

Spytałem, co to takiego Kro-lu, a ona próbowała mi rzecz wyjaśnić, ale do tej pory nie wiem, czy dobrze ją zrozumiałem. Z jej gestów domyśliłem się, że Kro-lu to ludzie uzbrojeni w łuki i strzały, posiadający naczynia, w których gotują sobie strawę, mieszkający w jakiegoś rodzaju chatach i hodujący zwierzęta. Wyjaśnienia te były bardzo fragmentaryczne i niejasne, ale sens polegał chyba na tym, że Kro-lu to lud stojący na etapie rozwoju wyższym od Band-lu. Zanim spłynął na mnie sen, długo rozmyślałem nad wszystkim, co zasłyszałem. Usiłowałem odnaleźć pomiędzy tymi różnymi rasami jakiś związek, który wyjaśniłby powszechną, pielęgnowaną przez nich wszystkich nadzieję, że pewnego dnia staną się Galu. So-ta podsunęła mi pewną sugestię, ale prowadziła ona do wniosku tak niesamowitego, iż nie mieścił mi się w głowie, choć pokrywał się z wyrażaną jeszcze przez Ahma wiarą i wiązał z faktem rozmaitych etapów ewolucji reprezentowanych przez kilka plemion, z którymi miałem do tej pory do czynienia oraz z przekrojem typów ludzkich występujących w każdym z plemion. Na przykład wśród ludu Band-lu zdarzały się osobniki w typie So-ta, która według mnie znajdowała się na najwyższym etapie rozwoju, i To-jo, który na drabinie ewolucji plasował się nieco bliżej małpy, jak również okazy o bardziej spłaszczonych nosach, bardziej wysuniętych szczękach i bardziej owłosionych ciałach. Intrygowała mnie ta zagadka. Możliwe, że odpowiedź na nią kryje się w piersi Sfinksa. Kto to wie? Ja nie.

Snując myśli godne obłąkanego albo narkomana, zasnąłem; a obudziwszy się stwierdziłem, że ręce i nogi mam mocno spętane i że zabrano mi broń. Jak zdołali tego dokonać nie budząc mnie, nie potrafię wam wytłumaczyć. Było to upokarzające, ale prawdziwe. Nade mną stał To-jo. Do jaskini przesączało się nieśmiało blade światło wczesnego poranka.

– Powiedz mi – zażądał To-jo – jak przerzucić człowieka przez głowę tak, żeby mu skręcić kark, bo zamierzam cię zabić, a chcę się tego dowiedzieć, zanim umrzesz.

Ze wszystkich prostolinijnych deklaracji, jakie dotąd słyszałem, ta najbardziej zasługiwała na miano szczytu bezczelności. Jej komizm tak mnie ubawił, że chociaż w oczy zaglądała mi śmierć, roześmiałem się. Pozwolę tu sobie jednak napomknąć, iż po tym, przez co do tej pory przeszedłem, śmierć straciła dla mnie wiele ze swej grozy. Stałem się wyznawcą ulotnej filozofii Lys traktującej o niskiej wartości życia ludzkiego. Przyznawałem, iż miała całkowitą rację – jesteśmy tylko komicznymi figurkami przeskakującymi z kołyski do grobu, nie wzbudzającymi zainteresowania praktycznie żadnej istoty poza nami samymi i nielicznymi bliskimi.

Za plecami To-jo stała So-ta. Uniosła teraz rękę z otwartą dłonią skierowaną w moją stronę – caspakijskim odpowiednikiem przeczącego potrząśnięcia głową.

– Daj mi się zastanowić – odparłem wymijająco i To-jo oznajmił, że zaczeka do zapadnięcia zmierzchu. Da mi cały dzień na przemyślenie propozycji; potem wyszedł, a za nim kobiety.

Mężczyźni wyruszyli na polowanie, kobiety zaś, czego dowiedziałem się później od So-ta, nad brzeg ciepłej sadzawki, by zanurzyć się w niej po szyję, podobnie jak czyniła to żeńska część plemienia Sto-lu.

– *Ata* – wyjaśniła So-ta, kiedy zapytałem ją o cel tego porannego obrządku; ale to było w jakiś czas potem.

Musiałem tam tak leżeć spętany i cierpiący niewygodę przez dwie, a może nawet i trzy godziny, zanim do jaskini zajrzała wreszcie So-ta. Przyniosła ze sobą nóż – mój własny, gdyby ktoś miał wątpliwości – i rozcięła mi więzy.

– Chodź! – powiedziała. – So-ta pójdzie z tobą aż do Galu. Już czas, żeby So-ta odeszła od Band-lu. Pójdziemy razem do Kro-lu, a potem do Galu. To-jo zabije ciebie dzisiaj wieczorem. Zabije też So-ta, jeśli się dowie, że So-ta ci pomogła. Pójdziemy razem.

– Pójdę z tobą do Kro-lu – odparłem – ale potem będę musiał wrócić do moich ludzi „tam, gdzie początek”.

– Nie możesz wrócić – powiedziała. – To zakazane. Zabiliby ciebie. Doszedłeś do tego miejsca i powrotu nie ma.

– Ale ja muszę wrócić – upierałem się. – Tam są moi towarzysze. Muszę wrócić i poprowadzić ich w tym kierunku.

Ona obstawała przy swoim, ja przy swoim, ale w końcu osiągnęliśmy kompromis. Miałem ją eskortować aż do krainy Kro-lu, a potem wrócić po moich ludzi i poprowadzić ich na północ do krainy, gdzie niebezpieczeństw było mniej i mieszkańcy nie tak dzicy. Przyniosła wszystkie rzeczy, które mi odebrano – karabin, amunicję, nóż oraz termos, po czym ramię w ramię zesliśmy z urwiska i ruszyliśmy na północ.

Szliśmy tak trzy dni, a o zmierzchu trzeciego znaleźliśmy się na skraju wioski składającej się z krytych sitowiem chat. So-ta oświadczyła, że wejdzie do wioski sama; mnie nie wolno się było pokazywać, skoro nie zamierzałem tu zostać, bo obowiązywało niepisane prawo zabraniające pod karą śmierci powrotu, jeśli zaszło się już tak daleko. I tak rozstaliśmy się. Była dobrą dziewczyną i oddanym, prawdziwym przyjacielem – bardziej jak mężczyzna niż kobieta. Na swój prosty, barbarzyński sposób odznaczała się zarówno subtelnością, jak i szlachetnością. Była żoną To-jo. Zgodnie ze zwyczajami dziwnego caspakijskiego świata znajdzie sobie wśród Kro-lu innego towarzysza życia, ale wyznała mi szczerze, że gdybym kiedyś wrócił, zostawi swego wybrańca i przyjdzie do mnie, bo mnie przedkłada ponad wszystkich. Po cnotliwie dotąd spędzonym życiu stawałem się łowcą niewieścich serc.

Pożegnałem się z nią przed wejściem w opłotki wioski nie przekonawszy się nawet, co za ludzie ją zamieszkują, i ruszyłem przez gęstniejący mrok na południe. Trzeciego dnia zboczyłem na zachód, żeby obejść szerokim kołem tereny plemienia Band-lu, ponieważ nie uśmiechało mi się wpaść ponownie w łapy To-jo. Szóstego dnia dotarłem do urwisk zamieszkiwanych przez Sto-lu i gdy się do nich zbliżałem, serce zaczęło bić mi żywiej, bo tutaj zostawiłem Lys. Wkrótce znowu wezmę ją w ramiona, wkrótce jej ciepłe usta połączą się z moimi. Byłem pewien, że przebywając wśród Toporowców nadal jest bezpieczna; wynurzając się z ostatniej kępy drzew i teraz niemal biegiem zdążając w stronę urwisk, wyobrażałem już sobie radość i błysk miłości w jej oczach, kiedy ujrzy mnie znowu.

Był późny poranek. O tej porze kobiety musiały już wrócić znad stawu, jednak chociaż byłem już blisko, nigdzie nie zauważałem śladu życia. Pewnie zostały nad wodą dłużej, pomyślałem sobie; kiedy jednak znalazłem się u samego podnóża urwiska, ujrzałem coś, co rozwiało moje nadzieje i mój dobry nastrój. Ziemię zaściełały dziesiątki niemych i strasznych dowodów tego, co się tu wydarzyło podczas mojej nieobecności – kości obgryzione do czysta, kości człekopodobnych stworzeń, kości mnóstwa członków plemienia Sto-lu; nie było też śladu życia w żadnej z jaskiń.

Oglądałem dokładnie te upiorne szczątki pełen obawy, że w każdej chwili natknąć się mogę na filigranową czaszkę, która pogrzebie na zawsze moje nadzieje na szczęście, ale chociaż szukałem sumiennie, podnosząc z ziemi każdą z dwudziestu kilku czaszek, nie znalazłem wśród nich ani jednej, która nie byłaby czaszką istoty niewiele tylko różniącej się od małpy. Tak więc nadzieja pozostawała ciągle żywa. Następne trzy dni spędziłem na poszukiwaniach Toporowców z Caspak na północy i południu, wschodzie i zachodzie, ale nigdzie nie natrafiłem na ich ślad. Padało teraz niemal bez ustanku, a zimno było tak, jak chyba nigdy na Capronie.

W końcu dałem za wygraną i zaniechawszy poszukiwań ruszyłem w drogę powrotną do Fortu Dinozaur. Przez tydzień – tydzień najeżony niebezpieczeństwami pierwotnego świata – parłem w kierunku, który w moim przekonaniu był południem. W tym czasie ani razu nie wyrzało słońce; lało bez przerwy. Zwierząt spotykałem mniej, ale były za to nieskończenie bardziej rozwścieczone. Dożyłem jednak momentu, kiedy dotarło do mnie, iż beznadziejnie zablądziłem, że nawet przez rok słonecznej pogody nie zdołam określić swojego położenia. Załamany tą straszną świadomością, że nigdy już nie odnajdę Lys, natknąłem się na kolejny grób – grób Williama Jamesa oznaczony małą prymitywną płytą nagrobną z wydrapanym na mej napisem oznajmiającym, że człowiek ten zginął 13 września rozszarpany przez tygrysa szablastozębego.

Wtedy chyba zupełnie się już poddałem. Nigdy dotąd nie czułem się tak zagubiony, bezsilny i samotny. Zablądziłem. Nie potrafiłem odnaleźć przyjaciół. Nie wiedziałem nawet, czy jeszcze żyją; prawdę mówiąc nie chciało mi się wierzyć, by znajdowali się jeszcze wśród żywych. Śmierci Lys byłem pewien. Sam chciałem umrzeć, a jednak wciąż czepiałem się życia – owego pasma bezcelowości, beznadziei i udręki, jakim się teraz stało. Czepiałem się życia, bo czepiał się go jakiś mój prehistoryczny gadzi praszczur i przekazał mi poprzez wieki ten najpotężniejszy instynkt sterujący jego maleńkim mózdzkiem – instynkt samozachowawczy.

Dowlokłem się w końcu do wielkich urwisk granicznych i po trzech dniach rozpaczliwych wysiłków – wysiłków szalonych – wdrapałem się na nie. Kleciłem prowizoryczne drabiny, wbijałem drewniane kliny w wąskie szczeliny, wydłubywałem długim nożem wgłębienia na oparcie dla palców nóg i rąk, aż w końcu wdrapałem się na górę. Niedaleko szczytu natrafiłem na ogromną grootę. Jest zamieszkiwana przez jakiegoś potężnego skrzydlatego stwora z okresu triasowego – a raczej była zamieszkiwana. Teraz jest moja. Zarznąłem lokatora i sam zająłem jego siedzibę. Dotarłem do szczytu i spojrzałem na bezkresny, szary, straszny Pacyfik pośród południowobiegunowej zimy. Zimno było tam na górze. Zimno jest tu teraz; siedzę jednak i wypatruję, wypatruję, wypatruję czegoś, o czym wiem, że nigdy się nie pojawi – żagla.

## Rozdział X

Pewnego dnia zszedłem do podnóża urwiska, zapolowałem i ugasilem pragnienie wodą z czystego, zimnego strumienia. Mam trzy tykwy, które napełniam wodą i zabieram do mojej jaskini jako zapas na długie noce. Sporządziłem sobie dzidę i łuk, które pozwalają mi oszczędzać amunicję, będącą już na wyczerpaniu. Moje ubranie wisi w strzępach. Jutro zastąpię je skórami leoparda, z których skroilem i uszyłem sobie odzież wytrzymałą i ciepłą. Tu na górze jest zimno. Rozpaliłem ognisko i pisząc te słowa właśnie przy nim siedzę. Jestem tutaj bezpieczny. Żadne inne stworzenie nie zapuszcza się na zimny szczyt urwisk granicznych. Jestem bezpieczny i sam ze swymi zgryzotami i wspomnieniami minionego szczęścia – ale też pozbawiony nadziei. Mówi się, że źródło nadziei bije wiecznie w ludzkiej piersi, ale w mojej go nie ma.

Właściwie już skończyłem. Teraz złożę te stronicę i wepchnę je do termosu. Zakorkuje go i zakręcę szczelnie, a potem cisnę w morze tak daleko, jak pozwolą mi na to siły. Wiatr wieje od brzegu, trwa odpływ; może wyniesie naczynie na drogę jednego z tych mnogich oceanicznych prądów rwących wiecznie od bieguna do bieguna i od kontynentu do kontynentu, a ten wyrzuci je w końcu na któreś z zamieszkałych wybrzeży. Jeśli los będzie mi przychylny i dojdzie do tego, to na miłość boską, przybądźcie i zabierzcie mnie stąd!

Minał tydzień, od kiedy napisałem poprzedni ustęp, który, w moim mniemaniu, miał stanowić zakończenie kroniki mego pobytu na Capronie. Przerwałem na chwilę, aby przed złożeniem podpisu naostrzyć ptasie pióro i wymieszać trochę namiastki atramentu (który sporządzam wyciskając sok z czarnych jagód i mieszając go z wodą), i wtedy z rozciągającej się poniżej doliny doleciał słaby, ale wyraźny odgłos, który poderwał mnie na nogi i dygoczącemu z podniecenia kazał wyrzucić skwapliwie zza skalnej półki w przyprawiającą o zawrót głowy przepaść. Możecie sobie wyobrazić, ileż znaczenia niósł dla mnie ten odgłos, jeśli powiem wam, że był to huk wystrzału z broni palnej! Przez chwilę wzrok mój przeczesywał roztaczający się w dole krajobraz i wreszcie zatrzymał się, natrafiwszy na cztery figurki w pobliżu podstawy urwiska – ludzką postać osaczoną przez trzy hienodonty, te zajadłe i krwiożercze dzikie psy z epoki eoceńskiej. Czwarty zwierz leżał nie opodal martwy lub dogorywający.

Patrząc w dół z tak wysoka nie mogłem mieć pewności, a mimo to drżałem jak liść na wietrze, bo coś mi mówiło, że to Lys, a w tej fantastycznej nadziei utwierdzał mnie jeszcze rozsądek, bo ktokolwiek to był, miał przy sobie tylko pistolet, a tak właśnie uzbrojona była dziewczyna. Pierwsza fala szalonej radości, jaka się przeze mnie przetoczyła, żywot miała krótki w obliczu wypierającego ją szybko przeświadczenia, że walcząca w dole osoba jest już zgubiona. Szczęściu i tylko szczęściu musiała zawdzięczać, że pierwszy strzał położył jedną z zajadłych bestii, bo już w starciu z mniejszymi drapieżnikami na Caspak nawet tak ciężka broń, jak mój pistolet, jest zupełnie bezużyteczna. Za chwilę krwiożercze zwierzęta zaatakują – daremny strzał pewnie jeszcze bardziej rozwścieczy przypadkowo trafioną bestię – a potem cała trójka powali małą ludzką figurkę na ziemię



i rozerwie na strzępy.

A to mogła być Lys! Na tę myśl serce zamarło mi w piersi, ale umysł i mięśnie zareagowały na błyskawiczną decyzję, którą zmuszony byłem podjąć. Istniało tylko jedno wyjście – jedyna szansa – i postanowiłem ją wykorzystać. Poderwałem karabin do ramienia i wycelowałem dokładnie. Był to daleki strzał, strzał niebezpieczny, bo jeśli ktoś nie ma wprawy, przy strzelaniu z dużej wysokości broń staje się zaskakująco zawodna. W celnym oddawaniu strzału jest jednak coś, co wymyka się wszelkim naukowym prawom.

Żadna teoria nie wyjaśni celności, jaką popisałem się w owym momencie. Trzy razy przemówił mój karabin – trzema szybkimi, krótkimi sylabami śmierci. Nie mierzyłem świadomie, a jednak z każdym hukiem jedna z bestii zwijała się i padała jak ścięta z nóg!

Z mojej półki do podnóża urwiska jest dobre kilka tysięcy stóp niebezpiecznej wspinaczki, ośmielę się jednak zaryzykować stwierdzenie, że pierwsza mała, z której lędźwi wywodzi się moja linia, nigdy nie dorównała mi w szybkości, z jaką dosłownie zjeżdżałem po czole tej urwistej skarpy. Ostatnie dwieście stóp zejścia biegnie stromą pochyłością pokrytą luźnymi kamieniami, opadającą na samo dno doliny, i właśnie ją pokonywałem, kiedy mych uszu doleciał rozpaczliwy krzyk:

– Bowen! Bowen! Szybko, kochany, szybko!

Do tej pory zbyt byłem zaabsorbowany unikaniem niebezpieczeństw czyhających na mnie przy schodzeniu po ścianie, żeby zerkać w dolinę, ale ów krzyk, który upewnił mnie ostatecznie, że to jednak Lys, i mówił, że coś jej jeszcze zagraża, sprawił zarazem, iż mój wzrok powędrował szybko w jej kierunku akurat w momencie, gdy jakiś włochaty potężny drab chwycił ją wpół i rzucał się do ucieczki w stronę pobliskiego lasu. Przeskakując niczym kozica z głazu na gład, pędziłem na dno doliny ścigając Lys i jej odrażającego porywacza.

Był ode mnie o wiele funtów cięższy, do tego tak obciążony dźwiganą branką, że bez trudu go dopadłem, a wtedy odwrócił się wreszcie przodem do mnie, warcząc. Był to Kho z plemienia Toporowców Tsa. Poznał mnie i odrzuciwszy Lys na bok, ruszył na mnie z pomrukiem.

– Samica jest moja – wrzasnął. – Zabiję! Zabiję!

Przed podjęciem karkołomnego zejścia z urwiska musiałem porzucić karabin i teraz byłem uzbrojony jedynie w nóż myśliwski, który skwapliwie wyszarpnąłem z pochwy, gdy tylko Kho rzucił się na mnie. Był wielką bestią, potężnie umięśnioną, a instynkt, który od powstania życia na Ziemi popycha mężczyzn do walki, wypełniał go żądzą krwi i niepohamowanym pragnieniem zadawania śmierci. Ale w nie mniejszym stopniu te same pierwotne namiętności wypełniały i mnie. Tego dnia, w cieniu najstarszych na Ziemi urwisk, skoczyły sobie do gardeł dwie okrutne bestie, człowiek współczesny i zapomniany zwierzolid z zarania dziejów, przesiąknięte tą samą nieśmiertelną namiętnością, która przetrwała niezmienną od początku przez wszystkie epoki, okresy i ery czasu, i która trwać będzie dalej aż do nie dającego się przewidzieć końca, a której na imię kobieta – nieprzemijająca alfa i omega życia.

Kho zwarł się ze mną mierząc zębami w tętnicę szyjną. Zdawał się nie pamiętać, że u pasa z żubrej skóry, który otaczał mu biodra, dynda topór, podobnie zresztą jak ja zapomniałem zupełnie o ścisłanym w dłoni nożu. I nic wątpię, że Kho pokonałby mnie bez trudu w tego rodzaju zwarcu, gdyby głos Lys nie rozbudził w moim otumanionym na moment mózgu doświadczenia i sprytu rozumnego człowieka:

– Bowen! – krzyknęła. – Nóż! Twój nóż!

To wystarczyło. Przywołało mnie z zamierzchłych eonów, do których odpłynęła moja

świadomość, i uczyniło na powrót współczesnym człowiekiem uwikłanym w walkę z niezdarnym, nie wyćwiczonym drabem. Moje szczęki przestały wpijać się we włochate gardło, które miałem przed sobą, za to mój nóż poszukał miejsca między żebrami w okolicach serca dzikusa i odnalazł je. Kho wydał jeden przerażający wrzask, zeszytywniał spazmatycznie i osunął się na ziemię. A Lys rzuciła się w me ramiona. Uleciały gdzieś wszystkie lęki i smutki przeszłości i znowu byłem najszczęśliwszym z ludzi.

Z pewnym żalem zerknąłem w chwilę potem w górę na wąską półkę przebiegającą przed wejściem do mej jaskini, bo wydało mi się nierozsądne oczekiwać od tej filigranowej współczesnej piękności, że podola wyzwaniom morderczej wspinaczki. Zapytałem, czy zdobyłaby się na odwagę, żeby tam wejść, a ona roześmiała mi się wesoło w twarz.

– No to patrz! – krzyknęła i pobiegła ochoczo w kierunku podnóża urwiska.

Wspinała się zwinnie jak wiewiórka, tak że bardzo musiałem się starać, by za nią nadążyć. Z początku bałem się o nią, ale po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że czuje się tu tak samo pewnie, jak ja. Kiedy dotarliśmy w końcu do skalnej półki i znowu wziąłem ją w ramiona, przypomniła mi, że przez kilka tygodni wiodła życie jaskiniowej dziewczyny wspólnie z plemieniem Toporowców. Wyparło ich z dawnych jaskiń inne plemię zabijając wielu i uprowadzając ze sobą dobrą połowę samic, a nowe urwiska, do których zmuszeni byli się przenieść, okazały się o wiele wyższe i bardziej strome, i tak, z konieczności, stała się wytrawną mistrzynią w sztuce wspinaczki.

Opowiedziała mi o pożądaniu, jakim zapalał do niej Kho, po tym, jak porwano wszystkie jego samice, a tym samym o swoich przejściach stanowiących jedno pasmo koszmarnego strachu, kiedy dzień i noc starała się zwodzić tego wielkiego draba. Przez pewien czas za całe zabezpieczenie wystarczał jej Nobs, ale któregoś dnia pies znikł – i od tej pory już go nie widziała. Uważa, że celowo jej go zabrano, podobnie zresztą jak ja, bo oboje jesteśmy pewni, że z własnej woli nigdy by jej nie opuścił. Pozbawiona tej ochrony, Lys była zdana na łaskę i niełaskę Toporowca; niewiele godzin później dopadł ją u podnóża urwiska i pojmał. Kiedy jednak dźwigał ją tryumfalnie na górę do swej jaskini, udało jej się wyrwać i uciec.

– Ścigał mnie przez trzy dni – opowiadała – przez ten straszny świat. Sama nie wiem, jak udało mi się wyjść z tego cało ani jak zawsze udawało mi się wymykać, jednak dawałam sobie z tym jakoś radę, aż do chwili, kiedy mnie zauważyłeś. Los nam sprzyjał, Bowenie.

Skinałem potakująco głową i przytuliłem ją mocno. A potem rozmawialiśmy i snuliśmy plany, podczas gdy ja smażyłem nad ogniskiem steki z antylopy, i doszliśmy do wspólnego wniosku, że nie ma nadziei na ratunek, że oboje skazani jesteśmy na pozostanie do końca naszych dni na Capronie. No cóż, mogło być gorzej! Wolę spędzić całe życie tutaj z Lys niż żyć gdziekolwiek indziej bez niej; a ona, moja najdroższa, twierdzi ze swej strony to samo. Nie życzyłbym jej jednak takiego życia. Jest twarde, dzikie i niebezpieczne, i zawsze będę się modlił o ratunek – przez wzgląd na nią.

Tej nocy rozstały się chmury i naszą małą półkę zalał blask księżyca, a my, stanawszy tam ramię przy ramieniu, wznieśliśmy twarze do nieba i daliśmy sobie słowo pod okiem Boga. Żadna instytucja nie mogłaby połączyć nas węzłem małżeńskim bardziej święcie, niż to wówczas sami uczyniliśmy. Jesteśmy mężem i żoną, i jesteśmy szczęśliwi. Jeśli Bóg tak chce, dokonamy tu naszych dni. Jeśli przeznacza nam inny los, to ten rękopis, który powierzam teraz niezbadanym siłom morza, wpadnie we właściwe ręce. Oboje jednak straciliśmy już nadzieję. Tak więc w tej naszej ostatniej odezwie mówimy „żegnaj” światu istniejącemu za granicznymi urwiskami.

*(Podpisano)* BOWEN J. TYLER, JR,  
LYS LA R. TYLER

**Księga druga**

**Ludzie zapomniani przez czas**

## Rozdział XI

Przyznać muszę, że chociaż odbyłem długą podróż, by złożyć rękopis Bowena Tylera na ręce jego ojca, wciąż nie do końca poważnie traktowałem zawarte w nim treści zważywszy, że jeszcze nie tak dawno Bowen cieszył się opinią jednego z najbardziej niepoprawnych blagierów swojej Alma Mater. Prawda była taka, że siedząc w bibliotece Tylera w Santa Monica czułem się trochę głupio i żałowałem, że zamiast dostarczać rękopis osobiście, po prostu nie wysłałem go ekspresową pocztą, bo szczerze mówiąc nie lubię wystawiać się na pośmiewisko. Cieszę się dobrze rozwiniętym poczuciem humoru – o ile sam nie staję się obiektem drwin.

Pana Tylera seniora spodziewano się lada godzina. Ostatni parowiec z Honolulu przywiózł informację o przewidywanej dacie zawinięcia do portu jego jachtu *Torreador*, a ta została już przekroczona o dwadzieścia cztery godziny. Sekretarz osobisty pana Tylera, który pozostał w domu, zapewnił mnie, że *Torreador* bez wątpienia przyplynie zgodnie z zapowiedzią. Sekretarz ów utrzymywał, że zna swego pracodawcę na tyle, by mieć pewność, iż nic prócz ręki boskiej nie odwiedzie go od tego, co sobie zaplanował.

Poinformowano mnie, że nadajnik wchodzący w skład sprzętu radiowego *Torreadora* jest opieczętowany i że wykorzystany zostanie tylko w skrajnej ostateczności. Pozostawało nam więc tylko czekać, i czekaliśmy.

Rozmawiając o rękopisie próbowaliśmy wysnuwać domysły dotyczące samego dokumentu I wypadków, które relacjonował. Storpedowanie statku pasażerskiego, na którego pokładzie Bowen J. Tyler junior płynął do Francji, by podjąć tam służbę w amerykańskim lotnictwie sanitarnym, było faktem dobrze znanym, a ja, telegrafując do nowojorskiego biura armatora, upewniłem się jeszcze, że panna La Rue miała wykupiony bilet na ten rejs. Ponadto ani ona, ani Bowen nie figurowali na liście ocalonych rozbitków; nie odnaleziono też ich ciał.

Uratowanie tej pary przez angielski holownik było zupełnie prawdopodobne, opanowanie nieprzyjacielskiej łodzi podwodnej U-33 przez załogę holownika nawet do pomyslenia, a ich przygody podczas niebezpiecznej żeglugi, którą zdrada i podstęp Bensona wydłużyły tak, że znaleźli się w końcu na wodach dalekiego południowego Pacyfiku z wyczerpującymi się zapasami żywności i paliwa oraz z zatrutą wodą pitną w zbiornikach, chociaż ocierały się o fantazję, to sądząc z rękopisu relacjonującego je zdarzenie po zdarzeniu, układały się w dosyć logiczną całość.

Capronę zawsze uważano za ład mniej lub bardziej legendarny, chociaż jej istnienie potwierdza słynny osiemnastowieczny żeglarz; ale z relacji Bowena wyłaniał się bardzo realny jej obraz, pomimo że dzieliło nas od niej wiele mil oceanicznych bezdroży. Tak, ta relacja skłaniała nas do zastanowienia. Zgodziliśmy się obaj, że jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobna, jednak żaden z nas nie mógł z całą pewnością stwierdzić, by którykolwiek jej fragment wykraczał poza granice wiarygodności. Istnienie niesamowitej flory i fauny na Caspak w warunkach gęstej, wilgotnej atmosfery przegrzanego krateru było tak samo możliwe, jak w erze mezozoicznej w niemal dokładnie

takich samych warunkach, które wówczas panowały prawdopodobnie na całym świecie. Mój rozmówca słyszał o Capronim i jego odkryciach, ale przyznał, że nigdy nie interesował się bliżej tym tematem. Uznaliśmy zgodnie, że najtrudniejszy do wyjaśnienia jest sygnalizowany fakt całkowitego braku dzieci wśród rozmaitych plemion, z jakimi los zetknął Tylera. To właśnie było w rękopisie najbardziej niepojęte. Świat samych dorosłych! Niemożliwe.

Wysuwaliśmy też rozmaite przypuszczenia co do losu Bradleya i jego oddziału angielskich marynarzy. Tyler natknął się na groby dwóch z nich; ilu jeszcze mogło zginąć! No a panna La Rue – czy młoda dziewczyna mogła przetrwać długo na pełnym zagrożeniu Caspak z dala od swoich? Sekretarz stwierdził, że jest ciekaw, czy Nobs nadal jej towarzyszy i zaraz obaj skwitowaliśmy uśmiechem tę pośrednią akceptację całej niewiarygodnej opowieści.

– Może i jestem głupcem – zauważył sekretarz – ale, na Boga, wierzę w to i już, i mam przed oczami tę dziewczynę z wielkim airedalczykiem u boku, broniącym jej przed okropieństwami sprzed milionów lat. Wyobrażam sobie całą scenerię, zupełnie jakbym tam był... podobni do małych ludzi Garimaldiego gnieźdzący się w brudnych jaskiniach; ogromne pterodaktyle szybujące w gęstym powietrzu na błoniastych skrzydłach; olbrzymie dinozaury przewalające swe niezdarne ciała w mrocznych cieniach przedlodowcowych puszczy – smoki, które uważano za mit, dopóki nauka nie dowiodła, że to prawdziwe wspomnienia pierwszych ludzi przekazywane ustnie poprzez niezliczone stulecia z ojca na syna od niknącego w pomroce dziejów zarania ludzkości poczynając.

– To potworne... jeśli prawdziwe – odparłem. – i pomyśleć, że może nadal tam są, Tyler z panną La Rue, otoczeni mrozącymi krew w żyłach niebezpieczeństwami, i że Bradley oraz część jego oddziału może jednak żyją! Przez cały czas nie opuszcza mnie nadzieja, że Bowen i dziewczyna znaleźli resztę. Wedle ostatnich informacji Bowena pozostało ich sześciu; mat Bradley, pierwszy mechanik Olson oraz marynarze Wilson, Whitely, Brady i Sinclair. Gdyby zdołali połączyć siły, mieliby pewną szansę, ale obawiam się, że rozdzieleni nie przetrwają długo.

Gdyby nie dopuścili do opanowania U-33 przez niemieckich jeńców! Bowen powinien był zachować większą przezorność i nie obdarzać ich takim zaufaniem. Niewykluczone, że von Schoenvortsowi udało się wrócić bezpiecznie do Kilonii i że w tej chwili paraduje dumnie z Krzyżem Żelaznym na piersi. Nie widzę powodu, by dysponując wielkim zapasem ropy ze złoża, które odkryli na Caspak, mając pod dostatkiem wody pitnej i żywności nie mieliby przepłynąć podwodnym tunelem pod granicznymi urwiskami i wydostać się na wolność.

– Nie lubię ich – mruknął sekretarz – ale czasami trzeba oddać im sprawiedliwość.

– Tak – warknąłem – i o niczym innym tak nie marzę, jak o oddaniu im sprawiedliwości!

W tym momencie zadzwonił telefon. Sekretarz podniósł słuchawkę i obserwując go zauważyłem, jak szczęka mu opada, a twarz blednie.

– Mój Boże! – wykrzyknął jak ktoś w transie odłożywszy słuchawkę na widelki. – To nie może być!

– Co się stało? – zapytałem.

– Pan Tyler nie żyje – odparł zgaszonym tonem. – Zmarł nagle na morzu. Wczoraj.

Następnych dziesięć dni upłynęło na załatwianiu formalności związanych z pochówkiem pana Bowena J. Tylera seniora oraz na układaniu planów przyścia z pomocą jego synowi. Wszystkim zajmował się pan Tom Billings, ostatni sekretarz pana Tylera. Jest on uosobieniem przebojowości, energii, inicjatywy i zdrowego rozsądku razem wziętych. Nigdy nie widziałem równie dynamicznego młodego człowieka. Z prawnikami, sądami i egzekutorami radził sobie jak rzeźbiarz z gliną. Urabiał

ich, kształtował i naginał według własnej woli. Był kolegą Bowena Tylera z uczelni i członkiem tego samego studenckiego bractwa, a wcześniej – ubogim i trochę nieśmiałym poganiaczem byłą na jednym z wielkich rancz Tylerów. Tyler senior wyłuskał go spośród tysięcy swoich pracowników i uczynił kimś, a raczej należałoby powiedzieć, że Tyler stworzył mu szansę, Billings zaś, wykorzystując ją, wybił się sam. Tyler junior, równie dobrze znający się na ludziach co jego ojciec, obdarzył Billingsa swą przyjaźnią i tak wspólnymi siłami pozyskali Tylerowie człowieka, który oddałby za nich życie równie ochoczo, co za swą narodową flagę. Nie było w Billingsie nic z pochlebcy czy lizusa; zazwyczaj nie wyrażam się o ludziach entuzjastycznie, ale ten Billings pasuje mi do mojego wyobrażenia prawego człowieka jak nikt. Zaryzykuję stwierdzenie, że zanim stary Tyler posłał go do szkół, chłopak nie słyszał nawet o etyce, a mimo to pewien jestem, że nigdy w życiu nie przekroczył ani jednej zasady kodeksu etycznego amerykańskiego dżentelmena.

Dziesięć dni po zniesieniu zwłok pana Tylera z pokładu *Torreadora* wypłynęliśmy na Pacyfik w poszukiwaniu Caprony. Wyprawa składała się z czterdziestu osób, wliczając w to kapitana i załogę *Torreadora*, a całością dowodził niezmordowany Billings. Poszukiwania Caprony trwały długo i były żmudne, bo stara mapa, na której sekretarz zlokalizował wreszcie ten ląd, nie grzeszyła dokładnością. Kiedy z oceanicznej mgły wynurzyły się w końcu jej posępne ściany, znajdowaliśmy się w miejscu tak daleko wysuniętym na południe, że powstało pytanie, czy to jeszcze południowy Pacyfik, czy już Antarktyda. Otaczały nas liczne góry lodowe i było bardzo zimno.

Podczas podróży Billings skwapliwie unikał rozmowy o tym, jak myślał dostać się na Caspak, kiedy już odnajdziemy Capronę. Z rękopisu Bowena Tylera wynikało niezbicie, że jedyną drogą prowadzącą do kraterowego świata za niedostępnymi urwiskami jest podwodne ujście caspakijskiej rzeki. Grupa Tylera zdołała przedostać się tym kanałem, bo dysponowała łodzią podwodną, ale *Torreador* z równą skutecznością mógł przepłynąć pod urwiskami, co nad nimi przefrunąć. Jimmy Hollis i Colin Short zabijali czas wymyślając godzinami sposoby pokonania tej niebotycznej przeszkody i zawierając absurdalne zakłady, z którego z nich Tom Billings zamierza skorzystać. Jednak gdy tylko zyskaliśmy pewność, że ląd, który ukazał się naszym oczom, to Caprona, Billings zwołał nas wszystkich na naradę.

– Rozmawianie o tych sprawach – zagaił – nie miało sensu przed odnalezieniem wyspy. Póki nie zbadamy dokładnie linii brzegowej, możemy snuć jedynie przypuszczenia. Każdy z nas na podstawie opisu zawartego w kronice Bowena stworzył sobie w wyobraźni własną wizję caprońskiego wybrzeża i jest raczej mało prawdopodobne, aby wśród tych obrazów znalazły się choć dwa podobne do siebie albo żeby któryś z nich przypominał wybrzeże takim, jakie je teraz znajdziemy. Biorę pod uwagę trzy plany pokonania urwiska, a środki do wprowadzenia w życie każdego z nich znajdują się w ładowni. Jest tam elektryczna wiertarka z kablem w wodoszczelnej izolacji wystarczająco długim, by doprowadzić energię z prądnic zakotwiczonego w bezpiecznej odległości od brzegu *Torreadora* aż na szczyt urwiska; jest tam też taka ilość półcalowego żelaznego pręta, by starczyło go na zmontowanie drabiny sięgającej od podnóża urwiska aż po sam szczyt. Wywiercenie dziur w ścianie od dołu do góry i osadzenie w nich szczebli drabiny będzie pracą długą, żmudną i niebezpieczną, ale wykonalną.

Zabrałem również ratunkowy miotacz, za pomocą którego zdołamy może przerzucić linę przez szczyt urwiska; ale ten plan wymagałby od jednego z nas wspięcia się na górę, a istnieje bardziej niż prawdopodobne ryzyko, że lina przetrze się o krawędź albo że haki na jej górnym końcu nie utrzymają ciężaru śmiałka.

Rokujący największe szansę powodzenia wydaje mi się mój trzeci plan. Widzieliście wszyscy, jak przed wypłynięciem w morze opuszczono do ładowni kilka wielkich, ciężkich skrzyń. Wiem, że zwróciliście na nie uwagę, bo pytaliście mnie, co zawierają i zastanawialiście się nad znaczeniem dużej litery H wymalowanej na każdej z pak. W skrzyniach tych znajduje się kompletny zestaw elementów hydroplanu. Zamierzam zmontować go na pasie plaży, o którym Bowen wspomina w swoim rękopisie, na tej plaży, gdzie znalazł ciało martwego małpoluda, pod warunkiem jednak, że podczas przyływu jest tam wystarczająco dużo miejsca. Jeśli nie, będziemy musieli przeprowadzić montaż na pokładzie i opuścić hydroplan na wodę przez burtę. Tą właśnie maszyną przetransportuję na szczyt urwiska sprzęt i liny, a wtedy bezpieczne wywindowanie na górę grupy poszukiwawczej i jej ekwipunku stanie się sprawą stosunkowo prostą. Mogę też odbyć odpowiednią liczbę kursów i przetrzymać całą grupę bezpośrednio do doliny za urwiskami. Wszystko będzie, ma się rozumieć, zależeć od wyników mego pierwszego rekonesansu.

Tego popołudnia posuwaliśmy się powoli wzdłuż niebotycznych urwisk granicznych Caprony.

– Widzisz teraz – zauważył Billings, kiedy zadzieraliśmy głowy, by badać wzrokiem krawędzie urwisk rysujące się tysiące stóp nad naszymi głowami – że tylko trwoniliśmy czas opracowując szczegółowo plan wspięcia się na tę ścianę. – Tu wskazał ruchem kciuka na urwiska. – Skonstruowanie drabiny sięgającej samego szczytu zabrałoby nam tygodnie, jeśli nie miesiące. Nie miałem pojęcia, że są tak niebywale wysokie. Nasza wyrzutnia nie doniosłaby liny nawet do połowy najniższej wysokości ściany. Rozpatrywanie jakiegokolwiek planu poza tym, który przewiduje wykorzystanie hydroplanu, nie ma sensu. Znajdziemy tę plażę i zabierzemy się do roboty.

Przed południem następnego dnia obserwator obwieścił, że jakaś milę przed nami dostrzega fale przyboju. Podpłynąwszy bliżej, rzeczywiście ujrzeliśmy linię spienionych bałwanów przechodzącą w długi odcinek huczącego przyboju zalewającego wąską plażę. Opuszczono szalupę i dobiliśmy w piątkę do brzegu zażywając przy okazji przymusowej kąpieli w lodowato zimnej wodzie. Ale nagrodą było znalezienie oskubanych do czysta kości czegoś, co mogło być szkieletem małego człekokształtnej albo człowieka na bardzo niskim etapie rozwoju, leżących nieopodal podnóża urwiska. Billings, podobnie jak my wszyscy, był wielce rad, że to ta sama plaża, o której wspominał Bowen, a ponadto stwierdziliśmy, że jest tu wystarczająco dużo miejsca, by prowadzić montaż hydroplanu.

Podjąwszy decyzję Billings nie tracił na próżno czasu, tak więc wczesnym popołudniem mieliśmy już na brzegu wszystkie skrzynie oznaczone literą H i krzątaliśmy się jak w ukropie przy ich otwieraniu. Dwa dni później samolot był zmontowany i gotowy do lotu. Załadowaliśmy wyciągarke i liny, wodę, prowiant i amunicję, po czym każdy z nas zaczął molestować Billingsa, by właśnie jego zabrał ze sobą w pierwszy kurs. Ale on nie zabrał nikogo. Taki właśnie był Billings; jeśli trafiało się szczególnie trudne lub niebezpieczne zadanie, które wykonać mógł tylko jeden człowiek, Billings zawsze brał je na siebie. Gdyby potrzebował pomocy, nigdy nie zdawałby się na ochotników, tylko wybrał człowieka lub ludzi jego zdaniem najlepiej nadających się do danej roboty. Mawiał, że uważa zasady leżące u podstaw służby ochotniczej za z gruntu niewłaściwe i że w jego odczuciu apele o zgłaszanie się wolontariuszy źle świadczą o odwadze i kompetencjach dowództwa.

Zepchnęliśmy samolot nad samą wodę i Billings wdrapał się na fotel pilota. Zwlekał przez chwilę, upewniając się, czy ma wszystko co trzeba. Jimmy Hollis dokonał tymczasem przeglądu jego uzbrojenia i amunicji, by sprawdzić, czy o czymś nie zapomniano. Poza pistoletem i karabinem Billings miał jeszcze do dyspozycji pokładowy karabin maszynowy zamontowany na stałe przed



kabiną pilota i amunicję do wszystkich trzech sztuk broni. Relacja Bowena opisująca niebezpieczeństwa czyhające na Caspak uświadomiła nam wszystkim konieczność posiadania odpowiednich środków obrony.

W końcu wszystko było gotowe. Zadudnił uruchomiony silnik, a my zepchnęliśmy samolot na wodę. Jeszcze chwila i maszyna, ślizgając się po falach, pomknęła w morze, łagodnie oderwała pływaki od powierzchni wody, wznosząc się po szerokiej spirali nabrała szybko wysokości, zatoczyła koło nad naszymi głowami i znikła za krawędzią urwiska. Zaaferowani staliśmy w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w szczyt piętrzącej się nad nami ściany. Hollis, który przejął teraz dowództwo, spoglądał co chwila na zegarek.

– Boże – wykrzyknął wreszcie Short – zaraz powinniśmy go usłyszeć!

Hollins roześmiał się nerwowo.

– Dopiero dziesięć minut jak odleciał – oznajmił.

– A mnie się wydaje, że to już godzina – bąknął Short. – A to co? Słyszeliście? Strzela! To jego karabin maszynowy! O Boże, a my sterczymy tu bezradni niby grupka staruszek dziesięć tysięcy mil stąd! Nic nie możemy zrobić. Nie wiemy, co się tam dzieje. Dlaczego nie chciał ze sobą zabrać któregoś z nas?

Tak, to był karabin maszynowy. Słyszeliśmy wyraźnie jego terkot przez co najmniej minutę. Potem zaległa cisza. To było dwa tygodnie temu. Od tamtego czasu nie mieliśmy od Toma Billingsa żadnego znaku ani sygnału.

## Rozdział XII

Nigdy nie zapomnę swoich pierwszych wrażeń z Caspak, gdy patrzyłem na tę krainę z lotu ptaka, krążąc wysoko nad otaczającymi ją urwiskami. Spoglądałem z samolotu poprzez lekki opar na roztaczający się przede mną zamglony krajobraz. Gorąca i wilgotna atmosfera Caspak, owiewana przez rwące nad kraterem zimne antarktyczne prądy powietrza, skrapla się wysyłając daleko w Pacyfik wstęgę rozrzedzonej pary wodnej. Za jej sprawą ktoś podziwiający ten widok z góry odnosi wrażenie, że patrzy na kolosalnych rozmiarów impresjonistyczny obraz utrzymany w odcieniach zieleni, brązu, szkarłatu i żółci, z ciemnym błękitem śródlądowego morza pośrodku – jednym słowem na barwne plamy o kształtach zacieranych przez tę zwodniczą mgiełkę.

Zniżyłem lot tuż przy wewnętrznej ścianie urwiska i przeleciałem wzdłuż niej kilka mil nie natrafiając na żadne miejsce, które nadawałoby się na lądowisko. Potem zawróciłem i poleciałem z powrotem na jeszcze mniejszej wysokości, wypatrując jakiejś polany u podnóża tej wielkiej skarpy, nadal nie dostrzegałem jednak skrawka wolnej przestrzeni, na którym mógłbym bezpiecznie usiąść. Leciałem teraz zupełnie nisko nie tylko szukając miejsca do lądowania, ale i obserwując feerię życia w dole. Przeleciałem już spory kawał w kierunku południowego krańca wyspy, gdzie odnoga jeziora wrzyna się głęboko w głąb lądu, i widziałem powierzchnie tego wielkiego akwenu dosłownie czarną od jakichś stworzeń. Znajdowałem się zbyt wysoko, by rozróżniać poszczególne sztuki, ale w swej masie robiły na mnie wrażenie ogromnej armii ziemnowodnych potworów. Ląd niemal w równym stopniu tętnił życiem, pokryty hordami pełzających, biegających i fruujących istot. Właśnie jedna z tych ostatnich omal mnie nie dopadła, gdy całą swą uwagę poświęciłem roztaczającej się w dole scenerii.

Pierwszym ostrzeżeniem było nagle przyćmienie słońca; spojrzawszy szybko w górę dostrzegłem pikującego na mnie najbardziej przerażającego stwora, jakiego w życiu widziałem. Od końca swego długiego odrażającego dzioba, do czubka grubego i krótkiego ogona musiał mierzyć dobre osiemdziesiąt stóp i tyle samo wynosiła rozpiętość jego skrzydeł. Spadał wprost na mnie z mrozącym krew w żyłach sykiem – słyszałem go pomimo warkotu silnika. Nadlatywał prosto pod lufę karabinu maszynowego, powiem mu więc serię w samą pierś; leciał jednak dalej, przez co zmuszony byłem zanurkować i wejść w ciasny skręt, mimo że znajdowałem się niebezpiecznie blisko ziemi.

Stwór przemknął obok mnie chybiając o zaledwie kilka stóp i kiedy byłem w trakcie ponownego nabierania wysokości, zawrócił i rzucił się za mną w pogoń, ale ścigał mnie tylko do poziomu szczytu urwiska, gdzie zaczynała się warstwa chłodniejszego powietrza; tam znowu zawrócił i zszedł lotem ślizgowym w dół. Coś – przypuszczam, że naturalna ludzka skłonność do walki i pogoni – podkuśliło mnie, żeby go ścigać, tak więc ja również zatoczyłem koło i zanurkowałem. Ledwie znalazłem się z powrotem w parnej atmosferze Caspak, stwór ponownie zaatakował wzbijając się wyżej, by móc runąć na mnie z góry. Nie mogło być bardziej wymarzonego celu dla mojej broni pokładowej, bowiem lufa karabinu maszynowego samolotu nakierowana była w górę pod kątem

około czterdziestu pięciu stopni, a pilot nie mógł jej ani opuszczać, ani unosić. Gdybym zabrał kogoś ze sobą, moglibyśmy prowadzić ogień do wielkiego gada niemal z każdej pozycji, ale ponieważ stwór atakował uparcie od góry, i tak nadziewał się zawsze na serie moich pocisków. Bitwa trwała dobrą minutę, zanim stwór zwinął się w powietrzu i runął bezwładnie na ziemię.

Podczas studiów mieszkaliśmy, ja i Bowen, w jednym pokoju i przyswoiłem sobie od niego sporo wiadomości wykraczających poza normalny program nauki. Pomimo swego zamiłowania do żartów był bardzo dobrym studentem, a szczególnie interesował się paleontologią. Zwykł mi opowiadać o rozmaitych formach życia zwierzęcego i roślinnego występujących na Ziemi w zamierzchłych erach i dzięki temu nieźle orientowałem się w gatunkach ryb, stworzeń ziemnowodnych, gadów i ssaków epoki paleolitu. Wiedziałem, że napastujący mnie latający stwór jest jakąś odmianą pterodaktyła, która powinna była wymrzeć przed milionami lat. To mi wystarczyło, by nabrać pewności, że w swoim rękopisie Bowen nic a nic nie przesadził.

Pozbywszy się pierwszego napastnika zacząłem szukać miejsca do lądowania w pobliżu podnóża urwisk, za którymi zostawiłem swoją grupę. Zdawałem sobie sprawę, z jaką niecierpliwością wyglądają wiadomości ode mnie, a ja również nie mogłem doczekać się chwili, kiedy rozproszę ich obawy i przetransportuję wraz z ekwipunkiem do wnętrza Caspak, abyśmy mogli wreszcie przystąpić do poszukiwań i przyjść z pomocą Bowenowi Tylerowi. Ale ledwie ścierwo pterodaktyła roztrzaskało się o ziemię, otoczyło mnie co najmniej tuzin ohydnych stworzeń różnej wielkości, pałających wszakże jednakową żądzą unicestwienia mnie. Nie miałem szans w walce z wszystkimi naraz, umknąłem więc im wzbijając się szybko pod osłonę chłodniejszej warstwy atmosfery, gdzie nie ważyły się mnie ścigać; i wtedy przypomniało mi się, że w swej relacji Bowen wyraźnie zaznaczał, iż im dalej na północ Caspak, tym mniej strasznych gadów uniemożliwiających człowiekowi egzystencję po południowej stronie wyspy.

Nie pozostawało mi chyba zatem nic innego, jak poszukać lądowiska bardziej na północ, a potem wrócić do *Torreadora* i przetransportować dwójkami moich towarzyszy ponad urwiskami na miejsce zbiórki. Podczas lotu na północ ogarnęła mnie pokusa przeprowadzenia wstępnego rekonesansu na własną rękę. Zdawałem sobie sprawę, że zapas paliwa w zbiornikach starczy mi bez problemu na przelot nad całym Caspak i bezpieczny powrót na plażę; a przy tym istniała szansa, że odnajdę Bowena bądź kogoś z jego ludzi. Zwabił mnie bezmiar wód śródlądowego morza i przelatując nad tym akwenem po obu jego krańcach dostrzegłem wyspy, jedną na południu i jedną na północy; nie zmieniłem jednak kursu, by lepiej im się przyjrzeć, odkładając to na później.

Przeciwległy brzeg morza dzielił od urwisk pas stałego lądu o wiele węższy niż po stronie zachodniej, ale była to kraina bardziej pagórkowata i pokryta rzadszą roślinnością. Miejsc nadających się do lądowania znajdowało się tu pod dostatkiem. Wydawało mi się, że w dali, na północy, dostrzegam wioskę; ale tego nie byłem w stu procentach pewien. Gdy jednak zbliżyłem się do lądu, zauważyłem kilka ludzkich postaci wyraźnie ścigających samotnego człowieka umykającego przez rozległą łąkę. Kiedy zniżyłem lot, aby lepiej przyjrzeć się owym ludziom, ci usłyszeli warkot silnika i spojrzeli w górę. I ścigany, i ścigający przystanęli na moment, a potem rzucili się do ucieczki szukając schronienia w pobliskim lesie. Niemal w tym samym momencie zanurkowało na mnie ogromne cielsko i zerknąwszy w górę przekonałem się, że nawet w tej części Caspak występują latające gady. Stwór pikował na moje prawe skrzydło tak szybko, że ocalić mógł mnie tylko pionowy lot w dół. Znajdowałem się już blisko ziemi, a więc mój manewr był skrajnie niebezpieczny; mimo to niewiele mi już brakowało, by zakończyć go sukcesem, kiedy nagle dotarło do mnie, że zbliżyłem się

zbyt do wielkiego drzewa. Moja rozpaczliwa próba ominięcia drzewa i pterodaktyla jednocześnie skończyła się katastrofą. Jedno skrzydło zawadziło o górna gałąź; samolot przechylił się, okręcił w miejscu, po czym, wymykając się spod mej kontroli, zarył nosem między konary i znieruchomiał pogruchotany czterdzieści stóp na ziemią.

Ogromny gad przemknął z głośnym sykiem tuż nad wierzchołkiem drzewa, w którym utknął mój samolot, zatoczył nade mną dwa kręgi i łopocząc skrzydłami odleciał na południe. Jak przypuszczałem wtedy i miałem dowiedzieć się później, lasy stanowiły najpewniejsze schronienie przed tymi okropnymi stworami, które z uwagi na olbrzymią rozpiętość swych skrzydeł i wielki ciężar ciała mają z lataniem wśród drzew takie same trudności, co hydroplan.

Przez dobrą minutę tkwiłem w roztrzaskanym samolocie, któremu nie mogła już pomóc żadna naprawa, otumaniony straszną katastrofą, jaka mi się przytrafiła. Od tej maszyny zależało powodzenie wszystkich moich planów ratowania Bowena i panny La Rue, tymczasem przez kilka krótkich chwil, na jakie pofolgowałem swej egoistycznej żądzy przygód, w gruzach legły zarówno ich, jak i moje nadzieje. A jaki wpływ będzie to miało na przyszłość reszty członków wyprawy ratunkowej, nie byłem w stanie nawet przewidzieć. Oni również mogli przypłacić życiem moją samobójczą głupotę. To, że jestem zgubiony, zdawało się faktem niezaprzeczalnym; ale z czystym sumieniem mogę przyznać, że los przyjaciół leżał mi na sercu bardziej niż własny.

W tej chwili po drugiej stronie granicznych urwisk cała grupa oczekuje w napięciu mego powrotu. Zaraz zaczną ich ogarniać niepokój i strach – i nigdy się nie dowiedzą! Będą próbowali wspiąć się na urwiska, tego byłem pewien; ale wcale nie miałem pewności, czy im się to uda. Po jakimś czasie ci z nich, którzy pozostaną jeszcze przy życiu, dadzą za wygraną i przybici, z żałobą w sercach, wyruszą w drogę powrotną do domu. Do domu! Zacisnąłem szczęki i usiłowałem zapomnieć to słowo, bo zdawałem sobie sprawę, że pewnie nigdy nie ujrzę już domu.

A co z Bowenem i dziewczyną? Ich los też przypieczętowałem. Nigdy się nawet nie dowiedzą, że ktoś podjął próbę przyjścia im z pomocą. Jeśli jeszcze żyją, natkną się może pewnego dnia na zdezelowane szczątki tego wielkiego samolotu zawieszony w swym napowietrznym grobie i niepomierne zdziwieni snuć będą czele domysły; ale nigdy nie poznają prawdy; mogę być tylko rad, że nie dowiedzą się, iż to Tom Billings przez swój zbrodniczy egoizm przypieczętował ich wyroki śmierci.

Cale to bezcelowe rozpamiętywanie win wprawiało mnie w zdecydowanie zły nastrój. W końcu jednak wzięłem się w garść, postanowiłem wyrzucić z głowy ponure myśli, pogodzić się z sytuacją i uczynić co w mej mocy, by przekuć klęskę w zwycięstwo. Byłem zdrowo poobijany i posiniaczony, ale w swoim przekonaniu i tak miałem wielkie szczęście wychodząc z tego żywy. Maszyna zwisała pod niebezpiecznym kątem, tak więc z niemałym trudem i wiele ryzykując wygramoliłem się z niej na drzewo, a następnie spuściłem na ziemię.

Znajdowałem się w pożałowania godnym położeniu. Od przyjaciół oddzielało mnie śródlądowe morze szerokie w tym miejscu na sześćdziesiąt mil lub, jak kto woli, w przybliżeniu jakieś trzysta mil drogi lądem naokoło południowego krańca tego morza, usianej takimi niebezpieczeństwami, że szczerze mówiąc ręce mi opadały. Tego dnia napatrzyłem się na Caspak wystarczająco, by dojść do przekonania, iż Bowen ani trochę nie wyolbrzymiał istniejących tu zagrożeń. Jeśli mam być szczerzy, to podejrzewam, że zanim zabrał się do spisywania swojej kroniki, tak mu spowszedniały, że nawet je pomniejszał. Stojąc sobie pod tym drzewem – drzewem, które od niezliczonych stuleci powinno zalegać w jakimś pokładzie węgla – i patrząc na morze tętniące budzącymi trwogę przejawami życia

– życia, które powinno skamienieć, zanim Bóg stworzył Adama – nie dawałem krzty zwietrzałego piwa za swoje szansę ujrzenia kiedykolwiek przyjaciół albo świata zewnętrznego. A mimo to z miejsca poprzysiągłem sobie, że będę przedzierał się poprzez tę okropną krainę, dopóki stanie mi sił. Miałem mnóstwo amunicji, pistolet automatyczny i ciężki karabin; ten ostatni był jednym z dwudziestki, jaką włączyliśmy do naszego ekwipunku mając na uwadze opisywane przez Bowena ogromne drapieżniki grasujące na Caspak. Największe zagrożenie stanowiły dla mnie ohydne gady, u których, na skutek nie w pełni wykształconego układu nerwowego, krwiożercze instynkty dawały o sobie znać jeszcze przez kilka minut po śmierci.

Ale wszystkie te problemy nie przygnębiały mnie w tym stopniu, co fakt nagłego pokrzyżowania wszystkich naszych planów. Przeklinałem się w myślach za tę durną słabość, której ulegając zarzuciłem główny cel lotu, by podjąć przedwczesny i z góry skazany na niepowodzenie rekonesans. Wydawało mi się wtedy, że nie mam już co marzyć o dalszych poszukiwaniach Bowena, bo w mojej ocenie trzysta mil caspakijskiego terytorium, jakie musiałem przebyć, by dotrzeć do podnóża urwisk, za którymi oczekiwała mnie moja grupa, stanowiło odległość praktycznie nie do pokonania dla kogoś nienawykłego do warunków panujących na Caspak i nie mającego zielonego pojęcia, co może go czekać w drodze. Nie straciłem jednak całej nadziei. Cel miałem jasno wytyczony, a skoro dane mi było przeżyć, postanowiłem, że muszę do niego dążyć. Z tą myślą ruszyłem kierując się na północ.

Kraina, przez którą wiodła wybrana przeze mnie droga, była równie przepiękna, co niezwykła – omal nie użyłem określenia „nieziemska”, bowiem rośliny, drzewa ani kwiaty nie pochodziły z Ziemi, jaką znałem. Były większe, o bardziej soczystych barwach i zaskakujących kształtach, niektóre wręcz groteskowe; wzbogacały urok i romantykę krajobrazu, podobnie jak gigantyczne kaktusy czynią przedziwnie pięknymi pustynne przestrzenie posępnej Mohave. A nad tym wszystkim świeciło ogromne, okrągłe, czerwone słońce, potworne słońce nad potwornym światem, zalewając go blaskiem, który rozpraszał się w wilgotnej atmosferze Caspak – w ciepłym, parnym powietrzu lepiącym się do spoconej piersi tej wielkiej matki życia, najpotężniejszego inkubatora Natury.

Wszędzie wokół mnie, gdziekolwiek spojrziałem, pieniło się życie. Przejawiało się ruchem pośród koron drzew i między ich pniami; dawało o sobie znać rozchodzącymi się po powierzchni morza i zachodzącymi na siebie kręgami; wzbijało się w powietrze, wylaniało majestatycznie i zatrważająco z głębin. Słyszałem je też w gęstej puszczy po mojej prawej stronie; jego gwar to narastał, to opadał nieprzerwaną feerią tonów, przetykaną co i rusz przerażającym wrzaskiem albo grzmiącym rykiem, który wprawiał w drżenie ziemię. Ani na chwilę nie opuszczało mnie niewytłumaczalne wrażenie, że jestem obserwowany przez niewidoczne oczy, że mym tropem podążają niesłyszalne stopy. Nie zaliczam się do osób nerwowych ani przewrażliwionych, ale czułem się przytłoczony bagażem ciężającej na mnie odpowiedzialności, byłem więc ostrożniejszy niż zazwyczaj. W obawie przed zaskoczeniem spoglądałem często w prawo i w lewo, oglądałem się wciąż za siebie, a karabin niosłem w rękach gotowy do strzału. Naraz wydało mi się, że pośród mnóstwa zwierząt mających niewyraźnie w mrokach puszczy dostrzegam ludzką postać przemykającą chyłkiem między zaroślami, ale pewien nie byłem.

Starłem się trzymać skraju puszczy, woląc czasem nałożyć raczej drogi niżli zapuszczać się w te tchnące grozą, mroczne ostępy, ale mimo wszystko kilka razy zmuszony byłem przedzierać się przez odroślą kniei sięgające aż po sam brzeg śródlądowego morza, Dzikie odgłosy i przemykające chaszczami niewyraźne cienie jakichś stworzeń tchnęły tak sugestywnym zagrożeniem ze strony nieznanymi zwierząt i kto wie, czy nie jeszcze bardziej obcych ludzi, że wychodząc stamtąd na

otwartą przestrzeń zawsze oddychałem z ulgą.

Wędrowałem, zmierzając na północ już dobrą godzinę, przez cały czas prześladowany podświadomą pewnością, że tuż za moimi plecami, po prawej stronie, podąża mým tropem pod osłoną drzew i zarośli jakieś stworzenie, kiedy po raz setny przykuł mą uwagę podejrzany dźwięk dobiegający z tamtego kierunku. Odwróciwszy się ujrzałem jakieś zwierzę pędzące przez las w moją stronę. Nie próbowało się już kryć; nadbiegało szybko poprzez chaszcze i byłem przekonany, że czymkolwiek jest, zebrało się wreszcie na odwagę, by otwarcie mnie zaatakować. Zanim ukazało mi się ostatecznie w pełnej krasie, wiedziałem już, iż nie jest samo, bo kilka jardów za nim przez gęstą dżunglę przedzierał się jeszcze jeden osobnik. Wszystko wskazywało na to, że szarżuje na mnie para polujących zwierząt bądź ludzi.

I wtedy z ostatniej kępy rozkołysanych paproci wypadła postać wysoko rozwinięte) istoty i rzuciła się rącho ku mnie, podczas gdy ja stałem z karabinem uniesionym do ramienia, mierząc w punkt, w którym z góry spodziewałem się jej pojawienia, jeśli wyraz mojej twarzy odzwierciedlał w jakimkolwiek stopniu zaskoczenie, które odczuwałem opuszczając karabin i wybałuszając z niedowierzaniem oczy na gibką postać dziewczyny pędzącej w moją stronę, musiałem faktycznie wyglądać głupio. Ale nie dane mi było stać tak z bronią u nogi długo, bo zauważyłem, jak nadbiegająca dziewczyna rzuca przez ramię przerażone spojrzenie i równocześnie, z tego samego miejsca, w którym przed momentem ujrzałem ją po raz pierwszy, wypadł z dżungli największy kot, jakiego w życiu widziałem.

Z początku myślałem, że to tygrys szablastozębny, bo bestia wygląd miała najstraszliwszy, jaki tylko można sobie wyobrazić; ale nie był to ten przerażający potwór z przeszłości, mimo że – jeśli chodzi o grozę, jaką wzbudzał – mógłby usatysfakcjonować najwybredniejszego łowcę mocnych wrażeń. Zbliżał się wielkimi susami ponury i straszny, z pałającymi nienawiścią ślepiami nad rozdziawioną szeroko paszczą, której wargi, ściągnięte w przerażającym grymasie, obnażały potężne kły. Na mój widok wytracił impet, z jakim do tej pory sadył i skradał się teraz ku nam z kocią zwinnością. Dziewczyna ściskając w dłoni długi nóż zdążyła tymczasem zająć odważnie pozycję tuż za mną, po mojej lewej ręce. Nadbiegając, wołała coś w niezrozumiałym języku i teraz znowu w nim przemówiła; nie rozumiałem oczywiście, o co jej chodzi, ale zwróciłem uwagę, że głos ma dźwięczny, pięknie modulowany i pozbawiony oznak paniki.

Mając przed sobą wielkiego kocura, w którym rozpoznałem panterę ogromnych rozmiarów, wyczekiwałem okazji, kiedy będę mógł wpakować pocisk tam, gdzie w moim odczuciu najbardziej zaszkodzi, bowiem strzelanie do wielkiego drapieznika od przodu jest sprawą bardzo śliską. Jednak z uwagi na to, że zwierzę nie szarżowało na mnie, miałem nad nim pewną przewagę; pochylało lekko łeb odsłaniając w ten sposób grzbiet. Kiedy więc zbliżyło się na czterdzieści jardów, wymierzyłem dokładnie w jego kręgosłup, w miejsce, gdzie kark łączy się z barkami. Ale w tym samym momencie wielka bestia, jakby wyczuwając moje zamiary, podrzuciła w górę łeb i zerwała się do ataku. Zdawałem sobie sprawę, iż strzelanie w jej cofnięte czoło byłoby gorzej niż bezcelowe, tak więc błyskawicznie przesunąłem muszkę na inny punkt i nacisnąłem spust żywiąc cichą nadzieję, że miękkonosy pocisk i głośna eksplozja prochu wywołają efekt wystarczający, by osadzić zwierzę w miejscu, a mnie dać czas na oddanie drugiego strzału.

Z satysfakcją ujrzałem, jak w odpowiedzi na huk karabinu zwierzę wzlatuje w powietrze niczym wyrzucony sprężyną, wywracając jednocześnie kozła; ale pozbierał się niemal natychmiast – z tym że na ułamek sekundy, jaki stracił na podźwignięcie się z ziemi i otrząśnięcie z oszołomienia, wystawił

mi się jak na strzelnicy całym lewym bokiem. Drugi pocisk przeszył mu serce. Kot padł po raz drugi – i po raz drugi wstał, by znów na mnie ruszyć. Żywotność stworzeń Caspak jest jedną z najbardziej zdumiewających cech tego niesamowitego świata i świadczy o bardzo niskiej organizacji systemu nerwowego paleolitycznych istot, które w innych częściach świata tak dawno już wymarły.

Wpakowałem bestii trzeci pocisk w pierś z odległości trzech kroków i myślałem, że to już koniec, ale pantera przeturlała się jeszcze po ziemi aż do moich stóp i dopiero wtedy na dobre znieruchomiała. Stwierdziłem, że mój drugi pocisk rozerwał jej serce niemal na strzępy, a mimo to żyła nadal i zdołała wykrzesać siły na jeszcze jeden zażarty atak, i gdyby nie trzeci strzał, zdążyłaby mnie rozszarpać, zanimby zdechła – albo, jak to oryginalnie ujmował Bowen Tyler, zanimby do niej nie dotarło, że już nie żyje.

Upewniwszy się, że pantera uświadomiła już sobie wyraźnie fakt swojego zgonu, odwróciłem się do dziewczyny, która patrzyła na mnie z niekłamanym podziwem i bez krzty trwogi, choć przyznać muszę, iż dzieliła swą uwagę w równym stopniu pomiędzy mnie i mój karabin. Przedstawiała sobą najpiękniejszy okaz zwierzęcia, jaki kiedykolwiek widziałem, a skromne wdzięki skrywane pod odzieniem noszony przez nią strój jeszcze podkreślał. Miała na sobie płat miękkiej, niewyprawionej skóry spięty na lewym ramieniu i pod prawą piersią, sięgający po lewej stronie do biodra, a po prawej do metalowej obręczy, która otaczała jej nogę tuż nad kolaniem i do której przymocowany był koniec skóry. Wokół talii nosiła luźny skórzany pas, pośrodku którego zwisała pochwa ściskanego przez nią w ręku noża. Jej prawą rękę między barkiem a łokciem zdobiła pojedyncza bransoleta, natomiast na przedramieniu między łokciem a nadgarstkiem lewej nasuniętych było ich kilka. Dowiedziałem się później, że bransolety te spełniają rolę swego rodzaju tarczy, kiedy uniesione ramię zasłania klatkę piersiową bądź twarz przed nożem napastnika.

Wspaniałą grzywę bujnych włosów dziewczyny podtrzymywała szeroka metalowa opaska ozdobiona wielkim trójkątnym kamieniem, dokładnie pośrodku czoła. Kamieniem tym okazał się ogromny turkus, natomiast metalem, z którego wykute były wszystkie jej ozdoby – szczere złoto inkrustowane misternym wzorem z macicy perłowej i maleńkimi wielobarwnymi kamykami. Z jej lewego ramienia zwiślał ogon leoparda, natomiast drobne stopy miała obute w solidne sandały. Jediną jej bronią był nóż. Ostrze miał z żelaza, rękojeść obciągniętą skórą i chronioną trzema wygiętymi na zewnątrz paskami żelaza, a szczyt głowni wieńczył złoty guz.

Wiele z powyższych obserwacji poczyniłem przez te kilka sekund, gdy staliśmy naprzeciwko siebie, a poza tym mojej uwagi nie uszła jeszcze jedna uderzająca cecha wyglądu dziewczyny: była przeraźliwie brudna! Twarz, ręce nogi i odzienie powalane były błotem i przesiąknięte potem. Mimo to odnosiłem wrażenie, że nigdy nie widziałem tak doskonałej i pięknej istoty. Zarówno jej kształty, jak i twarz aż proszą się o opis. Gdybym należał do literackiego bractwa, stwierdziłbym prawdopodobnie, że rysy miała greckie, ale skoro nie jestem ani pisarzem, ani poetą, lepiej będzie, jeśli daruję sobie porównywanie ich z klasyczną fizjonomią greckiej bogini, a za to powiem, że łączyły w sobie wszystkie najwspanialsze cechy, jakie znajdujemy w twarzy typowej Amerykanki. Nie, nawet brud nie był w stanie ukryć tego faktu; była pięknnością nie mającą sobie równych.

Gdy tak staliśmy mierząc się wzrokiem, na usta dziewczyny wypłynął z wolna uśmiech, rozchylając kształtne wargi i odsłaniając rząd silnych, białych zębów. Galu? – spytała z naciskiem.

A ja, przypomniawszy sobie, że w rękopisie Bowena wyczytałem, iż „Galu” zdaje się oznaczać jakiś wyżej rozwinięty typ człowieka, odpowiedziałem pokazując na siebie palcem i powtarzając to słowo. Wtedy zaczęła recytować istny katechizm, jeśli sądzić z intonacji; oczywiście nie rozumiałem

ani słowa. Przez cały czas zerkąła przy tym na las, a w końcu dotknęła mego ramienia i pokazała palcem w tamtym kierunku.

Odwróciwszy się ujrzałem stojącą na skraju puszczy i obserwującą nas owłosioną postać człekokształtnej istoty, a gdy tak patrzyłem, z dżungli, jedna po drugiej, zaczęły się wyłaniać i grupować wokół przywódcy następne, aż gromadka urosła przynajmniej do dwudziestu osobników. Byli zupełnie nadzy. Ciała mieli porośnięte włosami i chociaż stali wyprostowani nie dotykając rękoma ziemi, z wyglądu bardzo przypominali małpy, bowiem pochyłili się w przód, mieli długie ramiona i zupełnie małpie fizjonomie. Ze swymi blisko osadzonymi oczyma, płaskimi nosami, długimi górnymi wargami i wyszczerzonymi żółtymi kłami nie przedstawiali sobą przyjemnego dla oka widoku.

– Alu! – wyrzuciła z siebie dziewczyna.

Tyle już razy przeczytałem uważnie pasjonującą relację Bowena, że niemal na pamięć znałem wszystkie jego przygody, tak więc zorientowałem się teraz, iż mam przed sobą ostatnich przedstawicieli owej pradawnej ludzkiej rasy, rasy Alu, nie posługujących się mową.

– *Kazor!* – krzyknęła dziewczyna i w tym samym momencie Alu rzucili się ku nam z jazgotem.

Zbliżali się szczerząc groźnie kły i wydając dziwne, warkliwe pomruki. Wyposażeni byli jedynie w broń naturalną, potężne mięśnie i gigantyczne zębiska; dobrze jednak wiedziałem, że wystarczyłyby im w zupełności, by nas pokonać, gdybyśmy nie mieli czegoś lepszego na swą obronę, toteż natychmiast wy dobyłem pistolet i wypaliłem do przywódcy. Padł niczym rażony gromem, a pozostali zawrócili i rzucili się do ucieczki. Usta dziewczyny rozciągały się znowu w owym charakterystycznym, powoli zakwitającym uśmiechu; podeszła bliżej i pogłaskała lufę mojej broni. Gdy to uczyniła, jej palce zetknęły się z moimi, a mnie przeszedł nagły dreszcz, co przypisałem faktowi, że od dawna nie widziałem kobiety – jakiegokolwiek rasy.

Powiedziała coś do mnie swoim niskim, melodyjnym głosem, a widząc, że jej nie rozumiem, wskazała palcem na północ i ruszyła w tamtym kierunku. Podążyłem za nią, bo ja również szedłem na północ, ale gdyby skierowała się na południe, też bym za nią poszedł, tak spragniony byłem ludzkiego towarzystwa w tym świecie krwiożerczych bestii, gadów i półludzi.

W drodze dziewczyna trajkotała jak najęta i była wyraźnie zdumiona, że jej nie rozumiem. Gdy ja z kolei spróbowałem do niej przemówić, parsknęła perlistym śmiechem, jakby mój język był najosobliwszą rzeczą, jaką w życiu słyszała. Często, po bezowocnych wysiłkach porozumienia się ze mną, pokazywała mi otwartą dłoń mówiąc: „Galu”, a potem dotykała mej piersi albo ręki i wykrzykiwała: „Alu, alu!” Wiedziałem, co miała na myśli, bo ten gest zaprzeczenia i dwa powtarzane przez nią słowa znałem z relacji Bowena. Mówiła, że nie jestem Galu, za którego się podaję, lecz Alu, czyli człowiekiem nie znającym żadnego języka. Jednak za każdym razem, kiedy dawała mi to do zrozumienia, na nowo wybuchała śmiechem i to tak zaraźliwym, że nie miałem innego wyjścia, jak tylko jej zawtórować. Była zdumiona faktem, że nie potrafię jej zrozumieć oraz że sama nie rozumie mnie, ale nie dziwiło mnie to wcale, bo poczynając od Maczugowców, najprymitywniejszego rodzaju ludzi na Caspak, który posługuje się mową, a na złotej rasie Galu kończąc, języki rozmaitych plemion – choć im wyższy szczebel ewolucji, tym słownictwo coraz bogatsze – są identyczne. Ona, będąc Galu, potrafi zrozumieć przedstawiciela Bo-lu i porozmawiać sobie z nim, podobnie zresztą jak z Toporowcem, Włócznikiem czy Łucznikiem. Ho-lu, małpy, Alu i ja byliśmy jedynymi stworzeniami przypominającymi człowieka, z którymi nie mogła się porozumieć; jasne jednak było, że inteligencja podpowiada jej, iż nie jestem ani Ho-lu, ani Alu, ani



małą człekokształtną, ani też niemową.

Ale zamiast załamać ręce, zaczęła uczyć mnie swojego języka; i gdyby nie to, że tak bardzo niepokoił mnie los Bowena i moich towarzyszy z *Torreadora*, nie miałbym nic przeciwko przedłużeniu okresu tej edukacji.

Chociaż nigdy nie zaliczałem się do tak zwanych bawidamków, przepadam za towarzystwem kobiet i podczas studiów oraz po ich ukończeniu nawiązałem wiele przyjaźni z przedstawicielkami tej płci. Wydaje mi się, że przyciągam określony typ dziewczyn, ponieważ nigdy nie chodzi mi o sprawy łóżkowe; te pozostawiam rzeszom innych, którzy radzą sobie na tym polu nieskończenie lepiej. Przyjemność, jaka daje obcowanie z płcią piękną, czerpie z bardziej chyba racjonalnych rozrywek – tańcząc z nimi, grając w golfa i tenisa, żeglując, jeżdżąc konno, i tym podobne. Jednak w towarzystwie tej półnagiej, małej dzikuski odczuwałem nową przyjemność, całkowicie różną od tych, jakich dotąd doświadczałem. Kiedy mnie dotykała, drżałem, co nie przytrafiało mi się nigdy przedtem w kontaktach z innymi kobietami. Nie pojmowałem tego, bo choć byłem świadom, że jest to zazwyczaj jeden z objawów miłości, z pewnością nie kochałem tej brudnej, małej barbarzynki z połamanymi, zaniedbanymi paznokciami i skórą tak utyłaną błotem i zielenią z rozgniecionych roślin, że trudno było stwierdzić, jakiego właściwie jest koloru. Z drugiej jednak strony, chociaż była zewnętrznie zaniedbana, jej jasne oczy i silne, białe, równe zęby, jej srebrzysty śmiech i królewska postawa świadczyły o wrodzonej subtelności, której brud nie był w stanie skutecznie zamaskować.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy dotarliśmy nad małą rzeczkę wpadającą do wielkiej zatoki u podnóża niewysokich urwisk. Nasza wędrowka, jak każda podróż przez tę przerażającą krainę, najeżona była mnóstwem niebezpieczeństw. Nie chcę was nużyć opisami ustawicznych napaści ze strony całej plejady rozmaitych stworów, które nieustannie bądź to nadziewały się na nas przypadkiem, bądź z rozmysłem podążały naszym tropem. Przez całą drogę mieliśmy się na baczności, bowiem, parafrazując, nieustająca czujność jest faktyczną ceną życia.

Udało mi się poczynić pewne postępy w przyswajaniu sobie tajników języka dziewczyny i znalazłem już caspakijskie nazwy wielu zwierząt, gadów, drzew, paproci i traw. Znałem określenia na morze i rzekę, na urwisko i niebo, słońce i chmurę. Tak, szło mi zupełnie nieźle i nagle uświadomiłem sobie, że nie znam imienia mojej towarzyszki; pokazałem więc na siebie i powiedziałem: „Tom”, a potem na nią unosząc pytająco brwi. Dziewczyna przeczesła palcami grzywę i spojrzała na mnie zaintrygowana. Powtórzyłem powyższe gesty kilkanaście razy.

– Tom – powiedziała wreszcie swym czystym, słodkim, melodyjnym głosem. – Tom!

Nigdy dotąd nie zastanawiałem się wiele nad swoim imieniem, ale wymawiane przez nią, po raz pierwszy zabrzmiało mi bardzo przyjemnie dla ucha, ona natomiast rozpromieniła się nagle i pukając się palcem w pierś wykrzyknęła:

– Ajor!

– Ajor! – powtórzyłem, a ona roześmiała się i klasnęła w dłonie.

Tak, teraz, znaleźmy już swoje imiona i płynęła stąd jakaś satysfakcja. To imię nawet mi się podobało – Ajor! A moje chyba spodobało się jej, bo powtarzała je co chwila.

I tak dotarliśmy do urwisk u ujścia małej rzeczki do zatoki, za którą rozpościerało się wielkie śródlądowe morze. Urwiska, wysmagane deszczem i wiatrem, wyprażone słońcem, były mocno zwietrzałe; w jednym miejscu, pod kamiennym nawisem, widniała szeroka na kilka stóp i dosyć głęboka nisza – wymarzona na nocne schronienie. Wszędzie wokół leżało pełno odłamków skał, z których mógłbym wznieść barykadę u wejścia do grotty, zatrzymałem się więc i pokazałem to

miejsce Ajor usiłując dać jej do zrozumienia, że moglibyśmy spędzić tutaj noc.

Pojąwszy, o co mi chodzi, dziewczyna wyraziła swoją aprobatę caspakijskim odpowiednikiem potakującego skinienia głową, po czym dotknęła mojego karabinu i dała mi znak, żebym poszedł z nią nad rzekę. Kiedy dotarliśmy do brzegu, zatrzymała się, zdjęła z bioder pas wraz z tkwiącym w pochwie nożem i rzuciła go na ziemię obok siebie; następnie odpięła dolny brzeg swego odzienia od metalowej obręczy na nodze, do której było przymocowane, zsunęła je z lewego ramienia i opuściła na ziemię, tak że legło u jej stóp. Wszystko odbywało się w sposób tak naturalny, tak zwyczajnie i szybko, że kiedy dobiegło końca, dyszałem spazmatycznie niczym ryba wyciągnięta z wody. Odwróciła się obdarzając mnie w przelocie uśmiechem i skoczyła do rzeki pozostawiając mnie na straży na czas, gdy ona zażywać miała kąpieli. Pluskała się tak przez pięć, może dziesięć minut, i kiedy wyszła w końcu na brzeg, skórę miała lśniąca, gładką i piękną. Nie mając czym się wytrzeć, zignorowała po prostu to, co mnie wydawało się koniecznością i zanim się obejrzałem, stała już ubrana w swój prosty, ale praktyczny strój.

Do zapadnięcia zmroku pozostała już niecała godzina, a ponieważ głodny byłem jak wilk, ruszyłem przodem w drogę powrotną kierując się w stronę odległej o jakieś ćwierć mili polany, gdzie niedawno widzieliśmy antylopy i karłowate koniki. Dotarłszy tam, ustrzeliłem młodego jelenia, a reszta stada wystraszona hukami karabinu pierzchła w las, gdzie powitał ją chór okropnych ryków drapieżnych bestii, które korzystając z paniki wpadły między spłoszone zwierzęta.

Wyciąłem nożem myśliwskim zad zabitego jelenia, po czym wróciliśmy do naszego obozowiska. Tutaj wspólnie z Ajor nabieraliśmy stos konarów i gałęzi powalonych drzew, ale zanim przystąpiłem do układania ogniska, zgromadziłem jeszcze zapas odłamów skalnych w ilości wystarczającej do wzniesienia barykady, która miała ochronić nas przed zagrożeniami nadciągającej nocy.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Ajor, kiedy zobaczyła, jak pocieram zapałkę i rozniecam płomyk pod naszym ogniskiem. Wyglądała niczym pełen nabożnej czci śmiertelnik, który widzi tajemnicze poczynania bóstwa. Bez wątplenia Ajor nie miała najmniejszego pojęcia o współczesnych metodach rozniecania ognia. Podziwiała mój karabin i pistolet, ale maleńkie patyczki, poprzez potarcie których uzyskuje się płomyk do podpalenia ogniska, były w jej oczach prawdziwymi cudami.

Piekąc mięso nad ogniem ponownie próbowaliśmy z Ajor nawiązać rozmowę, ale konwersacja, choć wspomagana obficie rozmaitymi pomocami, gestykulacją i nieartykułowanymi pomrukami, jakoś się nie kleiła. A zatem Ajor zabrała się teraz na poważnie do uczenia mnie swego języka. Zaczęła, jak się później przekonałem, od najprostszej formy mowy znanej na Caspak, a ściślej mówiąc, na świecie – mowy, którą posługiwali się Bo-lu. Nie miałem żadnych trudności z jej opanowaniem i chociaż moja lektorka znajdowała się w tej trudnej sytuacji, że nie potrafiła mówić moim językiem, radziła sobie nad podziw dobrze dając tym dowód, iż dysponuje inteligencją i zdolnościami wyższego rzędu.

Posiliwszy się, uzupełniliśmy zapas drewna na opał, żeby starczyło go na podsycanie ogniska płonącego po wewnętrznej stronie naszej barykady, przekonani, iż jest to najlepsze zabezpieczenie przed drapieżnikami, na jakie nas stać. Potem usiedliśmy przy ogniu i podjęliśmy przerwana lekcję, podczas gdy z zewsząd dolatywały niesamowite i mrozące krew w żyłach odgłosy caspakijskiej nocy – pojękiwania, pochrząkiwania i ryki tygrysów, panter i lwów, powarkiwania i przejmujące wycie wilków, szakali i hienodontów, przesywające wrzaski mordowanych ofiar i syczenie wielkich

gadów; nie słycać było tylko głosu człowieka.

I chociaż ten straszliwy chór rozbrzmiewający ze wszystkich stron – i z daleka, i z bliska – to przybierał, to tracił na sile, osiągając chwilami takie natężenie, że ziemia drżała, nauka i osoba mojej nauczycielki pochłaniały mnie do tego stopnia, że pozostawałem głuchy na odgłosy, które w innych okolicznościach napawały mnie zgrozą. Twarz i głos tej pięknej dziewczyny, która przejęta swoją rolą pochylała się ku mnie próbując wyjaśnić znaczenie jakiegoś słowa lub skorygować wymowę innego, absorbowały bez reszty całą moją zdolność percepcji. Blask padający od ogniska oświetlał jej ożywione rysy i odbijał się w roziskrzonych oczach, podkreślał pełne gracji ruchy gestykulujących rąk, połyskiwał na białych zębach i złotych ozdobach, a wreszcie na jędrnej i doskonale gładkiej skórze. Obawiam się, że często bardziej byłem zajęty podziwianiem tego pięknego stworzenia niż chłonięciem przekazywanej przez nie wiedzy; ale jeśli nawet, to przecież tego wieczora wiele się nauczyłem, chociaż część tej wiedzy nie miała nic wspólnego z jakimkolwiek nowym językiem.

Miałem wrażenie, że nauczenie mnie jak najszybciej caspakijskiego Ajor stawia sobie za punkt honoru i w jej determinacji dostrzegałem chyba szczytę tej wspólnej wszystkim kobietom cechy, która przetrwała przez stulecia, odziedziczona po pierwszej niewieście świata – ciekawości. Ajor pragnęła nauczyć mnie swojego języka, by móc zaspokoić wreszcie ciekawość, która ją wprost rozsadzała, ciekawość dotyczącą mojej osoby – tego byłem pewien. Wydawała się jednym wielkim znakiem zapytania. Aż kipiała pytaniami, na które nigdy nie usłyszałaby odpowiedzi, gdybym nie nauczył się mówić jej językiem. Oczy płonęły podnieceniem, ręka śmigła w ekspresyjnych gestach, mały języczek trzepotał bez ustanku – wszystko na darmo. Potrafiłem powiedzieć w perfekcyjnym caspakijskim „człowiek”, „drzewo”, „urwisko”, „lew” i jeszcze wiele innych słów, ale taki słownik był mało przydatny – nie wystarczał do prowadzenia konwersacji nawet na najbardziej ogólne tematy i w rezultacie Ajor wpadła w taką złość, że zacisnęła swoje małe piąstki i zaczęła mnie nimi grzmocić w pierś najsilniej, jak potrafiła, a po chwili, uświadomiwszy sobie komizm sytuacji, odchyliła się do tyłu i wybuchła śmiechem.

Podjęła próbę nauczenia mnie kilku czasowników demonstrując na migi pewne czynności i powtarzając wielokrotnie określające je słowa. Byliśmy tym bardzo pochłonięci – tak bardzo, że nie zwracaliśmy zupełnie uwagi na to, co dzieje się na zewnątrz naszej jaskini – kiedy Ajor przerwała raptownie, krzyżąc: „*Kazor!*” Wyjaśniała mi akurat, że słowo „*ju*” znaczy „stop”, tak więc kiedy krzyknęła „*kazor*” i równocześnie znieruchomiała, sądziłem przez chwilę, iż to jakiś element lekcji – bo wyleciało mi z głowy, że „*kazor*” znaczy „uwaga”. Powtórzyłem więc za nią to słowo, ale spostrzegłszy wyraz jej oczu wlepionych w coś za moimi plecami i ujrawszy, że pokazuje palcem na wejście do jaskini, odwróciłem się szybko, by w małym otworze wiodącym w noc zobaczyć ohydny pysk. Była to dzika, wyszczerzona morda gigantycznego niedźwiedzia. Polowałem na szare niedźwiedzie w Górach Białych w Arizonie i uważałem je za największy i najgroźniejszy rodzaj grubego zwierza, ale sądząc po łbie tej odrażającej bestii oszacowałem, że największy grizzly, jakiego dane mi było widzieć, byłby przy niej jak nowofundlandczyk przy słoniu.

Ognisko płonęło w samym wejściu do jaskini i dym ulatywał poprzez szpary pomiędzy kamieniami, które ułożyłem jeden na drugim tak, że u szczytu powstało łukowe sklepienie. Otwór łączący nas ze światem zewnętrznym zabarykadowany był kilkoma wielkimi odłamami skalnymi, które bynajmniej nie uszczelniały go dokładnie, ale poprzez ziejące między nimi szpary nie mogły się przecisnąć żaden większy zwierz. Tak czy inaczej, najbardziej polegałem na ognisku mając

nadzieję, że pośród nocnych drapieżników nie znajdzie się taki, który ośmieliłby się podejść blisko płomieni. Wszystko jednak wskazywało na to, że byłem w wielkim błędzie, bowiem ten ogromny niedźwiedź stał teraz w wejściu z nosem niecałą stopę od ognia, który w międzyczasie przygasł, bo przez ostatnie kilkanaście minut zbyt byłem zaabsorbowany nauką i nauczycielką, by go podsycać.

Ajor wyrwała z pochwy swój śmiesznie niestosowny wobec powstałego zagrożenia nóż i pokazała na mój karabin. Czyniąc to powiedziała coś całkowicie spokojnym głosem, pozbawionym jakichkolwiek nutek zdenerwowania, strachu czy paniki. Domyśliłem się, że upomina mnie, abym strzelił do bestii, ale ja wolałem tego nie czynić, chyba że w ostateczności, bo byłem więcej niż pewien, iż nawet moje wielkokalibrowe pociski bardziej tylko rozdrażnią zwierza, a wtedy z łatwością sforsuje barykadę zagrządzającą wejście do jaskini.

Zamiast wypalić, dorzuciłem więcej dREW do ogniska, bestia cofnęła się przed buchającym jej w pysk dymem i płomieniami z rykiem, od którego włos jeżył się na głowie, nadal jednak widziałem dwa punkty jarzące się groźnie w zalegających na zewnątrz ciemnościach i słyszałem dobiegające stamtąd zatrważające pomruki. Przez jakiś czas zwierz stał tam wpatrując się w wejście do naszego niepewnego azylu, ja zaś wysilałem nadaremnie mózg starając się gorączkowo obmyślić jakiś sposób obrony bądź ucieczki. Zdawałem sobie bardzo dobrze sprawę z tego, że gdyby niedźwiedź rzeczywiście postanowił wdrzeć się do jaskini, to pod naporem jego gigantycznych barków wzniesiona przeze mnie barykada z głazów zwałiłaby się niczym domek z kart i zwierz miałby drogę do nas otwartą.

Ajor, mająca nieporównanie mniejsze ode mnie pojęcie o skuteczności broni palnej, tym samym pokładała w niej większe zaufanie, zachęcała mnie więc do jej użycia, ja jednak wiedziałem, że szansę powstrzymania bestii jednym strzałem są wielce wątpliwe, natomiast możliwość rozwścieczenia jej – całkiem realna i bezpośrednia. Tak więc zwlekałem, w moim odczuciu wieczność całą, wpatrując się w te rozjarzone diabelskie punkciki wlepione w nas złowrogo i nasłuchując, jak narastają sejsmiczne pomruki, które zdawały się wydobywać z trzewi Ziemi wprawiając w drżenie urwisko, pod którym się schroniliśmy, aż w końcu ujrzałem, że zwierzę znowu zbliża się do otworu. Nadaremnie podsycałem płomień dorzucając coraz to nowych dREW do ognia dopóty, dopóki nie zacząłem się obawiać, że upieczemy się z Ajor żywcem w bijącym od niego żarze. Potężna maszyna zagłady zbliżała się niepowstrzymanie, by po chwili ponownie wetknąć w otwór barykady swój odrażający łeb z rozwartą, najeżoną zębami paszczą. Niedźwiedź stał tak przez moment, a potem się cofnął. Odetchnąłem z ulgą, że potwór dał za wygraną i odchodzi, by rozejrzeć się za łatwiejszą zdobyczą; że zniechęcił go ogień.

Ale radość moja była krótkotrwała i serce znowu zamarło mi w piersiach, gdy w chwilę później ujrzałem wsuwający się przez otwór potężny pazur – pazur o przekroju miednicy. Pazur zaczął bardzo delikatnie wzruszać wielki odłam skały blokujący częściowo wejście, kolebiąc nim w przód i w tył, a potem bardzo zmyślnie wywlókł go na zewnątrz i odrzucił na bok. W otworze znowu pojawił się łeb i tym razem wsunął się do jaskini głębiej. Ajor przesiadła się bliżej mnie, tak że jej ramię dotykało mego boku, i wydawało mi się, że czuję leciutki dreszcz przebiegający przez jej ciało, ale poza tym nie okazywała żadnych oznak strachu. Machinalnie otoczyłem ją lewym ramieniem i przyciągnąłem na chwilę do siebie. Był to raczej gest uspokojenia niż pieszczoty, choć przyznać muszę, że kontakt z nią znowu, i to w obliczu śmierci, przyprawił mnie o drżenie; zaraz jednak puściłem dziewczynę i poderwałem karabin do ramienia, bo doszedłem w końcu do wniosku, że dłużej czekać już nie można. Jedyne dla mnie nadzieją było wpakowanie w bestię tylu pocisków,

ile się da, zanim mnie dopadnie. Zwierz wydłubał już drugi głaz i znajdował się akurat w trakcie przeciskania swego ogromnego cielska przez poszerzony w ten sposób otwór.

Wykorzystałem ów moment, by wymierzyć dokładnie między ślepią; palce mojej prawej ręki zacisnęły się mocno i równomiernie na przewężeniu łożyska karabinu, a skurcz mięśni dłoni odciągnął nieco w tył palec spoczywający na spuście. Pocisk nie miał prawa chybić celu! Wstrzymałem oddech, żeby muszka nie poruszyła się ani o włos pod jego wpływem. Byłem teraz tak nieruchomy i opanowany, jak nigdy dotąd oko w oko z ofiarą. Spodziewałem się idealnego trafienia; wiedziałem, że nie mogę spudłować. I kiedy niedźwiedź szarpnął się w moim kierunku, iglica spadła... na wadliwy nabój, więc bez rezultatu.

Niemal w tym samym momencie usłyszałem dobiegający z zewnątrz iście piekielny ryk. Bulgotliwy pomruk wydobywający się z gardła niedźwiedzia przeszedł w, serię rozpaczliwych skowytów przekraczających natężeniem i srogością wszystkie wydawane przezeń do tej pory odgłosy, i bestia zaczęła się pospiesznie wycofywać z jaskini. Przez chwilę nie mogłem zrozumieć, co spowodowało ten niespodziewany odwrót w sytuacji, kiedy zdobycz znajdowała się praktycznie w zasięgu jej pazurów. Przypuszczenie, że niedźwiedzia wystraszył trzask spadającej iglicy, było zbyt absurdalne, by przyjąć je za wyjaśnienie. Niebawem jednak uzyskaliśmy przynajmniej podstawę do snucia domysłów co do przyczyn tej rejterady, bo przed jaskinią rozpętała się kakofonia zmieszanych ryków, skowytów i odgłosu ścierających się cielsk, od czego drżała ziemia. Niedźwiedź został zaatakowany od tyłu przez jakąś inną potężną bestię i oba potwory zwały się teraz w tytanicznych zapasach. Walka, z krótkimi przerwami na zaczerpnięcie tchu, podczas których słyszałem ciężkie sapania rywali, trwała prawie godzinę, aż wreszcie jej odgłosy zaczęły stopniowo słabnąć i w końcu zupełnie ucichły.

Idąc za sugestią Ajor przekazaną mi za pomocą gestów i tych kilku znanych nam obojgu słów, przesunąłem ognisko w samo wejście do jaskini, tak że bestia, by nas dosięgnąć, musiałaby przejść przez płomienie, po czym usiedliśmy, by czekać na nadejście zwycięzcy zgłaszającego się po swą nagrodę. Ale chociaż siedzieliśmy tak dłuższy czas z oczyma wlepionymi w otwór wejściowy, nie pojawiał się tam żaden zwierz.

W końcu dałem Ajor na migi do zrozumienia, żeby się położyła, bo uznałem, że musi się przespać, a sam siedziałem na straży prawie do samego rana, kiedy to dziewczyna obudziła się i zaczęła nalegać, bym ja też zażył odpoczynku. Pomimo mych protestów nie ustąpiła i grożąc mi na żarty swoim nożem zmusiła mnie, bym się położył.

## Rozdział XIII

Kiedy się obudziłem, był już jasny dzień. Ujrzałem, jak Ajor siedząc w kucki nad żarem, który pozostał po ognisku, piecze wielki poleć antylopiego mięsa. Wierście mi, że widok nowego dnia i smakowity aromat przyrządzanej pieczeni napełniły mnie na nowo uczuciami szczęścia i nadziei, które zdążyły już mnie opuścić po wypadkach ostatniej nocy; skutecznym pokrzepieniem okazał się też zapewne widok smukłej dziewczyny o promiennej twarzy. Podniosła na mnie wzrok i odsłoniła w uśmiechu swe wspaniałe zęby – wyraźnie szczęśliwa. Był to najcudowniejszy widok, jaki kiedykolwiek ukazał się mym oczom. Przypominam sobie, że właśnie wtedy po raz pierwszy pożałowałem, że jest tylko małą, zacofaną dzikuską stojącą tyle szczebli poniżej mnie na drabinie ewolucji.

Jej pierwszym gestem było skinienie zapraszające mnie do wyjścia za nią na zewnątrz. Kiedy się tam znaleźliśmy, pokazała mi coś, co wyjaśniało nasze ocalenie przed niedźwiedziem – ścierwo ogromnego tygrysa szablastozębnego ze wspaniałym futrem poszarpanym na pasy do żywego mięsa, leżące kilka kroków od jaskini, a obok niego równie pokiereszowane, bezgłowe cielsko olbrzymiego niedźwiedzia jaskiniowego. Zawdzięczać życie tygrysowi szablastozębnemu, w dwudziestym wieku, to skromnie mówiąc coś unikalnego, ale tak właśnie było – dowód miałem przed oczami.

Wielkie drapieżniki na Caspak osiągnęły takie rozmiary, że aby podtrzymać sprawność swych gigantycznych mięśni, muszą się bez przerwy pożywiać, w wyniku czego będą jadły mięso każdego innego stworzenia i atakowały wszystko, co spotkają na swej drodze, bez względu na stopień zagrożenia. Na podstawie tej ostatniej obserwacji – wspominam o niej, bo jest godna uwagi paleontologów i przyrodników – doszedłem do wniosku, że stworzenia takie jak niedźwiedź jaskiniowy, lew jaskiniowy i tygrys szablastozębny, jak również wszystkie większe mięsożerne gady dokonują zazwyczaj dwóch mordów dziennie – jednego rankiem, drugiego po zapadnięciu zmroku. Pożerają natychmiast cały tułów, po czym kładą się i przesypiają kilka godzin. Na szczęście ich liczba jest stosunkowo niewielka; gdyby nie to, na Caspak nie występowałyby inne formy życia. Właśnie ta wielka żarłoczność przyczynia się do utrzymywania ich pogłowia na poziomie, który daje szansę przeżycia innym stworzeniom, bo nawet w okresach godowych olbrzymie samce rzucają się często na swe towarzyski i pożerają je, a do tego zdarza się, że i samce, i samice pożerają swoje młode. Nie jestem w stanie pojąć, jak ludzkie i półludzkie rasy zdołały przetrwać przez te wszystkie niezliczone stulecia, od jakich muszą tu panować takie warunki.

Po śniadaniu wyruszyliśmy znowu z Ajor w drogę na północ. Nie uszliśmy daleko, kiedy zaatakowała nas horda podobnych do małp istot uzbrojonych w maczugi. Sprawiali wrażenie wyżej rozwiniętych od Alu. Ajor powiedziała mi, że to Bo-lu, czyli Maczugowcy Wystrzał z rewolweru położył trupem jednego i przepędził pozostały cli; ale byliśmy przez nich napastowani jeszcze kilkakrotnie tego dnia, dopóki nie opuściliśmy ich terenów i nie wkroczyliśmy na terytorium Sto-lu, czyli Toporowców. Ludzie ci charakteryzowali się mniej obfitym owłosieniem i większym

podobieństwem do człowieka; nie pałali też taką żądzą zabijania. Byli raczej ciekawi i podążali jakiś czas za nami przyglądając się nam z bardzo bliska Wołali coś do nas i Ajor im odpowiadała; ale jej odpowiedzi chyba ich nie zadowalały, bo stopniowo zaczęli przybierać wrogą postawę i szykowali się już do ataku, kiedy jakiś mały jeleni, który krył się do tej pory w niskich zaroślach, porzucił nagle swoją kryjówkę i przeciął nam drogę. Potrzebowaliśmy mięsa, bo dochodziła już pierwsza południe i zaczynałem odczuwać głód; wy dobyłem więc pistolet i położyłem zwierzę jednym strzałem. Wywarło to na Bo-lu efekt piorunujący. Wszelkie myśli o zaczepce natychmiast wywietrzały im z głowy, odwrócili się i wzięli nogi za pas umykając w kierunku puszczy porastającej obie strony szlaku, którym podążaliśmy.

Tę noc spędziliśmy nad małym strumykiem na terytorium Sto-lu. W skalistym brzegu znaleźliśmy małą jaskinię tak ustrojną, że tylko przypadek mógł przywieść do mej jakiegoś drapieznika. Po posiłku składającym się z mięsa upolowanego jelenia oraz z jakichś owoców, które nazbierała Ajor, wpełzliśmy do małej wnęki, po czym z kijów i kamieni, które zgromadziłem specjalnie w tym celu, wzniosłem po wewnętrznej stronie wejścia solidną barykadę. Bez przepłynięcia bądź przebrnięcia w bród strumienia nie mogło nas dopaść nic i czułem się całkiem dobrze zabezpieczony przed napaścią. Nasze schronienie było raczej ciasne Sklepienie znajdowało się tak nisko, że nie mogliśmy stać prosto, a podstawa była tak wąska, że z niemałym trudem zdołaliśmy się tam oboje wcisnąć, ale z uwagi na znużenie nie zwracaliśmy na to specjalnej uwagi. Poczucie bezpieczeństwa było tak wielkie, że wyciągnąwszy się na ziemi obok Ajor zasnąłem chyba natychmiast.

Przez następne trzy dni posuwaliśmy się w irytująco powolnym tempie. Wątpię, czy przez cały ten czas zrobiliśmy dziesięć mil. Kraina była okropnie dzika, co zmuszało nas do spędzania całych godzin na ukrywaniu się przed takimi czy innymi wielkimi bestiami, które bez przerwy nas napastowały. Mniej było tu gadów, wzrosła za to chyba liczebność drapieżnych ssaków; natomiast gady, które spotykaliśmy, były naprawdę gigantyczne Nigdy nie zapomnę olbrzymiego osobnika, na którego się nadzialiśmy, skubiącego trzcinę przy brzegu wielkiego morza. Mierzył dobrze ponad dwanaście stóp wysokości w zadzie – swoim najwyższym punkcie – i, wraz z nadzwyczaj długimi szyją i ogonem, gdzieś między siedemdziesięcioma pięcioma a setką stóp długości. Łeb miał nieproporcjonalnie mały, cielsko nieopancerzone, ale odstraszał samą swoją potężną masą. Nauczony dotychczasowymi doświadczeniami na Caspak przekonany byłem, że ten gigantyczny stwór zaatakuje, kiedy tylko nas spostrzeże, tak więc uniosłem karabin do ramienia i jednocześnie wycofałem się przezornie pod osłonę pobliskich zarośli, ale Ajor tylko się roześmiała i podniósłszy z ziemi kij podbiegła z krzykiem do olbrzyma. Mała główka uniosła się wysoko na długachnej szyi i zwierzę poczęło się rozglądać tępo dookoła, szukając wzrokiem sprawcy tego zamieszania. W końcu jego ślepią odkryły maleńką Ajor, a wtedy ona cisnęła kijem w mały łepiek. Ze skrzekiem, który niewiele różnił się od beczenia owcy, kolos wtoczył się ociężale do wody i wkrótce znikł pod powierzchnią.

Przywołując powoli z pamięci wiadomości zdobyte na studiach i wyczytane w paleontologicznych podręcznikach Bowena uświadomiłem sobie teraz, że patrzyłem, ni mniej, ni więcej, tylko na diplodoka z górnego okresu jurajskiego. Ale jak nieskończenie różniło się prawdziwe, żywe stworzenie od prowizorycznych rekonstrukcji Hatchera i Hollanda! Czytałem, że diplodok był stworzeniem lądowym, ale wszystko wskazuje na to, że jest jednak zwierzęciem ziemnowodnym. Od czasu tamtego pierwszego spotkania widziałem ich już kilka i w każdym wypadku spłoszony stwór natychmiast szukał schronienia w morzu. Nie licząc gigantycznego ogona nie ma się on właściwie czym bronić, ogonem zaś potrafi zadać cios tak straszliwy, że powali nawet

jaskiniowego niedźwiedzia ogłuszając go i gruchocząc kości. Jest bestią ospałą, głupią, łagodną – jedną z nielicznych na Caspak, które choć w przybliżeniu można tak scharakteryzować.

Przez trzy noce, nie znajdując żadnej jaskini ani innego rodzaju kryjówki, spaliśmy na drzewach. Tutaj nie groziły nam ataki ze strony wielkich lądowych drapieżników, jednak ciągle zagrożenie, choć bynajmniej nie tak wielkie, jak ze strony ogromnych bestii buszujących po powierzchni ziemi, stanowiły mniejsze gady latające, węże, leopardy i pantery.

Pod wieczór trzeciego dnia byliśmy już z Ajor w stanie prowadzić dosyć płynną konwersację i przynosiło to wielką ulgę nam obojgu, a zwłaszcza jej. Nie robiła teraz nic, tylko pytała, ilekroć jej na to pozwoliłem, bo nie mogłem przez cały czas odpowiadać, skoro nasze przetrwanie zależało w wielkim stopniu od szybkości, z jaką zapoznam się z geografiami i zwyczajami panującymi na Caspak, w związku z czym sam musiałem zadawać mnóstwo pytań.

Bawiłem się setnie słuchając jej i odpowiadając, tak naiwnych było wiele jej pytań i takim zdumieniem napełniało ją to, co opowiadałem o świecie za wyniosłymi urwiskami Caspak. Ani razu nie miałem przy tym wrażenia, że wątpi w me słowa, chociaż rewelacje te musiały brzmieć szokująco i bez wątpienia tak właśnie brzmiały w uszach dziewczyny, która nigdy dotąd nie śniła nawet, że poza Caspak i życiem, jakie zna, może istnieć jeszcze jakikolwiek inny świat.

Mimo że wiele jej pytań było naiwnych, dawała jednak nimi świadectwo, że pomimo młodego wieku i braku doświadczenia odznacza się nad podziw bystrym umysłem i przenikliwością. Podsumowując, znajdowałem w mojej małej dzikusce osobkę wielce interesującą i towarzyską, i dziękowałem przychylnemu losowi, że skrzyżował nasze drogi. Dowiedziałem się od niej dużo o Caspak, ale nie wyjaśniona pozostawała wciąż tajemnica, która tak zaintrygowała Bowena Tylera – a mianowicie zupełny brak młodych wśród małp oraz ras półludzkich i ludzkich, z jakimi stykaliśmy się zarówno ja, jak i on, tyle że po przeciwnych stronach śródlądowego morza. Ajor próbowała wyjaśnić mi tę zagadkę, chociaż widać było, że nie może pojąć, dlaczego coś tak oczywistego miałoby wymagać wyjaśnienia. Powiedziała mi, że wśród Galu żyje kilkoro dzieci, że sama była kiedyś dzieckiem, ale że większość jej ludu „przybyła”, jak to określiła, *cor sva jo*, czyli w dosłownym tłumaczeniu: „stamtąd, gdzie początek”; i jak czynili to oni wszyscy wypowiadając tę frazę, wskazała szerokim gestem na południe.

– Przez długi czas – ciągnęła przysuwając się do mnie bardzo blisko i szepcząc mi do ucha, a jednocześnie rzucając wokół, a zwłaszcza na niebo, lękliwe spojrzenia – przez długi czas moja matka trzymała mnie w ukryciu, żeby Wieroo przelatujący nocą w powietrzu nie przyszli i nie zabrali mnie do Oo-oh. – Wymawiając to słowo zadygotała.

Próbowałem nakłonić ją do dalszych zwierzeń, ale jej przerażenie, kiedy mówiła o Wieroo i krainie Oo-oh, gdzie zamieszkiwali, było tak niekłamane, że w końcu dałem spokój. Zdołałem jednak wyciągnąć z mej, że Wieroo uprowadzali jedynie dzieci płci żeńskiej i czasami kobiety Galu, które „przybyły stamtąd, gdzie początek”. Wszystko to było bardzo tajemnicze i niejasne, i odniosłem wrażenie, że Wieroo to istoty będące wytworem wyobraźni, rodzaj demonów czy bogów jej rasy, wszechwiedzących i wszechobecnych. Doprowadziło mnie to do wniosku, że Galu wyznają jakąś religię, a dalsze pytania ujawniły fakt, że w istocie tak było. Ajor wyrażała się ze czcią o Luacie, bogu ciepła i życia. Słowo to stanowiło zbitek dwóch innych: „*lu*”, które oznacza słońce, i „*at*”, mające kilka znaczeń, a mianowicie „jaja”, „życie”, „młody” i „rozmnażanie”. Dowiedziałem się od niej, że czczą Luatę pod kilkoma postaciami – ognia, słońca, jaj i innych obiektów materialnych kojarzących się z ciepłem i reprodukcją.



Zauważyłem już wcześniej, że ilekroć przygotowuję ognisko, Ajor kreśli przed sobą w powietrzu palcem wskazującym trójkąt równoramienny i że czyni to samo co rano, skoro tylko ujrzy słońce. Z początku nie łączyłem tych gestów z niczym szczególnym; ale kiedy byliśmy już w stanie ze sobą rozmawiać i opowiedziała mi co nieco o swych religijnych przesądach, domyśliłem się, że czyni znak trójkąta, tak jak wyznawcy wiary rzymskokatolickiej żegnają się znakiem krzyża. Krótszy bok tego trójkąta był zawsze skierowany ku górze. Wyjaśniając mi to wszystko pokazała na wzory zdobiące jej złote bransolety, głowicę rękojeści sztyletu i obręcz opasującą prawą nogę nad kolaniem – wzór składał się zawsze po części z trójkątów równoramiennych i kiedy zdradziła mi znaczenie tej geometrycznej figury, od razu pojąłem jej stosowność.

Znajdowaliśmy się teraz na terytorium Band-lu, Włóczników caspakijskich. Bowen wspominał w swojej relacji, że ludzie ci są odpowiednikiem tak zwanej rasy kromanińskiej z górnego paleolitu i z tej racji nie mogłem się doczekać, kiedy ich wreszcie ujrzę. I doczekałem się; rzeczywiście ich zobaczyłem! Opuściliśmy ziemie Sto-lu i przez dwa dni dosłownie przebijaliśmy sobie drogę przez kordony dzikich bestii, aż wreszcie postanowiliśmy rozbić obóz nieco wcześniej niż zwykle, skłonieni do tego faktem, że dotarliśmy do ciągnącego się na wschód i na zachód pasma urwisk obfitujących w liczne jaskinie zapewniające dobre schronienie na noc. Oboje byliśmy skonani i widok tych jaskiń, z których kilka nadawało się wyśmienicie do zabarykadowania, sprawił, że postanowiliśmy zatrzymać się tu do rana. Zaledwie kilka minut poszukiwań i odkryliśmy taką, która położona wysoko w ścianie urwiska, wydawała się idealna do naszych celów. Wychodziła na wąską półkę skalną, gdzie mogliśmy urządzić palenisko. Otwór wejściowy był tak mały, że do środka musieliśmy się wczołgać, natomiast samo wnętrze było wysoko sklepienie i przestronne. Podpaliłem wiązkę chrustu i rozejrzałem się dookoła – pieczara ciągnęła się w głąb urwiska jak daleko sięgałem wzrokiem.

Odłożywszy karabin, pistolet i ciężki pas z amunicją pozostawiłem Ajor w jaskini, a sam szedłem na dół, by nazbierać drewna na opał. Mieliśmy już zapas mięsa i owoców zgromadzony tuż przed dotarciem do urwisk, a moja manierka napełniona była świeżą wodą. Tak więc potrzebowaliśmy jedynie paliwa, a ponieważ kiedy tylko mogłem, starałem się oszczędzać Ajor nadmiernego wysiłku, nie pozwoliłem jej teraz sobie towarzyszyć. Biedna dziewczyna była bardzo wyczerpana, ale wiedziałem, że jest tak lojalna, iż dotrzymywałaby mi kroku, dopóki by nie padła. Była najlepszym kumplem na świecie i raz żałowałem, to znowu byłem rad, że nie należy do mojej kasty, bo wtedy niewątpliwie zadurzyłbym się w niej po uszy. Na razie wędrowaliśmy jak dwaj chłopcy, darząc się wielkim szacunkiem, ale nie okazując sobie najmniejszej czułości.

U podnóża urwiska drewna na opał znalazłem niewiele, byłem więc zmuszony zapuścić się w głąb puszczy odległej o jakieś dwieście jardów. Uświadomiłem sobie teraz, jak bezmyślnie postąpiłem, zważywszy, że znajdowałem się na Caspak, w krainie najeżonej śmiertelnymi niebezpieczeństwami; ale w każdym człowieku drzemie pewien ładunek głupoty i bez względu na to, jak wielki jest ten mój, owego dnia musiał on przeważyć, bo prawda jest taka, że wszedłem w ten las całkowicie bezbronny. I zapłaciłem za to, tak jak zwykle płacą ludzie za swoją nierozwagę. Gdy ze schyloną głową i wzrokiem utkwionym w ziemi przetrząsałem zarośla w poszukiwaniu chrustu na opał, poczułem nagle spadający mi na plecy ogromny ciężar. Olbrzymim wysiłkiem zdołałem podźwignąć się na kolana i pochwycić napastnika, ogromnego nagiego mężczyznę – nagiego, jeśli nie liczyć przepaski ze skóry węża na biodrach, ze zwisającym do kolan łbem. Drab uzbrojony był we włócznię z kamiennym grotem, kamienny nóż i topór. W jego czarnych włosach tkwiło kilka pstrych

piór. Zdobywałem już z wolna przewagę w walce wręcz, jaka się między nami wywiązała, kiedy przypadła do nas horda jego pobratymców i obezwładniła mnie.

Długimi rzemieniami z niewyprawionej skóry skrępowali mi ręce za plecami i przystąpili do krytycznych oględzin mojej osoby. Ja ze swej strony stwierdziłem, że w przeważającej części prezentują sobą wspaniałe okazy rasy ludzkiej. Znajdowało się wśród nich kilku przypominających z wyglądu ludzi Sto-lu i owłosionych, ale większość charakteryzowała się masywnymi głowami i twarzami o dosyć znośnych rysach. Cech pokrewnych z małpami mieli w sobie niewiele, czego nie można było powiedzieć o ludziach Sto-lu, Bo-lu i Alu. Byłem przygotowany, że zabiją mnie na miejscu, ale nie uczynili tego. Zaczęli mnie za to wypytywać; ale widać było, że nie wierzą w moją historię, bo słuchając jej szydzili i co chwila parskali śmiechem.

– Galu cię zawrócili – pokrzykiwali. – Jeśli do nich wrócisz, zginiesz. Jeśli tu pozostaniesz, zginiesz. Zabijemy cię; ale najpierw chcemy zatańczyć, a ty zatańczysz z nami taniec śmierci.

Brzmiało to zupełnie przekonująco! Ale dowiedziałem się przynajmniej, że nie zostanę zabity od razu i to dodało mi otuchy. Powiedli mi w stronę urwisk. Kiedy się do nich zbliżyliśmy, zerknąłem w górę i byłem pewien, że w wylocie naszej jaskini dostrzegłem spoglądające na nas z wysoka jasne oczy Ajor. Ale nie dała żadnego znaku, że mnie zauważyła, a my przeszliśmy dołem, okrążyliśmy kraniec urwisk i podążając wzdłuż ich przeciwległej ściany dotarliśmy do odcinka podziurawionego dosłownie jak rzeszoto wylotami jaskiń. Wszędzie wokół, na ziemi i na półkach przed wejściami, aż się roiło od członków zamieszkałego tu plemienia, a były ich setki. Widziałem mnóstwo kobiet, ale ani jednego niemowlęcia czy dziecka, chociaż zauważyłem, że kobiety mają piersi lepiej rozwinięte niż pleć żeńska u Maczugowców, Toporowców albo małp. Prawdę mówiąc u niżej rozwiniętego człowieka caspakijskiego kobiecy biust występuje w stanie szczątkowym, jest ledwie zauważalny u Alu i małp, i tylko nieco wyraźniej zarysowany u Bo-lu i Sto-lu, ale u kobiet Włóczników jest już na wpół wykształcony. Nic jednak nie wskazywało na to, by któraś z kobiet karmiła piersią młode; poza tym młodych wśród nich nie było. Niektóre z kobiet Band-lu prezentowały się całkiem przyjemnie. Figury mieli wszyscy, tak mężczyźni, jak i kobiety, toporne, ale proporcjonalne i chociaż zdarzali się wśród nich tacy, którzy przypominali bardzo typ Sto-lu, to z kolei inni byli zgrabni, o ciałach zupełnie bezwłosych. Wszyscy Alu są brodaci, ale u Bo-lu kobiety nie mają już brody. Twarze mężczyzn Sto-lu pokryte są zarostem rzadkim, a Band-lu wcale go nie mają, ciała ich kobiet zaś pozbawione są niemal zupełnie owłosienia.

Członkowie plemienia okazali wielkie zainteresowanie moją osobą, a zwłaszcza ubraniem, bo niczego podobnego nigdy dotąd oczywiście nie widzieli. Ciągnęli za nie i szarpali, a kilku nawet mnie poszturchiwało, ale ogólnie rzecz biorąc nie zdradzali upodobania do brutalności. Maltretowali mnie tylko ci włochaci, najbardziej przypominający Sto-lu. Moi zwycięzcy wprowadzili mnie wreszcie do wielkiej jaskini, u wylotu której płonęło ognisko. Podłoga zawałona była nieczystościami, wśród których poczesne miejsce zajmowały kości wielu rozmaitych zwierząt, w powietrzu zaś unosił się odór ludzkiego potu i nie mytych ciał. Tutaj rozwiązali mi ręce i nakarmili nie dopieczonym stekiem z żubra oraz gulaszem przyrządzonym pewnie z węży, a przynajmniej wiele długich, cylindrycznych kawałków mięsa, jakie w nim znajdowałem, do obrzydliwości mi się z nimi kojarzyło.

Po posiłku poprowadzili mnie dalej w głąb jaskini oświetlonej zatkniętymi w rozmaite szczeliny pochodniami, w których blasku, ku memu zdumieniu, ujrzałem, że ściany pokryte są malowidłami i rytami. Rozpoznałem na nich żubra, czerwonego jelenia, tygrysa szablastozębego, niedźwiedzia

jaskiniowego, hienodonta i wielu innych przedstawicieli caspakijskiej fauny wyobrażonych w kolorach, przeważnie w czterech odcieniach brązu, lub wydrapanych na skalnej powierzchni. Często wizerunki te nakładały się jeden na drugi, tak że trzeba się było dobrze przyglądać, aby z powstałej w ten sposób gmatwaniny linii wyłowić kontury poszczególnych sylwetek. Niemniej wszyscy ci ludzie wykazywali bardzo duże uzdolnienia do rysunków, co jeszcze silniej przemawiało za trafnością porównania ich przez Bowena do wymarłych kromaniończyków, których pradawna sztuka przetrwała do dziś w jaskiniach w Niaux i Le Portel. Band-lu nie posługiwali się jednak łukiem i strzałami – i pod tym względem różnili się od swych wymarłych przodków, a może następców, z zachodniej Europy.

Żywię nadzieję, że jeśli któremuś z mych przyjaciół dane będzie kiedyś przeczytać ten zapis moich przygód na Capronie, nie znudzą go powyższe dywagacje, a jeśli tak, to na swoje usprawiedliwienie powiedziec mogę tylko, że niniejsze wspomnienia spisuję przede wszystkim dla siebie, a zatem uwzględniam w nich to, co wtedy szczególnie mnie interesowało. Nie pragnę wcale, aby szeroka opinia publiczna uzyskała kiedykolwiek wgląd w te stronicy, ale możliwe, że udostępnię je przyjaciołom, jak również tym uczonym, którzy wyrażą zainteresowanie; i właśnie z myślą o tych ostatnich, nie przeprasząc za moje filozofowanie, spieszę dodać komentarz, że są świadkami błędzenia ograniczonego umysłu po bezkresie, szukania wyjaśnienia niewyjaśnionego.

Eskorta kazała mi się zatrzymać we wnęce w samym końcu wielkiej jaskini. Ponownie skrępowali mi ręce i tym razem również nogi. Wiążąc mnie wciąż zadawali pytania i byłem niezmiernie rad, że znaczące podobieństwo między różnymi językami plemiennymi na Caspak umożliwia nam doskonałe rozumienie się nawzajem, mimo że ludzie ci nie byli w stanie uwierzyć w prawdę o moim pochodzeniu i okolicznościach, w jakich trafiłem na Caspak, a nawet tego pojąć. Zostawili mnie w końcu samego, zapowiadając na odchodnym, że przyjdą po mnie o świcie, przed tańcem śmierci. Zanim oddalili się ze swymi pochodniami, zdażyłem zauważyć, że nie zaprowadzono mnie w najdalszy kraniec jaskini, bo za moją więzienną celą ziało jeszcze wejście do mrocznego i ponurego korytarza wiodącego do samego serca urwiska.

Nie potrafiłem się oprzeć uczuciu podziwu dla ogromu tej podziemnej grotty. Przemierzyłem już nią kilkaset jardów, zauważając po drodze wiele odchodzących w głąb korytarzy. Całe wnętrze urwiska musiało stanowić istny labirynt mniejszych grot i tuneli, a społeczność Band-lu zajmowała tylko ich niewielką część. Nagle uświadomiłem sobie, że bardziej odległe przejścia mogą służyć za legowiska dzikim bestiom znajdującym inne otwory, którymi można się dostać do środka, niż te wykorzystywane przez Band-lu, i nappełniło mnie to najgorszymi przeczuciami.

Nie uważam siebie za przesadnie strachliwego, muszę jednak przyznać, że w sytuacji, w której się znalazłem, nerwy zaczęły mi jakby puszczać. Rankiem miałem zginać jakąś nie nazwaną śmiercią, dostarczając rozrywki hordzie dzikusów, ale w moim odczuciu ranek ten niósł ze sobą mniej zagrożeń niż chwila obecna. Zwracam się z pytaniem do każdego rozsądnego człowieka: czy to nie straszne leżeć ze spętanymi rękoma i nogami w egipskich ciemnościach ogromnej jaskini pełnej trudnych nawet do przewidzenia niebezpieczeństw, w krainie rojącej się od odrażających bestii i dzikich gadów? W każdej chwili, kto wie czy akurat nie w tej, zwęszyć mnie może jakiś drapieżnik odpoczywający w swym legowisku w którymś z pobliskich tuneli, a może skrada się tu już bezszelestnie. Wykręcałem rozpaczliwie szyję i wypatrywałem w atramentowych ciemnościach bliźniaczych ogników płomiennej nienawiści, które, jak wiedziałem, zwiastować będą zbliżanie się mego kata. Obrazy podsuwane mi przez przewrażliwioną wyobraźnię były tak realistyczne, iż

oblewałem się zimnym potem absolutnie przeświadczony, że jakaś bestia jest już blisko mnie. A jednak wlokły się godziny, a żaden szmer nie zakłócił zalegającej w jaskini grobowej ciszy.

W tym rozciągającym się na wieczność okresie przed oczyma przesuwano mi się wiele scen z mego życia, ogromna parada przyjaciół i zdarzeń, które rano miały ulec na zawsze wymazaniu. Przeklinałem się za swój głupi wyskok, który rozłączył mnie z grupą poszukiwawczą, tak ode mnie uzależnioną, i zachodziłem w głowę, jakie poczynili postępy, jeśli w ogóle je poczynili. Czy nadal oczekują mego powrotu za granicznymi urwiskami? A może znaleźli drogę prowadzącą w głąb Caspak? Miałem przecucie, że jednak to drugie, bo grupa nie składała się z ludzi łatwo rezygnujących z dążenia do wytkniętego celu. Było całkiem prawdopodobne, że już mnie szukali, ale wątpiłem, czy kiedykolwiek natrafią na mój ślad. Dawno doszedłem do wniosku, że obejście śródlądowego morza Caspak – wobec niezliczonych zagrożeń czyhających w każdym cieniu za dnia i w nocy – przekracza ludzkie możliwości. Już dawno straciłem nadzieję dotarcia do punktu, w którym przekroczyłem granice tej krainy, a co więcej, byłem teraz przekonany, że cała nasza ekspedycja była więcej niż daremna, jeszcze zanim ją podjęliśmy, ponieważ Bowen J. Tyler ze swą żoną nie mieli żadnych szans przetrwania przez te długie miesiące; nie mogli też przeżyć Bradley i jego oddział marynarzy. Gdyby przewaga w siłach i sprzęcie, jaką odznaczała się moja grupa, umożliwiła ratownikom obejście śródlądowego morza od północy, to być może natknął się któregoś dnia na roztrzaskany wrak mojego samolotu zwisający z wielkiego drzewa na południu. Ale do tego czasu moje kości mieszają się ze śmieciami zaścielającymi ogromną jaskinię.

A przez wszystkie moje rozważania, realne i ocierające się o fantazję, przebijał wizerunek idealnej dziewczyny, jasnookiej, silnej, prostolinijnej i pięknej, charakteryzującej się postawą królowej i prężną, kocią gracją leoparda. Chociaż kochałem swoich przyjaciół, ich los zdawał się zajmować mnie mniej od losu tej małej dzikuski, której, przekonałem się o tym wiele razy, nie darzyłem niczym więcej ponad przelotną sympatię do przygodnej towarzyszką wędrowki przez tę krainę horroru. A mimo to tak się martwiłem i niepokoiłem o nią i o jej przyszłość, że w końcu zapomniałem o własnym niewesołym położeniu, chociaż bez ustanku uparcie walczyłem z więzami w daremnych wysiłkach uwolnienia się z nich; z równym jednak powodzeniem mogłem pospieszyć jej na ratunek, co uniknąć losu, jaki mi gotowano. Tak byłem tym wszystkim zaabsorbowany, że na chwilę zapomniałem o swych obawach przed spodziewanym nadejściem żerujących bestii, ale zaraz zmartwiałem na wyraźny, niedwuznaczny dźwięk dobiegający z ciemnego tunelu prowadzącego do serca urwiska – szmer miękkich poduszek łap skradających się w moim kierunku.

Śmiem twierdzić, że nigdy przedtem, nawet podczas dziecięcych nocy zaludnionych strachami, nie ogarnęło mnie takie skrajne uczucie przerażenia, jak w momencie kiedy uświadomiłem sobie, że muszę leżeć skrzepowany i biernie czekać na jakiegoś straszliwego drapieżnika, który skrada się, by mnie pożreć w całkowitych ciemnościach grot plemienia Band-lu na Caspak. Oblałem się zimnym potem przez całe moje ciało przeszedł dreszcz zgrozy – czułem, jak dostają gęziej skórki. Jeśli nawet kiedykolwiek obleciał mnie większy tchórz, to nie przypominam sobie takiego wypadku. A przecież nie był to strach przed śmiercią, bo już dawno pogodziłem się ze swym przeznaczeniem – kilka dni spędzonych na Caspak w każdym musi odcisnąć się przekonaniem o całkowitej nicości życia. Życiem tętni woda, ziemia i powietrze, a jedne osobniki bez przerwy są pożerane przez inne. Życie jest na Caspak niewątpliwie czymś najtańszym – najtańszym wytworem kosmosu. Nie, nie bałem się umrzeć; prawdę mówiąc, modliłem się nawet o śmierć, która uwolniłaby mnie od tortury tego przedziału życia, jaki mi pozostał – od czekania, okropnego czekania na chwilę, kiedy ta zdraдлиwa bestia dotrze

wreszcie do mnie i zaatakuj.

Była już tak blisko, że słyszałem jej oddech i po chwili dotknęła mnie, by odskoczyć szybko w tył, zupełnie jakby nadziała się na mnie niespodziewanie. Przez długie sekundy żaden dźwięk nie zakłócił grobowej ciszy jaskini. Potem usłyszałem, jak gdzieś blisko stwór porusza się i ponownie poczułem jego dotknięcie – po mojej twarzy przesunęło się coś jakby bezwłosa dłoń i zatrzymało na kołnierzyku flanelowej koszuli. I wtedy stłumiony, ale pełen podniecenia głos zawołał:

– Tom!

Moje zaskoczenie było tak wielkie, iż przez chwilę myślałem, że zemdleję z wrażenia.

– Ajor! – zdołałem wykrztusić. – Ajor, dziewczyno, to naprawdę ty?

– Och, Tom! – wykrzyknęła znowu roztrzęsionym, cienkim głosem i rzuciła się na mnie z cichym szlochem. Nie wiedziałem, że Ajor potrafi płakać.

Przecinając moje więzy opowiedziała mi, że z wylotu naszej jaskini dostrzegła Band-lu wychodzących ze mną z lasu i podążała za nami aż do chwili, kiedy wprowadzili mnie do jaskini znajdującej się, jak zaobserwowała, po przeciwnej stronie tego samego urwiska, w którym mieściła się nasza pieczara. A wtedy, wiedząc, że dopóki Band-lu nie ułożą się do snu, nie jest mi w stanie w żaden sposób pomóc, wróciła szybko do naszej jaskini. Dotarła tam z trudnościami, ledwie uchodząc ze szponów jaskiniowego lwa. Drżałem na całym ciele uświadamiając sobie ryzyko, jakie podjęła.

Pierwotnie zamierzała zaczekać, aż minie północ, kiedy to większość drapieźników jest już po polowaniu, i dopiero wtedy zakraść się do jaskini, w której byłem więziony, i uwolnić mnie. Wyznała mi, że zamierzała sterroryzować Band-lu za pomocą mojego karabinu i pistoletu – z których, jak mnie zapewniła, potrafiłaby skorzystać, bo tyle razy już widziała, jak się nimi posługują – i zmusić ich, by mnie puścili wolno. Dzielna dziewczyna! Planowała świadomie zaryzykować własne życie w mojej obronie. Ale gdy dotarła do naszej jaskini, po pewnym czasie usłyszała jakieś głosy przedostające się przez szczelinę w zamykającej ją ścianie i natychmiast wywnioskowała, że odkryła, ni mniej, ni więcej, tylko drugie wejście do znajdujących się po przeciwnej stronie urwiska grot zajmowanych przez Band-lu. Bez wahania zagłębiła się w te kręte korytarze i wspomagana jedynie swoim nadzwyczajnym wyczuciem kierunku, wymacując sobie w całkowitych ciemnościach drogę, dotarła do miejsca, gdzie leżałem. Musiała się posuwać z największą ostrożnością, aby nie wpaść w nieprzeniknionym mroku w jakąś otchłań i rzeczywiście natknęła się trzykrotnie na pionowe uskoki, które, narażając życie, zmuszona była obchodzić. Nawet teraz, wyobrażając sobie, przez co musiała przejść ta dziewczyna spiesząc mi z pomocą, wzdygałem się poruszony do głębi, zwłaszcza że utrudniła sobie niepomiernie zadanie obciążając się moją bronią i amunicją, a także krępując sobie ruchy długim karabinem, do którego noszenia nie nawykła.

Powiniennem uklęknąć i całować ją po rękach w wyrazie wdzięczności i szacunku i nie wstydzę się przyznać, że kiedy zostałem już uwolniony z więzów i wysłuchałem jej opowieści, tak właśnie postąpiłem. Dzielna mała Ajor! Cud dziewczyna z zamierzchłej, niewyobrażalnej przeszłości! Nigdy jeszcze nikt jej nie całował; ale zdawała się wyczuwać coś ze znaczenia tej nowej pieszczoty, bo pochyliła się w ciemnościach w przód i przycisnęła wargi do mojego czoła. Naszło mnie przemożne pragnienie, by wziąć ją w ramiona, przycisnąć do piersi i pokryć jej gorące, młode usta pocałunkami prawdziwej miłości, ale nie uczyniłem tego, zdawałem sobie bowiem sprawę, że jej nie Kocham – namiętnymi pocałunkami wyrządziłbym wielką krzywdę tej, która ryzykowała dla mnie życie.

Nie, Ajor będzie ze mną tak samo bezpieczna, jak ze swoją matką, jeśli ją ma, w co skłonny

byłem powątpiewać, pomimo że wyznała mi, iż była kiedyś dzieckiem i matka ją ukrywała. Zaczynałem mieć wątpliwości, czy na Caspak istnieje coś takiego jak matka – w naszym rozumieniu tego słowa. Od Bo-lu poczynając, a na Kro-lu kończąc, nie istnieje słowo będące odpowiednikiem naszego słowa „matka”. Mówią o *ata* i *cor sva jo*, czyli o rozmnażaniu i o „miejscu gdzie początek”, wskazując przy tym na południe, ale nikt tu nie ma matki.

Pokonując po drodze wiele trudności dotarliśmy wreszcie do naszej, jak się nam wydawało, jaskini, po to tylko, by stwierdzić, że się mylimy i że musieliśmy zbłądzić w pogmatwanych labiryntach wielkiej groty. Wróciliśmy po własnych śladach szukając miejsca, z którego wyruszyliśmy, ale jedynie jeszcze bardziej się pogubiliśmy. Ajor popadła w przygnębienie, czego powodem była nie tyle obawa wynikająca z niewesołej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, co fakt, że zawiódł ją ów cudowny zmysł orientacji dzielony z większością innych stworzeń zamieszkujących Caspak, który umożliwia im bezbłędne przemieszczanie się z miejsca na miejsce bez pomocy kompasu czy przewodnika.

Posuwaliśmy się po omacku trzymając się za ręce i szukaliśmy jakiegoś otworu prowadzącego na świat zewnętrzny, a przy tym zdawaliśmy sobie sprawę, że być może z każdym krokiem brniemy coraz głębiej we wnętrze wielkiego urwiska albo kręcimy się bezradnie w kółko i że kresem tej beznadziejnej wędrówki może być tylko śmierć. I te ciemności! Były skrajnie deprymujące i tak gęste, że niemal namacalne. Miałem przy sobie zapalki i oświetlałem nimi drogę w co niebezpieczniej szych miejscach, ale nie mogliśmy ich marnować, tak więc posuwaliśmy się przeważnie na ślepo, dokładając wszelkich starań, by utrzymać kierunek, jaki sobie założyliśmy, w nadziei, że doprowadzi nas w końcu do wyjścia. W świetle zapalek zaobserwowałem, że ścian nie zdobią już malowidła; nie było tu żadnych oznak, które świadczyłyby o zapuszczaniu się człowieka tak daleko w głąb skały, ani żadnych śladów bytności innego rodzaju żywych stworzeń.

Trudno byłoby określić, jak długo błądziliśmy tymi mrocznymi tunelami pokonując strome podejścia, wymacując stopami drogę wzdłuż krawędzi bezdennych przepaści, niepewni, czy lada moment nie runiemy w jakąś otchłań, a cały czas znajdowaliśmy się pod presją nieustającego strachu przed śmiercią z głodu i pragnienia. Chociaż było ciężko, to jednak mam świadomość, że gdyby towarzyszyła mi nie Ajor, a ktoś inny, mogłoby być nieskończenie gorzej. Dzielna, wytrwała, lojalna mała Ajor! Była zmęczona, głodna, spragniona i na pewno przestraszona, ale ani na moment nie traciła pogody ducha. Kiedy spytałem, czy się boi, odpowiedziała mi, że tutaj Wieroo nie mogą jej dopaść, a jeśli sążone jej umrzeć z głodu, to przynajmniej umrze ze mną, i wydawała się całkiem zadowolona, że taki koniec ją czeka. Jej zachowanie kojarzyło mi się wtedy z czymś w rodzaju psiego przywiązania do nowego pana, który jest dla niej dobry. Mogę przysiąc, że nie uważałem tego za coś więcej.

Czy więźniami wnętrza urwiska byliśmy dzień, czy tydzień, nie potrafiłem stwierdzić; nie wiem tego nawet teraz. Byliśmy już bardzo zmęczeni i głodni; godziny wlokły się niemiłosiernie; co najmniej dwa razy układaliśmy się do snu, po czym wstawaliśmy i parliśmy dalej coraz to słabsi i słabsi. Wieki całe korytarze prowadziły pod górę. Wędrówka nimi była mordęgą dla ludzi w stanie skrajnego wyczerpania, w jakim się wtedy znajdowaliśmy, ale uparcie trzymaliśmy się tej drogi. Potykaliśmy się i padali, osuwaliśmy się na ziemię ze zwykłej fizycznej niemożności utrzymania się na nogach – ale zawsze udawało nam się w końcu podnieść i ruszyć dalej. Z początku, kiedy tylko było to możliwe, szliśmy trzymając się za ręce, żeby się nie zgubić, a później, kiedy zorientowałem się, iż Ajor opada gwałtownie z sił, zacząłem ją podtrzymywać obejmując ręką w talii. Do tego

wszystkiego ciążyła mi jeszcze broń, ale przewiesiwszy sobie karabin przez plecy chociaż ręce miałem wolne. Kiedy i u mnie zaczęły się objawiać niezaprzeczone oznaki wyczerpania, Ajor zaproponowała, żebym porzucił broń i amunicję, ale odpowiedziałem, że ponieważ próbując wędrować bez nich przez Caspak skazywałbym się na pewną śmierć, to równie dobrze mogę zaryzykować, że umrę tutaj, w jaskini, zachowując je, bo istniała jeszcze szansa, że jednak znajdziemy drogę ku wolności.

Nadeszła wreszcie taka chwila, że Ajor nie mogła już dalej iść, a wtedy wziąłem ją na ręce i poniosłem. Błagała, żebym ją zostawił, argumentując, że po znalezieniu wyjścia mógłbym po nią wrócić, ale wiedziała i zdawała sobie sprawę, że ja też wiem, iż zostawiwszy ją, nigdy już bym jej nie znalazł. Mimo to nalegała. Ledwie starczało mi sił, by bez przystawania przejść dwadzieścia kroków; po każdym takim zrywie musiałem usiąść i odpoczywać przez pięć do dziesięciu minut. Nie pojmuję, jaka siła dodawała mi energii i kazała przeć naprzód w obliczu absolutnego przeświadczenia, że mój mózół jest całkowicie daremny. Miałem już nas oboje za martwych, ale wciąż wlokłem się przed siebie, aż doszło do tego, że nie mogłem się już podnieść, a tylko podpełzałem po kilka cali, holując za sobą Ajor. Jej słodki głos, teraz prawie niesłyszalny na skutek osłabienia, błagał mnie, żebym ją opuścił i ratował się sam – wydawała się troszczyć tylko o mnie. Nie miałem, ma się rozumieć, sumienia, by zostawić ją tam samą, bez względu na to, jak mogłem tego w głębi duszy pragnąć; ale prawda była taka, że ani myślałem jej zostawiać. To, co jej wtedy odpowiedziałem, przyszło mi na język bardzo zwyczajnie i naturalnie. Wydaje mi się zresztą, że nie mogło być inaczej, bo wątpię, czy ludzie, zaglądając w oczy śmierci, są tak bardzo skłonni do heroizmu.

– Bodajbym raczej wcale stąd nie wyszedł, Ajor – wydusiłem z siebie – jeśli miałbym wyjść bez ciebie.

Odpoczywaliśmy pod skalną ścianą i Ajor opierała się o mnie z głową na mojej piersi. Poczułem, jak przytula się do mnie mocniej, a jej ręka gładzi mi ramie w bezsilnej pieśczoście; nic jednak nie odpowiedziała, bo i nie były tu potrzebne żadne słowa.

Po jeszcze kilku minutach odpoczynku podjęliśmy znowu naszą beznadziejną wędrówkę, ale szybko uświadomiłem sobie, że gwałtownie tracę siły i teraz byłem zmuszony przyznać, iż mam już dosyć.

– To nie ma sensu, Ajor – wysapałem. – Szedłem, dopóki mogłem. Może jak się prześpię, dam radę ruszyć dalej. – Ale wiedziałem, że to nieprawda i że koniec jest bliski.

– Tak, śpij – odparła Ajor. – Zaśniemy razem... na zawsze.

Ległem na twardej podłodze, a ona podpełzła do mnie blisko i złożyła głowę na moim ramieniu. Resztką sił, jaka mi jeszcze pozostała, podciągnąłem ją w górę, tak że nasze usta zetknęły się, i wyszeptałem:

– Żegnaj!

Zaraz potem musiałem stracić przytomność, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że obudziłem się z niespokojnego snu, podczas którego śniło mi się, że tonę, i zobaczyłem jaskinię rozjaśnioną rozproszonym dziennym światłem i maleńką strużkę wody spływającą korytarzem i zbierającą się w płytkim zagłębieniu, w którym leżeliśmy. Szybko przeniosłem wzrok na Ajor, pełen obawy przed tym, co może wyjawic światło, ale chociaż bardzo słabo, to jednak wciąż oddychała. Uspokojony, rozejrzałem się szukając źródła tej jasności i wkrótce odkryłem, że dociera z zakrętu korytarza znajdującego się tuż przed nami i pada ze szczytu strome go chodnika.

Natychmiast też uświadomiłem sobie, że w nocy dowlekliśmy się z Ajor niemal do wrót ocalenia. Gdybyśmy przypadkiem pokonali jeszcze kilka jardów któryś z korytarzy odchodzących w tym miejscu od naszego, byłibyśmy nieodwołanie zgubieni. Być może nadal byliśmy zabłąkani, ale mogliśmy przynajmniej umrzeć w świetle dnia, uwolnieni od przerażającej czerni tej strasznej groty.

Spróbowałem wstać i stwierdziłem, że sen przywrócił mi część utraconych sił; potem skosztowałem wody i poczułem się jeszcze bardziej odświeżony. Delikatnie potrząsałem Ajor za ramię, nie otworzyła jednak oczu, nabrałem więc odrobinę wody w złożone w miseczkę dłonie i pokropiłem jej spieczone wargi. Ocuciło to ją na tyle, że uniosła ciężkie powieki i ujrawszy mnie nad sobą uśmiechnęła się.

– Co się stało? – spytała. – Gdzie my jesteśmy?

– Na końcu korytarza – odparłem – a parę kroków stąd wpada dzieńne światło. Jesteśmy ocaleni, Ajor!

Słyszając to usiadła, rozejrzała się wokół, no a potem, czysto po kobiecemu, zalała się łzami. Odreagowywała po prostu napięcie, w jakim dotąd żyła. Była bardzo osłabiona. Wziąłem ją w ramiona i uspokoilem najlepiej jak umiałem, i w końcu, z moją pomocą, zdołała wstać, bo podobnie jak ja też odzyskała we śnie nieco sił. Powlekliśmy się oboje pod górę w kierunku światła i za pierwszym zakrętem oczom naszym ukazał się odległy o kilka jardów otwór wychodzący na ołowiane niebo – ołowiane niebo, z którego siąpił drobny deszczyk, źródło małego szemrzącego strumyczka, który ugasił nasze pragnienie, gdy najbardziej tego potrzebowaliśmy.

Jaskinia była wilgotna i zimna, ale w miarę jak podczołgiwaliśmy się do jej wylotu, spowijała nas i ogrzewała lepka duchota caspakijskiej atmosfery; nawet deszcz był cieplejszy od tych ociekających wilgocią tuneli. Mieliśmy teraz wodę i ciepło i byłem pewien, że Caspak zaoferuje nam wkrótce mięso i owoce; ale dotarwszy do miejsca, skąd roztaczał się widok na okolicę, stwierdziliśmy, że znajdujemy się na szczycie urwisk, gdzie raczej nie ma co się spodziewać zwierzyny. Rosły tam jednak drzewa, a wśród ich gałęzi wypatrzyliśmy jadalne owoce, toteż złamaliśmy niebawem nasz długi post.



## Rozdział XIV

Na szczycie urwisk spędziliśmy dwa dni odpoczywając i odzyskując siły. Żyło tu jednak trochę drobnej zwierzyny, dzięki czemu mieliśmy dość mięsa, a małe sadzawki deszczówki wystarczały do zaspokojenia pragnienia. Słońce wyrzało zza chmur w kilka godzin po tym, jak wydostaliśmy się z jaskini i w jego ciepłych promieniach szybko pozbyliśmy się przygnębienia, w jakie wprawiły nas niedawne przejścia.

Rankiem trzeciego dnia wybraliśmy się na poszukiwanie zejścia w dolinę. Pod nami, trochę na północ, zobaczyliśmy wielki staw rozlewający swe wody u stóp urwisk, a w nim moczące się na płyciźnie kobiety Band-lu, natomiast w oddali, tuż przy potężnych urwiskach granicznych, liczną horde wojowników Band-lu udającą się na północ na polowanie.

Z wysokiego szczytu urwiska mieliśmy wspaniałą widok. Na zachodzie rysował się mgliście przeciwległy brzeg śródlądowego morza, a na południowy zachód wyraźnie majaczyła przed nami wielka południowa wyspa. Trochę na wschód od północy widać było wyspę północną, którą Ajor, drząc, nazwała szeptem domem Wieroo – krainą Oo-oh. Wyspa ta leżała po drugiej stronie jeziora i była ledwie widoczna, bo dzieliło ją od nas pełne sześćdziesiąt mil.

Z wysokości, na której się znajdowaliśmy i w bardziej przejrzystej atmosferze byłaby widoczna jak na dłoni, jednak ociekające wilgocią powietrze na Caspak sprawia, że kontury odległych obiektów są rozmyte albo niewyraźne. Ajor powiedziała mi też, że stały ląd na wschód od Oo-oh to jej kraina – kraina Galu. Pokazała mi urwiska zamykające ją od południa i wyznaczające granicę, za którą leży terytorium Kro-lu, Łuczników. Tak więc, aby znaleźć się w granicach ziem, z których pochodziła, musieliśmy jeszcze pokonać pozostały odcinek terenów Band-lu i przemierzyć całą krainę Kro-lu, a to oznaczało wędrówkę przez trzydzieści pięć mil nieprzyjaznego terytorium najeżonego niebezpieczeństwami. W tym momencie dałbym na pewno wiele za mój samolot, bo dysponując nim wylądowalibyśmy w kraju Ajor w niespełna dwadzieścia minut.

Znaleźliśmy w końcu miejsce, gdzie można się było ześlizgnąć z krawędzi urwiska na wąski występ skalny, który sądząc po śladach służył zwierzętom za ścieżkę wiodącą w dolinę, ścieżkę najwyraźniej od jakiegoś czasu nic uczęszczaną. Ajor zesła tam uczepiona kolby mojego karabinu, po czyni sam się za nią zsunąłem i szczerze przyznaję, że w trakcie tej ewolucji włos mi się jeżył na głowie, bo wysokość była znaczna, półka zatrwająco wąska, a za nią ziała pionowa przepaść kończąca się na skałach u podnóża urwisk. Ale dzięki Ajor, która stała już na występie i pomogła mi zachować równowagę, poradziłem sobie zupełnie nieźle; zaczęliśmy schodzić w dolinę. Natknęliśmy się po drodze na dwa czy trzy niebezpieczne odcinki, ale w przeważającej części droga w dół nie przysparzała nam większych trudności i bez dalszych problemów dotarliśmy do najwyższej położonych jaskiń Band-lu. Tutaj zwolniliśmy nieco kroku, żeby nie nadziać się na jakiegoś członka plemienia.

Musieliśmy być już mniej więcej w połowie poziomu jaskiń Band-lu, kiedy nagle wyrósł przede mną jakiś ogromny drab zagrządzający nam drogę.

– Kto wy? – spytał, ale zaraz rozpoznał mnie, a ja jego, bo był to jeden z tych, którzy wprowadzali mnie do jaskini i wiązali tej nocy, kiedy zostałem pojmany. Jego wzrok przesunął się ze mnie na Ajor. Był przystojnym mężczyzną o jasnych, inteligentnych oczach, proporcjonalnym czole i wspaniałej budowie – najwyżej, jak do tej pory, rozwiniętym typem Caspakijczyka, jakiego widziałem, nie licząc, ma się rozumieć, Ajor.

– Ty jesteś prawdziwa Galu – zwrócił się do Ajor – ale ten człowiek jest z innej gliny. Twarz ma Galu, ale jego broń i dziwne skóry, które na sobie nosi, nie są ani od Galu, ani w ogóle z Caspak. Kim on jest?

– To Tom – odparła zdawkowo Ajor.

– Nie ma takich ludzi – stwierdził zupełnie poważnie Band-lu bawiąc się w bardzo znaczący sposób swoją włócznią.

– Tom to moje imię – pospieszyłem z wyjaśnieniem – a pochodzę z krainy leżącej poza Caspak. – Mając na uwadze konieczność oszczędzania amunicji i chcąc uniknąć zaalarmowania innych wojowników Band-lu głośnym hukiem wystrzału, postanowiłem, jeśli to tylko możliwe, zjednać go sobie. – Jestem z Ameryki, kraju, o którym nigdy nie słyszałeś, i poszukuję innych moich rodaków, którzy przebywają na Caspak i z którymi się rozłączyłem. Nie mam nic do ciebie i twojego ludu. Daj nam odejść naszą drogą w pokoju.

– Tam idziesz? – spytał wskazując na północ.

– Tak – odparłem.

Milczał przez kilka minut wyraźnie ważąc coś w myślach.

– Co to jest? – spytał wreszcie. – I to? – Wskazał najpierw na mój karabin, a potem na pistolet.

– To moja broń – odparłem – broń zabijająca na wielką odległość. – Pokazałem na kobiety moczące się w stawie pod nami. – Tym – pociągnąłem poklepując pistolet – mógłbym zabić tyle kobiet, ile bym chciał, nie ruszając się na krok z miejsca, w którym teraz stoimy.

Wyczytałem w jego oczach niedowierzanie, ale mówiłem dalej.

– A tym – tu zważyłem w prawej dłoni karabin – mógłbym położyć trupem jednego z tych wojowników w oddali. – I machnięciem lewej ręki wskazałem na maleńkie figurki łowców daleko na północy.

Drab wybuchnął śmiechem.

– Zrób to – krzyknął drwiąco – a może wtedy uwierzę, że twoja dziwna historia jest prawdziwa.

– Ale ja nie chcę zabijać nikogo z nich – odparłem.

– Po co miałbym to robić?

– Dlaczego nie? – nie ustępował. – Oni by cię zabili wtedy, gdy byłeś w ich rękach. Zabiliby i teraz, gdyby mogli cię dosięgnąć, a na dodatek zjedli. Ty zaś dobrze wiesz, dlaczego nie chcesz spróbować... dlatego, że łziesz; twoja broń nie uśmierca na wielkie odległości. To tylko cudacznie powyginana maczuga. Z tego, co widzę, nie odróżniasz się niczym od nikczemnych Bo-lu.

– Dlaczego namawiasz mnie do zabijania swoich ludzi? – spytałem.

– To już nie są moi ludzie – odparł dumnie. – Zeszłej nocy, w samym środku nocy, dotarło do mnie wezwanie. Rozległo się jakoś tak w mojej głowie – tu klasnął zrećcznie w dłonie – że aż się zerwałem. Czekałem na nie i spodziewałem się go od dłuższego czasu. Dzisiaj jestem Kro-lu. Dzisiaj wychodzę na *coslupak* (niezaludnione terytorium, albo dosłownie: ziemię niczyją) oddzielające tereny Band-lu od Kro-lu i tam sporządzę sobie łuk, strzały i tarczę; tam upoluję czerwonego jelenia na skórzany kaftan, symbol mojego nowego stanu. Kiedy zrobię to wszystko, będę mógł stanąć przed

wodzem Kro-lu, a on nie waży się mnie odtrącić. Oto dlaczego możesz zabić tych prymitywnych Band-lu, jeśli chcesz żyć, bo ja się spieszę.

– Ale dlaczego chcesz zabić mnie? – spytałem.

Przez chwilę patrzył na mnie niepewnie, ale w końcu dał za wygraną.

– Nie wiem – przyznał. – Tak już jest na Caspak. Jeśli nie zabijamy, sami jesteśmy zabijani, a zatem przezorniej zabijać pierwszemu każdego, kto nie należy do plemienia. Dzisiaj rano ukrywałem się w mojej jaskini, dopóki wszyscy nie wyruszyli na łowy, bo wiedziałem, że poznaliby od razu, iż stałem się Kro-lu i zabiliby mnie. Zabiją mnie, jeśli znajdą mnie na *coslupak*. Tak samo postąpią Kro-lu, jeśli natkną się tam na mnie, zanim zdołam sporządzić sobie broń i kaftan Kro-lu. I ty zabiłbyś mnie, gdybyś mógł, i stąd wiem, że łżesz, gdy mówisz, iż twoja broń zabija na wielkie odległości. Gdyby tak było, dawno już byś mnie zabił. No! Nie mam już czasu na próżne gadanie. Kobietę oszczędzę i zabiorę ze sobą do Kro-lu, bo jest niczego sobie. – I z tymi słowami zbliżył się do mnie z uniesioną włócznią.

Karabin trzymałem gotowy do strzału na wysokości biodra. Drab był tak blisko, że nie musiałem unosić broni do ramienia i wystarczyło, bym nacisnął tylko spust, by wysłać go do Królestwa Wiecznego, kiedy tylko uznam to za stosowne; wahałem się jednak. Trudno mi się było zdecydować na odebranie życia człowiekowi. Nie żywiłem żadnych wrogich uczuć wobec tego okrutnego barbarzyńcy, który działał pod wpływem instynktu niemal bezwarunkowego, jaki cechuje dzikie zwierzęta, i do ostatniej chwili z determinacją szukałem jakiegoś sposobu uniknięcia tego, co teraz wydawało się nieuniknione. Ajor stała u mego boku z nożem w ręku i drwiącym uśmiechem na ustach będącym odpowiedzią na jego oświadczenie, że zabierze ją ze sobą.

W tej samej chwili, kiedy pomyślałem, że jednak muszę strzelić, z miejsca, gdzie pławiły się w wodzie kobiety, wzbił się ku nam chór wrzasków przerażenia. Zobaczyłem, że mężczyzna zatrzymuje się i zerka w dół, i idąc za jego przykładem również tam spojrzałem, żeby przekonać się, co jest źródłem paniki. Kiedy kobiety wychodziły już z wody i wolnym krokiem wracały do jaskini, te idące przodem natknęły się niespodziewanie na monstrualnych rozmiarów lwa jaskiniowego, który zastąpił im drogę do urwisk wyskakując na środek wąskiej ścieżki co prowadziła skalnym rumowiskiem do stawu. Kobiety z dzikim wrzaskiem zawróciły i rzuciły się w popłochu do ucieczki z powrotem w stronę bajora.

– Nic im to nie pomoże – zauważył mężczyzna, a w jego głosie pojawiły się nutki podniecenia. – Nic im to nie pomoże, bo lew zaczeka, aż wyjdą z wody i porwie ich tyle, ile będzie mógł unieść ze sobą; a jest tam taka jedna – dodał ze smutkiem – co do której miałem nadzieję, że wkrótce podąży za mną do Kro-lu. Przyszliśmy tu razem stamtąd gdzie początek. – Uniósł nad głowę swoją włócznię i zamierzył się, gotów nią cisnąć w czającego się na dole lwa. – To ta najbliższej niego – mruknął. – Dopadnie ją i nigdy już się z nią nie połączę, ani wśród Kro-lu, ani nigdy potem. To beznadziejne! Nie ma na świecie wojownika, który potrafiłby cisnąć włócznią na tak wielką odległość.

Zanim jeszcze skończył mówić, poderwałem karabin do ramienia i wymierzyłem w wielką bestię pod nami; a kiedy zamilkł, nacisnąłem spust. Pocisk musiał ugodzić potwora precyzyjnie w miejsce, w które celowałem, bo strzaskał mu kręgosłup tuż za łopatkami i przeszył serce kładąc go na miejscu trupem. Huk wystrzału przeraził kobiety tak samo jak napaść lwa, ale po chwili, kiedy zorientowały się, że ta głośna detonacja najwyraźniej uśmierciła ich prześladowcę, zaczęły ostrożnie podchodzić do nieruchomego cielska, by przyjrzeć mu się z bliska.

Mężczyzna, do którego odwróciłem się natychmiast po oddaniu strzału, licząc się

z ewentualnością, że nadal nosi się z zamiarem zaatakowania mnie, stał jak skamieniały wlepiając we mnie zdumiony i pełen podziwu wzrok.

– Jeśli to potrafisz – wykrztusił wreszcie – to dlaczego dawno już mnie nie zabiłeś?

– Już ci powiedziałem – odparłem – że nic do ciebie nie mam. Nie zabijam ludzi, którzy nic mi nie zrobili.

Ale ten argument wyraźnie do niego nie przemawiał.

– Wierzę teraz, że nie pochodzisz z Caspak – przyznał – bo żaden Caspakijczyk nie przepuściłby takiej okazji. – Jak się później przekonałem, była to mimo wszystko przesada, bowiem plemiona zamieszkujące zachodnie wybrzeże, a nawet Kro-lu z wybrzeża wschodniego są o wiele mniej żądni krwi, niż usiłował mi wmówić.

– I ta twoja broń! – ciągnął. – Myślałem, że łżesz, a ty mówiłeś prawdę. – Zamilkł na chwilę i nagle wyrzucił z siebie: – Zostańmy przyjaciółmi!

Spojrzałem na Ajor.

– Mogę mu zaufać? – spytałem.

– Tak – odparła. – Czemu nie? Czyż nie zaproponował ci przyjaźni?

Nie orientowałem się jeszcze wtedy na tyle w caspakijskich zwyczajach, by wiedzieć, że prawdomówność i lojalność to dwie niezłomne zasady wyznawane przez tych prymitywnych ludzi. Nie rozwinęli dostatecznej kultury, by zostać adeptami hipokryzji, zdrady i obłudy. Istnieje, naturalnie, kilka wyjątków od tej reguły.

– Możemy iść razem na północ – ciągnął wojownik.

– Ja będę wspierał w walce ciebie, a ty mnie. Będę ci służył aż do śmierci, bo ocaliłeś So-al, którą miałem już za martwą. – Rzucił na ziemię swoją włócznię i zakrył oczy dłońmi.

Zerknąłem pytająco na Ajor, a ona wyjaśniła mi najlepiej, jak umiała, że to forma caspakijskiej przysięgi na wierność.

– Po takim czymś nie musisz się go już obawiać – podsumowała.

– Jak mam się zachować? – spytałem.

– Oderwij mu dłonie od oczu i podaj mu jego włócznię – poinstruowała mnie.

Zrobiłem, co mi kazała i mężczyzna wyraźnie się uradował. Spytałem następnie, jak powinienem był postąpić, gdybym nie życzył sobie jego przyjaźni. Wy tłumaczyli mi, że gdybym odwrócił się i odszedł, to z chwilą, w której zniknąłbym wojownikowi z oczu, ponownie stalibyśmy się śmiertelnymi wrogami.

– Ale przecież mogłem go bez trudu zabić, kiedy stał tam zupełnie bezbronny! – wykrzyknąłem.

– Owszem – odparł wojownik – ale żaden rozsądny człowiek nie zasłania sobie oczu stojąc przed kimś, komu nie ufa.

Był to raczej skromny komplement, ale przecież powiedział mi, w jakim stopniu mogę polegać na moim nowym przyjacielu. Rad byłem, że przyłącza się do nas, bo znał kraj i wszystko wskazywało na to, że jest nieustraszonym wojownikiem. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby udało mi się zwerbować cały batalion jemu podobnych.

Ponieważ kobiety zbliżały się już do urwisk, wojownik To-mar, bo tak miał na imię, zaproponował, abyśmy zeszli w dolinę, zanim zdążą przeciąć nam drogę, ponieważ mogłyby nas wtedy przytrzymać, a już prawie na pewno rzuciłyby się na Ajor. Pospieszaliśmy w dół wąską ścieżką, lecz kiedy dotarliśmy do stóp urwiska, kobiety były tuż-tuż. Zawołały do nas, żebyśmy się zatrzymali, ale szliśmy szybko dalej, pragnąc uniknąć awantury, która nieuchronnie doprowadziłaby

do śmierci kilku z nich.

Uszliśmy tak chyba z milę, kiedy z tyłu ktoś zawołał To-mara po imieniu, a kiedyśmy się zatrzymali i obejrżeli, ujrzeliśmy jakąś kobietę pędzącą w naszym kierunku. Gdy podbiegła bliżej, stwierdziłem, że jest bardzo ładnym stworzeniem i, podobnie jak wszystkie przedstawicielki jej płci na Caspak, wyraźnie młodym.

– To So-al! – wykrzyknął To-mar. – Oszalała, że mnie tak goni?

W następnej chwili młoda kobieta zatrzymała się przed nami zdyszana. Nie zwracała najmniejszej uwagi na mnie ani na Ajor, tylko pożerając roziskrzonym wzrokiem To-mara krzyknęła:

– Przechodzę wyżej! Przechodzę!

– So-al! – zdołał wykrztusić mężczyzna.

– Tak – ciągnęła – wezwanie dotarło do mnie, kiedy miałam już wychodzić ze stawu, ale nie wiedziałam, że przyszło też do ciebie. Widzę to w twoich oczach, To-marze, mój To-marze! Pójdziemy tam razem! – Iz tymi słowami rzuciła się mu w ramiona.

Była to bardzo wzruszająca scena, bo nie ulegało wątpliwości, że tych dwoje jest ze sobą od dawna i że każde z nich myślało, iż zostaną teraz na długo rozdzieleni przez owo dziwaczne prawo ewolucji, które obowiązuje na Caspak i które zaczynało się powoli objawiać mojemu nie dowierzającemu umysłowi. Nie rozumiałem wtedy ni w ząb tego cudownego procesu, który trwa wiecznie w obrębie urwisk granicznych Caprony, nie jestem też pewny, czy i teraz w pełni go rozumiem.

To-mar poinformował So-al, że to ja zabiłem lwa jaskiniowego i ocaliłem jej w ten sposób życie, i że Ajor jest moją kobietą, co sprawia, że lojalność, którą jest winien mnie, rozciąga się też na nią.

Z początku Ajor i So-lu sprawiały wrażenie dwóch zjezonych kotek na płocie, ale wkrótce zaczęły się nawzajem Tolerować, zawierając coś na kształt zawieszenia broni, a po jakimś czasie zostały serdecznymi przyjaciółkami. So-al była uderzająco ładną dziewczyną, zbudowaną niczym tygryś, zarówno jeśli chodzi o siłę, jak i kocią zwinność ruchów, a równocześnie przemiała i bardzo kobiecą, Ajor i ja bardzo ją polubiliśmy, a ona, jak mi się wydaje, w równym stopniu polubiła nas. To-mar był prawdziwym mężczyzną – co prawda dzikim, niemniej mężczyzną.

Stwierdziwszy, że towarzystwo To-mara czyni naszą wędrówkę i łatwiejszą, i bezpieczniejszą, nie podążyliśmy dalej swoją drogą. Kiedy dwoje nowicjuszy zatrzymało się przed wkroczeniem na tereny Kro-lu, by zaopatrzyć się w odpowiednią broń i strój, po prostu zostaliśmy z nimi. Dzięki temu bardzo się z tą parą zżyliśmy – do tego stopnia, że myśl o dniu, kiedy zajmą wreszcie należne sobie miejsca pośród swych nowych towarzyszy, a my będziemy zmuszeni podjąć dalszą wędrówkę sami, przepełniała nas smutkiem. To-mar obawiał się bardzo, że Kro-lu nie przyjęliby przyjaźnie Ajor i mnie i uważał, że powinniśmy unikać tych ludzi.

Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy zdołali zyskać sobie wśród nich przyjaciół, bowiem ich terytorium graniczy bezpośrednio z krajem Galu. Ich przyjaźń oznaczałaby praktycznie bezpieczeństwo dla Ajor, a dla mnie pokonanie całej połowy mojej długiej drogi. Mając na uwadze to, przez co do tej pory przeszedłem, zastanawiałem się często, jaką mam szansę dotarcia do celu mej podróży i odszukania przyjaciół. Im dalej będę się posuwać na południe zachodnią stroną wyspy, tym bardziej przerażające stawać się będą zagrożenia, zbliżać się bowiem będę do ziem zamieszkiwanych przez odrażające gady oraz do terenów łowieckich plemion Alu i Ho-lu, z czego wszystko znajdowało się po południowej stronie wyspy. A co by się ze mną stało, gdybym nie

odnalazł członków mojej wyprawy? Nie przeżyłbym długo w żadnej z części Caspak, z którymi się do tej pory zapoznałem. Z chwilą wyczerpania się amunicji byłbym właściwie martwy.

Istniała szansa, że przyjmą mnie Galu, ale nawet Ajor nie potrafiła orzec, czy uczynią to, czy nie, a zakładając nawet, że by mnie przyjęli, to czy nie znalazłszy moich ludzi zdołałbym wrócić po własnych śladach „stamtąd gdzie początek” do leżącej daleko na północy krainy Galu? Szczerze w to wątpiłem. Uczyłem się jednak od Ajor, która była w niejaki stopniu fatalistką, filozofii tak niezbędnej na Caspak do zachowania spokoju umysłu, jak w świecie, z którego przybyłem, pobożnemu chrześcijaninowi niezbędna jest wiara.

## Rozdział XV

Pewnej nocy, wkrótce po ucieczce z jaskiniowej osady plemienia Band-lu, kiedy siedzieliśmy przy małym ognisku w bezpiecznej grocie, So-lu poruszyła kwestię, której nigdy nie próbowałem wyjaśnić z Ajor, dotąd bowiem nie przysłała mi do głowy. Spytała ją mianowicie, dlaczego odeszła od swoich ludzi i jak udało jej się dotrzeć tak daleko na południe, aż do krainy Alu, gdzie ją spotkałem.

Z początku Ajor nie kwapiła się z wyjaśnieniami, ale w końcu ustąpiła i po raz pierwszy usłyszałem pełną historię jej pochodzenia i doświadczeń. Ze względu na moją osobę wplatała do swojej opowieści więcej szczegółów, niż byłoby to konieczne, gdybym był urodzonym Caspakijczykiem.

– Jestem *cos-ata-lo* – podjęła Ajor i zwróciła się do mnie. – *Cos-ata-lo*, mój Tomie, znaczy kobieta (*lo*), która nie wyszła z jaja, a tym samym nie przybyła stamtąd gdzie początek (*cor sva jo*). Byłam dzieckiem wykarmionym piersią matki. Tylko wśród Galu zdarzają się takie, a i to nieczęsto. Większość zabierają Wieroo, ale moja matka ukrywała mnie do czasu, gdy osiągnęłam taki wzrost, że Wieroo nie potrafiliby mnie na pierwszy rzut oka odróżnić od kogoś, kto przybył stamtąd gdzie początek. Znałam zarówno swoją matkę, jak i ojca, co dane jest tylko takim jak ja. Mój ojciec jest wśród Galu wielkim wodzem. Ma na imię Jor i oboje z matką przywędrowali stamtąd gdzie początek, z tym że jedno z nich, prawdopodobnie matka, ukończyło siedem cykli (czyli około siedmuset lat), dzięki czemu ich potomstwo mogło być *cos-ata-lo*, czyli rodzić się podobnie jak wszystkie dzieci twojej rasy, mój Tomie, który to sposób przychodzenia na świat, jak wiem od ciebie, jest u was normalny. Wyróżniłam się więc spośród swych ziomków tym, że moje dzieci będą prawdopodobnie takie jak ja, że będą stały na wyższym stopniu rozwoju, a w związku z tym cieszyłam się wielkim powodzeniem u mężczyzn mego ludu. Żaden jednak nie przypadł mi do serca. Żaden mi nie odpowiadał. Najbardziej natarczywy był Du-seen, ogromny wojownik, którego mój ojciec bardzo się obawiał, gdyż istniało poważne prawdopodobieństwo, że Du-seen wydrze mu tytuł wodza Galu. Człowiek ten cieszył się znacznym poparciem nowych Galu – tych, którzy niedawno przeszli od Kro-lu – a ponieważ ta grupa jest zwykle znacznie liczniejsza od starych Galu i ponieważ ambicje Du-seena nie znały granic, od dawna spodziewaliśmy się, że znajdzie jakiś pretekst, by rozprawić się z Wielkim Wodzeni Jo-rem, moim ojcem.

Kolejną komplikację stanowił fakt, że Du-seen pożądał mnie, ja zaś go nie chciałam, a do tego wszystkiego do uszu mego ojca dotarła wieść, że Du-seen jest w zмовie z Wieroo; pewien myśliwy powracający późną nocą z łowów przybiegł cały roztrzęsiony do mego ojca twierdząc, że widział Du-seena rozmawiającego z Wieroo w odludnym miejscu z dala od wioski i że wyraźnie słyszał słowa: „Jeśli mi pomożecie, ja pomogę wam – przekażę w wasze ręce wszystkie *cos-ata-lo*, jakie przebywają u Galu teraz i jakie w przyszłości się wśród nas pojawiają; ale za tę przysługę musicie zamordować Wielkiego Wodza Jora oraz zasiać terror i zwątpienie pośród jego zwolenników.”

Usłyszawszy to, ojciec mój uniósł się gniewem, a jednocześnie zaniepokoił – zaniepokoił o mnie, która jestem przecież *cos-ata-lo*. Wezwał mnie do siebie i powiedział, *co* usłyszał, a następnie zaproponował dwa sposoby pokrzyżowania planów Du-seena. Pierwszy polegał na tym, że zgodzę się pójść do Du-seena i zostać jego żoną, *co* odwiódłoby go od wydania mnie w ręce Wieroo i dalszego dotrzymywania tej nikczemnej umowy, którą z nimi zawarł – umowy stanowiącej w takiej sytuacji wyrok na jego własne potomstwo, które niewątpliwie dziedziczyłoby cechy matki, czyli mnie. Drugim wyjściem było ukrycie się do czasu pokonania i ukarania Du-seena. Wybrałam tę drugą możliwość i uciekłam na północ. Poza granicami krainy Galu zagrożenie ze strony Wieroo jest niewielkie, bo ci zazwyczaj dybią tylko na Galu najwyższego rzędu. Istnieją po temu dwa główne powody: pierwszy, to trwający od zarania dziejów spór między Wieroo a Galu, która z tych ras reprezentuje sobą wyższy poziom ewolucji, a co za tym idzie, której należy się dominacja nad światem. Ogólnie rzecz biorąc przyjmuje się, że nad wszystkimi innymi stworzeniami dominować musi rasa, która jako pierwsza osiągnie stopień ewolucji umożliwiający jej wydawanie na świat młodych swego gatunku obojga płci. Wieroo pierwsi zaczęli się rozmnażać – i od tej chwili ewolucja od Galu do Wieroo stopniowo zanikała, by obecnie w ogóle już nie występować. Ale u Wieroo rodzą się tylko młode pici męskiej – i dlatego właśnie wykradają nasze dziewczynki, czyli *cos-ata-lo*, i w ten sposób zwiększają swoje, a zmniejszają naszą szansę na ewentualną dwupłciową reprodukcję. U Galu już teraz rodzą się dzieci płci zarówno żeńskiej, jak i męskiej, ale Wieroo tak skrupulatnie nas pilnują, że niewielu chłopców dożywa wieku męskiego, a jeszcze mniej dziewczynek nie zostaje uprowadzonych. Doprawdy, osobliwa to sytuacja, bo chociaż nasi najwięksi wrogowie nienawidzą i obawiają się nas, to jednak nie ważą się nas wytepić, mając świadomość, że wtedy sami by wyginęli.

Ale gdybyśmy zdołali kiedyś zdobyć nad nimi przewagę, to jestem pewna, że z samych prawdziwych *cos-zta-lo* rozwinęłaby się w końcu rzeczywiście dominująca rasa, przed którą cały świat byłby zmuszony schylić czoło.

Ajor mówiła o świecie zawsze tak, jak gdyby poza Caspak nie istniało już nic. Zdawała się nie obejmować umysłem prawdy o moim pochodzeniu ani taktu, że na zewnątrz niebotycznych urwisk granicznych żyją niezliczone rzesze innych ludzi. Wyraźnie wyczuwała, że przybyłem z całkowicie innego świata. Jednak gdzie on się znajduje i jak trafiłem zeń na Caspak, to już przerastało jej możliwości pojmowania i wołała nie zaprzętać sobie tymi kwestiami swojej ładnej główki.

– I tak – ciągnęła – uciekłam, by się ukryć. Zamierzałam przedostać się na drugą stronę urwisk wznoszących się na południe od krainy Galu i poszukać kryjówki na terenach Kro-lu. Było to niebezpieczne, ale innego wyjścia nie widziałam.

Trzeciej nocy schroniłam się w wielkiej jaskini w urwiskach na granicy mojej rodzinnej kramy. Następnego dnia planowałam przejść do kraju Kro-lu, gdzie, jak mi się wydawało, miałam być bezpieczna od Wieroo, ale za to narażona na wiele innych niebezpieczeństw. Tak czy inaczej, dla *cos-ata-lo* każdy los jest lepszy od dostania się w szpony strasznych Wieroo, z których krainy nikt nie powraca.

Przespałam spokojnie kilka godzin, aż tu nagle obudził mnie jakiś rozlegający się w jaskini cichy szmer. Księżyc świecił jasno oświetlając wejście, na którego tle ujrzałam sylwetkę strasznej postaci Wieroo. Ucieczka okazała się niemożliwa. Jaskinia była płytka, wejście do niej wąskie. Leżałam nieruchomo mając jeszcze cichą nadzieję, że osobnik ten zatrzymał się tu tylko, żeby odpocząć i może wkrótce odejdzie nie odkrywając mej obecności; jednak przez cały czas nie opuszczało mnie



przecucie, że trafił tu za mną.

Czekałam wstrzymując oddech i wlepiałam wzrok w skradającego się ku mnie potwora, w jego wielkie oczy świecące w mroku zalegającym jaskinię, i w końcu zdałam sobie sprawę, że owe oczy utkwione są we mnie, bo Wieroo widzą w ciemnościach jeszcze lepiej od lwa czy tygrysa. Kiedy dzieliło nas już tylko kilka stóp, zerwałam się na nogi i rzuciłam jak szalona w kierunku napastnika w daremnej próbie przemknięcia obok niego i wydostania się na zewnątrz. Był to, oczywiście, akt rozpaczny, bo nawet gdyby mi się udało, Wieroo niezwłocznie puściłby się za mną w pościg i spadł na mnie z góry. Ale się nie udało. Wieroo wyciągnął rękę i pochwycił mnie, i chociaż się wyrывałam, już nie puścił. Podczas szarpaniny niemal zdarłam z niego długą, białą szatę i to rozzłościło go do tego stopnia, że zaczął cały dygotać i bić z wściekłością skrzydłami.

Zapytał mnie o imię, ale nie odpowiedziałam i wtedy wpadł w jeszcze większą złość. W końcu wywlókł mnie przed jaskinię, wziął na ręce, rozpostarł swoje wielkie skrzydła i machając nimi posępnie wzbił się w mrok nocy. Przez jakiś czas przesuwiał się pod nami krajobraz skąpany w poświacie księżyca, a potem poleciliśmy nad morzem kierując się na Oo-oh, krainę Wieroo.

Zaczynały już majaczyć przed nami niewyraźne kontury Oo-oh, kiedy w górze rozległ się głośny furkot gigantycznych skrzydeł. Równocześnie z Wieroo spojrzeliśmy w niebo, by ujrzeć tam parę spadających na nas ogromnych *jo-oo* (latających gadów – pterodaktyli). Wieroo zatoczył koło i zanurkował niemal do poziomu morza, po czym pomknął tuż nad powierzchnią wody na południe usiłując wymknąć się prześladowcom. Te wielkie potwory, mimo że przytłacza je własny ciężar, latają szybko, ale Wieroo są od nich szybsi. Choć obciążony dodatkowym brzemieniem mego ciała, unoszący mnie stwór zachowywał dystans, z tym że zwiększyć go jednak nie był w stanie. Poprzez noc, równoległe do wybrzeża, gnaliśmy na południe szybciej od najszybszego wichru. Raz po raz wznosiliśmy się bardzo wysoko, tam gdzie powietrze jest zimne, a świat w dole wygląda jak rozmazana plama, ale *jo-oo* nie dawały za wygraną i wciąż trzymały się blisko za nami.

Zdałam sobie sprawę, że przebyliśmy wielką odległość, bo prąd powietrza owiewający mnie świadczył o szybkości lotu, nie miałam jednak pojęcia, gdzie się znajdujemy. Wtedy wyczułam wreszcie, że Wieroo słabnie. Jeden z *jo-oo* zbliżył się, a potem zdołał wysforować się przed nas, zmuszając tym mojego porywacza do zbiegnięcia w kierunku wybrzeża. Stosując tę taktykę, gady spychały go coraz bardziej i bardziej w lewo; opadał przy tym wciąż niżej i niżej. Jego oddech stawał się coraz cięższy, a zamachy mocarnych jeszcze niedawno skrzydeł coraz słabsze. Znajdowaliśmy się niespełna dziesięć stóp nad ziemią, na skraju puszczy, kiedy nas dopadły. Jeden zahaczył Wieroo prawym skrzydłem, a ten, pragnąc się od niego opędzić, puścił mnie i spadłam na ziemię. Zerwałam się momentalnie na nogi i niczym przerażony *ecca* pognałam w kierunku zbawienego azylu puszczy, wiedząc dobrze, że żaden z potworów nie będzie mógł tam mnie ścigać ani pochwycić. Dopadłszy drzew odwróciłam się i spojrzawszy za siebie zobaczyłam, jak dwa wielkie gady rozdierają na strzępy mojego porywacza i pożerają go na miejscu.

Byłam ocalona, jednak nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Jaka odległość dzieliła mnie od krainy Galu, mogłam się tylko domyślać. Nie wydawało mi się też prawdopodobne, bym kiedykolwiek zdołała dotrzeć bezpiecznie do domu.

Dniało. Wkrótce miały wyruszyć na żer pierwsze drapieżniki, a ja uzbrojona byłam tylko w nóż. Otaczał mnie obcy krajobraz – kwiaty, drzewa, nawet trawy różniły się od tych, które znałam z mego północnego kraju, a wkrótce oczom moim ukazała się kreatura dorównująca swym odpychającym wyglądem Wieroo – włochaty człekozwierz z trudnością poruszający się na dwóch nogach.

Wzdrygnęłam się i rzuciłam do ucieczki. Pędziłam unikając licznych niebezpieczeństw, pośród których żyć musieli moi przodkowie na niższych szczeblach ewolucji, ścigana bez przerwy przez włochatego potwora, który mnie wypatrzył. Po jakimś czasie dołączyli doń inni przedstawiciele jego rasy. Byli to Alu, ludzie nie znający żadnego języka, od których ty mnie wybawiłeś, mój Tomie. Od tego momentu znasz moje przygody i przeżyłabym je jeszcze raz od początku, bo doprowadziły mnie do Ciebie!

Było bardzo miłe z jej strony, że to powiedziała i doceniłem jej uprzejmość. W moim odczuciu była ogromnie sympatyczną dziewczynką, z której przyjaźni rad byłby każdy, ale wolałbym, aby na skutek jej dotyku nie przenikały mego ciała te szczególne dreszcze. Było to bardzo krępujące uczucie, bo kojarzyło mi się z miłością, a wiedziałem, że nigdy nie mógłbym pokochać tej niedojrzałej, malej dzikuski. Bardzo mnie interesowały jej przejścia z Wieroo, które to stworzenia aż do tej pory uważałem za czysto legendarne, ale Ajor tak się wzdragала na samo wspomnienie tego słowa, że nie miałem sumienia narzucać jej tego tematu i w ten sposób Wieroo nadal pozostawali dla mnie tajemnicą.

Chociaż Wieroo wielce mnie intrygowali, niewiele miałem czasu na zastanawianie się nad nimi, bowiem całe dni, od przebudzenia aż do zaśnięcia, wypełniały nam zmagania z przeciwnościami losu – nieustanna walka o przetrwanie, która stanowi główne zajęcie Caspakijczyków. To-mar i So-al zaopatrzyli się już w ekwipunek wymagany od nowych członków społeczności Kro-lu, musieli się zatem z nami rozstać, bo nie mogliśmy im dalej towarzyszyć nie narażając się na wielkie niebezpieczeństwo i nie ryzykując zaszkodzenia również im. Ale oboje poprzysięgli nam dozoną przyjaźń i zapewnili, że kiedy tylko będziemy potrzebowali ich pomocy, wystarczy dać im znać. Nie wątpiłem w szczerłość tych deklaracji, bo bardzo im pomogliśmy w bezpiecznym przedostaniu się na tereny Kro-lu.

Był to nasz ostatni wspólnie spędzany dzień. Po południu mieliśmy się rozstać – To-mar z So-al udawali się prosto do wioski Kro-lu, a ja z Ajor zamierzaliśmy obejść ją szerokim łukiem, aby nie popaść w konflikt z Łucznikami. Dwoje naszych towarzyszy wykazywało oznaki nerwowego podniecenia, zbliżał się bowiem czas wkroczenia do wioski ich nowego ludu; jednocześnie byli bardzo dumni i szczęśliwi. Powiedzieli nam, że zostaną przyjęci dobrze, ponieważ tacy jak oni przybysze są zawsze witani z otwartymi ramionami, a co więcej, w miarę wzrostu odległości od „miejsca gdzie początek”, wyżej rozwinięte plemiona czy rasy są coraz mniej liczne w porównaniu z ludami stojącymi na niższym szczeblu ewolucji. Południowy kraniec wyspy dosłownie roi się od Ho-lu i małp; o szczebel wyżej od nich stoją Alu, których jest nieco mniej niż Ho-lu; idąc dalej, Bo-lu jest mniej niż Alu, a Sto-lu mniej niż Bo-lu. I tak to trwa aż do Kro-lu, którzy są najmniej liczni ze wszystkich zamieszkujących Caspak ludów; tutaj zaś zasada ta ulega odwróceniu, bowiem Galu przewyższają liczebnością Kro-lu. Jeśli zawierzyć wyjaśnieniom Ajor, przyczyną jest to, że na Galu praktycznie zatrzymała się ewolucja i z tego powodu w ich populacji nie występują ubytki, bo nawet *cos-ata-lo* są uważane za Galu i z nimi pozostają. A ponadto zarówno ze wschodniego, jak i z zachodniego wybrzeża do Galu przybywają nowicjusze. Na północy wyspy występuje też mniej mięsożernych gadów i nie tak wiele ogromnych i dzikich przedstawicieli kocięj rodziny co na południu, gdzie zbierają one obfite żniwo wśród zamieszkujących tam ras.

Krystalizowało mi się już niejakie pojęcie o caspakijskich zasadach ewolucji, częściowo tłumaczące brak młodych wśród ras, z którymi do tej pory się stykałem. Pnać się w górę „stamtąd gdzie początek”, Caspakijczyk podczas jednego życia przechodzi przez wiele, jeśli nie przez

wszystkie szczeble ewolucji, których pokonanie, poczynając od momentu, kiedy na świecie po raz pierwszy zakiełkowało życie, zajęło rase ludzkiej niezliczone stulecia. Ale jedno pytanie nadal mnie nurtowało: Jak powstaje życie „tam gdzie początek”, *cor sva jo?*

Kiedy wędrowaliśmy z krainy Alu na północ, zauważyłem, że teren podnosi się stopniowo i teraz znajdowaliśmy się kilkaset stóp nad poziomem śródlądowego morza. Od Ajor dowiedziałem się, iż tereny zamieszkiwane przez Galu położone są jeszcze wyżej i jest tam znacznie chłodniej, co miało wpływ na zmniejszenie liczebności gadów. Zmiana form i gatunków niższych rzucała się w oczy jeszcze bardziej niż szczeble ewolucyjnej drabiny, po której piął się człowiek. Mały *ecca*, czyli karłowaty konik, przeistaczał się w kraju Kro-lu w silnego kucyka o szorstkiej sierści. Dostrzegalem tu więcej małych lwów i tygrysów, chociaż trafiało się jeszcze mnóstwo tych ogromnych. Częściej też spotykało się włochate mamuty, jak również kilka odmian labiryntodontów. Stworzeń tych, od których strzeż mnie, Panie Boże, należałoby się spodziewać bardziej na południe, ale z jakiejś nie wyjaśnionej przyczyny najbardziej rozmnożyły się na terytoriach Kro-lu i Galu, z tym że na szczęście rzadko się je spotyka. Skłaniam się ku tezie, że reprezentują jakąś bardzo wczesną formę życia, która na Caspak zbliża się gwałtownie do granicy wymarcia, chociaż wszędzie tam, gdzie się je spotyka, stanowią jeszcze wielkie zagrożenie.

Było południe, kiedy To-mar i So-al pożegnali się z nami. Znajdowaliśmy się niedaleko wioski Kro-lu; prawdę mówiąc podeszliśmy do niej o wiele bliżej, niż zamierzaliśmy. Nasi towarzysze udali się prosto przed oblicze wodza Kro-lu, a ja i Ajor chcieliśmy zboczyć w kierunku morza.

Uszliśmy już jakąś milę albo i dwie, i mieliśmy właśnie wyjść z gęstego lasu na otwartą przestrzeń, kiedy dostrzegłem przed nami coś, co kazało mi cofnąć się pod osłonę drzew i pociągnąć za sobą Ajor. Zobaczyłem bowiem grupę wojowników Band-lu – wielkich drabów o groźnym wyglądzie. Z kierunku, w jakim maszerowali, zorientowałem się, że wracają do swoich jaskiń i że jeśli pozostaniemy tam, gdzie jesteśmy, przejdą obok nie odkrywając naszej obecności.

Nagle Ajor trąciła mnie w bok.

– Oni prowadzą jeńca – wyszeptała. – To Kro-lu.

Wtedy i ja go zobaczyłem, pierwszego w pełni rozwiniętego Kro-lu, na jakim spoczęło moje oko. Był to imponujący, wysoki, trzymający się prosto dzikus o królewskiej postawie. To-mar też był przystojnym mężczyzną, ale każda cecha fizyczna tego Kro-lu świadczyła, że reprezentuje on zdecydowanie wyższy poziom ewolucji. Podczas gdy To-mar dopiero wkraczał w sferę Kro-lu, ten mężczyzna musiał, według mnie, zbliżać się już do kolejnego etapu swego rozwoju, w którym miał się stać wzbudzającym zazdrość Galu.

– Zabiją go? – zapytałem szeptem Ajor.

– Taniec śmierci – odparła i wzdrygnąłem się, bo przecież jeszcze nie tak dawno sam cudem uniknąłem tego samego losu.

Wydawało mi się okrucieństwem, że ktoś, kto musiał przejść bezpiecznie przez wszystkie stadia ludzkiej ewolucji na Caspak, ma teraz umrzeć o włos od osiągnięcia swego celu. Uniosłem karabin do ramienia i wymierzyłem dokładnie do jednego z Band-lu. Gdybym trafił, położyłbym dwóch za jednym strzałem, bo tuż za pierwszym wojownikiem szedł drugi.

Ajor dotknęła mego ramienia.

– Co chcesz uczynić? Oni wszyscy są naszymi wrogami.

– Wróg, nie wróg – odrzekłem – zamierzam go ocalić przed tańcem śmierci! – I nacisnąłem spust. Huknął strzał i dwaj Band-lu padli na twarze. Oddałem karabin Ajor i dobywając pistoletu

wyszedłem z zarośli pokazując się w pełnej krasie zaskoczonemu oddziałowi. Band-lu nie czmychnęli, tak jak czynili to na odgłos karabinowego wystrzału niektórzy Caspakijczycy znajdujący się na niższym szczeblu rozwoju. Zamiast tego, skoro tylko mnie ujrzeli, wydali serię demonicznych okrzyków wojennych, wzniesli nad głowy swoje włócznie i zaatakowali.

Kro-lu stał nieruchomo i milcząco obserwował całe zajście. Nie próbował ucieczki, chociaż nóg nie miał spętanych i nie pozostał przy nim na straży żaden z wojowników. Szarżowało na mnie dziesięciu Band-lu. Trzech położyłem trupem z pistoletu tak szybko, jak tylko można zliczyć do trzech, i w tym momencie zza mojego lewego ramienia przemówił karabin; kolejny z napastników potknął się i potoczył po ziemi. Dzielna mała Ajor! Nigdy dotąd nie oddała strzału, chociaż pokazywałem jej, jak się celuje i jak prawidłowo naciska na spust – a nie jak za niego pociąga. Pilnie ćwiczyła te nowe umiejętności, jednak nie spodziewałem się, że tak szybko nabędzie wprawy strzelca wyborowego.

Skuteczna eliminacja z walki sześciu kamratów skłoniła pozostałą szóstkę do poszukania schronienia za niskimi krzakami w pobliżu celem przeprowadzenia narady wojennej. Modliłem się, żeby uradzili odwrót, gdyż szkoda mi było amunicji i obawiałem się, że jeśli podejmą kolejny atak, to paru z nich zdoła nas mimo wszystko dopaść, bo znajdowali się już całkiem blisko. Nagle jeden z Band-lu zerwał się na równe nogi i cisnął włócznią. Był to najbardziej zdumiewający pokaz sprawności w posługiwaniu się tą bronią, jakiego kiedykolwiek byłem świadkiem. Odniosłem wrażenie, że zanim człowiek ten zdążył się wyprostować na całą wysokość, włócznia była już w połowie drogi i mknęła niczym strzała w kierunku Ajor. I wtedy właśnie, w obliczu groźby, jaka zawisła nad tą małą istotką, wyszedł mi najwspanialszy w życiu strzał. Nie celowałem świadomie; ręką moją pokierowała podświadomość pobudzona do działania impulsem silniejszym od samego instynktu samozachowawczego. Ajor znajdowała się w niebezpieczeństwie! Równocześnie z tą myślą mój pistolet poderwał się w górę, trysnęła smuga rozżarzonego prochu znacząc ślad pocisku opuszczającego lufę i włócznia ze strzaskanym ostrzem zboczyła ze swej trajektorii. Szóstka Band-lu z pełnym niedowierzaniem wyciem wyskoczyła ze swej kryjówki i pognąła na południe.

Odwróciłem się do Ajor. Była bardzo blada i spoglądała na mnie rozwartymi szeroko oczyma, bowiem o mało co nie pochwyciły jej pazerne palce śmierci, ale na jej usta wypłynął zaraz nikły uśmiech, a w oczach pojawiła się duma.

– Mój Tom! – powiedziała i ujęła obiema dłońmi moją rękę.

Tylko tyle: „Mój Tom!” i uścisk dłoni. Jej Tom! Jakiś skurcz ścisnął mi żołądek. Czy była to egzaltacja, czy zakłopotanie? Niemożliwe! Odwróciłem się od niej niemal obcesowo.

– Chodź! – burknąłem i ruszyłem długimi krokami w kierunku jeńca.

Kro-lu stał jak wrośnięty w ziemię i patrzył na nas z niewzruszonym chłodem. Spodziewał się chyba, że zostanie zabity; jednak jeśli nawet tak było, nie okazywał po sobie najmniejszego strachu. Oczy, z których wзираło wielkie zainteresowanie, przesunęły się z mojego pistoletu na karabin znajdujący się wciąż w rękach Ajor. Przeciąłem mu więzy nożem. Gdy to uczyniłem, wyniosłą rezerwę malującą się na jego obliczu zabarwił i ożywił wyraz zdumienia. Zmierzył mnie pytającym wzrokiem.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – zapytał.

– Jesteś wolny – odparłem. – Wracaj do domu, jeśli chcesz.

– Dlaczego mnie nie zabijesz? – nie dawał za wygraną. – Jestem bezbronny.

– Po co miałbym cię zabijać? Ryzykowaliśmy oboje, ja i ta młoda dama, by ocalić ci życie,

czemu zatem miałbym ci je teraz odbierać?

Oczywiście nie nazwałem wtedy Ajor „młodą damą”, ponieważ w języku caspakijskim nie ma odpowiednika tego szarmanckiego zwrotu; pozwoliłem sobie tutaj jednak na znaczną dowolność w przekładzie rozmowy prowadzonej po caspakijsku. Z formalnego punktu widzenia nie ma niczego niestosownego w wyrażaniu się o pięknej młodej dziewczynie per „ona”, ale wydaje mi się to dalekie od elegancji.

Kro-lu skupił na mnie przez dłuższą chwilę swoje nieruchome, spokojne spojrzenie. Potem znowu przemówił.

– Kim jesteś, człowieku dziwnych skór? – zapytał. – Twoja samica jest Galu; ale ty nie jesteś ani Galu, ani Kro-lu, ani Band-lu, ani żadnym innym rodzajem człowieka, jaki dotąd widziałem. Powiedz mi, skąd przybywa tak potężny wojownik i tak wspaniałomyślny przeciwnik.

– To długa historia – odparłem – ale wystarczy, jeśli powiem, że nie pochodzę z Caspak. Jestem tu obcy i – uwierz mi, nie jestem niczym przeciwnikiem. Nie chcę być wrogiem żadnego człowieka z Caspak, może z wyjątkiem wojownika z rasy Galu imieniem Du-seen.

– Du-seen! – wykrzyknął tamten. – Jesteś wrogiem Du-seena? A dlaczegóż to?

– Bo chciał skrzywdzić Ajor – odparłem. – Znasz go?

– On nie może go znać – wtrąciła Ajor. – Du-seen przybył od Kro-lu dawno temu, przybierając nowe imię, jak to czynią wszyscy wkraczający w nową sferę. Nie może go znać, bo między Galu a Kro-lu nie są utrzymywane żadne kontakty.

Wojownik uśmiechnął się.

– Du-seen przeszedł nie tak znowu dawno – powiedział – abym go nie pamiętał, a ostatnio ważył się pogwałcić odwieczne prawa Caspak; zawiązał kontakty z Kro-lu, Du-seen pragnie zostać wodzem Galu i zwrócił się do Kro-lu o pomoc.

Ajor zaniemówiła z wrażenia. Takie coś było nie do pomyślenia. Galu nigdy nie łączyły z Kro-lu przyjazne stosunki; w myśl dzikich praw Caspak oba te ludy były śmiertelnymi wrogami, bo tylko w ten sposób poszczególne rasy mogły zachować swą odrębność.

– Czy Kro-lu mu pomogą? – spytała po chwili. – Czy napadną na krainę Jora, mego ojca?

– Młodszym Kro-lu podoba się ten plan – odparł wojownik – ponieważ sądzą, że w ten sposób staną się natychmiast Galu. Mają nadzieję przeskoczyć długie lata przemiany, przez które zgodnie z tradycją muszą przechodzić, i za jednym zamachem zostać Galu. My, ze starszych Kro-lu, tłumaczymy im, że nawet gdyby zajęli tereny Galu i zaczęli nosić skóry i ozdoby złotych ludzi, nadal nie będą Galu, dopóki nie nadejdzie czas, kiedy dojrzeją do przemiany. Tłumaczymy im też, że nawet wtedy nie staną się prawdziwą rasą Galu, ponieważ nadal będą wśród nich tacy, którzy nigdy nie dojrzeją do przejścia. Można napadać co jakiś czas na ziemie Galu dla łupu, jak to czyni nasz lud, ale próba podbicia ich i opanowania to szaleństwo. Ze swej strony będę cierpliwie czekał, aż przyjdzie do mnie wezwanie. Czuję, że nastąpi to już wkrótce.

– Jak masz na imię? – spytała Ajor.

– Chal-az – odparł mężczyzna.

– Jesteś wodzem Kro-lu? – ciągnęła Ajor.

– Nie. Wodzem Kro-lu ze wschodu jest Al-tan – odparł Chal-az.

– I on też jest przeciwny planowi napaści na kraj mego ojca?

– Niestety, raczej go popiera – odparł mężczyzna – zaczyna bowiem podejrzewać, że jest *batu*. Wodzem był już wtedy, kiedy ja przeszedłem od Band-lu, i przez wszystkie te lata nie dostrzegam

w nim żadnej zmiany. Szczerze mówiąc, z wyglądu wciąż bardziej przypomina Band-lu niż Kro-lu. Jest jednak dobrym wodzem i wspaniałym wojownikiem, i jeśli Du-seen przekona go do swojej sprawy, Galu, nie wyłączając Du-seena, mogą znaleźć się niedługo pod panowaniem Kro-lu, bo Al-tan nie zgodzi się nigdy komukolwiek podlegać, a kiedy raz postawi zwycięską stopę na terytorium Galu, nie wycofa się stamtąd bez walki.

Spytałem ich, co oznacza słowo *batu*, bo nigdy dotąd go nie słyszałem. W dosłownym tłumaczeniu jest to odpowiednik naszego przymiotnika „dokonany”, „przeegrany”, „skończony” i odnosi się na Caspak do postępów ewolucji danego osobnika. Z informacji tej wynikał interesujący fakt, że nie każdy osobnik jest zdolny wspiąć się poprzez wszystkie stadia ewolucji aż do poziomu Galu. Niektóre jednostki nigdy nie rozwijają się dalej niż do stadium Alu; rozwój innych ulega zatrzymaniu na poziomie Bo-lu, Stołu, Band-lu albo Kro-lu. Ho-lu w pierwszym pokoleniu może się wspiąć na szczebel Alu; Alu w drugim pokoleniu może stać się Bo-lu, natomiast przechodzenie Bo-lu w stadium Band-lu trwa aż trzy pokolenia, i tak dalej, aż do czasu, kiedy jeden z rodziców Kro-lu musi należeć do szóstego pokolenia.

Wyjaśnienia te nie były dla mnie całkiem przejrzyste, bo nie potrafiłem zrozumieć, jak mogą istnieć różne pokolenia ludzi, którzy nie posiadają żadnego potomstwa. Zaczynało mi się już jednak krystalizować mgliste wyobrażenie o dziwnych prawach rządzących migracją i ewolucją ludzi na tym niesamowitym lądzie. Wiedziałem też, że ciepłe bajora, znajdujące się zawsze w pobliżu obozowiska każdego plemienia, mają ścisły związek z caspakijskim systemem ewolucji i że u podłoża codziennego moczenia się kobiet w zielonkawej, mulistej wodzie leży jakieś prawo natury, bo nie wydawało mi się, żeby ten jakby religijny rytuał dostarczał im przyjemności czy był odprowadzany w imię zachowania higieny osobistej. Ale wciąż jeszcze byłem w lesie; i nie było nadziei, że Ajor mnie z niego wyprowadzi, bowiem tłumacząc mi to zmuszona była używać słów, których nie rozumiałem, a których znaczenia nie potrafiła mi wyjaśnić.

Rozmawialiśmy sobie w najlepsze, gdy nagle zaalarmowało nas poruszenie w zaroślach i pomiędzy pniami otaczających nas drzew. Jak na komendę wyłoniło się stamtąd około setki wojowników Kro-lu otaczając nas nierównym kręgiem. Podchodząc powoli ze wszystkich stron z długimi, ostrymi strzałami na cięciwach ciężkich łuków zasypywali Chal-aza gradem pytań. Na mnie i na Ajor spoglądali najpierw z morderczym błyskiem w oku, z podejrzliwością, ale kiedy wysłuchali relacji Chal-aza, ich nastawienie wobec nas stało się bardziej przyjazne. Z ich strony głos zabierał tylko ogromny dzikus. Mężczyzna ten, mimo że był zeń kawał chłopca, odznaczał się idealnie proporcjonalną budową.

– To wódz Al-tan – wyjaśnił Chal-az dokonując prezentacji. Potem powiedział coś o moim pochodzeniu, a Al-tan zadał mi wiele pytań na temat krainy, z której przybywam.

Wojownicy stłoczyli się blisko, żeby słyszeć moje odpowiedzi i kiedy mówiłem o czymś, co dla nich było innym światem, o jachcie, który przywiózł mnie tu poprzez wielką wodę i o samolocie, który przeniósł mnie niczym *jo-oo* ponad szczytami granicznych urwisk, na wielu twarzach dostrzegalem niedowierzanie. Pierwszy wypowiedziany głośno wyraz sceptycyzmu sprowokowało wspomnienie o hydroplanie – i wtedy w mojej obronie stanęła Ajor.

– Widziałam go na własne oczy! – wykrzyknęła. – Widziałam, jak przelatywał w powietrzu uwikłany w walkę z *jo-oo*. Zobaczyli go też Alu, którzy mnie wtenczas ścigali, i na ten widok zaraz czmychnęli.

– Czyja jest ta samica? – zapytał raptem Al-tan wbijając roziskrzony wzrok w Ajor.

Przez chwilę panowało milczenie. Ajor spojrzała na mnie, a na jej twarzy malowały się uraza i niepewność.

– Czyja jest ta samica? – ponowił pytanie Al-tan.

– Jest moja – odparłem, choć nie wiedziałem, jaka siła popchnęła mnie do wypowiedzenia tych słów. Jednak w chwilę potem rad już byłem, że to powiedziałem, bowiem nagroda w postaci dumnej i szczęśliwej twarzy Ajor była tego warta.

Al-tan mierzył ją przez kilka minut wzrokiem, po czym zwrócił się do mnie:

– Potrafisz ją obronić? – spytał, a na jego ustach zagościł cień przebiegłego uśmiešku.

Położyłem dłoń na rękojeści pistoletu i zapewniłem go, że potrafię. Zauważył ten ruch, zerknął na kolbę mojego automatu wystającą z kabury i uśmiechnął się. Następnie odwrócił się do mnie plecami, uniósł swój wielki łuk, założył strzałę na cięciwę i odciągnął ją daleko w tył. Wojownicy obserwowali go w milczeniu i uśmiechali się z dumą. Łuk Al-tana był najdłuższy i najcięższy ze wszystkich, które posiadali. Wódz musiał być prawdziwym mocarzem, skoro zdołał go napiąć; a odciągał cięciwę dopóty, dopóki kamienny grot strzały nie dotknął palca wskazującego jego lewej dłoni. Nie widać było po nim, żeby się przy tym specjalnie wysiłał. Uczyniwszy to, sprowadził drzewce strzały do poziomu oka, przytrzymał przez moment łuk w tej pozycji i zwolnił cięciwę. Strzała przebiła na wylot sześciocalowe drzewo rosnące w odległości pięćdziesięciu jardów od nas i zatrzymała się wyszedłszy z pnia po drugiej stronie do połowy swej długości. Al-tan i jego wojownicy odwrócili się do mnie z niezmiernie usatysfakcjonowanymi minami, po czym wódz nadął się kilka razy dumnie, prężąc przed całym światem mięśnie i szerokie bary jak podpity zapaśnik z wiejskiej tancbudy, czym najwyraźniej chciał zaimponować Ajor.

Zrozumiałem, że niezbędna będzie tutaj stosowna odpowiedź, i jednym szybkim ruchem wyszarpnąłem z kabury pistolet, wymierzyłem do drgającej jeszcze strzały i nacisnąłem spust. Na huk wystrzału Kro-lu odskoczyli w tył i unieśli swoje łuki, widząc jednak, że się uśmiecham, uspokoiли się, opuścili je i idąc za moim wzrokiem skierowali oczy na drzewo. Drzewce strzały ich wodza zniknęło, a w pniu widniała mała, okrągła dziurka po moim pocisku. Był to dobry strzał, typowy fuks, jeśli mam być szczery, ale to opatrność musiała pokierować drogą tego pocisku; po prostu musiałem popisać się dobrym strzałem, aby natychmiast zaskarbić sobie szacunek tych dzikich, wojowniczych Caspakijczyków z szóstej sfery. Od razu dało się zauważyć, że wywarło to pożądany efekt, ale wcale nie jestem pewien, czy dobrze wpłynęło na moje stosunki z Al-tanem. Jeśli nawet do tej pory był może skłonny tolerować mnie jako nieszkodliwego i interesującego dziwoląga, to teraz, sądząc po zmianie, jaka zaszła w wyrazie jego twarzy, ujrzał mnie w nowym, niekorzystnym świetle. I jeśli znało się ten typ ludzi, tak jak znałem go ja, trudno się było temu dziwić, bo czyż pokonując go w jego popisowym numerze, nie ośmieszyłem go w oczach jego wojowników? Jaki król, czy to dziki, czy cywilizowany, puściłby płazem takie zuchwalstwo? Widząc jego ponurą minę uznałem, że lepiej będzie, zwłaszcza przez wzgląd na Ajor, pożegnać się już i ruszyć w dalszą drogę. Kiedy jednak zamierzałem wprowadzić mój zamiar w czyn, Al-tan powstrzymał nas gestem ręki, a jego wojownicy otoczyli nas ciasnym kręgiem.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem oburzony i zanim Al-tan zdążył odpowiedzieć, głos w naszej obronie zabrał Chal-az.

– Czy tak wygląda wdzięczność wodza Kro-lu, Al-tanie – spytał – wobec kogoś, kto oddał ci przysługę ocalając z rąk wroga jednego z twoich wojowników, ocalając go przed tańcem śmierci Band-lu?

Al-tan milczał przez chwilę, po czym twarz mu się wypogodziła i nie bez trudu ułożyła w nieprzekonywającą imitację przyjaznej miny. Wreszcie oznajmił:

– Temu obcemu nie stanie się krzywda. Chcę go zatrzymać tylko po to, by mógł wziąć udział w festynie, jaki na jego cześć wydamy dziś wieczorem w wiosce Al-tana, wodza Kro-lu. Rano będzie mógł odejść. Al-tan mu w tym nie przeszkodzi.

Nie budziło to wcale we mnie zaufania, ale chciałem obejrzeć sobie wioskę Kro-lu, a zresztą miałem świadomość, że nawet gdyby Al-tan planował zdradę, rano przecież nie będzie miał nade mną ani trochę większej władzy niż w tej chwili – a prawdę mówiąc w nocy nadarzy się może sposobność do wymknięcia się wraz z Ajor z jego rąk, podczas gdy teraz żadne z nas nie mogło mieć nadziei na udaną ucieczkę z kręgu otaczających nas wojowników. Tak więc, aby nie zdążył sobie pomyśleć, iż zrodziły się we mnie jakiegokolwiek wątpliwości co do szczerości jego zapewnień, ochoczo i z zadowoleniem przyjąłem zaproszenie. Satysfakcja wodza była wyraźna i przez całą drogę do wioski kroczył obok mnie zadając wiele pytań na temat krainy, z której pochodzę, zamieszkujących ją ludzi i ich zwyczajów. Zdawał się wielce zaintrygowany faktem, że możemy spacerować pod gołym niebem zarówno za dnia, jak i w nocy, bez obawy, że pożrą nas dzikie bestie albo krwiożercze gady, a kiedy opowiedziałem mu o wielkich armiach, jakie utrzymujemy, jego prosty umysł nie potrafił pojąć, iż jedynym celem ich istnienia jest mordowanie ludzkich istot.

– Rad jestem – oświadczył w końcu – że nie mieszkam w twojej krainie pośród tych zdziczałych ludzi. Tutaj, na Caspak, mężczyźni należący do różnych ras walczą ze sobą, kiedy się spotkają, ale ich broń służy przede wszystkim do zabijania zwierząt podczas łowów i w obronie własnej. Nie sporządzamy broni specjalnie z myślą o zabijaniu człowieka, jak to czyni twój lud. Twój kraj musi być zaiste dziki i miałeś szczęście, że udało ci się zeń zbiec na spokojny i bezpieczny Caspak.

Oto miałem nowy i świeży punkt widzenia; a w dodatku po tym jak opowiedziałem Al-tanowi o wielkiej wojnie, która, kiedy opuszczałem dom rodzinny, szalała już w Europie od ponad dwóch lat, nie mogłem odmówić mu racji.

Przez całą drogę do wioski Kro-lu tropem naszym podążały bez ustanku niezliczone hordy drapieżników i trzy razy zostaliśmy zaatakowani przez jakieś przerażające bestie; ale Al-tan traktował wszystko jako rzecz naturalną, to rzucając się na napastnika z uniesioną włócznią, to znów posyłając w jego cielsko ciężką strzałę, po czym powracał jak gdyby nigdy nic do naszej rozmowy. Dwukrotnie doszło do okaleczenia ludzi z jego drużyny, a jednego z wojowników zabił ogromny i rozjuszony nosorożec, ale gdy tylko dramat dobiegł końca, wszystko było znowu tak, jakby nic się nie stało. Poległego odarto ze wszystkiego, co posiadał i pozostawiono tam, gdzie padł; jego pochówkiem zajmą się drapieżniki. Widząc trofea, jakie ci Kro-lu pozostawiali mięsożercom, angielski myśliwy pozieleniałby z zazdrości. Wycięli co prawda z nosorożca wszystkie jadalne części i zabrali je ze sobą, chociaż byli już dosyć solidnie obładowani upolowaną zwierzyną, ale skłoniło ich do tego tylko to, że są szczególnie łasi na mięso nosorożca.

Na wyciętych połciach mięsa pozostawili skórę, ponieważ używają jej do wyrobu sandałów, obciążania tarcz, owijania rękojeści noży i do rozmaitych innych celów, do których nadaje się mocna skóra. Zainteresowały mnie bardzo ich tarcze, zwłaszcza po tym, kiedy zobaczyłem, jak jeden z nich używa jej do obrony przed szarżującym tygrysem szablatozębnym. Ta ogromna bestia zaatakowała nas bez ostrzeżenia, wypadając z kępy gęstych zarośli, gdzie odpoczywała po posiłku. Przywitała ją lawina włóczni ciśniętych z taką siłą, że część z nich przeszła na wskroś przez cielsko zwierza. Atak nastąpił z bardzo małej odległości, przez co zamiast łuku trzeba było użyć właśnie włóczni, ale po



ich rzuceniu ludzie nie znajdujący się bezpośrednio na drodze ataku ślali w wielkie cielsko strzałę za strzałą z niewiarygodną szybkością. Podczas gdy ja stałem bezradny, nie używając karabinu z obawy przed trafieniem któregoś z wojowników zacieśniających krąg wokół bestii, ta, wyjąc z bólu i wściekłości, runęła na Chal-aza. Ale Chal-az nie dał się zaskoczyć. Odrzuciwszy łuk przykucnął, kryjąc się za wielką owalną tarczą, pośrodku której znajdował się otwór o średnicy jakichś sześciu cali. Tarczę miał przytwierdzoną ciasnymi rzemiennymi pętlami do lewego ramienia, natomiast w prawej dłoni dzierzył ciężki nóż. Naszpikowany włóczniami i strzałami wielki kocur rzucił się na tarczę i Chal-az padł na wznak, jednak pozostając nadal całkowicie nią osłonięty. Tygrys kąsał i orał pazurami grubą skórę nosorożca, którą obciążnięta była tarcza, a tymczasem Chal-az, poprzez okrągły otwór widniejący w jej środku, zatapiał raz po raz ostrze noża w trzewiach dzikiego zwierza. Niewątpliwie walka skończyłaby się zwycięstwem Chal-aza, nawet gdybym się nie wtrącił, ale w momencie kiedy zauważyłem lukę w szeregach wojowników Kro-lu, poderwałem karabin do ramienia i zastrzeliłem bestię.

Podniósłszy się z ziemi Chal-az spojrział w niebo i zauważył głośno, że zanoszą deszcz. Pozostali ruszyli już w dalszą drogę do wioski. Incydent należał do przeszłości. Całe zajście przypominało mi, nie z tego, nie z owego, przyjaciela, który kiedyś zastrzelił kota na swoim podwórku. Przez trzy tygodnie nie mówił o niczym innym.

Było już niemal zupełnie ciemno, kiedy dotarliśmy wreszcie do wioski – wielkiej, otoczonej palisadą polany mieszczącej kilkaset krytych liśćmi chat ustawionych w grupach po dwie do siedmiu. Poszczególne chaty zbudowano na planie sześciokąta i tam, gdzie łączyły się one w grupy, przypominały komórki plastra miodu. Jedna chata była siedzibą wojownika i jego towarzyski, a każdą następną w grupie zamieszkiwała inna jego kobieta. Palisada okalająca wioskę wzniesiona była z pali wbitych ciasno jeden przy drugim, splecionych w solidną ścianę mocnymi pnączami zasadzonymi u podstawy i tak poprowadzonymi, by na przemian wnikały między palami do wnętrza i wyrastały na zewnątrz, wiążąc je ze sobą. Pale sterczały na zewnątrz, pochylone pod kątem około trzydziestu stopni i były w tym położeniu podtrzymywane przez wkopane w ziemię krótsze paliki tworzące z właściwym częstokółem kąt prosty i podpierające dłuższe pale mniej więcej w ich środku ciężkości. Szczyt palisady wieńczył rząd zaostrzonych kołów sterczących pod wszystkimi możliwymi kątami.

Jedyna droga do wnętrza wiodła poprzez mały otwór na trzy stopy szeroki i na trzy wysoki, blokowany od wewnątrz belkami o długości sześciu stóp, wsuwanymi poziomo – jedna na drugą – pomiędzy powierzchnię palisady a dwie inne belki wbite w ziemię równoległe do niej i szczipione z nią kłami.

Kiedy wkroczyliśmy do wioski, powitał nas nastawiony dosyć przyjaźnie tłum wojowników i kobiet, którym Chal-az opowiedział kwieciście o przysługach, jakie mu oddaliśmy, i którzy wysłuchawszy jego relacji zaczęli nas w dobrej wierze zasypywać oznakami wdzięczności, wyglądało bowiem na to, że Chal-az jest najpopularniejszym członkiem plemienia. Posypały się na nas naszyjniki z lwich i tygrysiich zębów, połcie suszonego mięsa, miękko wyprawione skóry i pięknie zdobione gliniane naczynia, i wkrótce uginaliśmy się dosłownie pod ciężarem darów. Przez cały ten czas Al-tan patrzył na nas ponuro, wyraźnie zazdrosny o wyrazy uznania, jakie zbieramy za usługi oddane Chal-azowi.

Dotarliśmy w końcu do chaty, którą nam przydzielili i znalazłszy się w niej przyrządziliśmy sobie posiłek składający się z mięsa przyniesionego ze sobą, z owoców, które przyniosły nam kobiety,

z krowiego mleka, które kosztowałem na Caspak po raz pierwszy, z sera zrobionego z mleka dzikich kóz oraz z miodu, cienkiego chleba wypieczonego z mąki, którą tu sami mieli, z winogron i ze sfermentowanego soku z tychże. Był to najcudowniejszy posiłek, jaki spożywałem od czasu, kiedy rozstałem się z *Torreadorem* i kolorowym mistrzem kucharskim Bowena J. Tylera, który potrafił dokonać tego, że kotlet wieprzowy smakował jak kurczak, a kurczak – jak niebo.

## Rozdział XVI

Po obiedzie skręciłem sobie papierosa, rozparłem się wygodnie na stosie futer przed wejściem do chaty i z rozkosznym ciężarem spoczywającej mi na kolanach głowy Ajor poddałem się rozleniwiającemu uczuciu wielkiego zadowolenia. Po raz pierwszy od chwili, kiedy mój samolot przeleciał nad szczytami granicznych urwisk Caspak, byłem spokojny i bezpieczny. Moja dłoń powędrowała do aksamitnego policzka dziewczyny, którą oficjalnie uznałem za swoją, i do jej bujnych włosów oraz złotej opaski przytrzymującej je tuż przy kształtnej główce. Jej smukłe palce popęzły w górę i natrafiwszy na moje przyciągnęły je do ust, a wtedy wziąłem ją w ramiona i przycisnąłem do piersi miażdżąc jej usta długim, jakże długim pocałunkiem. Był to pierwszy raz, kiedy namiętność zabarwiła mój stosunek do Ajor. Byliśmy sami, a chata była nasza do samego rana.

Ale w tym momencie zza palisady, od strony głównego wejścia, dobiegły wesole nawoływania mężczyzn oraz odpowiadające im okrzyki i zapytania strażników. Nastawiliśmy uszu. Bez wątpienia powracający z polowania myśliwi. Słyszeliśmy, jak wchodzi do wioski przy wtórze psiego ujadania. Zapomniałem wspomnieć o psach Kro-lu. Wioska aż się roiała od tych wychudzonych, podobnych do wilków stworzeń, które w dzień pilnowały stada pasącego poza obrębem palisady, przy czym na jedną krowę przypadało ich dziesięć. Na noc krowy zapędzono do wybudowanej na zewnątrz zagrody pokrytej dachem, który miał je chronić przed napadami drapieżnych kotów, a psy zabierano do wioski, oprócz kilku zaprawionych w bojach bestii, które zostawały ze stadem. W dzień obżerały się one do syta mięsem drapieżników, które zagryzły nocą brońac stada, tak więc ich utrzymanie nic nie kosztowało.

Wkrótce po ustaniu zamieszania przy bramie wstaliśmy, Ajor i ja, żeby wejść do chaty, i w tym samym momencie z jednej z krętych alejek, które przebiegając pomiędzy nieregularnie rozstawionymi chatami i grupami chat, tworzą ulice wioski Kro-lu, wyłonił się jakiś wojownik. Mężczyzna ten zatrzymał się przed nami i zwracając się do mnie oznajmił, że Al-tan życzy sobie widzieć mnie w swojej chacie. Forma tego zaproszenia oraz postawa posłańca sprawiły, że zapomniałem zupełnie o ostrożności – tak serdeczna była ta pierwsza i tak pełna szacunku ta druga – i zgodziłem się bez wahania, zapowiadając Ajor na odchodnym, że niedługo wrócę. Zaraz po znalezieniu się w naszej chacie złożyłem w kącie broń i amunicję, i teraz zostawiłem cały ten arsenał pod opieką Ajor, bo nie uszło mej uwagi, że poza swoimi myśliwskimi nożami mężczyźni Kro-lu nie noszą na ulicach wioski żadnej broni. W obrębie osady panowała atmosfera spokoju i bezpieczeństwa, której nie spodziewałem się doświadczyć na Caspak, i po tym, co przeszedłem, musiała rzucić jakiś otepiający urok na moją zdolność oceny sytuacji i logicznego rozumowania. Zjadłem kwiat lotosu; niebezpieczeństwa już mi nie zagrażały, bo przestały istnieć.

Posłaniec poprowadził mnie poprzez labirynt alejek na niewielki otwarty plac w pobliżu centrum wioski. Placyk ten zamykała z jednej strony długa chata, chyba największa z tych, jakie dotąd widziałem, przed której drzwiami stało wielu wojowników. Zauważyłem, że jej wnętrze jest

oświetlone i że zgromadziło się tam mnóstwo ludzi. Psów wałęsających się po placu było tyle co much, a te, które mijalem z bliska, przejawiały wielką ochotę, by mnie pożreć i widocznie to nosy podpowiadały im, iż należę do obcej rasy, ponieważ nie zwracały najmniejszej uwagi na mojego towarzysza. Znalazłszy się w chacie rady, bo jej to siedzibą się okazała, zastałem tam liczne zgromadzenie wojowników siedzących, a raczej kucających na podłodze. W jednym końcu owalnej przestrzeni, którą zebrani zostawili pośrodku izby wolną, stał Al-tan i jeszcze jakiś wojownik, w którym natychmiast rozpoznałem Galu, a zaraz potem zauważyłem, że wśród zebranych znajduje się wielu innych reprezentantów tej rasy. Ze ścian sterczały płonące pochodnie zatknięte w otworach glinianej wyprawy, której zadaniem była najwyraźniej ochrona łatwopalnego drewna i trawy użytych jako budulec. Między wojownikami wylegiwały się albo szwendały nerwowo tabuny na wpół dzikich psów.

Gdy wszedłem, wojownicy, a zwłaszcza Galu, zmierzili mnie zaciekawionymi spojrzeniami, po czym poprowadzony zostałem między zgromadzonymi w kierunku Al-tana. Idąc czułem, że jeden z psów następuje mi na pięty i raptem owa wielka bestia skoczyła mi na plecy. Odwróciwszy się gwałtownie, by ją z siebie strząsnąć, zanim zatopi w moim ciele swoje kły, ujrzałem, że to hasa wokół mnie radośnie ogromny airedalczyk. Uśmiechnięty pysk, na wpół przymknięte ślepia, położone po sobie uszy mówiły mi głośniejszym niż słowa człowieka, że to żaden dziki wróg, ale nie posiadający się z radości przyjaciół, i nagle poznałem go, i przyklękawszy na jedno kolano objąłem skamlącego i poszczekującego ze szczęścia zwierzaka za szyję. To był Nobs, drogi, stary Nobs, pies Bowena Tylera, Nobs, który kochał mnie niemal tak, jak swojego pana.

– Gdzie jest właściciel tego psa? – spytałem zwracając się do Al-tana.

Wódz wskazał ruchem głowy na stojącego obok niego Galu.

– Należy do Du-seena z rasy Galu – odparł.

– On należy do Bowena J. Tylera juniora z Santa Monica – zaoponowałem – i chcę wiedzieć, gdzie jest jego pan.

Galu wzruszył ramionami.

– Ten pies jest mój – burknął. – Przyszedł do mnie z *Cor-sva-jo* i nie ma na Caspak drugiego takiego, który byłby równie ułożony i posłuszny, a przy tym groźny, kiedy się go rozdrażni. Nigdy bym się z nim nie rozstał. Nie znam człowieka, o którym mówisz.

A więc to był Du-seen! To był człowiek, przed którym uciekła Ajor. Ciekaw byłem, czy wie, że ona jest tu teraz. Przyszło mi do głowy, czy czasem nie posłali po mnie z jej powodu, ale kiedy zaczęli mnie wypytywać, odetchnąłem z ulgą; nie w upominali o Ajor. Ich zainteresowanie zdawało się skupiać na Caspak i moich zamiarach teraz, kiedy się już tu znalazłem. Odpowiadałem im szczerze, nie miałem bowiem nic do ukrycia i zapewniłem ich, że jedynym moim pragnieniem jest odnalezienie przyjaciół i powrót do mego ojczystego kraju. Przyglądając się Duseenowi i jego wojownikom znalazłem pewne wyjaśnienie terminu „złota rasa”, jakim są określane, bowiem ich ozdoby i broń były albo w całości wykonane ze szczerzego złota, albo suto inkrustowane tym cennym kruszcem. Prezentowali się bardzo okazale – byli wysocy, przystojni i nosili się prosto. Głowy okalały im złote opaski podobne do tej, którą nosiła Ajor, a z lewego ramienia każdego zwisały ogony leoparda świadczące o przynależności do rasy Galu. Poza tunikami ze skóry jelenia, stanowiącymi główną część ich odzienia, wszyscy nosili lekkie koce w barbarzyńskie, ale piękne wzory – pierwsze wyroby tkackie, jakie widziałem na Caspak. Ajor nie miała koca, bo zgubiła go uciekając przed zalotami Du-seena; nie była też tak obwieszona złotem jak ci reprezentanci męskiej

połowy jej plemienia.

Audiencja musiała trwać już dobrą godzinę, kiedy wreszcie Al-tan dał mi znak, że mogę wracać do swojej chaty. Przez cały ten czas Nobs leżał spokojnie u mych stóp, ale w momencie kiedy odwróciłem się, aby odejść, zerwał się z ziemi gotowy podążyć za mną. Du-seen zawołał go, ale pies nawet nie spojrzął w jego stronę. Byłem już niemal przy drzwiach prowadzących z sali zgromadzeń na zewnątrz, kiedy Al-tan wstał i zawołał za mną.

– Stój! – krzyknął. – Stój, przybyszu! Podąża za tobą zwierzę Du-seena z rasy Galu.

– Ten pies nie należy do Du-seena – odkrzyknąłem spokojnie. – Jak już powiedziałem, jest własnością mego przyjaciela i woli zostać ze mną do czasu odnalezienia jego prawdziwego pana. – I odwróciłem się ponownie, żeby wyjść z izby.

Ledwie zdążyłem postąpić kilka kroków, usłyszałem za sobą poruszenie i w tym samym momencie jakiś człowiek nachylając się ku mnie szepnął mi wprost do ucha: „*Kazor!*” – *Kazor*, caspakijski odpowiednik ostrzeżenia „uwaga”. Człowiekiem tym był To-mar. Powiedziawszy to odwrócił się szybko ode mnie, jakby pragnął ukryć przed obecnymi w izbie, że się znamy, a ja w tej samej chwili zauważyłem, że Du-seen zmierza ku mnie szybkim, zdecydowanym krokiem. Za nim podążał Al-tan i nie ulegało wątpliwości, że obaj są wściekli.

Du-seen stanął przede mną z wyzywającą miną i wydobył do połowy broń.

– To zwierzę jest moje – powtórzył dobitnie. – Zamierzasz je sobie przywłaszczyć?

– Ono nie jest ani twoje, ani moje – odparłem – i nie przywłaszczam go sobie, jeśli chce, może pójść za tobą. Nie będę przeszkadzał. Ale jeśli woli iść za mną, to niech idzie. Ty też mu nie przeszkadzaj. – Zwróciłem się teraz do Al-tana. Czyż to nie uczciwe postawienie sprawy? – zapytałem. – Niech pies sam wybierze sobie pana.

Nie czekając na odpowiedź Al-tana, Du-seen wyciągnął rękę i pochwycił Nobsa na fałd skóry na karku. Nie zareagowałem, bo wiedziałem, co się stanie; i stało się. Nobs okręcił się błyskawicznie z groźnym pomrukiem wrywając się Galu i skacząc mu do gardła. Mężczyzna cofnął się o krok i obronił przed pierwszym atakiem wymierzając psu potężny cios pięścią i wyciągając jednocześnie nóż, by odeprzeć drugą szarżę airedalczyka. I rzeczywiście, gdybym go nie powstrzymał, Nobs zaatakowałby po raz wtóry. Cichym głosem odwołałem go jednak do nogi. Wahał się tylko przez moment, dygocząc w miejscu z wyszczerzonymi kłami i wlepiając ślepią w swego wroga. Był jednak dobrze wyszkolonym psem i znał mnie niemal tak samo dobrze jak Bowena – a prawdę mówiąc największy udział w początkach jego tresury miałem właśnie ja. Potem ruszył wolno na bardzo sztywnych łapach i zajął pozycję za moimi plecami.

Du-seen, purpurowy z wściekłości, najchętniej rozprawiłby się z nami dwoma na miejscu, gdyby Al-tan nie odciągnął go na stronę i nie szepnął paru słów do ucha, wówczas Galu, pokrywając chrząknięciem rozsadzającą go złość, odszedł w drugi koniec izby, a ja wyszedłem z Nobsem na dwór i ruszyłem w kierunku chaty, gdzie czekała na mnie Ajor. Kiedy wychodziliśmy na wioskowy plac, dostrzegłem Chal-aza – stał tak blisko, że wyciągając rękę mogłem go dotknąć – i nasze spojrzenia spotkały się. Ale choć pozdrowiłem go uprzejmie i przystanąłem, żeby do niego zagadać, przeszedł obok zupełnie tak, jakby mnie nie poznawał. Z początku nic wiedziałem, co sądzić o jego zachowaniu, ale zaraz przypomniało mi się, że To-mar, chociaż mnie ostrzegł, też zrobił to tak, jakby pragnął ukryć przyjazne nastawienie wobec mojej osoby. Z rozmyślań nad przyczynami ich postępowania wyrwał mnie nagle huk wystrzału. Puściłem się natychmiast biegiem pełen najgorszych przeczuć, bo jedyna broń palna w krainie Kro-lu znajdowała się w chacie, w której zostawiłem Ajor.

To, że Ajor znajduje się w niebezpieczeństwie, nie ulegało wątpliwości, bo dziewczyna nabyła już takiej wprawy w posługiwaniu się zarówno pistoletem, jak i karabinem, że możliwość przypadkowego wypalenia broni była niemal wykluczona. Opuszczałem naszą chatę z przeświadczeniem, że znajdujemy się wśród przyjaciół i jesteśmy bezpieczni; nawet przez myśl mi nie przeszło, że coś może nam zagrażać. Ale rozmowa z Al-tanem, obecność Du-seena i dziwne zachowanie zarówno To-mara, jak i Chal-aza skłoniły mnie do powzięcia pewnych podejrzeń i teraz gnałem z duszą na ramieniu wąskimi, krętymi alejkami wioski Kro-lu.

Obdarzony jestem świetnym zmysłem orientacji, który wydatnie rozwinałem przez lata, jakie spędziłem w górach oraz na preriach i pustyniach mego rodzinnego stanu, tak więc właściwie bez trudu odnalazłem drogę powrotną do chaty, w której zostawiłem Ajor. Stanąwszy w progu zawołałem ją głośno po imieniu. Nikt mi nie odpowiedział. Wyszarpnąłem z kieszeni pudełko zapalek, zapaliłem jedną i ledwie błysnął płomyk, ze wszystkich stron rzuciło się na mnie z pół tuzina krzepkich wojowników, ale ta krótka chwila, przez jaką płonęła zapalka, wystarczyła, bym się zorientował, że Ajor nie ma w chacie i że razem z nią zniknęła cała moja broń i amunicja.

W chwili gdy sześciu mężczyzn rzucało się na mnie, za ich plecami rozległo się wściekłe warczenie. Zapomniałem o Nobsie. Wpadł niczym demon nienawiści pomiędzy wojowników Kro-lu szarpiąc, rozdzierając i kłusząc na prawo i lewo swymi długimi kłami i potężnymi szczękami. Tamci powalili mnie w jednej chwili na ziemię i bez dwóch zdań zaraz by mnie obezwładnili, gdyby nie Nobs. Kiedy ja szamotałem się usiłując strząsnąć ich z siebie, Nobs doskakiwał to do jednego, to do drugiego i w końcu, zmuszeni bronić przed nim własnej skóry, jeśli nie życia, mnie byli w stanie poświęcać zaledwie niewielką część swej uwagi. Jeden z nich uporczywie próbował zdzielić mnie w głowę kamiennym toporem, chwyciłem go jednak za ramię i jednocześnie przekręciłem się na brzuch, a potem wystarczyła mi już tylko chwila, by podkurczyć pod siebie nogi i zerwać się błyskawicznie z ziemi.

Czyniąc to nie puszczałem ramienia napastnika, przenosząc je nad swym barkiem. Potem, wykonując gwałtowny skłon w przód, przerzuciłem go sobie przez głowę i cisnąłem w drugi koniec izby. W mrocznym wnętrzu dostrzegłem, że Nobs unieszkodliwił już jednego z pozostałych, człowiek ten leżał teraz bez ruchu na podłodze, natomiast czterej trzymający się jeszcze na nogach nacierali nań z nożami i toporami.

Podbiegłszy do draba, którego przed chwilą wykluczyłem z walki, pochwyciłem jego topór i nóż, i w chwilę potem uwijałem się już w wirze bitewnym. Nie miałem żadnych szans w starciu z tymi dzikimi wojownikami na ich własną broń i szybko poniósłbym sromotną klęskę i stracił życie, gdyby znowu nie Nobs, który sam jeden starczał za czterech. Nigdy nie widziałem zwierzęcia tak szybkiego i zwinnego jak ten wielki airedalczyk, takiej przerażającej zaciekłości, jaką przejawiał w swych atakach. Zarówno to pierwsze, jak i drugie przyczyniło się do powstrzymania napastników, którzy mimo, że oswojeni z zażartością przerażających potworów, ze zgrozą patrzyli na tę dziwną bestię z innego świata walczącą u boku swego nie mniej dziwnego pana. Nie byli jednak tchórzami i tylko dzięki połączeniu naszych sił zdołaliśmy ich w końcu pokonać. Rzucaliśmy się jednocześnie na każdego po kolei i podczas gdy Nobs skakał z jednej strony, ja waliłem toporem w głowę z drugiej.

Gdy padł ostatni z mężczyzn, usłyszałem tupot wielu stóp nadbiegających od strony placu. Dać się teraz pojmać oznaczało śmierć; nie mogłem jednak uciekać z wioski nie ustalwszy wpierw miejsca pobytu Ajor i nie uwolniwszy jej, jeśli została uwięziona. Nie byłem zresztą tak do końca pewien, czy potrafiłbym wydostać się poza obręb palisady; jedno wszakże nie ulegało dla mnie wątpliwości;

ani Ajor, ani mnie nic nie przyjdzie z tego, że pozostanę tu, gdzie stoję i dam się schwytać, Tak więc z pokrwawionym, ale szczęśliwym Nobsem następującym mi na pięty, skręciłem w pierwszą alejkę i pobiegłem w kierunku północnego krańca wioski.

Rzadko czułem się tak bezradny jak teraz, kiedy uchodziłem samotnie przed pościgiem ciemnym labiryntem tej barbarzyńskiej osady; ale od obawy o własne bezpieczeństwo daleko większy był mój niepokój o los Ajor. Co się z nią stało? Gdzie i w czyich rękach była? Wątpiłem, czy przeżyję, by poznać odpowiedzi na te pytania, ale pewien byłem, że bez wahania spojrzę w oczy śmierci próbując owe odpowiedzi znaleźć. I dlaczego? Przy całej trosce o losy przyjaciół, którzy przybyli ze mną na Capronę, i o mojego najlepszego przyjaciela Bowena I. Tylera nigdy nie odczuwałem tak paralizującego strachu o bezpieczeństwo innej osoby jak teraz, to popadając w gorączkową desperację, to oblewając się zimnym potem trwogi, kiedy tylko moje myśli wędrowały ku owemu półdzikiemu zjawisku, o którego istnieniu kilka krótkich tygodni temu nawet nie śniłem.

Czym tak mnie ujęła? Czy znajdowałem się pod wpływem uroku i umysł mój nie potrafił już funkcjonować racjonalnie, a rozum i zdrowy rozsądek ustąpiły miejsca szalonemu sentymentalizmowi, którego uparcie nie chciałem uznać za miłość? Nigdy jeszcze nie byłem zakochany. Nie byłem zakochany i oto teraz... sama myśl o tym była absurdalna. Jakże ja, Thomas Billings, prawa ręka świętej pamięci Bowena J. Tylera seniora, jednego z czołowych przemysłowców Ameryki i najwybitniejszych ludzi w Kalifornii, mógłbym się zakochać w eee... To słowo nie chciało mi przejść przez gardło; cóż, kiedy zgodnie z moimi amerykańskimi standardami Ajor nie mogła być niczym więcej. W kraju, przez wzgląd na swą urodę, przez wzgląd na lekko przyciemnioną skórę, mała Ajor w swoim stroju, z nawykami, zwyczajami i manierami swego ludu, ze swoim pochodzeniem, zostałaby sklasyfikowana jako *squaw*. Tom Billings zakochany w *squaw*! Wzdrygnąłem się na tę myśl.

I wtedy, w nagłym przeblasku na ekranie wspomnień, ujrzałem oczyma wyobraźni Ajor taką, jaką ostatnio widziałem i ponownie przeżyłem tę rozkoszną chwilę, w której tuliliśmy się do siebie z ustami złączonymi pocałunkiem, kiedy zegnałem się z nią odchodząc do sali zgromadzeń Al-tana; i chętnie sam bym się skopał za ten snobizm i podłość, jakich dowodziły podobne myśli – myśli człowieka, który szczycił się zawsze, że obce są mu podobne przywary.

Takie to rozterki zaprzętały mój umysł, kiedy pędziłem z Nobsem przez ciemną wioskę, mając wciąż w uszach odgłosy pościgu. Takie – i wiele innych. Nie mogłem jednak zaprzeczyć nieodwracalnemu faktowi, że ta mała postać, wokół której krążyły me wspomnienia i nadzieje, należała do Ajor – ukochanej dzikuski! Z rozważań wyrwał mnie ochryply szept dobiegający z czarnego wnętrza chaty, obok której właśnie przebiegaliśmy. Ktoś zawołał mnie cicho po imieniu i kiedy zatrzymałem się z uniesionym do obrony nożem, tuż przy mnie wyrósł jak spod ziemi jakiś mężczyzna. Był nim Chal-az.

– Szybko! – ponaglił mnie. – Do środka! To moja chata i nie będą jej przeszukiwać.

Zawahałem się, przypominając sobie jego zachowanie sprzed kilku zaledwie minut, a on, jak gdyby czytając w moich myślach, wyrzucił z siebie szybko:

– Nie mogłem odezwać się do ciebie na placu, żeby nie wzbudzić podejrzeń, które uniemożliwiłyby mi później przyjście ci z pomocą, bo rozeszła się wieść, że Al-tan zwrócił się przeciwko tobie i zamierza cię zniszczyć, a zdecydował się na to po przybyciu Galu Du-seena.

Z Nobsem przy nodze wszedłem za nim do chaty i minawszy kilka izb znaleźliśmy się w usytuowanym na tyłach i pozbawionym okien pomieszczeniu, gdzie mały, skwierczący kaganek

toczył nierówną walkę z atramentową ciemnością. Dym ze spalającej się nafty znajdował ujście przez mały otwór w dachu, jednak powietrzu daleko było do świeżości. Tutaj Chal-az zaprosił mnie gestem ręki, bym usiadł na rozpostartym na klepisku futrze.

– Jestem twoim przyjacielem – oświadczył. – Ocaliłeś mi życie, a nie jestem takim niewdzięcznikiem jak ten *batu* Al-tan. Będę ci służył i są tu też inni, którzy chętnie sprzymierzą się z tobą przeciwko Al-tanowi i temu renegatowi Galu, Du-seenowi.

– Ale gdzie jest Ajor? – spytałem, bo mało dbałem o własne bezpieczeństwo, kiedy jej coś groziło.

– Ajor też jest bezpieczna – odparł. – Przejrzeliśmy zamiary Al-tana i Du-seena. Ten ostatni, dowiedziawszy się, że jest tu Ajor, zażądał jej wydania, a Al-tan obiecał mu, że ją dostanie. Jednak z wojownikami, którzy po nią poszli, był To-mar. Ajor próbowała się bronić. Zabiła jednego z wojowników, a wtedy To-mar pochwyił ją, a pozostali odebrali jej broń. To-mar powiedział im, żeby szukali rannego, który w rzeczywistości już nie żył, i pojмали ciebie, kiedy wrócisz, a on, To-mar, odniesie tymczasem Ajor do Al-tana; ale zamiast oddać ją Al-tanowi, zabrał dziewczynę do swojej chaty, gdzie przebywa teraz z So-al, kobietą To-mara. To wszystko odbyło się bardzo szybko.

Byłem z To-marem w chacie rady, kiedy Du-seen próbował odebrać ci psa. Powierzyłem to zadanie To-marowi. Wybiegł natychmiast i przyłączył się do wojowników udających się do twojej chaty, podczas gdy ja zostałem, żeby obserwować, co się będzie działo w chacie rady i pospieszyć ci z pomocą, gdybyś jej potrzebował. Co się potem stało, już wiesz.

Podziękowałem mu za lojalność, a potem poprosiłem, żeby zaprowadzili mnie do Ajor, odparł jednak, że to niewykonalne, ponieważ na ulicach wioski aż się roi od poszukujących mnie ludzi. Rzeczywiście słyszeliśmy, jak biegają od chaty do chaty wypytując mieszkańców, i Chal-az uznał wreszcie, że lepiej będzie, jeśli zajmie miejsce przy wejściu do swej siedziby składającej się z kilku połączonych chat, na wypadek gdyby tu weszli z zamiarem jej przeszukania.

Chal-az długo nie wracał – te kilka godzin wydawało mu się wiecznością. Wszystkie odgłosy pościgu dawno ucichły i jego przedłużająca się nieobecność zaczynała mnie już niepokoić, kiedy usłyszałem, jak wraca. Wszedł do izby wzburzony, a na jego twarzy dostrzegłem ponadto wyraz zafasowania.

– Co się stało? – zapytałem. – Znaleźli Ajor?

– Nie – odparł – ale Ajor zniknęła. Dowiedziała się, że im uszedłeś i powiedziano jej, że opuściłeś wioskę, w co uwierzyła i również uciekła. Przelazła przez palisadę uzbrojona tylko w nóż. So-al nie zdołała jej zatrzymać.

– No to muszę iść – powiedziałem podnosząc się z ziemi.

Nobs też wstał i otrząsnął się. Dotąd spał jak zabity

– Tak – zgodził się ze mną Chal-az – musisz zaraz ruszać. Już dnieje. Skoro świt Du-seen rusza za nią w pościg. – Tu pochylił się do mego ucha i wyszeptał: – Wielu jest chętnych do przyjścia ci z pomocą. Al-tan zgodził się poprzeć Du-seena przeciwko Jorowi, wodzowi Galu, ale wielu z nas zamierza powstać przeciwko Al-tanowi i zapobiec temu zuchwałemu pogwałceniu praw i zwyczajów Kro-lu i Caspak. Chcemy przechodzić do Galu, tak jak nakazał nam przechodzić Luata, i tylko tak. Póki Chal-az żyje i może udźwignąć ciężki łuk i ostrą włócznię mając za sobą prawdziwych Kro-lu, żaden *batit* nie wejdzie do stanu Galu podstępem i zbrojną przemocą!

– Pozostaje mi żywić nadzieję, że przeżyję i będę mógł wam pomóc – odparłem. – Gdybym miał swoją broń i amunicję, mógłbym wiele zdziałać. Wiesz, gdzie są?



– Nie – powiedział – znikły. – I zaraz dorzucił. – Zaczekaj! Nie możesz wyruszyć w dalszą drogę tak lichy uzbrojony i w tym odzieniu. Musisz przedostać się do krainy Galu i wobec tego musisz wyglądać jak Galu. Chodź! – I nie czekając na moją odpowiedź poprowadził mnie do sąsiedniej izby, z ściślej mówiąc do sąsiedniej z grupy chat tworzących jego rozległą siedzibę.

Znajdował się tam stos skór, broni i ozdób.

– Zdejmij swój dziwny przyodziewek – posiedział Chal-az – a ja uczynię z ciebie prawdziwego Galu. Zabiłem ich kilku w wypadkach, w których brałem udział jako świeżo upieczony Kro-lu i przechowuję tutaj zdarte z nich stroje.

Doceniłem przeczność jego rady, a ponieważ ubranie miałem już tak porwane, że ledwie okrywało moją nagość, zrzuciłem je z siebie bez żalu. Rozebrawszy się do naga wybrałem sobie tunikę ze skóry czerwonego jelenia, ogon leoparda, złotą przepaskę na włosy, obręcze na ramiona i nogi noszone przez Galu, pas z nożem w pochwie, tarczę, włócznię, łuk, strzały i długą linę, która, jak już wiedziałem, stanowi broń wyróżniającą wojownika Galu spośród innych. Jest to właściwie rzemieńne łąso z niewyprawionej skóry, bardzo podobne do używanych na preriach i pastwiskach Zachodu, gdzie spędziłem młode lata. Rzemień ten oplata się na złotym jaju, zwanym *honda*, które obciąża łąso zwiększając celność rzutu. To ciężkie *honda*, jak wyjaśnił mi Chal-az, stosowane jest też w charakterze broni, którą ciska się z wielką siłą i dokładnością w nieprzyjaciela, a następnie przyciąga do siebie zwijając rzemień, by przygotować je do następnego rzutu. Na polowaniu i w walce stosują zarówno łąso, jak i *honda*. Gdy kilku wojowników otoczy pojedynczego wroga albo zwierzę, chwytają swą ofiarę na łąso z kilku stron; ale w walce jeden na jednego każdy z wojowników będzie próbował rozbić przeciwnikowi głowę owym metalowym jajem.

Pozbawiony karabinu nie mogłem sobie wymarzyć lepszej broni, bo z lassem oswojony byłem od dziecka, ale przyznać muszę, że z mniejszym entuzjazmem podchodziłem do mojego nowego ubioru. Tunika była tak krótka i lekka, że czułem się, jakbym był zupełnie nagi. Kiedy spytałem Chal-aza o caspakijską nazwę łąso, powiedział mi, że mówią na nie *ga*, i dopiero teraz zrozumiałem pochodzenie słowa Galu, które oznaczało człowieka posługującego się lassem.

Mój strój i uzbrojenie wyglądały tak dziwnie, że w pełnym ekwipunku gotów byłem nie poznać sam siebie. Przez plecy przewieszona miałem łuk, strzały, tarczę i krótką włócznię; u pasa, pośrodku brzucha, zwiślał mi nóż; o prawe biodro obijał się kamienny topór, a przy lewym przytroczone miałem długie łąso. Sięgając prawą ręką przez lewe ramię mogłem pochwycić włócznię albo strzały. Lewą ręką mogłem dosięgnąć łuku wystającego mi zza prawego ramienia, natomiast założenie tarczy na lewe przedramię i osłonięcie się nią wymagały iście akrobatycznych łamańców. Długa, owalna w kształcie tarcza wykorzystywana jest bardziej jako swego rodzaju pancerz chroniący grzbiet niż jako osłona przed atakiem czołowym, bo do odpierania ataku przypuszczanego nożem, włócznią, toporem czy zastawiania się przed nadlatującą strzałą służą głównie złote pierścienie nasunięte jeden przy drugim na lewe przedramię. Jednak w starciu z większym drapieżnikiem albo podczas obrony przed kilkoma atakującymi ludźmi zalety tarczy są w pełni wykorzystywane, a nosi się ją wtedy na pętlach nasuniętych na lewe przedramię.

W pełnym ekwipunku, w którym brakowało jedynie koca, wyszedłem za Chal-azem z jego domostwa i zapuściliśmy się w mroczne, wyludnione alejki wioski Kro-lu. Skradaliśmy się w milczeniu w kierunku najbliższego odcinka palisady, a za nami sunął bezszelestnie Nobs. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Chal-az pożegnał się ze mną wyrażając nadzieję, że ujrzy mnie wkrótce wśród Galu, bo czuje, iż „niebawem zostanie wezwany”. Podziękowałem mu za lojalną pomoc i obiecałem,

że bez względu na to, czy dotrę do krainy Galu, czy nie, zawsze z ochotą odwdzięczę się mu za przysługę, jaką mi wyświadczył i że może na mnie liczyć, jeśli chodzi o powstanie przeciwko Altanowi.

## Rozdział XVII

Wdrapanie się po pochyłej ścianie palisady i zeskoczenie na ziemię po drugiej stronie było kwestią kilku sekund, a raczej byłoby, gdyby nie Nobs. Kiedy dotarliśmy do szczytu, musiałem go obwiązać liną, przenieść nad zaostrzonymi kołkami i opuścić na zewnątrz. Sprawa odnalezienia Ajor w nieznannej krainie rozciągającej się na północy wyglądała beznadziejnie; ale nie pozostawało mi nic innego, jak tylko próbować i modlić się, by cała i zdrowa dotarła do swego ojca.

Gdy maszerowaliśmy tak z Nobsem w coraz silniejszej poświacie wstającego dnia, zwróciłem uwagę, że im dalej na północ się zapuszczamy, tym bardziej maleje liczba dzikich bestii. Wraz ze spadkiem liczebności drapieżników rosło pogłowie zwierząt roślinożernych, z tym że tych ostatnich wszędzie na Caspak jest wystarczająco dużo, by zaspokoić ogromne apetyty mięsożerców, bez względu na rejon wyspy, jaki zamieszkują. Dzikie bydło, antylopy, jelenie i konie, które mijałem, wykazywały ewolucyjne zmiany w porównaniu ze swymi kuzynami z południa. Krowy były mniejsze i mniej włochate, konie większe. Na północ od wioski Kro-lu zaobserwowałem mały tabun tych ostatnich zbliżonych wielkością do mustangów z naszych zachodnich prerii, hodowanych zwłaszcza dawniej, a na mniejszą skalę i obecnie, przez Indian. Były dobrze odżywione i zgrabne. Popatrywałem na nie pożądliwie, a zważywszy, że od tygodni zmuszony byłem wędrować pieszo, po głowie chodziły mi myśli, które każdy stary kowboj może łatwo odgadnąć. Były jednak czujne i nie dały się podejść nawet na odległość strzału z luku, ale ja nie trądem na razie nadziei.

Przed południem zostaliśmy dwukrotnie wytropieni i napadnięci przez ludojady; chociaż nie miałem broni palnej, do obrony aż nadto wystarczał mi Nobs, który pod kierunkiem Du-seena albo jakiegoś innego Galu oraz, ma się rozumieć, w, o wicie większym stopniu na własnych błędach, nauczył się najwyraźniej co nieco caspakijskich zasad polowania. Bez przerwy miał się na baczności i zawsze ostrzegał mnie cichym warczeniem o zbliżaniu się jakiegoś wielkiego mięsożernego zwierza na długo przedtem, zanim ja byłem w stanie zobaczyć go bądź usłyszeć, a potem, kiedy stwór znalazł się już w zasięgu wzroku, rzucił się ku niemu z ujadaniem, ściągając na siebie uwagę bestii dopóty, dopóki nie ulokowałem się bezpiecznie na jakimś drzewie. A przy tym przebiegły Nobs nigdy nie ryzykował niepotrzebnie poturbowania. Dorskakiwał i odskakiwał tak szybko, że nie mogły go dosięgnąć nawet błyskawiczne w ruchach wielkie drapieżne koty. Widziałem, że swymi zwodami doprowadza je do dzikiej furii.

Największą niedogodnością związaną z żerującymi drapieżnikami było opóźnianie marszu, bo jeśli od razu nie dopadł) upatrzonej ofiary, to miały paskudny zwyczaj podążania jej tropem przez godzinę albo i dłużej. W końcu jednak ujrzeliśmy przed sobą pasmo urwisk ciągnących się w poprzek naszej drogi jak okiem sięgnąć ze wschodu na zachód i domyśliłem się, że dotarliśmy do naturalnej granicy oddzielającej tereny Kro-lu od krainy Galu. Południowa ściana tych wysokich i niedostępnych urwisk wznosiła się na dobre dwieście stóp w niebo, stroma i urwista, bez żadnej dostrzegalnej szczeliny) Nie wyobrażałem sobie, jak zdołam się tędy przeprawić. Nie miałem pojęcia,

czy szukać przejścia na wschodzie, posuwając się w kierunku jeszcze „wyższych urwisk granicznych wychodzących na ocean, czy na zachodzie, w kierunku śródlądowego morza. Czy przełęcz jest więcej, czy tylko jedna? Skąd miałem to wiedzieć? Mogłem jedynie zdać się na los szczęścia. Nie pomyślałem przy tym, że Nobs przynajmniej raz, jeśli nie więcej, musiał się tędy przeprawiać i że może zaprowadzić mnie do przełęcz; tak więc, zwracając się do niego, jak to często czyni człowiek samotny w obecności zwierzęcia, bynajmniej nie prosiłem o pomoc.

– No, Nobs – mruknąłem – jak my, u diabła, przeleziemy przez te urwiska?

Nie twierdzą, że mnie zrozumiał, chociaż wiem, że airedalczyk to bardzo inteligentne psy; przysięgam jednak, że zachował się zupełnie tak, jakby pojął me słowa, odwrócił się bowiem i poszczekując radośnie pocwałował na zachód. Zorientowawszy się zaś, że za nim nie podążam, przybiegł do mnie z powrotem z zawziętym ujadaniem i nie widząc innego wyjścia, złapał mnie zębami za łydkę próbując pociągnąć w kierunku, w którym miałem według niego pójść. Ponieważ nogi miałem obnażone, a szczęki Nobsa są o wiele potężniejsze, niż jemu samemu się wydaje, uległem i ruszyłem za nim wychodząc z założenia, że skoro i tak nie mam pojęcia, w którą stronę należałoby się zwrócić, to wszystko jedno, czy skieruję się na wschód, czy na zachód.

Dłuższy czas posuwaliśmy się podnóżem urwisk. Teren był tu pofałdowany, z rzadka porośnięty drzewami, a wokół roilo się od skubiących trawę pojedynczo, parami i całymi stadami zwierząt tworzących różnorodne zbiorowisko współczesnych i wymarłych roślinożerców świata. W cieniu gigantycznej paproci stał majestatycznie kołysząc się na boki olbrzymi włochaty mastodont – potężny byk o imponujących wygiętych ku górze kłach. Nie opodal, tuż przy nosorożcu drzemającym w piaszczystym dole, pasł się żubr z krową i cielakiem. Gdzie tylko spojrzeć, wszędzie widać było jelenie, antylopy, bizona, konie i kozły, a niedaleko ode mnie gigantyczne megaterium stało słupka na masywnych zadnich nogach i podpierając się potężnym ogonem odzierało z liści wysokie drzewo. Zamierzchnia przeszłość mieszała się tu z teraźniejszością – a jak najbardziej współczesny Tom Billings wędrował sobie tędy w stroju człowieka z ery przedlodowcowej, przed nim zaś truchtało stworzenie z rasy liczącej sobie ledwie sześćdziesiąt lat. Nobs był parweniusem; ale wcale się tym nie przejmował.

W miarę zbliżania się do śródlądowego morza widzieliśmy coraz więcej latających gadów i kilkakrotnie natknęliśmy się na wielkie stworzenia ziemnowodne, jednak żadne z nich nas nie zaatakowało. Gdy po południu podchodziliśmy pod wzniesienie, zauważyłem coś, co sprawiło, że zatrzymałem się jak wryty. Przywołaawszy szeptem Nobsa do nogi dałem mu znak, by zachował ciszę, po czym padłem na brzuch za pobliskim krzakiem i wychylając się zza niego ostrożnie, utkwilem wzrok w oddziale wojowników zbliżających się do urwisk od południa.

Rozpoznałem w nich Galu i domyśliłem się, że prowadzi ich Du-seen. Wybrali krótszą trasę i dzięki temu dopędzili mnie. Widziałem ich wyraźnie, bo znajdowali się w niewielkiej odległości i z ulgą stwierdziłem, że nie ma wśród nich Ajor.

Urwiska przed wojownikami były postrzępione i poprzecinane wąwozami, bo w tym miejscu spotykały się i zachodziły na siebie pasma wschodnie i zachodnie. Maszerujący gęsiego oddział zanurzył się w wąwóz utworzony przez te ścierające się formacje skalne. Widziałem ich jeszcze przez kilka minut, jak pną się pod górę, a potem znikli mi z oczu. Kiedy ostatni z nich skrył się za skałami, wstałem i ruszyłem w kierunku przełęcz – tej samej, do której zapewne prowadził mnie Nobs. W miarę zbliżania się do niej szedłem coraz ostrożniej mając na uwadze ewentualność, że oddział zatrzymał się na odpoczynek. Jeśli nie zrobili postoju, mogłem się nie obawiać, że wykryją

moją obecność, zauważyłem bowiem, że Galu maszerują bez żadnej straży przedniej, bocznej czy tylnej. A kiedy dotarłem do przełęczy i moim oczom ukazał się wiodący stromo w górę szlak szeroki zaledwie na jednego człowieka, zapragnąłem zostać wodzem Galu choćby na kilka tygodni. W tym wąskim przesmyku tuzin ludzi mógł w nieskończoność stawiać opór wszystkim hordom, jakie nadciągałyby z południa, jednak droga w głąb terytorium Galu stała otworem, przez nikogo nie strzeżona.

Galu mogliby odgrywać na Caspak dominującą rolę, lecz byli żałośnie nieporadni nawet w prostszych formach taktyki wojskowej. Dziwiło mnie, że człowiek, nieważne ze z epoki kamiennej, może być tak pozbawiony zdolności myślenia wojskowymi kategoriami. Du-seen wiele stracił w moich oczach, kiedy ujrzałem niefrasobliwość, z jaką jego oddział maszeruje przez wrogie terytorium i wkracza na ziemie wodza, przeciw któremu wzniecił rewoltę, ale Du-seen musiał znać wodza Jora i wiedzieć, że Jor nie będzie nań czekał na przełęczy. Tak czy inaczej powinien był jednak zachować elementarne środki ostrożności. Potrafiłbym podbić Caspak dysponując jedną drużyną gwardii narodowej.

Podeszliśmy, ja i Nobs, na szczyt przesmyku i zobaczyliśmy stamtąd oddział wkraczający do krainy Galu, która rozciągała się, przeciętnie rzecz biorąc, niecałe pięćdziesiąt stóp ponad poziomem sąsiedniego terytorium Kro-lu. Krajobraz zmieniał się gwałtownie. Drzewa, kwiaty i krzewy były tu bardziej odporne na niestale warunki i natychmiast zrozumiałem, że koce, jakie noszą Galu, są rzeczywiście potrzebne nocą. Wśród drzew przeważały akacje i eukaliptusy; zdarzały się też jednak jesiony i dęby, a nawet sosny, jodły i świerki. Drzewa pieniały się tu w nieprzebranej obfitości. Były ogromne i tworzyły gęste puszcze. Ze szczytu urwiska widziałem lasy wyrastające na setki stóp ponad poziom, na którym się znajdowałem, i chociaż patrzyłem na nie z dużej odległości, byłem pewien, że pnie są gigantycznych rozmiarów.

Dotarłem wreszcie do kramy Galu. Chociaż nie zostałem poczęty na Caspak, to jednak przychodziłem z Cor-sva-jo – siedłem tu poprzez niewyobrażalne okropności niższych sfer caspakijskiej ewolucji „stamtąd gdzie początek” i odczuwałem coś z uniesienia i dumy, jakie musiały przepełniać To-mara i So-al, kiedy ci uświadomili sobie, że przyszło do nich wezwanie i że mają awansować na Kro-lu. Rad byłem, że nie jestem *batu*.

Ale gdzie podziła się Ajor? Chociaż oczy moje przeczesywały roztaczający się przede mną krajobraz, nie dostrzegałem tam nikogo prócz wojowników Du-seena oraz zwierzyny lasów i pól. Pośród puszczy widziałem rozległe równiny ciągnące się hen, jak okiem sięgnąć, ale nigdzie nie było śladu małej kobiety z rasy Galu – ukochanej kobiety, za ujrzenie której oddałbym swoją prawą dłoń.

Byłem głodny, Nobs też; nic nie jedliśmy od zeszłej nocy, a pod nami była zwierzyna – jelenie, owce, wszystko, o czym może zamarzyć wygłodniały myśliwy. Zeszliśmy więc ostrożnie w dół stromą ścieżką, a potem położyłem się na brzuchu i, zostawiwszy za sobą warującego Nobsa, podpełzłem do stadka czerwonych jeleni pasącego się na skraju równiny, tuż pod lasem. Rosnące samotnie drzewa i krzaki dostarczały wspaniałej osłony, tak więc nie miałem żadnych trudności z podkradnięciem się pod wiatr na odległość pięćdziesięciu stóp od upatrzonej ofiary – wielkiej smukłej łani, której nie towarzyszyło młode. Bardzo wtedy żałowałem, że nie mam swojego karabinu. W życiu nie wystrzeliłem ani jednej strzały, ale wiedziałem, jak się to robi, tak więc założywszy drzewce na cięciwę wycelowałem dokładnie i wypuściwszy je krzyknąłem na Nobsa zrywając się jednocześnie z ziemi.

Strzała trafiła łanię w bok i w tym samym momencie Nobs był już przy mej. Odwróciła się, by

umknąć przed swymi dwoma prześladowcami, Nobsem z wyszczerzonymi ogromnymi kłami i mną zamierzającym się do rzutu krótką włócznią. Reszta stada rzuciła się do panicznej ucieczki, ale ranna łania nie była w stanie za nimi nadążyć i Nobs, dopadłszy nieszczęsną w kilku susach, skoczył jej do gardła. Zanim zdążyłem podbiec, powalił ją na ziemię, a ja dobiłem zwierzę włócznią. Niedługo potem stek piekł się już nad ogniskiem i podczas gdy ja gotowałem się do uczy, Nobs opychał się surową sarniną. Nigdy dotąd żaden posiłek tak mi nie smakował.

Przez dwa dni szukałem bezowocnie jakiegokolwiek śladu Ajor, przemierzając tam i z powrotem drogę od śródziemnego morza niemal do samych urwisk granicznych i przesuając się za każdym nawrotem coraz dalej na północ; nie natrafiłem jednak na żaden ślad istoty ludzkiej, nawet na tropy oddziały wojowników Galu pod dowództwem Du-seena A potem zaczęły mnie ogarniać złe przeczucia. Czy Chal-az nie mijał się czasem z prawdą mówiąc mi, że Ajor uciekła z wioski Kro-lu? Czy nie działał na rozkaz Al-tana, w którego dzikim sercu mogła się rozjarzyć jakaś maleńka iskierka wstydu za to, że próbował skazać na śmierć kogoś zaprzyjaźnionego z wojownikiem Kro-lu – gościa, który nie wyrządził rasie Kro-lu żadnej krzywdy. A więc może Chal-az umyślił sobie, że wyśle mnie na beznadziejne poszukiwania w nadziei, że dzikie zwierzęta dokonają tego, przed czym zawahał się Al-tan? Nie mogłem mieć pewności, ale im dłużej się zastanawiałem, tym większego nabierałem przekonania, że Ajor nie uciekła z wioski Kro-lu. Jeśli jednak miałem rację, to dlaczego Du-seen wracał bez niej? Stałem przed zagadką, która sprowadzała wszystko do punktu wyjścia.

Drugiego dnia mojego pobytu w krainie Galu natknąłem się na tabun najwspanialszych koni, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć. Były to ciemne gniadosze z gwiazdkami na czołach i idealnymi pasmami bieli na brzuchach. Przednie nogi miały białe do kolan. W kłębie mierzyły niemal szesnaście dłoni, przy czym klacze były nieco mniejsze od ogierów, których w tym liczącym ze sto sztuk tabunie, składającym się w przeważającej części ze źrebaków i koni na wpół wyrosniętych, wypatrzyłem trzy czy cztery. Nosiły niemal identyczne znamiona, co oznaczało czystość rasy, która mogła sięgać wieków w przeszłość. Skoro patrzyłem z pożądaniem na małe koniki z krainy Kro-lu, możecie sobie wyobrazić stan mego umysłu, kiedy natknąłem się na te wspaniałe stworzenia! Spostrzegłszy je, z miejsca postanowiłem, że muszę złowić jedno z nich; szybko też wybrałem pięknego młodego ogiera, na moje oko czterolatka.

Konie pały się na skraju lasu, w którym ukryłem się z Nobsem, a dzielący nas od nich pas łąki porośnięty był kępami kwitnących krzewów zapewniających wyśmienitą osłonę. Upatrzony przeze mnie ogier skubał trawę ze źrebicą i dwoma roczniakami w pewnym oddaleniu od reszty stada, najbliżej lasu i mnie. Na wydaną szeptem komendę: „Waruj!” Nobs rozpląszczył się na ziemi i byłem pewien, że ani drgnie, dopóki go nie zawołam albo coś nie zagrozi mi od tyłu. Popęzłem ostrożnie w kierunku konia i pod osłoną krzaków zbliżyłem się do niego – nie wykryty – na odległość nie większą niż dwadzieścia stóp. Tutaj bez pośpiechu przygotowałem do rzutu łąsu rozkładając je na ziemi i formując starannie pętlę.

Wychylenie się zza krzaka i rzut bezpośrednio z ziemi, czyli zastosowanie metody, w której jestem najlepszy, zabrałoby mi chwilę, a przez ten właśnie czas ogier zdążyłby niewątpliwie ruszyć z kopyta i oddalić się bardzo szybko w przeciwnym kierunku. Czulem jednak, że potrafię tego dokonać, zwłaszcza jeśli zwierzę odwróci się na moment w moją stronę. Zaskoczone przeze mnie, musiałoby wtedy wykonać pełen obrót, a czyniąc to, unieść nieco zadnią nogę i zadrzeć w górę łeb, przez co stałoby się idealnym celem dla mojego łąsu.

Tak pięknie sobie wszystko rozpracowałem i czekałem tylko, kiedy koń obróci się w moim

kierunku. Już wydawało się, że ma zamiar to uczynić, kiedy bez żadnej widocznej przyczyny żrebica uniosła łeb, zarżała i ruszyła klusem w przeciwną stronę, a w jej ślady poszły natychmiast, oczywiście, żrebaki i mój ogier. Przez chwilę myślałem, że rozwiała się moja ostatnia nadzieja; ale strach, jeśli był to strach, szybko im minął i oddaliwszy się ode mnie zaledwie na sto jardów, ponownie zaczęły skubać trawę. Tym razem w promieniu pięćdziesięciu stóp od miejsca, gdzie stały, nie było ani jednego krzaka i nie miałem nawet co marzyć o podejściu na odległość gwarantującą celny rzut lassem. Poniżej czterdziestu jardów trafiam lassem bez pudła, przy pięćdziesięciu jestem niezły, ale zdawałem sobie sprawę, że tylko od szczęścia zależy, czy uda się zarzucić pętlę na tę pięknie wygiętą szyję z większej odległości.

Stałem rozważając w myślach swoje szansę i prawie zdecydowałem się już zaryzykować rzut z daleka. Linę miałem długą – ta broń Galu mierzy pełne sześćdziesiąt stop długości. Jakżebym chciał mieć teraz przy sobie szkockie owczarki z rancza! Wystarczyłoby jedno słowo, by otoczyły ten mały tabun i popędziły go prosto na mnie. I nagle przypomniało mi się, że Nobs hasał jedno lato z owymi owczarkami, że co wieczór uganiał się z mmi po pastwisku za krowami, biorąc udział w zapędzaniu bydła do zagrody i bardzo dobrze sobie z tym radził; ale Nobs nigdy nie robił tego w pojedynkę i minęło już kilka lat od czasu, kiedy w ogóle to robił. Było jednak bardziej prawdopodobne, że ja sfuszuję rzut z dużej odległości, niż że Nobs nie wywiąże się ze swego zadania, jeśli dam mu szansę.

Podjąwszy decyzję musiałem odczołgać się z powrotem po Nobsa i wrócić z nim za wielki krzak rosnący w pobliżu czterech pasących się koni. Stąd mieliśmy widok bezpośrednio przez listowie i pokazując Nobsowi palcem zwierzęta wyszeptalem:

– Bierz je, stary!

I nim się obejrzałem, on okrążył już konie szerokim łukiem zachodząc je od tyłu. Zauważyły go niemal natychmiast i rzuciły się klusem do ucieczki, ale zorientowawszy się, że wyraźnie omija je z daleka, znowu się zatrzymały, obserwując go jednak czujnie z podniesionymi wysoko łbami i rozszerzonymi chrapami. Piękny był to widok. Tymczasem Nobs znalazł się za nimi, skreślił i zaczął się zbliżać niespiesznym klusem w moją stronę. Nie czekał, biegł powoli, a kiedy był już blisko nich, przeszedł w marsz. Cztery wspaniałe zwierzęta sprawiały wrażenie bardziej zaciekawionych niż przestraszonych i nie próbowały ucieczki, dopóki Nobs, nie podszedł zupełnie blisko; zaczęły się wtedy wolno oddalać, ale pod kątem prostym do kierunku, w którym posuwał się on.

I teraz zaczęła się zabawa. Nobs próbował, oczywiście, zawrócić je, i najwyraźniej upatrzył sobie ogiera, bo nie zwracał uwagi na pozostałe konie, będąc na tyle inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że samotny pies może się tylko zabiegać na śmierć usiłując otoczyć cztery konie, którym się to nie podoba. Ogier jednak miał własne zdanie co do kierunku, w jakim pragnie się udać, a rezultatem był wspaniały wyścig, na który warto było popatrzeć. Boże, jak ten koń potrafił biegać! Zdawał się wyciągać niczym struna i szyć przez powietrze bez zauważalnego wysiłku, Nobs zaś sadył przy jego przednich nogach, starając się ze wszystkich sił zmusić go do zmiany kierunku. Teraz już ujadął i dwukrotnie, wyskakując wysoko w górę, natarł barkiem na bok konia, ale kosztowało go to wiele wysiłku i za każdym razem zostawał nieco w tyle, bo odbijając się spadał na ziemię i koziołkował. Zanim jednak zniknęli za wzniesieniem, byłem już pewien, że zawziętość Nobsa owocuje; odniosłem mianowicie wrażenie, że koń zбочzył nieco w prawo. Nobs znajdował się teraz między nim a głównym stadem, do którego uciekły już żrebica i roczniaki,

Czekając na powrót Nobsa, mogłem tylko spekulować na temat swoich szans w razie ataku ze

strony jakiejś groźnej bestii. Znajdowałem się w pewnej odległości od lasu i byłem uzbrojony, ale w posługiwaniu się bronią nie miałem wielkiej wprawy, chociaż po opuszczeniu krainy Kro-lu ćwiczyłem trochę rzuty włócznią. Przyznać muszę, że nie czułem się zbyt pewnie i zaczynał mnie już oblatywać strach; wtedy nagle pomyślałem o małej Ajor przedzierającej się samotnie przez te same tereny i uzbrojonej jedynie w nóż! Natychmiast ogarnął mnie wstyd, ale jeszcze raz przemyślawszy sprawę doszedłem do wniosku, że na mój stan umysłu w wielkim stopniu wpływa krepujące poczucie nagości. Jeśli nie wędrowaliście nigdy w biały dzień odziani w przykrótki kawał skóry czerwonego jelenia, nie możecie mieć pojęcia, jakie to głupie uczucie. Ubranie dodaje człowiekowi nawykłemu do jego noszenia pewności siebie; jego brak zaś wznieca panikę.

Ale nie zaatakowała mnie żadna bestia, chociaż widziałem kilka wzbudających zgrozę cieni przemykających mrocznymi ostępami. Zaczynałem się już niepokoić przedłużającą się nieobecnością Nobsa i obawiać, że coś mu się przytrafiło. Przystąpiłem do zwijania lassa z zamiarem wyruszenia na poszukiwanie psa, kiedy oczom moim, niemal w tym samym miejscu, w którym zniknęli, ukazali się raptem zza pagórka ogier i następujący mu na pięty Nobs. Nie gnali już tak zapamiętale jak wtedy, kiedy widziałem ich ostatni raz.

Kiedy koń zbliżył się, zobaczyłem, że dyszy ciężko, nie dawał jednak za wygraną, podobnie zresztą jak Nobs. Ten wspaniały pies nagał ofiarę wprost na mnie. Przykucnąłem chowając się za krzak i kładąc obok siebie na ziemi gotowe do rzutu lasso. Gdy obaj zbliżyli się do mojej kryjówki, Nobs zwolnił, a ogier, wyraźnie rad z chwili wytchnienia, przeszedł w kłus. I w tym właśnie tempie mnie minął. Moja ręka trzymająca lasso wystrzeliła w przód; ciężkie *honda* rozwarło pętlę i piękny rumak wbiegł głową prosto w nią.

Natychmiast wykonał zwrot i rzucił się pod kątem prostym w bok. Przytrzymałem linę przy biodrze i gwałtownym szarpnięciem osadziłem go w miejscu. Podczas gdy koń walczył o wolność stając dęba i wierzgając, Nobs, sapiąc ciężko, dowlókł się do mnie z wywieszonym ozorem i zwałił bezwładnie na ziemię. Zupełnie jakby rozumiał, że zrobił co do niego należało i zasłużył sobie na odpoczynek. Ogier był porządnie zmordowany, toteż po kilku minutach szarpaniny znieruchomiał na szeroko rozstawionych nogach i rozdymając chrapy patrzył wybałuszonymi oczami, jak podchodzę powoli, zbierając po drodze nadmiar liny. Z tuzin razy stawał dęba próbując się zerwać, ale za każdym razem przemawiałem do niego łagodnie i po godzinie starań udało mi się wreszcie sięgnąć ręką do jego łba i poklepać go po chrapach. Potem zerwałem garść trawy i podsunąłem mu ją pod pysk, przez cały czas przemawiając do niego cichym, uspokajającym głosem.

Szykowałem się na stoczenie wielkiej batalii, ale ku mojemu zaskoczeniu poskromienie ogiera okazało się sprawą stosunkowo prostą. Jak na dzikie zwierzę był wręcz łagodny i odznaczał się tak nadzwyczajną inteligencją, że szybko pojął, iż nie zamierzam wyrządzić mu krzywdy. Potem poszło już łatwo. Jeszcze przed zmierzchem nauczyłem go reagowania ruszaniem, zwrotami i zatrzymywaniem się na poklepywanie po łbie i po bokach oraz jedzenia z ręki, i z satysfakcją obserwowałem, jak w jego wielkich, inteligentnych oczach gasną stopniowo ogniki strachu.

Następnego dnia z kawałka liny odciętej od końca długiego lassa sporządziłem prowizoryczną uzdę, po czym dosiadłem konia w pełni przygotowany na tytaniczną walkę, nie będąc wcale pewny, czy wyjdę z niej zwycięsko. Ale nie uczynił najmniejszego wysiłku, by zrzucić mnie z grzbietu i od tej chwili jego edukacja potoczyła się już sprawnie. Żaden koń nie pojął szybciej znaczenia cugli i nacisku kolan jeźdźca. Sądzę, że szybko nauczył się mnie kochać, a ja jestem pewien swojej miłości do niego. Z Nobsem natomiast stworzyli parę najlepszych kumpli. Nazwałem go As. Miałem



przyjaciela, który służył we francuskiej eskadrze lotniczej, a As, kiedy się rozpedził, z pewnością także unosił się w powietrzu.

Nie potrafię wam opisać, a zresztą i tak nie zrozumiecie, jeśli sami nie jesteście jeźdźcami, tego radosnego samopoczucia, jakie ogarnęło mnie z chwilą, kiedy dosiadłem Asa. Stałem się innym człowiekiem, przepojonym poczuciem wyższości, z którego zrodziło się przekonanie, że mógłbym w pojedynkę wyruszyć na podbój całego Caspak. Teraz kiedy potrzebowałem mięsa, goniłem dzikie zwierzęta na Asie i chwytalem na lasso, a kiedy zagroziła nam jakaś wielka bestia, której nie byliśmy w stanie sprostać, oddalaliśmy się od niej bezpiecznie galopem. Ale większość stworzeń, jakie napotykaaliśmy na swej drodze, spoglądała na nas z przerażeniem, bowiem kombinacja Asa z moją osobą jawiła im się jako nowe i niezwykle zwierzę, nie mieszczące się w ramach ich doświadczenia i wiedzy.

Przez pięć dni przemierzałem konno tam i z powrotem południowy skraj krainy Galu nie napotykając ani jednej ludzkiej istoty. Nieustannie jednak przemieszczałem się z wolna ku północy, zamierzyłem sobie bowiem, że przeczeszę dokładnie całe to terytorium w poszukiwaniu Ajor. Ale piątego dnia, wynurzywszy się z lasu, w pewnej odległości przed sobą ujrzałem małą postać ściganą przez wiele innych. W uciekającej postaci natychmiast rozpoznałem Ajor. Cała grupa znajdowała się dobrą milę ode mnie i przecinała mi drogę pod kątem prostym, a Ajor miała kilkusetmetrową przewagę nad ścigającymi. Jeden z prześladowców wysforował się przed pozostałych i szybko ją dopędzał. Wystarczyło jedno moje słowo i ucisk kolan, by As ruszył z kopyta wypadając z lasu na otwartą przestrzeń; z Nobsem dotrzymującym nam kroku pognaliśmy w kierunku umykającej sylwetki.

Z początku nikt z tamtych nas nie zauważył; kiedy jednak zbliżyliśmy się do Ajor, banda podążająca za wysuniętym na czoło drabem dostrzegła nas i przywitała wyciem, jakiego jeszcze nie słyszałem. Wszyscy pochodzili z rasy Galu i w biegnącym na przedzie szybko rozpoznałem Du-seena. Niemal dopędzał już Ajor i z przerażeniem, jakiego dotąd nie doznałem, zobaczyłem, że w rękę ma nóż, i że raczej zamierza ją zadźgać niż pojmać żywą. Nie potrafiłem tego zrozumieć, ale wszystko co mogłem zrobić, to ponaglić tylko Asa i Wszehmogący sprawił, że to cudowne stworzenie zastosowało się do mej woli. Jeśli kiedykolwiek jakiś czworonóg niemal wzbił się do lotu, to był nim As tego właśnie dnia.

Du-seen, skoncentrowany na wprowadzaniu w czyn swego niecnego zamiaru, jak dotąd nas nie zauważył. Od Ajor dzielił go już tylko krok, kiedy wpadłem między nich na Asie i przechylając się w lewo zgarnąłem moją małą dzikuskę pod pachę, poderwałem z ziemi i posadziłem na kłębie mego wspaniałego konia. Sprzątnęliśmy ją sprzed samego nosa Du-seenowi, który zatrzymał się oszołomiony i wściekły. Ajor również nie wiedziała, co się stało, ponieważ nadjechaliśmy ukosem od tyła, przez co nie miała pojęcia, że się zbliżamy, dopóki nie została wciągnięta na grzbiet Asa. Dziewczyna odwróciła się z wydobytym nożem, by mnie nim pchnąć, przekonana, że ma do czynienia z jakimś nowym wrogiem, ale kiedy jej wzrok spoczął na mej twarzy, od razu mnie poznała. Z cichym szlochem zarzuciła mi ramiona na szyję szepcząc:

– Mój Tom! Mój Tom!

I w tym momencie As zapadł się nagle po sam brzuch w grząskie błoto, a ja i Ajor przelecieliśmy mu przez łeb, wyrzuceni w powietrze siłą bezwładności. Koń wbiegł w jedno z tych licznych źródeł, których pełno na Caspak, Czasami są to niewielkie jeziorka, kiedy indziej zaledwie maleńkie kałuże, a często tylko trzęsawiska takie jak te, zarośnięte bujną trawą, która skutecznie maskuje ich zdradziecką naturę. To cud, że As, tak rozpedzona w momencie upadku, nie złamał nogi; nie złamał,

ale i czterema zdrowymi nogami nie był w stanie wygramolić się z bagna. Ajor i ja staliśmy na płask, twarzami do dołu, na wierzchnim kożuchu trawy, dzięki czemu nie zapadłem się głęboko; ale kiedy próbowaliśmy wstać, stwierdziliśmy, że ziemia usuwa się nam spod nóg i jednocześnie dostrzegliśmy Du-seena nadbiegającego ze swoimi wojownikami. Nie mieliśmy co marzyć o ucieczce. Nie dało się ukryć, że jesteśmy zgubieni.

– Zabij mnie! – zwróciła się do mnie błagalnym tonem Ajor. – Niech umrę z rąk tego, którego kocham, a nie od noża znieawidzonego łotra, bo on i tak mnie zabije. Poprzysiągł, że to zrobi. Schwycił mnie zeszłej nocy, a kiedy później chciał się ze mną po swojemu zabawić, uderzyłam go pięścią, dźgnęłam nożem i uciekłam zostawiając go rozszalałego z bólu i nie zaspokojonej żądy. Dzisiaj podjęli poszukiwania i znaleźli mnie, a kiedy znowu uciekałam, Du-seen gonił mnie wrzeszcząc, że mnie zabije. Zabij mnie, Tomie, a potem rzuć się na ostrze swojej włóczni, bo jeśli dostaną cię żywego, umrzesz w strasznych męczarniach.

Nie potrafiłbym jej zabić – chyba że nie byłoby już innego wyjścia. Powiedziałem jej to, wyznałem, że ją kocham i zapewniłem, że nie opuszczę jej i walczyć będę w jej obronie do ostatniego tchu.

Nobs wpadł na bagno za nami i z początku radził sobie zupełnie nieźle, ale kiedy był już niedaleko nas, również zapadł się po brzuch i ugrzązł w pułapce. W takim to kłopotliwym położeniu się znajdowaliśmy, kiedy Du-seen ze swoim oddziałem stanął nad brzegiem straszego trzęsawiska. Zobaczyłem teraz, że jest z nim Al-tan i wielu innych wojowników Kro-lu. Przymierze przeciwko wodzowi Jorowi zostało zatem zawarte i cała horda maszerowała właśnie na miasto Galu. Westchnąłem na myśl, jak mało mi brakowało, by ocalić nie tylko Ajor, ale też jej ojca i jego lud przed klęską i śmiercią.

Zaraz za bagnem zaczynał się gęsty las. Gdyby udało nam się do mego dotrzeć, byłibyśmy bezpieczni; ale teraz, równie dobrze jak o sto jardów drogi przez zamaskowane jezioro grząskiego błocka od nas, mógłby się znajdować i o sto mil stąd. Du-seen i jego horda zatrzymali się na skraju bagna i zaczęli obrzucać nas obelgami. Nie mogli nas dosięgnąć rękami; ale na rozkaz Du-seena nałożyli strzały na cięciwy łuków i zrozumiałem, że zbliża się koniec. Ajor przywarła do mnie, a ja wziąłem ją w ramiona.

– Kocham cię, Tomie – powiedziała – tylko ciebie. – Łzy napłynęły mi do oczu i nie były to łzy litości nad samym sobą z powodu położenia, w którym się znalazłem, ale łzy płynące z serca przepełnionego wielką miłością, z serca, które widzi, jak słońce jego życia i jego miłości zachodzi, zanim zdążyło na dobre wzejść.

Renegaci Galu i ich sprzymierzeńcy z rasy Kro-lu znieruchomieli czekając z wypuszczeniem na nas tej najeżonej lawiny śmierci na rozkaz Du-seena, kiedy nagle z lasu za bagnem doleciała najśłodsza muzyka, jaka kiedykolwiek pieściła ludzkie ucho – ostre staccato co najmniej czterdziestu strzelających chaotycznie karabinów. Wojownicy Galu i Kro-lu padli pod tym śmiertcionośnym gradem pocisków niczym kręgle.

Co to mogło znaczyć? Dla mnie tylko jedno, a mianowicie, że Hollis, Short i reszta wspięli się jednak na urwiska i przedarli na północ do krainy Galu od przeciwnej strony wyspy w samą porę, by wybawić Ajor i mnie od niemal pewnej śmierci. Ludzie trzymający te karabiny nie musieli mi się przedstawiać, bym wiedział, że są z mojej grupy; i kiedy po kilku minutach wyszli z ukrycia, przekonałem się, że miałem rację. To byli oni, oni w komplecie, a towarzyszyły im tysiące krzepkich, smukłych wojowników Galu, na których czele kroczyło dwóch mężczyzn w zwyczajowych strojach

tej rasy. Obaj byli wysocy, potężni i cudownie umięśnieni; a mimo to różnili się od siebie, tak jak As różni się od idealnego osobnika innej rasy. Gdy zbliżyli się do grzędawiska, Ajor wyciągnęła przed siebie ręce i zawołała:

– Jorze, wodzu mój! Ojczy!

I starszy z tamtej dwójki rzucił się w bagno, by przyjść jej z pomocą. Ale zapadł się po kolana w błoto, a wtedy do brzegu zbliżył się ten drugi i kiedy jego wzrok spoczął na mnie, oczy mu się rozszerzyły, podobnie zresztą jak i mnie. Krzyknąłem:

– Bowen! Na miłość boską, Bowen Tyler!

To był on. Moje poszukiwania dobiegły końca. Miałem oto tutaj całą moją grupę i człowieka, którego szukając przemierzyliśmy nowy świat. By do nas dotrzeć, musieli w pierw wyciąć w lesie młode drzewka i ułożyć z nich drogę przez trzęsawisko. Potem pomaszerowaliśmy do miasta Jora, wodza Galu, gdzie z wielką radością powitano Ajor wracającą do domu na grzbiecie połyskliwego czarnego ogiera Asa.

Tyler, Hollis, Short i cała reszta nas, Amerykanów, niemal ochrypła w drodze do wioski i potem musieliśmy przez kilka dni milczeć. Opowiedzieli nam, jak harując przez pięć dni po dwadzieścia cztery godziny na dobę na trzy ośmiogodzinne zmiany w dwa zespoły na każdą zmianę wymieniające się co pół godziny, pokonali wreszcie urwiska graniczne. Dwóch ludzi z elektrycznymi wiertarkami zasilanymi z prądnic zainstalowanych na pokładzie *Torreadora* wierciło w ścianie urwiska dwa otwory odległe od siebie na cztery stopy i znajdujące się na tym samym poziomie. Otwory biegły pod niewielkim kątem w dół. W otwory te wsuwano żelazne pręty przywieszane z naszym wyposażeniem i właśnie do tego celu przeznaczone, które wystawały na około stopę od powierzchni skały. Na te dwa pręty kładziono deskę, po czym następny zespół, wspiąwszy się na nowy poziom, wiercił kolejne dwa otwory pięć stóp nad ostatnim podestem, i tak dalej.

W nocy urwisko w miejscu, gdzie pracowały wiertarki, oświetlano reflektorami z *Torreadora* i tak, w tempie dziesięciu stóp na godzinę, w piątym dniu osiągnięto szczyt. Stamtąd, po uprzednim przymocowaniu wielokrążków do drzew, opuszczono na dół liny, uzyskując w ten sposób prowizoryczne windy. Dzięki nim do wieczora piątego dnia cała grupa, z wyjątkiem kilku ludzi niezbędnych na *Torreadorze*, przetransportowana została na Caspak wraz z bronią, amunicją i sprzętem.

Potem, po zakończonej niepowodzeniem niebezpiecznej próbie zapuszczenia się w gęstą od gadów krainę na południu, postanowili szukać mnie na północy. Dzięki wielkiej liczbie karabinów, jakie ze sobą zabrali, nie stracili ani jednego człowieka, chociaż napotykali na swym szlaku całe chmary niebezpiecznych stworów, które zmuszeni byli zabijać, by utorować sobie drogę na północny kraniec wyspy, gdzie wśród Galu Jora odnaleźli Bowena i jego małżonkę.

Ponowne spotkanie Bowena z Nobsem zaznaczyło się pokazem szalonej radości ze strony Nobsa, który niemal zdarł z Bowena skąpą szatę, jaką uraczył go krawiec z rasy Galu. Kiedy przybyliśmy do miasta Galu, przywitała nas tam Lys La Rue. Była teraz panią Tyler, ponieważ kapitan *Torreadora* udzielił im ślubu tego samego dnia, kiedy zostali odnalezieni przez grupę poszukiwawczą, tyle że zarówno Bowen, jak i Lys nie przyznawali się, iż żadna ceremonia, czy to świecka, czy religijna, nie jest w stanie połączyć ich węzłem świętszym od tego, którym związał ich Bóg.

Ani Bowen, ani grupa poszukiwawcza z *Torreadora* nie natknęli się na żaden ślad Bradleya i jego oddziału. Zaginęli tak dawno temu, że trzeba było porzucić wszelką nadzieję na ich odnalezienie. Galu, podobnie jak zachodni Kro-lu i Band-lu, słyszeli co prawda jakieś dotyczące ich

pogłoski, ale nie było nikogo, kto by ich widział, od kiedy przed kilkoma miesiącami opuścili Fort Dinozaur.

Odpoczywaliśmy w wiosce Jora przez dwa tygodnie, przygotowując się do podróży na południe do miejsca, w którym oczekiwał nas przy brzegu *Torreador*. W tym czasie z krainy Kro-lu przybył Chal-az, teraz już pełnoprawny Galu. Dowiedzieliśmy się od niego, że niedobitki oddziału Al-tana zostały wyrżnięte w pień podczas próby ponownego przedostania się na tereny Kro-lu. Wodzem obwołano Chal-aza, a kiedy przechodził do Galu, pozostawił plemię pod zwierzchnictwem nowego przywódcy, którego wszyscy poważali.

Nobs nie odstępował Bowena na krok, ale ja z Ajor wypuszczaliśmy się na długie przejażdżki na Asie po pięknym północnym kraju Galu. Chal-az przyniósł ze sobą z krainy Kro-lu moją broń i amunicję, ale ubranie bezpowrotnie przepadło. Nie żałowałem go jednak, bo przywykłem już do swobodnego stroju Galu.

Nadeszła w końcu chwila wymarszu; nazajutrz mieliśmy ruszyć na południe, gdzie czekał *Torreador* i stara, kochana Kalifornia. Prosiłem Ajor, żeby poszła z nami, ale Jor, jej ojciec, nawet słysząc o tym nie chciał. Żadne błagania nie zdołały odwieść go od tej decyzji: Ajor, *cos-ata-lo*, z której wykiełkować może nowa, wspanialsza rasa Galu, nie ma prawa odejść. Mogę zabrać z sobą każdą inną kobietę Galu, ale Ajor – w żadnym wypadku!

Biedna dziewczyna była załamana. Co do mnie, powoli uświadomiłem sobie, jak bliska stała się memu sercu i zastanawiałem się, co pocznę bez niej. Tuląc ją ostatniej nocy w ramionach próbowałem sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało moje życie bez niej, bo w końcu dotarło do mnie, że ją kocham – że kocham tę moją małą dzikuskę; a odrywając się wreszcie od niej, by pójść do swojej chaty i zaznać kilku godzin snu przed długą podróżą, w którą wyruszaliśmy nazajutrz, pocieszałem się myślą, że czas zaleczy rany i że po powrocie do rodzinnego kraju znajdę sobie towarzyszkę życia, która będzie dla mnie kimś więcej, niż kiedykolwiek mogłaby się stać mała Ajor – kobietę mojej rasy i mojej kultury.

Ranek przyszedł prędzej, niżbym sobie tego życzył. Wstałem, zjadłem śniadanie, ale Ajor się nie pojawiła. Pomyślałem sobie, że to i lepiej, jeśli odejdę oszczędzając jej i sobie męki ostatniego pożegnania. Grupa, której miała towarzyszyć eskorta składająca się z wojowników Galu, uformowała się w kolumnę marszową. Nie potrafiłem się nawet zdobyć na podejście do corralu i pożegnanie się z Asem. Poprzedniej nocy oddałem go Ajor i teraz ta dwójka wydawała mi się nierozdzielna.

I tak ruszyliśmy ulicami, po obu stronach których ciągnęły się domy z kamienia, przeszliśmy przez szeroką bramę w kamiennym murze otaczającym miasto i skierowaliśmy się ku widniejącemu po drugiej stronie polany lasowi, który musieliśmy przebyć, by dotrzeć do północnej granicy krainy Galu, po przekroczeniu zaś której mieliśmy skręcić na południe. Na skraju lasu obejrzałem się, by po raz ostatni rzucić okiem na miasto, które tak zapadło mi w serce, i obok masywnej bramy ujrzałem coś, co sprawiło, że zatrzymałem się jak wryty. Była to mała figurka opierająca się o jeden z wielkich słupów, na których obracały się wrota – niepozorna, mała figurka; i nawet z tej odległości widziałem, że jej ramiona podrygują w rytm szlochu, który nią wstrząsał. To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę.

Obok mnie przystanął Bowen.

– Żegnaj, stary – powiedziałem. – Ja wracam.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Żegnaj, stary – odparł i uściskał moją dłoń. – Podejrzewałem, że w końcu to uczynisz.

I wróciłem. Wziąwszy Ajor w ramiona scalał mi policzki z jej oczu, przywracając mi pocałowaniem uśmiech na jej usta, a potem patrzyliśmy oboje, jak ostatni z Amerykanów znika w lesie.

# **Księga trzecia**

## **W otchłani czasu**

## Rozdział XVIII

Jest to historia Bradleya od chwili opuszczenia przezeń Fortu Dinozaur na zachodnim brzegu wielkiego jeziora leżącego w samym środku wyspy.

Czwartego dnia września roku 1916 wyruszył on z czterema towarzyszami – Sinclairem, Bradym, Jamesem i Tippetem – na rekonesans wzdłuż podnóża urwisk granicznych, z zamiarem znalezienia miejsca, w którym można by się wspiąć na ich szczyt.

Opuściwszy Fort Dinozaur, piątka śmiałków maszerowała w parnym caspakijskim powietrzu, pod nabrzmiałym słońcem na północ, to brnąc przez wysokie do pasa, bujne, tropikalne trawy rozgwieżdżone miriadami pysznych kwiatów, to wędrując wygodnie łąkami i iście parkowymi odcinkami, to znów zanurzając się w gęste lasy eukaliptusów, akacji i gigantycznych drzewiastych paproci o skrzydlastych liściach kołyszących się ospale sto stóp nad ich głowami.

Wokół nich po ziemi, w koronach drzew i w powietrzu buszowały, huštały się i unosiły niezliczone formy przebogatego caspakijskiego życia. Lufy karabinów niemal nie stygły, bo co chwila mężczyźni napastowani byli przez jakiegoś przerażającego stwora, ale chociaż przebywali na Capronie od niedawna, zdążyli już przywyknąć do egzystencji w warunkach nieustannego zagrożenia i posuwali się naprzód śmiejąc się i gawędząc niczym żołnierze na letnim poligonie.

– Tu jest zupełnie jak na South Clark Street – zauważył Brady, który służył kiedyś w policji drogowej miasta Chicago, a ponieważ nikt go nie zapytał, skąd to skojarzenie, sam pospieszył z wyjaśnieniem: – Bo to i de miejsce dla Irlandczyka.

– Znakiem tego South Clark Street i raj mają ze sobą coś wspólnego – podsumował Sinclair.

James i Tippet roześmiali się i raptem w gęstych zaroślach przed nimi rozległ się groźny pomruk, kierując uwagę wszystkich na inne sprawy.

– Znowu któryś z tych behemotów z Pisma Świętego rodem – mruknął Tippet, kiedy zatrzymali się z gotowymi do strzału karabinami oczekując niemal nieuniknionego ataku.

– Nienażarta banda łachudrów – warknął Bradley – nie przepuszcza niczemu, co wpadnie im w oczy.

Przez chwilę w zaroślach panowała cisza.

– Może się czymś akurat opycha – podjął Bradley. – Spróbujemy obejść go bokiem. Szkoda amunicji. Jej zapasy nie są niewyczerpane. Za mną. – I skreślił pod kątem prostym do kierunku, w którym się do tej pory posuwali, w nadziei, że w ten sposób zażegna groźbę ataku.

Zdążyli przejść może z tuzin kroków, kiedy zarośla drgnęły, liściaste gałęzie rozstały się i wychynął z nich odrażający łeb gigantycznego niedźwiedzia.

– Na drzewa – wyszeptał Bradley. – Szkoda amunicji.

Mężczyźni rozejrzeli się dokoła. Niedźwiedź postąpił dwa kroki w przód pomrukując wciąż groźnie. Wsunął się już z krzaków do łopatek. Tippet, nie zwlekając dłużej, rzucił się ku najbliższemu drzewu. I wtedy niedźwiedź zaszarżował. Ruszył prosto na Tippetę. Pozostali mężczyźni rozbiegli się

na wszystkie strony zmiierzając do upatrzonych zawczasu drzew – wszyscy prócz Bradleya. Ten stał obserwując Tippeta i niedźwiedzia. Tippet miał sporą przewagę i niedaleko do drzewa, i chociaż szybkość, z jaką poruszała się ścigająca go olbrzymia bestia, była godna podziwu, miał wszelkie dane po temu, by dopaść na czas do swego schronienia, kiedy niespodziewanie zahaczył nogą o płataninę korzeni i rozciągnął się na ziemi jak długi. Karabin wyleciał mu z ręki i upadł kilka jardów dalej. W tej samej chwili Bradley poderwał swoją broń do ramienia; rozległ się ostry huk wystrzału, któremu odpowiedział ryk zwierza wyrażający mieszaninę wściekłości i bólu. Tippet zaczął się gramolić z ziemi.

– Leż spokojnie! – wrzasnął Bradley. – Szkoda amunicji.

Niedźwiedź zatrzymał się gwałtownie, obrócił w kierunku Bradleya, a potem znów w stronę Tippeta. Po raz wtóry splunął gniewnie karabin tego pierwszego i niedźwiedź ponownie zwrócił się ku niemu.

– No chodź, ty behemocie z piekła rodem! – rozdarł się Bradley. – Chodź, patałachu! Szkoda amunicji. – I widząc, że niedźwiedź zaraz zdecyduje się na atak, przyspieszył bieg wypadków cofając się gwałtownie, bo z doświadczenia wiedział, że rozwścieczony zwierz prędzej skoczy na tego, kto się porusza, niż tego, który leży nieruchomo.

I niedźwiedź zaszarżował. Runął na Anglika niczym błyskawica.

Teraz biegiem! – zawołał Bradley do Tippeta i sam odwrócił się na pięcie, by pognać do najbliższego drzewa. Pozostali mężczyźni, usadowieni już bezpiecznie na konarach, obserwowali ten wyścig z zapartym tchem. Czy Bradleyowi się uda? Szansę miał niewielkie. A jeśli nie! James wzdrygnął się na tę myśl. Straszliwa góra rozjuszzonego mięsa, kości i ścięgien mierzyła w kłębie dobre sześć stóp i w porównaniu z pozornie powolnym człowiekiem poruszała się z szybkością ekspresowego pociągu.

Wszystko rozegrało się dosłownie w kilka sekund; ale dla patrzących te sekundy rozciągały się w godziny. Widzieli, jak w odpowiedzi na rozkazujący okrzyk Bradleya Tippet zrywa się na nogi. Widzieli, jak biegnie i jak mijając miejsce, w którym upadł jego karabin, schyla się po niego. Widzieli, jak zerka przez ramię na Bradleya, a potem zatrzymuje się nie dobiegając do drzewa, na którym znalazłby bezpieczne schronienie, i obraca przodem do niedźwiedzia. Strzelając w biegu Tippet rzucił się za wielkim niedźwiedziem jaskiniowym – potworną bestią, która powinna była wymrzeć wieki temu – pędził za nim i strzelał, nawet wtedy, gdy niedźwiedź nieomal dopadł już Bradleya. Mężczyźni na drzewach wstrzymali oddech. W ich mniemaniu Tippet porywał się z motyką na słońce, i to akurat Tippet! Nigdy nie mieli go za tchórza – wśród tej dziwnie skompletowanej przez Los załogi, stanowiącej zbieraninę ze wszystkich zakątków świata, nie było raczej tchórzy – ale Tippet miał opinię człowieka ostrożnego. Niektórzy uważali go nawet za przesadnie ostrożnego. Jakże śmieszny wydawał się teraz gnając ze swoją pukawką za tym żywym taranem. Ale jakże zarazem wspaniała! Takie mniej więcej myśli przelatywały przez głowę Brady'emu, chociaż wyartykułowane brzmiałyby może inaczej, aczkolwiek bardziej gwałtownie.

I wówczas Brady zdecydował się otworzyć ogień, ale w chwili gdy strzelił do niedźwiedzia, zwierzę zatoczyło się i padło na brzuch, nadal jednak rycząc przeraźliwie. Tippet nie zatrzymał się ani nie przestał strzelać, dopóki nie znalazł się nad bestią, która leżała na ziemi prawie dotykając Bradleya i już usiłowała podźwignąć się z powrotem na cztery łapy. Przyłożywszy lufę karabinu do ucha niedźwiedzia Tippet pociągnął za spust. Stwór osunął się bezwładnie na ziemi i znieruchomiał, a Bradley pozbiierał się na nogi.



– Dobra robota, Tippet – wysapał. – Jestem ci wielce zobowiązany... Tyle amunicji zmarnować... Ruszyli w dalszą drogę i po piętnastu minutach marszu incydent przestał być tematem rozmów.

Dwa dni kontynuowali swą niebezpieczną wędrówkę. Niedaleko przed nimi majaczyły już niebotyczne i niedostępne urwiska bez śladu jakiegokolwiek wyłomu, który stwarzałby nadzieję, że w którymś będzie się można na nie wspiąć. Pod wieczór oddział przebrnął przez mały, ciepły, leniwy strumień, na którego powierzchni unosiły się niezliczone miliony maleńkich zielonych jajeczek otoczonych lekką pianką tego samego koloru, tyle że ciemniejszą w odcieniu. Dotychczasowe doświadczenia z pobytu na Caspak nauczyły ich, że idąc w górę strumienia aż do jego źródła napotkaliby przypuszczalnie staw z ciepłą stojącą wodą. Niemal pewne było również to, iż nad jego brzegiem natknęliby się na jakieś groteskowe, człekopodobne caspakijskie stworzenia. Od chwili zejścia na ląd z pokładu łodzi podwodnej U-33, na której po dramatycznej przeprawie korytem podziemnej rzeki rwącej pod urwiskami granicznymi dopłynęli do śródlądowego morza Caspak, napotkali przynajmniej trzy różniące się wyraźnie od siebie gatunki tych istot. Były to zwyczajne małpy – ogromne, gorylowate bestie – oraz osobniki przyjmujące postawę nieco bardziej wyprostowaną i posiadające o jeden ton bardziej ludzkie cechy. Potem następowali ludzie w rodzaju Ahma, którego pojмали i uwięzili w forcie – Ahma Maczugowca. „Znajomego Maczugowca”, jak nazywał go Tyler. Ahm i jego lud posługiwali się już słowem mówionym. Mieli swój język, czym odróżniali się od rasy stojącej o szczebel niżej od nich na drabinie ewolucji, poruszali się praktycznie na dwóch nogach i byli mniej owłosieni; ale w zasadzie tylko to, że umieli mówić, i że posługiwali się bronią, stawiało ich wyżej od całej reszty.

Wszyscy ci ludzie okazali się aż do przesady wojowniczy. Podstawowym prawem natury, które zdawali się wyznawać wspólnie z resztą caprońskiej fauny, było zabijać, zabijać i jeszcze raz zabijać. Tak więc Bradley nie miał najmniejszej ochoty wędrować w górę strumienia do stawu, w którego pobliżu bez wątplenia znajdowały się jaskinie jakiegoś dzikiego szczepu. Los spletał mu jednak niemiłego figla, bo ów staw znajdował się o wiele bliżej, niż mu się wydawało, sięgając swoim południowym krańcem niespełna milę na południe od miejsca, w którym przeszli przez strumień, i przedarłszy się wreszcie z mozołem przez płataninę tropikalnych chaszczów wędrowcy wyszli na brzeg sadzawki, którą chcieli z daleka ominąć.

Niemal w tym samym momencie na południe od nich pojawiła się grupa nagich mężczyzn uzbrojonych w maczugi i topory. Oba oddziały zatrzymały się na swój widok. Ludzie z fortu ujrzeni przed sobą grupę myśliwych obładowaną mięsem i powracającą najwyraźniej do swoich jaskiń albo wioski. Były to wielkie draby o rysach twarzy bardzo przypominających fizjonomie afrykańskich Murzynów, chociaż skórę mieli białą. Krótkie włoski porastały znaczne połacie ich ciał, które zachowały jeszcze wyraźny ślad pokrewieństwa z małpimi przodkami. Należeli jednak do rasy stojącej stanowczo wyżej od Bo-lu, czyli Maczugowców.

Bradley najchętniej ominąłby ich z daleka, ponieważ jednak zamierzył sobie, że poprowadzi swój oddział na południe, obchodząc staw, szansę na uniknięcie spotkania wydawały się prawie żadne, ponieważ wklinowali się między gęstą dżunglą i wodę.

Żywiąc jeszcze nadzieję, że może uda mu się nie dopuścić do starcia, Bradley wystąpił z uniesioną ręką przed swoich ludzi.

– Jesteśmy waszymi przyjaciółmi – zawołał w języku Bo-lu, którego nauczył się od wiezionego w forcie Ahma. – Dajcie nam przejść w pokoju. Nie wyrządzimy wam żadnej krzywdy.

Na te słowa Toporowcy wybuchnęli wielkim jazgotem przetykanym salwami donośnego,

niepohamowanego rechotu.

– Nie – krzyknął jeden z nich – nie wyrzadzicie nam żadnej krzywdy, bo was zabijemy. Chodźcie! Zabijemy! Zabijemy! – I z przeraźliwym wrzaskiem rzucili się do ataku na Europejczyków.

– Sinclair, możesz strzelać – powiedział spokojnie Bradley. – Zdmuchnij przywódcę. Szkoda amunicji.

Anglik poderwał broń do ramienia i wymierzył szybko w pierś sadzącego ku nim, rozwrzeszczanego dzikusa. Tuż za przywódcą pędził inny Toporowiec i równocześnie z hukiem wystrzału z karabinu Sinclaira obaj wojownicy, przeszyci tym samym pociskiem, runęli na twarze w wysoką trawę. Wywarło to na reszcie bandy efekt piorunujący. Dzicy zatrzymali się jak jeden mąż, wykonali zwrot w miejscu i czmychnęli na wschód, kryjąc się w dżungli, skąd wkrótce zaczęły dolatywać odgłosy energicznego torowania sobie drogi przez zarośla w rozpaczliwym wysiłku, by znaleźć się jak najdalej od sprawców tego nagłego i przerażającego grzmotu, który zabija wojowników na wielką odległość.

Bradley podszedł do dwóch leżących dzikusów i stwierdził, że obaj są martwi, a podczas gdy Europejczycy gromadzili się nad poległymi, śledziły ich już inne oczy, o wiele bardziej zainteresowane nimi niż ofiarami pocisku Sinclaira. I kiedy oddział podjął marsz naokoło południowego krańca stawu, jego tropem ruszył właściciel łych oczu – ogromnych, okrągłych, pozbawionych niemal wyrazu, jeśli nie liczyć zimnego okrucieństwa wyzierającego złośliwie zza wodnistoszarych źrenic.

Zupełnie nieświadomi tego, że są śledzeni, mężczyźni dotarli pod wieczór do miejsca, które wydało się im odpowiednie do rozbicia obozu. U podnóża formacji skalnej tworzącej nawis nad małą polanką i częściowo ją otaczającej tryskało bulgocząc zimne źródło. Na rozkaz Bradleya mężczyźni zakrzętnęli się wokół przydzielonych im obowiązków – zbierania drewna, rozpalania ogniska i przygotowywania wieczornego posiłku. I właśnie wtedy, kiedy byli zajęci, uwagę Brady'ego przyciągnął posepny łopot ogromnych skrzydeł. Chwyciwszy za karabin spojrzał w górę spodziewając się zobaczyć jednego z tych wielkich latających gadów z dawno minionych wieków. Brady był odważnym mężczyzną. Nie zawahawszy się ani przez moment wszedł kiedyś po omacku wąskimi schodami na strych pewnej czynszowej kamienicy i wywlókł z ciemnego pokoju uzbrojonego szaleńca, ale spojrzawszy teraz w górę pobladł i zatoczył się do tyłu.

– Boże jedyny! – niemal wrzasnął. – A to co? Zaalarmowani okrzykiem Brady'ego ludzie schwycili za karabiny idąc jednocześnie za spojrzeniem jego wytrzeszczonych, nieruchomych oczu i nie znalazł się wśród nich taki, którego nie zdjąłby strach albo wręcz paniczna trwoga. I wtedy Brady odezwał się znowu ledwie dosłyszalnym głosem:

– Matko Święta, miej nas w swojej opiece... Toż to zwiastun śmierci.

Bradley, zawsze opanowany prawie do obojętności w obliczu niebezpieczeństwa, poczuł dziwne ciarki przechodzące mu po grzbiecie na widok stwora przemierzającego się po niebie powolnymi zamachami skrzydeł niespełna sto stóp nad ich głowami i wpatrującego się w nich ogromnymi okrągłymi ślepiami. Piątka mężczyzn stała jak sparaliżowana, nie spuszczać oczu z niesamowitego stwora, dopóki ten nie skrył się za wierzchołkami drzew pobliskiego lasu. Wszyscy sprawiali wrażenie, że zapomnieli o naładowanych karabinach, które ściskali w rękach.

Reakcja nastąpiła dopiero wtedy, gdy stwór już przeleciał. Tippet osunął się na ziemię i ukrył twarz w dłoniach.

– O Boże – jęknął. – Zabierz mnie z tego okropnego miejsca.

Brady, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, zaklął głośno i szpetnie. Wezwał wszystkich świętych na świadków, że się nie boi i że każdy, kto ma choć pół oka, mógł zobaczyć, iż stwór był niczym więcej, jak „jednym z tych latających aligatorów”, które wszyscy dobrze już znają.

– Tak – mruknął Sinclair z nutką sarkazmu – mnóstwo widzieliśmy już takich w białych całunach.

– Zamknij się, idioto! – warknął Brady. – Skoroś taki mądry, powiedz nam, co to było. –

A potem, zwracając się do Bradleya, zapytał: – No, a co to według pana było, sir?

Bradley pokręcił głową.

– Nie wiem – przyznał. – Wyglądało na skrzydlatą ludzką istotę, przyodzianą w fałdzistą białą szatę. Twarz miało bardziej człowieczą niż zwierzęcą. Takie przynajmniej wrażenie robiło przez sposób, w jaki mi się przypatrywało. Ale co to naprawdę było, nie mam pojęcia, bo tak samo jak wy o takim stworze nigdy nie słyszałem. Pewien jestem tylko, że była to istota najzupełniej materialna – nie żaden duch; raczej jeszcze jedna z dziwnych form życia, jakie tu zastaliśmy i do których z czasem powinniśmy przywyknąć.

Tippet podniósł głowę. Twarz miał wciąż szarą jak popiół.

– Nie przetłumaczycie mi! – wrzasnął. – Ja go widziałem. Widziałem psiajuchę. To był umarłak, co leciał w powietrzu. Czy ja nie widziałem jego ślepiów? O Boże! Czy ja ich nie widziałem?

– Na mój gust, to coś nie wyglądało na żadnego zwierzaka ani gadzinę – wtrącił Sinclair. – Spozierało z góry prosto na mnie i widziałem jego gębę tak samo, jak teraz widzę wasze. Miało wielkie okrągłe ślepia, z których wiało chłodem i śmiercią, policzki głęboko zapadnięte, a za cienkimi, ściągniętymi wargami widziałem żółte zębiska... jak u dawno umarłego człowieka, sir – dodał zwracając się do Bradleya.

– Tak! – James nie odzywał się od czasu, kiedy zjawa przeleciała mu nad głową i teraz też ledwie dobywał z siebie głos, a właściwie serię artykułowanych spazmów. – Tak-dawno-umarłego. To-coś-znaczy. To-przyszło-po-kogoś. Po-jednego-z-nas. Jeden-z-nas-umrze. To-ja-um-mmrrreeeę! – zakończył wyjąc.

– Spokój! Spokój! – warknął Bradley. – Nie umrzesz. Wcale nie umrzesz. No, wszyscy do roboty. Czas ucieka. Szkoda czasu.

Władcze tony w jego głosie przywołały wszystkich do rzeczywistości i skłoniły do podjęcia przerwanych zajęć; pracowali jednak w milczeniu, nikt nie podśpiewywał i nie przekomarzał się jak podczas rozbijania poprzednich obozów. Pierwsze oznaki rozluźnienia napiętych nerwów pojawiły się dopiero wtedy, kiedy już się posilili i każdy dostał małą porcję tytoniu wydawaną zawsze po kolacji. Powrót dobrego nastroju przejawiał się najpierw u Brady’ego. Zaczął nucić *Daleką drogę do Tipperary*, a po chwili śpiewał już głośno, ale dopiero przy trzeciej zwrotce ktoś mu zawtórował; nawet jednak w najweselszych momentach piosenki wyczuwało się jakąś posępną nutę.

U wylotu ich skalnego schronienia płonęło ogromne ognisko trzymające na dystans żerujące nocą drapieżniki; oprócz tego na straży stał bez przerwy jeden człowiek mający za zadanie w porę ostrzec przed nagłym atakiem ze strony jakiegoś rozwścieczonego mieszkańca dżungli. Za ogniskiem pojawiały się, przesuwały niespokojnie tam i z powrotem, znikwały i ponownie pojawiały się żółtozielone ogniki, którym towarzyszył straszliwy chór wrzasków, ryków i pomruków wydawanych przez wygłodniałe drapieżniki polujące w nocy, a przyciągnięte tu blaskiem płomieni i wonią ewentualnej ofiary.

Ale do takich widoków i dźwięków piątka mężczyzn zdążyła już przywyknąć. Śpiewali i rozmawiali tak beztrosko, jakby znajdowali się w barze w rodzinnym kraju.

Wartę pełnił Sinclair. Pozostali słuchali Bradleya, który opowiadał o zatorach na moście Rush Street w nocnych godzinach szczytu. Ogień trząsał wesoło. Właściciele żółtozielonych ślepi zanosili pod niebiosa swe przerażające pienia. Sytuacja zdawała się wracać znowu do normy. I nagle piątka mężczyzn zastygła w bezruchu, zupełnie jakby z ciemności wyciągnęła się ręka śmierci i dotknęła ich wszystkich naraz.

Ponad nokturnowy diapazon tętniącej życiem dżungli przebił się posępny łopot skrzydeł dolatujący poprzez gęsty mrok nocy gdzieś z góry i w rozproszony blask płonącego ogniska wpłynął jakiś niewyraźny kształt. Sinclair poderwał karabin do ramienia i wypalił. Z góry doleciało niesamowite wycie i zjawę, czymkolwiek była, połknęły ciemności. Przez kilka sekund do uszu nasłuchujących mężczyzn dochodził jeszcze cichnący w oddali odgłos posępnego łopotu, by po chwili ustać zupełnie.

Pierwszy odezwał się Bradley.

– Niepotrzebnie strzelałeś, Sinclair – powiedział. – Szkoda amunicji. – Ale w jego głosie było nagany. Zupełnie jakby rozumiał nerwową reakcję, która popchnęła tamtego do odruchowego działania.

– Nie mogłem się powstrzymać, sir – jęknął Sinclair. – Boże, tylko człowiek z żelaza nie wygarnąłby do tej poczwary. Wierzy pan w duchy, sir?

– Nie – odparł Bradley. – Duchów nie ma.

– Ja tam nie chcę nic mówić – wtrącił się Brady – ale na prerii niedaleko Brighton zamordowali jedną taką kobietę, poderżnęli jej gardło od ucha do ucha i...

– Zamknij się – warknął Bradley.

– Mój dziadek mieszkał w Coppington – odezwał się Tippet. – Był tam niedaleko taki zrujnowany zamek i o północy ludziska widzieli w oknach bladoniebieskie światelka i słyszeli...

– Zamkniecie wy się wreszcie? – krzyknął Bradley. – Jeszcze minuta, durnie, a zastraszyacie się sami na śmierć. Idziemy spać.

Ale mało kto spał tej nocy w obozie i dopiero nad ranem skrajne wyczerpanie zmogło znękanych mężczyzn; niesamowity stwór, który ich tak nerwowo rozstroił, nie pojawił się ponownie.

Nazajutrz przed południem oddział dotarł do podnóża granicznych urwisk i przez dwa dni maszerował na północ usiłując znaleźć jakiś wyłom w tej naburmuszonej skarpie, wznoszącej swe skalne oblicze niemal pionowo w górę. Nic jednak nie wskazywało na to, że będzie można się na nią wspiąć.

Zniechęcony Bradley postanowił wracać do fortu, bo przekroczył już umówiony z Bowenem Tylerem czas, jaki miała potrwać ekspedycja. Przez wiele mil urwiska ciągnęły się w kierunku północno-wschodnim, z czego Bradley wywnioskował, że zbliżają się do północnego krańca wyspy. Według jego kalkulacji przez ostatnie dwa dni odbili na wschód wystarczająco daleko, by znaleźć się w punkcie leżącym bezpośrednio na północ od Fortu Dinozaur, a ponieważ wracanie po własnych śladach wzdłuż podnóża urwisk miało się z celem, postanowił skierować się od razu na południe i pomaszerować prosto do fortu przez rozciągającą się przed nimi niezbadaną krainę.

Tej nocy (9 września 1916 roku) rozbili obóz niedaleko urwisk, w pobliżu jednego z występujących licznie na Caspak zimnych źródełek tryskających częstokroć obok jeszcze liczniejszych źródeł ciepłych i gorących, które zasilają wodą mnóstwo stawów. Po kolacji mężczyźni wyciągnęli się na ziemi i paląc tytoń gawędzili. Na warcie stał Tippet. Liczba zagrożających im nocnych drapieżców zmalała i podróżnicy komentowali fakt, że im dalej na północ

się posuwają, tym wyraźniej zmniejsza się liczebność wszelkiej maści przedstawicieli życia zwierzęcego, chociaż w sumie nadal występują w ilościach, które w innej części świata uznano by za zatrzęsienie. Najbardziej zauważalną zmianą w faunie północnego Caspaku było zmniejszone pogłowie gadów. Żyły tu jednak gatunki, których nigdzie dotąd nie spotkali, a kilka z nich osiągnęło gigantyczne rozmiary.

Zgodnie z ustalonym zwyczajem wszyscy, z wyjątkiem człowieka trzymającego straż, szli spać wcześniej; ułożywszy się wygodnie na ziemi, nie mieli z zaśnięciem większych kłopotów. Bradleyowi, wyrwanemu raptownie ze snu przez przeszywający wrzask zaakcentowany ostrym hukem karabinowego wystrzału, jaki dobiegł od strony ogniska, przy którym stał na warcie Tippet, i zrywającemu się na równe nogi, wydawało się, że dopiero co zamknął oczy. Biegąc już w tamtym kierunku Bradley usłyszał to samo niesamowite wycie, które tak wstrząsnęło wszystkimi kilka nocy wcześniej, i posępny łopot ogromnych skrzydeł. Nie musiał spoglądać w górę na spowitą w biały całun postać odlatującą wolno w noc, by wiedzieć, że ich ponury gość powrócił.

Mięśnie ręki, reagując na widok tej groźnej zjawy i wydawane przez nią odgłosy, przemieściły jego dłoń do kolby pistoletu, ale ze wzruszeniem ramion wepchnął broń z powrotem do kabury, ledwie ją stamtąd wyrwał.

– Po co? – mruknął do siebie. – Szkoda amunicji. – I podszedł szybkim krokiem do Tippetta rozciągniętego twarzą do dołu na ziemi. Na pięty następowali mu już James, Brady i Sinclair, każdy z gotowym do strzału karabinem.

– Nie żyje? – wyszeptał James, kiedy Bradley ukląkł przy nieruchomej postaci.

Bradley przekręcił Tippetta na plecy i przyłożył ucho do jego serca. Po chwili uniósł mu głowę.

– Zemdlął – oznajmił. – Dajcie wody. Szybciej. – Potem poluzował Tippetowi koszulę pod szyją i kiedy przyniesiono kubek z wodą, chlusnął mu całą zawartością w twarz.

Tippet odzyskał powoli przytomność i usiadł. Rozejrzał się ze zdziwieniem po twarzach otaczających go mężczyzn, potem zaś w jego oczach pojawiło się przerażenie. Rzucił trwożliwe spojrzenie w czarną otchłań nieba, po czym ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać jak dziecko.

– No, co jest, chłopie? – zapytał Bradley – Weź się w garść! Przestań się mazać. Szkoda energii. Co się stało?

– Co się stało, sir?! – zawył Tippet. – O Boże, sir! Wróciła. Wróciła po mnie, sir. Jak nic, po mnie, sir; mało brakowało, sir, wyciągała po mnie ręce, długie białe łapska o Boże! Prawie mnie ucapiała, sir. Ze mnie już trup, jestem naznaczony, naznaczony. Chciała mnie zabrać, sir.

– Bzdury pleciesz – warknął Bradley. – Dobrze się temu czemuś przyjrzałeś?

Tippet przytaknął, powiedział, że widział stwora lepiej, niżby sobie tego życzył. Tamten niemal go pochwycił i Tippet patrzył mu przez chwilę prosto w oczy – „martwe oczy w martwej twarzy”, jak je opisał.

– I co to według ciebie było? – zapytał Brady.

– Kostucha – jęknął Tippet dygocząc na całym ciele i znowu na mały oddział opuścił się całun przygnębienia.

Następnego dnia Tippet włókł się noga za nogą jak w transie. Nie odzywał się zupełnie, chyba że odpowiadał na bezpośrednie pytania, a i te trzeba było powtarzać, zanim doń dotarły. Utrzymywał, że jest już martwy, bo jeśli nawet zjawa nie przyjdzie po niego za dnia, to i tak on, Tippet, nie przeżyje kolejnej nocy paraliżującego strachu, czekając na straszny koniec, którego nieuchronności jest pewien – już ja zrobię co trzeba – powiedział i wszyscy wiedzieli, że

Tippet nosi się z zamiarem odebrania sobie życia jeszcze przed zachodem słońca.

Bradley usiłował przemówić mu do rozumu na swój zwięzły, szorstki sposób, ale szybko stwierdził, że to na nic; biorąc zaś pod uwagę niezliczone niebezpieczeństwa, jakimi najeżona była ich droga, nie mógł odebrać Tippetowi broni bez narażania go na niemal pewną śmierć.

Cały oddział posuwał się w ponurym, posepnym nastroju. Nikt nie żartował, co było dawniej na porządku dziennym nawet w obliczu trudów podróży i szkaradnych zagrożeń. Wisiało nad nimi nowe niebezpieczeństwo, coś, czego nie potrafili wyjaśnić, i tak, siłą rzeczy, obudził się w nich zabobonny lęk, który nastawienie Tippeteta tylko wzmacniało. Na domiar złego droga wiodła przez gęsty las i przedzierając się przez zbite chaszczki mieli trudności z pokonaniem w ciągu godziny choćby mili. Trzeba się było bez przerwy mieć na baczności przed rozmaitej długości i mniej czy bardziej odrażającymi węzami, od których w lesie wręcz się roiło; a jedyną nadzieją, jakiej musieli się trzymać, było to, że knieja, tak jak większość caspakijskich lasów, nie okaże się zbyt rozległa.

Nagle idący przodem Bradley dostrzegł groteskowego stwora o tytanicznych rozmiarach. Pośród drzew, które tutaj zaczynały się nieco przedzierać, siedziało w kucki coś, co okazało się olbrzymim smokiem pożerającym ścierwo mamuta. Od straszliwych szczęk po czubek długiego ogona potwór miał pełne czterdzieści stóp długości. Jego cielsko pokrywały zachodzące na siebie płytki grubej skóry uderzająco podobne do średniowiecznej zbroi. Stwór dojrzał Bradleya niemal w tym samym momencie, co Bradley jego, i stanął prosto na potężnych zadnich łapach, unosząc łeb na dwadzieścia pięć stóp nad ziemię. Z przepastnej paszczęki wydobył się syk porównywalny z hałasem powstającym przy spuszczeniu pary z zaworów bezpieczeństwa w półtuzinie lokomotyw naraz, i potwór rzucił się na stojącego na przedzie człowieka.

– Rozproszyc się! – krzyknął Bradley do idących za nim i wszyscy prócz Tippeteta wykonali rozkaz.

Tippet zaś stał jak ogłuszony i Bradley, widząc co mu grozi, również się zatrzymał, po czym robiąc na pięcie szybki obrót posłał pocisk w masywne cielsko przedzierające się ku niemu między drzewami. Kula ugodziła stwora w nie chroniony pancerzem brzuch wywołując w jego wyciu nową nutę, która wzniosła się wibrującym gwizdem i przeszła w rozdzierający jęk. Chyba dopiero wtedy Tippet się otrząsnął, bo z krzykiem przerażenia odwrócił się i czmychnął w lewo. Bradley ocenił, że tamten ma takie same szanse ucieczki jak pozostali, i zajął się ratowaniem własnej skóry, a ponieważ po prawej stronie drzewa zdawały się rosnać gęściej, pobiegł w tamtym kierunku w nadziei, że małe odległości między pniami uniemożliwią wielkiemu gadowi pościg. Smok już się nim jednak nie interesował, bowiem jego uwagę przyciągnął rzucający się do panicznej ucieczki Tippet; i ruszył za Tippetem łamiąc stające mu na drodze młode drzewka, wrywając z korzeniami krzaki i zostawiając za sobą bruzdę spustoszenia niczym małe tornado.

Bradley, zorientowawszy się, że stwór ściga Tippeteta, bez zastanowienia zawrócił i pognął za nimi. Bał się strzelać w obawie, że trafi człowieka i skutkiem tego dopędził ich w momencie, kiedy potwór, wyrzucając energicznie w przód swe zwaliste cielsko, znalazł się tuż za Tippetem. Ostre szpony trójpalczastych przednich kończyn pochwyciły nieszczęśnika i na oczach Bradleya poderwały wysoko nad ziemię, a następnie poniosły prosto do rozdziawionych szeroko szczęk stwora, który ponownie wyprostował się; szczęki zwały się natychmiast z przyprawiającym o mdłości trzaskiem kości Tippeteta pękających pod wielkimi zębami.

Bradley podnosił już karabin do ramienia, by strzelić jeszcze raz, ale na ten widok opuścił go potrząsając głową. Tippet był już stracony – po co marnować pocisk, którego na Caspak nic nie

zastąpi? Zamiast w bezsensownej pomście ryzykować życie, mądrzej było teraz dyskretnie zejść potworowi z drogi. Upewnił się, że drapieżnik nie patrzy na niego, i przesunął się bezszelestnie za pień wielkiego drzewa, a potem wycofał cicho w kierunku, w którym, jak mu się wydawało, umknęli pozostali. Uznawszy, że znajduje się już w bezpiecznej odległości, zatrzymał się i obejrzał za siebie. Mimo że widok przesłaniały drzewa, zobaczył jednak ogromny łeb i masywne szczęki, z których sterczały bezwładne nogi martwego człowieka. I nagle stwór zwałił się na ziemię niczym zdzielony młotem Thora i znieruchomiał. To jedyny pocisk Bradleya, wchodząc w ciało przez miękką skórę brzucha, uśmiercił tytana.

Po kilku minutach Bradley odnalazł resztę oddziału. W czwórkę wrócili ostrożnie do miejsca, gdzie spoczywał stwór i upewniwszy się, że faktycznie nie żyje, podeszli bliżej. Wydobyte poszarpanych szczątków Tippeta spomiędzy potężnych szczęk było zadaniem żmudnym i makabrycznym, i mężczyźni pracowali prawie się do siebie nie odzywając.

– To rzeczywiście był zwiastun śmierci – mruknął Brady. – On ostrzegał biednego Tippeta, ostrzegał go.

– On go zabił, po prostu go zabił, i zabije jeszcze paru z nas – powiedział James. Jego dolna warga drżała.

– Jeśli to był duch – wtrącił się Sinclair – a wcale nie jestem pewien, że był, ale jeśli tak, to potrafiłby przyjąć taką postać, jaką by chciał. Mógł się zmienić na przykład w tego tu stwora, który wcale nie jest takim zwyczajnym stworzeniem, tylko po to, żeby dopaść biednego Tippeta. Gdyby to był lew albo coś bardziej normalnego, nie byłoby to aż tak dziwne; ale ten tutaj stwór nie jest naturalny. Nie ma takich stworów i nigdy nie było.

– Kule nie zabijają duchów – powiedział Bradley – a więc to nie mógł być duch. Poza tym duchów nie ma. Zachodziłem w głowę, gdzie widziałem już takie stworzenie i właśnie sobie przypominałem. To jest tyranozaur. W jakimś piśmie widziałem zdjęcie jego szkieletu. Jeden taki znajduje się w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Zdaje mi się, że było tam napisane, że znaleźli go w miejscowości o nazwie Hell Creek gdzieś na zachodzie Ameryki Północnej. Przypuszcza się, że żył jakieś sześć milionów lat temu.

– Hell Creek w Montanie – powiedział Sinclair. – Pasłem kiedyś krowy w Wyoming i słyszałem o Heli Creek Myślisz, że ten stwór ma sześć milionów lat? – Zadał to pytanie wyraźnie sceptycznym tonem.

– Nie – odparł Bradley. – Ale to by oznaczało, że Caprona prawie się nie zmieniła od ponad sześciu milionów lat.

Rozmowa ta i zapewnienie Bradleya, że stwór nie ma nadprzyrodzonego rodowodu, podniosły ludzi nieco na duchu, a potem ich uwagę pochłonęły ściągające zewsząd wygłodniałe drapieżniki, którym niesamowity zmysł powonienia podpowiedział, że znajduje się tu martwe, gotowe do spożycia mięso.

Podczas kopania mogiły i składania doczesnej powłoki Tippeta w miejsce jej ostatniego, samotnego spoczynku trwała nieustanna bitwa Nie odeszli od razu; wyciosali jeszcze prowizoryczny nagrobek z wystającego spod ziemi odłamu piaskowca i zebrali masę wspaniałych kwiatów, których pełno było dokoła, by zasypać nimi świeży grób. Na nagrobku Sinclair wydrapał koślawymi literami słowa:

LEŻY TUTAJ JOHN TIPPET

ANGLIK  
ZABITY PRZEZ TYRANOZAURA  
10 WRZEŚNIA A D 1916  
NIECH SPOCZYWA W POKOJU

i zanim opuścili na zawsze swego towarzysza, Bradley odmówił krótką modlitwę.

Oddział maszerował przez trzy dni na południe przez gęste knieje, prerie i rozległe obszary, gdzie pasły się nieprzeliczone stada zwierząt roślinożernych – jeleni, antylop, krów i małych *ecca*, należących do gatunku najmniejszych caspakijskich koni – o rozmiarach królika. Były tu też inne konie, jednak wszystkie niewielkie wzrostem, przy czym najwyższy nie mierzył chyba w kłębie więcej niż osiem dłoni. Roślinożerców nękali bez ustanku wielcy i mali mięsożercy – wilki, hienodonty, pantery, lwy, tygrysy i niedźwiedzie, jak również przedstawiciele kilku wielkich i okrutnych odmian z rodziny gadów.

Dwunastego września oddział wspinał się do podnóża piaskowcowych urwisk, które zagrodziły mu drogę na południe. Przeprawili się przez nie dopiero, gdy mieli już za sobą spotkanie z plemieniem zamieszkującym liczne jaskinie w ścianie skarpy. Tej nocy obozowali na skalnym płaskowyżu porośniętym z rzadka drzewami *jarrah* i tutaj znowu nawiedziła ich niesamowita nocna zjawa, która już wcześniej napełniła ich niewypowiedzianą trwogą.

Pierwszy ostrzegł przed nią wartownik czuwający nad bezpieczeństwem pogrążonych we śnie towarzyszy w nocy z dziewiątego na dziesiąty września. Bradley, Sinclair i Brady, poderwani na nogi pełnym przełazenia okrzykiem, któremu towarzyszył huk wystrzału, ujrzeni Jamesa trzymającego karabin za lufę i opędzającego się nim jak maczugą przed istotą w białym całunie unoszącą się na szeroko rozpostartych skrzydłach na poziomie głowy Anglika. Biegając ku niemu z krzykiem nie mieli wątpliwości, że ta niesamowita, straszliwa zjawa usiłuje Jamesa porwać; ujrawszy jednak ludzi spieszących mu na ratunek poniechała go i wzbiła się w górę z charakterystycznym posepnym łopotem długich postrzępionych skrzydeł.

Bradley wypalił do znikającego w ciemnościach gwałciciela ich spokoju i bezpieczeństwa, ale chociaż w odpowiedzi doleciał ich ten sam przejmujący wrzask, który już przy innej okazji zmącił im spokój ducha, nikt nie był w stanie stwierdzić na pewno, czy pocisk trafił, czy też chybił celu.

Potem zajęli się Jamesem, który leżał twarzą do ziemi dygocząc jak w febrze. Przez jakiś czas nie potrafił wykrztusić słowa, ale w końcu uspokoił się na tyle, by powiedzieć, że stwór musiał spłynąć na niego bezszelestnie z góry i od tyłu, ponieważ pierwszym ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie były długie szponowate palce chwytające go pod pachy. Podczas szamotaniny wypalił karabin i w tym samym momencie Jamesowi udało się wyrwać z objęć napastnika, odwrócić i osłonić kolbą. Resztę już widzieli.

Od tej chwili James zupełnie się załamał. Wargi drżały mu, kiedy mówił, że jego los został przypieczętowany, i że jest już właściwie martwy, odkąd stwór naznaczył go jako swoją własność. Od tego przeświadczenia nie były go w stanie odwieść żadne tłumaczenia ani kpiny. Widział, jak został naznaczony i jak skończył Tippet, a teraz naznaczono jego. Uporczywie dawał wyraz swojemu przekonaniu, co nie pozostawało bez wpływu na morale reszty oddziału. Przygnębienie ogarnęło nawet Bradleya, chociaż przez wzgląd na innych usiłował ukrywać je pod maską pozorowanej pewności siebie, do odczuwania której było mu daleko.

I następnego dnia – 13 września 1916 roku – William James został rozszarpany przez tygrysa



szablastożębnego. Spoczywa w samotnej mogile oznaczonej prowizorycznym nagrobkiem, pod drzewem *jarrah* na kamiennym płaskowyżu niedaleko północnej granicy terytorium Sto-lu, w krainie zapomnianej przez czas.

Trzej przybici i milczący mężczyźni odwrócili się od jego grobu i powlekli na południe. Z wyliczeń Bradleya wynikało, że znajdują się jakieś dwadzieścia pięć mil na północ od Fortu Dinozaur i że mogą do niego dotrzeć już następnego dnia, jeśli tylko będą maszerowali aż do zapadnięcia zmroku. Obozowisko rozbili w stosunkowo bezpiecznym miejscu piętnaście mil dalej, ale tym razem nikt nie śpiewał ani nie żartował. Każdy modlił się w głębi ducha o bezpieczne przetrwanie tej nocy i chociaż wszyscy wiedzieli, że nazajutrz pokonają ostatni odcinek drogi, jednak nerwy mieli napięte od nieustannego wyglądania, czy z czarnego nieba nie spływa jakiś makabryczny stwór, by naznaczyć kogoś następnego. Czyja kolej teraz?

Zgodnie z ustalonym zwyczajem pełnili wartę kolejno, przy czym każdy, odstawszy swoje dwie godziny, budził następnego. Brady'emu przypadła pierwsza warta od ósmej do dziesiątej, o dziesiątej zmienił go Sinclair, który o dwunastej budził z kolei Bradleya. Na Brady'ego przypadała więc też ostatnia warta od drugiej do czwartej, ponieważ postanowili ruszać w drogę, skoro tylko rozwidni się na tyle, by marsz mógł być względnie bezpieczny.

Z głębokiego snu obudził Brady'ego trzask pękającej gałązki. Otworzywszy oczy stwierdził, że jest już jasny dzień, a dwadzieścia kroków od niego stoi ogromny lew. W chwili gdy zrywał się na nogi z gotowym do strzału karabinem w rękach, obudził się również Sinclair, który na pierwszy rzut oka zorientował się w sytuacji. Ognisko wygasło, a do tego w pobliżu nigdzie nie było widać Bradleya. Przez długą chwilę lew i dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Ci ostatni nie mieli najmniejszego zamiaru strzelać, jeśli lew da im spokój – byliby niezmiernie radzi, gdyby poszedł sobie własną drogą; ale lew miał najwyraźniej co innego w głowie.

Długi ogon wyprostował się nagle i zeszywniał – i w tym samym momencie, zupełnie jakby był przywiązany do dwóch palców spoczywających na spustach, przemówiły uniesione oba karabiny, mężczyźni znali bowiem aż za dobrze ten sygnał, bezpośredni zwiastun śmiertelnego ataku. Ponieważ zwierzę miało zadarty, nie było widać jego karku; wybrali więc najlepsze wyjście, jakie podpowiadało im nabyte do tej pory doświadczenie. Każdy wziął na cel jedną przednią łapę i gdy ogon bestii zeszywniał, dali jednocześnie ognia. Potężny mięsożerca runął na pysk ze straszliwym rykiem i przetrąconymi obiema łapami. Sztuczka ta była łatwa do przeprowadzenia, dopóki zwierzę nie zaatakowało – potem stałoby się wyczynem prawie niewykonalnym. Brady zbliżył się i dobił bestię strzałem w tył łba, żeby jej przeraźliwe ryki nie ściągnęły samicy albo innych lwów.

Obaj mężczyźni odwrócili się i spojrzeli po sobie.

– Gdzie jest porucznik Bradley? – spytał Sinclair.

Podeszli do ogniska. Pozostało z niego tylko kilka dymiących węglików. Kilka stóp dalej leżał karabin Bradleya. Nie było żadnych śladów walki. Mężczyźni obeszlili dwa razy obozowisko i kiedy kończyli drugie okrążenie, Brady schylił się i podniósł z ziemi przedmiot leżący dziesięć stóp od ogniska – była to czapka Bradleya. Ponownie spojrzeli po sobie zaintrygowani, a potem, jednocześnie, obie pary oczu wzniosły się w górę i omiotły niebo. W chwilę później Brady przystąpił do szukania śladów na ziemi, w pobliżu miejsca gdzie leżała czapka. Znajdowali się na jednej z małych, jałowych, piaszczystych łąch, które spotykali tylko na tym kamiennym płaskowyżu. Podeszwy butów Brady'ego odciskały się tu tak wyraźnie, jak czarny atrament na białym papierze, ale były to jedyne odciski stóp kalające gładką, wymiecioną wiatrem powierzchnię – nic nie

wskazywało na to, że Bradley doszedł tu po ziemi, a przecież jego czapka leżała na samym środku łąchy.

Dwaj ocalali mężczyźni, bez śniadania i z rozstrojonymi nerwami, ruszyli jak szaleni w długi, całodzienny marsz. Obaj byli ludźmi silnymi, odważnymi i energicznymi, ale każdy z nich znajdował się już u kresu wytrzymałości psychicznej i czuł, że prędzej umrze, niż zdecyduje się spędzić jeszcze jedną noc pod potwornym gołym niebem tej przerażającej krainy. Mieli świeżo w pamięci obraz losu, jaki spotkał Bradleya, bo chociaż żaden z nich nie był naocznym świadkiem tragedii, obaj wyobrażali sobie dokładnie, co zaszło. Nie rozmawiali o tym – nie wspomnieli nawet słowem – a jednak przez cały boży dzień stwór absorbował bez reszty ich myśli i widzieli już siebie w charakterze jego ofiar, gdyby nie udało im się dotrzeć przed zmrokiem do Fortu Dinozaur.

Parli więc naprzód narzucając sobie mordercze tempo. Splątane chaszcze hamowały ich marsz szarpiąc ubrania, drapiąc dłonie i twarze. Padali raz po raz, ale przyznać trzeba, że jeden zatrzymywał się zawsze i pomagał drugiemu; żadnemu w takich chwilach nawet przez myśl nie przeszło, aby porzucić towarzysza – albo obaj przeżyją i dotrą do fortu razem, albo nie dojdą tam wcale.

Napotykali na swej drodze niezwykle ilości dzikich bestii i gadów, stawiali im jednak czoło z męstwem zrodzonym z rozpacz, a szaleńcza determinacja sprawiała, że wychodzili z tych starć bez szwanku i z minimalnym opóźnieniem.

Wczesnym popołudniem dotarli do krawędzi płaskowyżu. Stanęli nad uskokiem opadającym w dolinę roztaczającą się dwieście stóp niżej. W dali, po lewej, widzieli wody wielkiego śródlądowego morza pokrywającego znaczną część powierzchni wyspy Caprony, w jaką przeistoczył się krater wulkanu, a trochę bliżej, na południe od urwisk, dostrzegli cieniutką smużkę dymu unoszącą się ponad wierzchołki drzew.

Ten krajobraz był znajomy – rozpoznali go obaj natychmiast i byli pewni, że słup dymu zaznacza miejsce, w którym znajduje się Fort Dinozaur. Czy fort jeszcze tam był, czy też dym unosił się z kopcących zgliszczy wyglądanego z utęsknieniem schronienia, które pomagali budować? Któż to mógł wiedzieć?

Trzydzieści cennych minut, które wydawały się niecierpliwym mężczyznom całymi godzinami, zajęło znalezienie bezpiecznej drogi ze szczytu do podnóża urwisk ograniczających płaskowyż od południa, po czym, znalazłszy się na nizinie, znowu ruszyli ku swojemu celowi. Im bliżej byli fortu, tym silniejsze stawało się przecucie, że nie zastaną tam wszystkiego w porządku. Wyobrażali sobie opuszczone baraki albo zmasakrowany oddziałek pośród spopielonych zabudowań. Nieprzytomni ze zdenerwowania przedarli się przez ostatnie wypustki dżungli i stanęli wreszcie na skraju rozległej łąki w miejscu odległym o pół mili od Fortu Dinozaur.

– Boże! – wykrzyknął Sinclair. – Są tam jeszcze! – I łkając osunął się na kolana.

Brady, drżąc jak liść, przeżegnał się i w milczeniu odmawiał modlitwę dziękczynną, bo oto mieli przed sobą solidne ściany Fortu Dinozaur, a zza palisady unosiła się cienka spiralna smużka dymu wyznaczająca miejsce, gdzie znajdowała się kuchnia. A więc wszystko było w porządku, a ich towarzysze przyrzędzali właśnie wieczorny posiłek!

Pognali przez polanę, zupełnie jakby nie mieli w nogach całodziennego marszu bezdrożami pierwotnej krainy, który wypoczętym, ale niedoświadczonym ludziom mógłby z powodzeniem zabrać dwa dni. Zbliżywszy się na odległość głosu podnieśli taki wrzask, że nad ogrodzeniem od razu pojawiły się głowy i z Fortu Dinozaur odpowiedziały im powitalne okrzyki. W chwilę później zza

palisady wypadło trzech mężczyzn i rzuciło się na spotkanie ocalałym, by wysłuchać chaotycznej relacji z jedenastu brzemienych w wydarzenia dni, jakie upłynęły od chwili wyruszenia ekspedycji rozpoznawczej ku urwiskom granicznym. Dowiedzieli się o śmierci Tippeta i Jamesa oraz o zniknięciu porucznika Bradleya, a tym samym o nowym zagrożeniu, jakie zawisło nad Fortem Dinozaur.

Z obrońców Fortu Dinozaur pozostali tylko irlandzki mechanik Olson oraz Whitely i Wilson. Brady i Sinclair wysłuchali ich opowieści o doniosłych wydarzeniach, jakie zaszły od chwili wymarszu oddziału Bradleya, czyli od dnia czwartego września. Dowiedzieli się od nich o nikczemnym postępku barona Friedricha von Schoenvortsas i jego niemieckiej załogi, która, łamiąc dane słowo, uprowadziła łódź podwodną U-33 i odpłynęła w kierunku podziemnego kanału pod urwiskami granicznymi, jakimi wody śródlądowego morza wylewały się na rozciągający się po drugiej stronie Pacyfik; a także o podstępnym ostrzelaniu przez nich fortu.

Dowiedzieli się o zniknięciu panny La Rue w nocy jedenastego września i o wyruszeniu Bowena Tylera na jej poszukiwanie – tylko w towarzystwie airedalczyka Nobsa. Tak więc z grupy składającej się pierwotnie z jedenastu Sprzymierzonych i dziewięciu Niemców, która stanowiła obsadę łodzi podwodnej U-33, kiedy ta, po zajęciu przez załogę angielskiego holownika opuszczała angielskie wody terytorialne, w Fortcie Dinozaur pozostało zaledwie pięć osób. Wiadomo było, że Benson, Tippet, James i jeden z Niemców na pewno nie żyją. Bradley, Tyler i dziewczyna przypuszczalnie zginęli już z rąk dzikich mieszkańców Caspak, natomiast los Niemców stanowił wielką niewiadomą, chociaż można było zakładać, że ich ucieczka się powiodła. Mieli mnóstwo czasu na zaopatrzenie łodzi w prowiant, a z rafinacji surowej ropy naftowej, której złoża odkryli na północ od fortu, mogli uzyskać paliwo w ilościach wystarczających na powrót do Niemiec.

## Rozdział XIX

Myśli Bradleya trzymającego wartę o północy czternastego września zajęte były w znacznym stopniu radosnym rozpamiętywaniem faktu, iż noc mija bez poważniejszego wypadku i że nazajutrz niewątpliwie będą już bezpieczni, z powrotem w Forcie Dinozaur. Ten dobry nastrój mącił mu nieco żal spowodowany utratą dwóch członków oddziału, którzy spoczywali w pierwotnej dziczy i którzy już nigdy nie powrócą do domu.

Na różowe barwy, w jakich widział nadciągający dzień, nie kładło się cieniem żadne przecucie zbliżającego się nieszczęścia, bo Bradley, choć podejmował wszelkie możliwe środki ostrożności na wypadek ewentualnego niebezpieczeństwa, nie pozwalał sobie na żadne ponure przewidywania, które mogłyby osłabić jego ducha. Był gotowy stawić czoło konkretnemu zagrożeniu, ale nie węszył bez przerwy katastrofy. I tak, kiedy około pierwszej nad ranem usłyszał nad głową posępny łopot gigantycznych skrzydeł, nie był ani zaskoczony, ani przestraszony, lecz w pełni przygotowany na atak, o którym wiedział, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpi.

Odgłos zdawał się dolatywać od południa i po chwili nisko nad drzewami dało się odróżnić krążącą tam w ciemnościach niewyraźną, mroczną sylwetkę. Bradley należał do ludzi odważnych, jednak uczucie wstrętu na widok tej złowrogiej, niesamowitej postaci, potęgowane jeszcze wydawanymi przez nią odgłosami, było tak silne, że na całym ciele wystąpiła mu gęsia skórka i z największym trudem stłumił instynktową pokusę strzelenia w górę do nocnego intruza. Lepiej, o wiele lepiej byłoby dlań, gdyby mimo wszystko posłuchał tego natarczywego wewnętrznego głosu, ale niemal fanatyczna obsesja oszczędzania amunicji przypięczętowała teraz jego zgubę, bo podczas gdy całą swą uwagę poświęcał stworowi zataczającemu kręgi przed nim, a uszy miał wypełnione biciem skrzydeł tamtego, od tyłu z mroków nocy spłynął bezszelestnie drugi taki niesamowity, widmowy kształt. Z częściowo złożonymi do nurkowania skrzydłami i z furkotem wlokącej się za nią białej szaty zjawa spadła znieca na Anglika.

Siła, z jaką stwór, mierząc między łopatkami, wpadł na Bradleya, była tak wielka, że na wpół ogłuszyła mężczyznę. Karabin wypadł mu z rąk i Anglik poczuł, jak mocarne szpony chwytają go niczym kleszcze pod pachy i zbijają z nóg, a potem stwór, unosząc go w atramentowe niebo, nabrał szybko wysokości – tak szybko, że prąd powietrza zerwał Bradleyowi czapkę z głowy i zdławił okrzyk, którym usiłował ostrzec towarzyszy.

Stworzenie skręciło natychmiast na wschód i w tym samym momencie dołączył doń jego kompan, który okrążył ich raz, a potem zajął pozycję za nimi. Bradley uświadomił sobie teraz strategię, jaką obrała ta para, by go pojmać, i na tej podstawie wysnuł wniosek, iż znalazł się w mocy istot rozumnych jeśli nie zależących do rasy ludzkiej, to blisko z nią spokrewnionych.

Z dotychczasowych doświadczeń wyniósł przekonanie, że owe wielkie skrzydła są częścią jakiegoś genialnego mechanicznego urządzenia, gdyż ograniczony umysł ludzki, który niechętnie dopuszcza coś, co wykracza poza jego niewielkie horyzonty, nie pozwoliłby mu powziąć choćby

podejrzenia, iż stwory te mogą być z natury skrzydlate, a jednocześnie mieć ludzki rodowód. Stamtąd, gdzie się obecnie znajdował, Bradley nie widział skrzydeł swego porywacza ani, z uwagi na panującą ciemność, nie mógł się dokładniej przyjrzeć drugiemu osobnikowi, kiedy ten zataczał przed nim kręgi. Nasłuchiwał warkotu silnika albo jakiegoś innego charakterystycznego dźwięku, który świadczyłby o słuszności jego teorii. Do jego uszu nie docierało jednak nic prócz monotonnego flap-flap.

Naraz daleko w dole, przed sobą ujrzał połyskliwe wody śródlądowego morza, a w chwilę później już nad nimi lecieli. I wtem jego porywacz uczynił coś, co ponad wszelką wątpliwość dowiodło Bradleyowi, że znajduje się w rękach istot ludzkich, które opanowały niemal do perfekcji konstruowanie duplikatów ptasich skrzydeł – stwór mianowicie przemówił do swego towarzysza w języku, który Bradley piąte przez dziesiąte rozumiał, ponieważ rozpoznał w nim słowa, jakich nauczył się od dzikich caspakijskich plemion. Wywnioskował z tego, że ma do czynienia z ludźmi, a skoro byli to ludzie, w żadnym wypadku nie mogli mieć naturalnych skrzydeł – bo kto kiedy widział tak przyozdobionego człowieka! A zatem ich skrzydła musiały być po prostu mechanizmem. Tak rozumował Bradley, tak rozumuje większość z nas; na ogół nie bierzemy pod uwagę tego, co ewentualnie możliwe, a co nie mieści się w granicach naszego doświadczenia.

Sens podsłuchanej wypowiedzi sprowadzał się do tego, że ponieważ przebyli już połowę odległości, jeden drugiemu odda teraz ładunek. Bradley nie bardzo sobie wyobrażał, jak owa zamiana zostanie przeprowadzona. Orientował się, że gigantyczne skrzydła nie pozwolą stworom zbliżyć się do siebie na tyle, by zdołały go sobie przekazać z rąk do rąk, ale wkrótce przekonał się, że mają one na to inne sposoby.

Wyczuł, że dźwigający go stwór wznosi się wyżej, a pod spodem mignęła mu przez moment druga postać w białej szacie. Stwór znajdujący się wyżej wydał cichy zew, na który z dołu nadeszła odpowiedź, i nagle Bradley poczuł, jak zwalnia się uścisk trzymających go szponów; tracąc oddech runął w otchłań.

Przez straszną chwilę Bradley spadał owładnięty nieopisaną trwogą; potem coś nadleciało od tyłu, pochwyciła go pod pachy druga para szponów, opadał coraz wolniej jeszcze sto stóp, zawisł tuż nad powierzchnią morza, po czym został znowu wyniesiony w górę. Ten wielki człowiek-ptak zanurkował po Bradleya tak, jak jastrząb nurkuje po śpiewającego ptaka. Było to przerażające przeżycie, ale trwało krótko i Anglik, znalazłszy się ponownie w rękach porywacza, niesiony był szybko na wschód ku przeznaczeniu, którego się nawet nie domyślał.

Zaraz po całej tej powietrznej operacji Bradley odróżnił niewyraźne zarysy wielkiej wyspy majaczące daleko przed nimi, a wkrótce potem dotarło do niego, że to jest właśnie miejsce przeznaczenia, do którego kierują się jego porywacze. I nie mylił się. Trzy kwadransy po jego pojmaniu porywacze wylądowali łagodnie na ziemi w najdziwniejszym mieście, jakie widziało oko ludzkie. Bradley miał tylko krótki moment na rozejrzenie się wokół siebie, zanim nie wepchnięto go do wnętrza jednego z budynków, ale przez owo mgnienie oka dostrzegł dziwaczne stosy kamieni, drewna i błota uformowane w budowie wszystkich możliwych rozmiarów i kształtów, to spiętrzone jedna na drugiej, to stojące samotnie na otwartych placykach, ale przeważnie stłoczone ściana przy ścianie, tak że między nimi nie było miejsca na ulice czy alejki poza nielicznymi, które kończyły się, ledwie zdążyły się zacząć. Okazało się, że główne wejścia do tych domostw znajdują się na dachach i to właśnie przez jedno z nich wprowadzono Bradleya do mrocznego pomieszczenia o niskim suficie. Pchnięto go brutalnie w kąt, gdzie przewrócił się na grubą matę; tam też porywacze go

zostawili. Słyszał jeszcze przez chwilę, jak chodzą w ciemnościach i kilka razy dostrzegł ich wielkie jarzące się w mroku oczy. W końcu zniknęli i zapadła cisza zakłócana tylko oddechami stworów, z czego Anglik wywnioskował, że położyły się spać gdzieś w tym samym mieszkaniu.

Nie ulegało wątpliwości, iż mata na podłodze służy do spania i że brutalne pchnięcie, w wyniku którego się na niej znalazł, było obcesowym zaproszeniem do spoczynku (po trudach podróży). Obmacawszy się i stwierdziwszy, że nadal ma przy sobie pistolet i amunicję, parę zapalek, trochę tytoniu, manierkę pełną wody i żyletki, Bradley ułożył się wygodnie na macie; ponieważ doszedł do wniosku, iż próba ucieczki po ciemku, bez znajomości terenu, jest z góry skazana na niepowodzenie, wkrótce już spał.

Kiedy się obudził, był już jasny dzień, a widok, jaki przedstawił się jego oczom, kazał mu je przetrzeć kilkakrotnie – Bradley musiał się upewnić, czy naprawdę są otwarte i czy nie śni. Szeroka smuga porannego światła wlewała się przez otwarte wejście w suficie kwadratowego, a raczej z grubsza kwadratowego pomieszczenia o rozmiarach mniej więcej trzydzieści na trzydzieści stóp. Izba kształt miała nieregularny – jedna ściana wybrzuszała się na zewnątrz, druga była wepchnięta do środka, przypuszczalnie przez narożnik innego wrzynającego się w nią budynku, trzecia stanowiła wnękę tworzoną przez trzy boki ośmiokąta, natomiast czwarta biegła faliście. Dodatkowe oświetlenie zapewniały dwa okna, a dwoje drzwi w ścianach prowadziło najwyraźniej do innych izb. Ściany były częściowo wyłożone cienkimi drewnianymi listwami, starannie do siebie dopasowanymi i wypolerowanymi, a częściowo otynkowane, resztę zaś przysłaniała delikatna tkanina. Przyozdobione były tu i tam malowidłami wyobrażającymi gady i ssaki, rozmieszczonymi bez wyraźnej myśli przewodniej. Uderzającą cechą dekoracji wnętrza było kilka kolumn osadzonych w ścianach w nieregularnych odstępach, przy czym na szczycie każdej spoczywała ludzka czaszka, której wierzch dotykał sklepienia, co sprawiało wrażenie, że sufit podparto ponurymi pozostałościami albo po zmarłych krewnych, albo po jakimś odrażającym plemiennym rytuale – na ten temat Bradley mógł jedynie snuć domysły.

Jednak to nie żadna z tych obserwacji napelniła go największym zdumieniem – nie, zafascynowały go i przyciągnęły postacie dwóch stworzeń, jego porywaczy. Po jednej stronie izby biegła poziomo od ściany do ściany, jakieś sześć do siedmiu stóp nad podłogą, gruba belka o średnicy około dwóch cali, której końce osadzono w dwóch kolumnach. Zwisając z tej grędy na zgiętych w kolanach nogach spały głowami do dołu, otuliwszy ciała ogromnymi skrzydłami, stwory z minionej nocy – wisiały tam pogrążone we śnie niczym dwa wielkie straszne nietoperze.

Gapiąc się na nie szeroko otwartymi ze zdumienia oczami Bradley rozumiał, że cała jego inteligencja, cała nabyta w ciągu wielu lat obserwacji i doświadczeń wiedza na nic się zdadzą wobec niezaprzecznego faktu: skrzydła tych stworzeń nie były konstrukcjami mechanicznymi, ale – podobnie jak ręce i nogi – naturalnymi kończynami wyrastającymi z łopatek. Zauważył też, że gdyby nie skrzydła, para ta przypominałaby bardzo istoty ludzkie, tyle że ukształtowane w nader groteskowy sposób.

Gdy tak patrzył, jeden ze stworów obudził się, rozdzielił skrzydła uwalniając ręce, które trzymał złożone na piersiach, oparł się dłońmi o podłogę, opuścił nogi i stanął prosto. Dobrą chwilę rozprostowywał powoli swoje wielkie skrzydła mrugając z namaszczaniem ogromnymi okrągłymi oczyma. Potem jego wzrok padł na Bradleya.

Cienkie wargi rozsunęły się przywierając ściśle do pożółkłych zębów w stanowczo odrażającym grymasie. Trudno było nazwać go uśmiechem i Anglik nie mógł dociec, jaką miał wyrażać emocję.

Nieruchomego spojrzenia wielkich okrągłych oczu nie maćił żaden wyraz; na ziemistych, zapadniętych policzkach nie było śladu rumieńca. Grymas tej trupiej główki kojarzył się z uśmiechem nieboszczyka wystawiającego czaszkę obciążoną wysuszoną na pergamin skórą ze starego grobu.

Stwór był wzrostu przeciętnego człowieka, ale wystające o całą stopę ponad jego łysą głowę stawy długich skrzydeł sprawiały, że wydawał się o wiele wyższy. Obnażone ramiona były długie i muskularne, zakończone silnymi, kościstymi dłońmi z palcami przypominającymi pazury czy wręcz szpony. Biała, wykonana z cienkiej tkaniny szata, którą miał na sobie, rozstępowała się na przodzie odsłaniając chude nogi i zdradzając fakt, że stanowi jedyną część garderoby stwora. Nie przysłaniane przez szatę części ciała były, od stóp poczynając, a na czubku głowy kończąc, zupełnie pozbawione owłosienia i zauważywszy to Bradley po raz pierwszy uświadomił sobie przyczynę pozornego braku ekspresji w twarzy tej istoty – nie posiadała ani brwi, ani rzęs. Małe uszy przylegały ściśle do czaszki, która była zdecydowanie okrągła, pomimo płaskości samego oblicza. Stwór miał małe stopy, pięknie sklepione i pulchne, ale tak kontrastujące z innymi atrybutami fizycznymi, że aż wyglądały śmiesznie.

Przez chwilę stwór mierzył Bradleya wzrokiem, po czym podszedł do niego.

– Skąd jesteś? – spytał.

– Z Anglii – odparł zdawkowo Bradley.

– Gdzie ta Anglia i co to takiego? – dociekał pytający.

– To kraj daleko stąd – wyjaśnił Anglik.

– Jesteście ludźmi *cor-sva-jo* czy *cos-ata-lu*?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odparł szczerze Bradley. – A może ty odpowiedziałbyś mi teraz na parę pytań? Kim jesteście? Co to za kraina? Po co mnie tutaj sprowadziliście?

Na twarzy stwora ponownie pojawił się charakterystyczny grobowy wyraz.

– Nazywamy się Wieroo. Naszym ojcem jest Luata. Do nas należy Caspak. Nasza kraina, w której się teraz znajdujemy, nosi nazwę Oo-oh. Sprowadziliśmy cię tu po to, by (dosłownie) Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty mógł cię obejrzeć i przesłuchać. On już będzie wiedział, skąd przybywasz i po co, a przede wszystkim, czy jesteś *cos-ata-lu*.

– A jeśli nie jestem tym *cos*, czy jak tam nazywacie to zatracone zwierzę, to co?

Skrzydła Wieroo drgnęły w bardzo ludzkim geście wzruszenia ramionami i machnięciem kościstych szponów, osobnik wskazał na ludzkie czaszki podpierające sufit. Gest był wymowny, ale stwór uzupełnił go jeszcze uwagą:

– I niewykluczone, że czeka cię to, nawet jeśli nim jesteś.

– Jak na razie, jestem głodny – warknął Bradley.

Wieroo ruchem ręki wskazał na drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem i przepuścił Bradleya przodem na drugi dach znajdujący się o poziom niżej od tego, na którym wylądowali nad ranem. W świetle dnia miasto wyglądało jeszcze szczególnie niż w blasku księżycowej poświaty, chociaż już nie tak niesamowicie i nierealnie. Wszędzie piętrzyły się domy najprzeróżniejszych wielkości i kształtów, zupełnie jakby budowało je dziecko z klocków o nieregularnych wymiarach i rozmaitych kolorach. Bradley zauważył teraz, że występują tu jednak swego rodzaju ciągi komunikacyjne, które można by na upartego nazwać ulicami czy alejkami, z tym że biegingy one dzikimi zygzakami i zakosami, nigdy nie prowadząc prosto do celu i kończąc się zawsze na ślepej ścianie domu, który w poprzek drogi wybudował sobie jakiś Wieroo.

Na każdym budynku stała smukła kolumna zwieńczona ludzką czaszką. Raz kolumny te wznosiły

się w jednym narożniku dachu, innym razem w drugim, to znów wyrastały po jego środku lub w pobliżu środka i były rozmaitych wysokości, od równych wzrostowi człowieka do takich, które liczyły nawet dwadzieścia stóp. Czaszki były z zasady pomalowane – na niebiesko, na biało lub w kombinacji tych dwóch kolorów. Najefektowniej wyglądały te niebieskie z białymi zębami i białymi obwódkami wokół oczodołów.

Były tu jeszcze inne czaszki – tysiące, dziesiątki, setki tysięcy czaszek. Obramowywały okapy każdego domu, tkwiły w tynku zewnętrznych ścian, zaś niedaleko od miejsca, w którym stał Bradley, wznosiła się okrągła wieża zbudowana wyłącznie z ludzkich czaszek. A miasto rozciągało się we wszystkie strony, jak daleko Anglik sięgał wzrokiem.

Wszędzie wokół kręcili się po dachach albo przelatywali w powietrzu Wieroo. Posępny łopot ich skrzydeł to wznosił się, to opadał niczym uroczysta pieśń pogrzebowa. Większość odziana była, podobnie jak jego porywacze, w biel; ale byli i tacy, u których dostrzegało się czerwone, niebieskie albo żółte znaki na przedzie tuniki.

Przewodnik wskazał na wejście do budynku stojącego w zaułku pod nimi.

– Idź tam i posil się – polecił – a potem wracaj. I tak nie uciekniesz. Jeśli ktoś cię zagadnie, mów, że należysz do Fosh-bal-soja. Zejdź tamtędy. – I tym razem pokazał Bradleyowi na koniec drabiny sterczący ponad okapem pobliskiego dachu. Potem odwrócił się i wszedł z powrotem do budynku.

Bradley rozejrzał się dookoła. Nie, nie da rady stąd uciec, to raczej pewne. Miasto zdawało się nie mieć końca, a za jego granicami rozciągała się jeśli nie pierwotna głusza rojąca się od dzikich bestii, to szerokie śródlądowe morze pełne straszliwych potworów. Nic dziwnego, że porywacz bez obawy dał mu swobodę poruszania się po Oo-oh – Bradley był ciekaw, czy tak nazywa się cała kraina, czy tylko miasto, i czy na wyspie znajdują się jeszcze inne podobne osiedla.

Zszedł niespiesznie po drabinie na pozornie wyludniony zaułek wybrukowany czymś, co wyglądało na wielkie, obłe kocie łby. Przyjrzał się lepiej gładkiemu, wydeptanemu chodnikowi i smutny uśmiech przemknął mu przez twarz: zaułek wybrukowany był czaszkami. Miasto Ludzkich Czaszek, pomyślał Bradley. Muszą gromadzić je od czasów Adama. Przeszedł na drugą stronę i wkroczył do budynku przez wskazane mu wejście.

Znalazł się w wielkiej sali wypełnionej przez Wieroo siedzących przed wydrążonymi w środku podwyższeniami przypominającymi baseny fontann powszechnie spotykanych na trawnikach przedmieść, w których lubią gasić pragnienie ptaki. Z każdego z czterech boków tych podwyższeń sterczało siedzenie – zwyczajna płaska deska z podpórką biegnącą skosem od jej zewnętrznej krawędzi do podstawy podwyższenia.

Kilku Wieroo dostrzegło wchodzącego Bradleya i po sali rozszedł się smętny poszept. Czy oznaczał on powitanie, czy pogrózkę, tego Bradley nie wiedział. Nagle z ciemnej niszy wypadł jeszcze jeden Wieroo.

– Ktoś ty? – wydarł się. – Czego tu chcesz?

– Przysłał mnie tu Fosh-bal-soj, żebym się posilił – odparł Bradley.

– Należysz do Fosh-bal-soja? – spytał tamten.

– Jemu przynajmniej tak się wydaje – mruknął Anglik.

– Jesteś *cos-ata-lu*? – pytał dalej Wieroo.

– Daj mi coś do zjedzenia, bo za chwilę będę tym wszystkim naraz – stęknął Bradley.

W oczach Wieroo pojawiła się iskierka zaintrygowania.



– Siadaj tutaj, *jaal-lu* – warknął i Bradley usiadł nieświadom faktu, że nazwano go obelżywie człowiekiem-hieną, co na Caspak było wyrazem pogardy.

Wieroo wskazał mu miejsce przy nie zajęтым przez nikogo podwyższeniu, i siedząc tak, niepewny, co się dalej będzie działo, Bradley rozglądał się po najbliższym otoczeniu. Zauważył, że zagłębienie każdego „stolika” wypełnione jest obficie jakąś potrawą i że każdy Wieroo siedzi uzbrojony w drewniany, zaostrowany na końcu szpikuliec, którym przenosi do ust twarde porcje pożywienia. Do drugiego końca szpikulca przymocowana była mała muszla małża. Służyła do nabierania mniejszych i bardziej miękkich składników dania spożywanego przy każdym stole z jednego zagłębienia przez wszystkich czterech siedzących przy nim biesiadników. Wieroo pochylali się nisko nad jedzeniem, czerpali je zachłannie i hałaśliwie swoimi niby-łyżkami, a czynili to w takim pośpiechu, że część niesionej do ust porcji spadała zawsze z powrotem do wspólnej miski; a kiedy któryś zachłysnął się na skutek zachłanności, gubił wszystko, co udało mu się zaczerpnąć. Bradley był rad, że przy swoim podwyższeniu siedzi sam.

Karczmarz wrócił wkrótce z drewnianą misą pełną pożywienia. Wywalił całą jej zawartość do „koryta”, jak Bradley zdążył nazwać w myślach zagłębienie swojego stołu. Anglik był rad, że nie widzi wnętrza mrocznej niszy ani nie zna składników piętrzącej się przed nim brei, bo był bardzo głodny.

Po pierwszej łyżce ochota do krytycznego badania zawartości miski przeszła mu jeszcze bardziej, stwierdził bowiem, że danie jest wyjątkowo smakowite. Składała się na nie mieszanina mięsa, owoców, warzyw, małych rybek i czegoś jeszcze, czego nie potrafił zidentyfikować, a wszystko to przyrządzano w taki sposób, że efekt był tyleż zaskakujący, co wyśmienity.

Bradley wymiół koryto do czysta i dopiero teraz zaświtało mu w głowie pytanie, kto będzie regulował rachunek. Czekał na powrót właściciela skracając sobie czas dokonując bliższych oględzin miski, z której jadł, i podpierającego podwyższenia. Stół był kamienny, wytarty od długotrwałego użytkowania, z wgłębieniami na czterech zewnętrznych krawędziach wypolerowanych na błysk od dotyku niezliczonych ciał Wieroo opierających się o nie od tak dawna, że Bradley nawet nie próbował odgadnąć od kiedy. Wszystko tutaj nosiło znamię wiekowej starości. Rzeźbione podwyższenia były poczerniałe, drewniane siedzenia wgłębione, posadzka z kamiennych płyt wypolerowana, kto wie, czy nie milionami bosych stóp i wydeptana w przejściach pomiędzy podwyższeniami, tak że te ostatnie spoczywały na małych kamiennych groblach wznoszących się kilka cali ponad poziom całej podłogi.

W końcu, widząc, że nikt do niego nie podchodzi, by zainkasować należność, Bradley wstał i ruszył w stronę wyjścia. Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał głos wołającego za nim gospodarza:

– Wracaj, *jaal-lu* – wrzasnął Wieroo i Bradley posłuchał.

Podchodząc do stwora, stojącego teraz za wielkim podwyższeniem o płaskim blacie przy wejściu do niszy, dostrzegł, iż na gładkiej powierzchni leży coś, na widok czego nieomal dech mu zaparło ze zdumienia. Było to coś zwyczajnego i pospolitego, a właściwie byłoby takie chyba wszędzie na świecie, tylko nie na Caspak – kwadratowy arkusik papieru.

A na nim widniało mnóstwo zapisanych maczkiem wprawna ręką dziwnych hieroglifów! Zatem owe nadzwyczajne istoty potrafiły się posługiwać zarówno językiem mówionym, jak i pismem, i oprócz tkactwa posiadały też sztukę wyrobu papieru. Czy to możliwe, aby tak groteskowe stworzenia reprezentowały w granicach Caspak wysoką kulturę rasy ludzkiej? Czy to selekcja naturalna w ciągu

niezliczonych stuleci istnienia życia na Caspak doprowadziła do powstania skrzydlatej potworności, która reprezentuje aktualny szczyt ewolucji człowieka na Ziemi?

Bradley zaobserwował już trochę oczywistych przejawów stopniowej ewolucji od małpy do człowieka-Włócznika na przykładzie kilku współistniejących ras, takich jak Alu, Maczugowcy i Toporowcy, które stanowiły ogniwa pośrednie pomiędzy dwiema wymienionymi skrajnościami. Słyszał o ludziach Kro-lu i Galu, mających opinię jeszcze wyżej postawionych na drabinie ewolucji, i teraz miał przed sobą niezaprzeczalny dowód istnienia rasy posługującej się wynalazkami cywilizacji o eony całe wyprzedzającej Włóczników. Nawet krótkie zastanowienie się nad wynikającymi z tego konsekwencjami prowadziło do spekulacji przypominających swą niesamowitością szalone wizje narkotyczne.

Rozważania te przerwał mu Wieroo wyciągając doń rękę, w której trzymał pióro z kości przytwierdzone do drewnianej oprawki, i dając jednocześnie znak, że Bradley ma nim pisać na papierze. Z beznamiętnej twarzy Wieroo trudno było odczytać, co roi się w umyśle tej istoty, ale Bradley nie mógł się oprzeć wrażeniu, że stwór obrzuca go pogardliwym spojrzeniem, zupełnie jakby chciał powiedzieć: Ma się rozumieć, że nie potrafisz pisać, ty żałosna, nikczemna kreaturo; ale możesz przynajmniej postawić krzyżyk.

Bradley wziął pióro i napisał wyraźnie, wielkimi literami: „John Bradley, Anglia.” Ujmując arkusik papieru i z niedowierzaniem połączonym z zaskoczeniem oglądając skreślone na nim słowa, Wieroo wyglądał na zbitego z tropu. Nie rozumiał, oczywiście, co oznaczają te dziwne znaki, ale wyraźnie przyjmował je za dowód, że Bradley umie pisać, bo przy notatce Anglika postawił kilka swoich znaczków.

– Przyjdiesz tu znowu zaraz po tym, jak Lua skryje swe oblicze za wielkim urwiskiem – oznajmił stwór – chyba że wcześniej zostaniesz wezwany przez Tego, Który Przemawia w Imieniu Luaty, ale wtedy nie będziesz już musiał nigdy jeść.

Przyjemniaczek, pomyślał Bradley odwracając się i wychodząc z budynku.

Na zewnątrz czekało kilku Wieroo, którzy wcześniej posilali się przy podwyższeniach w środku. Otoczyli go natychmiast, zasypując gradem pytań, szarpiąc za ubranie, dotykając pasa z nabojami i pistoletu. Zachowywali się zupełnie inaczej niż w sali jadalnej i Bradley zorientował się z czasem, że dom posiłków jest dlań azylem, ponieważ rygorystyczne prawa Wieroo zakazują wszczynania zwad w takich murach. Teraz byli napastliwi i groźni; unosili się wokół niego na nie całkiem rozpostartych skrzydłach, zagradzając mu drogę do drabiny prowadzącej na dach, z którego zszedł, ale Anglik nie należał do tych, którzy potrafią długo znosić zaczepki. Najpierw usiłował się między nimi przeciskać, ale kiedy któryś złapał go za ramię i szarpnął brutalnie do tyłu, Bradley odwrócił się natychmiast twarzą do stwora i powalił go potężnym ciosem w szczękę.

W jednej chwili rozpętało się istne piekło. Pod niebo wzbilo się głośnie wycie, wielkie skrzydła rozwijały się i zamykały z ogłuszającym trzepotem i wyciągnął się ku niemu gąszcz szponiastych rąk. Bradley rozdzielał razy na prawo i lewo. Nie ważył się użyć pistoletu z obawy, że kiedy odkryją moc drżącą w broni palnej, będzie musiał ulec liczebnej przewadze i rozstać się z tym, co uważał za swoją atutową kartę, którą zamierzał trzymać w rękawie aż do ostatniej chwili i wyciągnąć dopiero podczas ucieczki, bowiem Anglik, chociaż bez większego przekonania, planował już podjęcie takiej próby.

Po zadaniu kilku ciosów Bradley przekonał się, że Wieroo są skończonymi tchórzami i że nie noszą przy sobie żadnej broni, bo kiedy pod jego pięściami padło dwóch czy trzech, pozostali

odsunęli się na bezpieczną odległość i uformowawszy wokół niego krąg poprzestawali na wykrzykiwaniu pod jego adresem pogróżek i obrzucaniu go obelgami, podczas gdy ci, których powalił, leżeli na chodniku nie próbując nawet się podnieść, za to jęcząc i lamentując żalonym chórem.

Bradley ruszył ponownie w stronę drabiny i tym razem krąg Wieroo rozstąpił się przed nim; dopiero kiedy mężczyzna wspiał się kilka szczebli, złapano go za stopę usiłując ściągnąć z powrotem na ziemię. Anglik, przytrzymawszy się mocno drabiny obiema rękami, zerknął w dół, podkurczył wolną nogę i ze wszystkich sił wpakował ciężki bucior prosto w płaską gębę trzymającego go Wieroo. Stwór, skrzecząc straszliwie, złapał się obiema dłońmi za twarz i osunął na ziemię, natomiast Bradley jął szybko pięć się w górę pokonując resztę szczebli, jakie pozostały mu do dachu. Ale zanim dotarł do szczytu drabiny, donośny łopot skrzydeł w dole ostrzegł go, że Wieroo wzbijają się w ślad za nim w powietrze. W chwilę później, gdy biegł do mieszkania, w którym spędził wczesnoporanne godziny po przybyciu tutaj, kłębili się już nad jego głową.

Od szczytu drabiny do wejścia nie było daleko i Bradley dotarł już niemal do celu, kiedy raptem drzwi rozwarły się z impetem i na dach wyszedł Fosh-bal-soj. Ścigający Bradleya Wieroo zażądali natychmiast ukarania *jaal-lu*, który tak ciężko ich poturbował. Fosh-bal-soj wysłuchał ich skarg, po czym wyciągając błyskawicznie prawą rękę pochwycił Bradleya za kark i wrzucił do mieszkania przez otwarte drzwi, tak że biedak rozciągnął się jak długi na podłodze izby.

Atak był tak szybki, a siła Wieroo tak zadziwiająca, że zaskoczony Anglik nie zdążył przedsięwziąć nic w swojej obronie. Kiedy podniósł się z ziemi, drzwi były już zamknięte, a Fosh-bal-soj stał nad nim z odrażającą twarzą wykrzywioną w wyrazie wściekłości i nienawiści.

– Hiena, wąż, jaszczurka! – wrzasnął. – Śmiesz dotykać swoimi nikczemnymi, nędznymi, plugawymi łapskami Wieroo, świętych wybrańców Luaty, choćby to byli najniżej postawieni z nich?!

Bradley był wściekły, odpowiedział więc bardzo cichym, spokojnym głosem, podczas gdy nikły półuśmiech igrał mu na ustach, ale w jego zimnych, szarych oczach nie było nawet cienia uśmiechu:

– Za to, co mi przed chwilą zrobiłeś – powiedział – ukatrupię cię. – I nie skończywszy jeszcze mówić skoczył Fosh-bal-sojowi do gardła.

Drugiego Wieroo, który spał, kiedy Bradley wychodził z mieszkania, nie było i znajdowali się w izbie sami. Fosh-bal-soj nie okazał się takim tchórzem jak ci, którzy zaatakowali Bradleya w zaułku, ale stało się tak być może dlatego, że niewiele miał po temu okazji, bo nim zdążył krzyknąć, Bradley trzymał go już za gardło, a prawą ręką walił z całych sił w twarz i w serce – groźnymi, druzgocącymi, krótkimi ciosami, które szybko wybijają z człowieka chęć do walki.

Ale Fosh-bal-soj ani myślał biernie czekać na śmierć. Drapał Bradleya i okładał go pięściami usiłując przy tym osłonić się wielkimi skrzydłami przed gradem bezlitosnych ciosów i jednocześnie chwycić swego prześladowcę za gardło. W pewnym momencie udało mu się podstawić Anglikowi nogę, obaj runęli ciężko na podłogę i Wieroo zacisnął momentalnie swoje długie szpony na tchawicy Bradleya, który znalazł się na spodzie.

Fosh-bal-soj odznaczał się nadzwyczajną siłą, a do tego walczył o swe życie. Anglik szybko zdał sobie sprawę, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę Wieroo. Kiedy sięgał po pistolet, płuca pulsowały mu już boleśnie z braku powietrza. Z wielkim trudem wyszarpnął broń z kabury, ale i w tym dramatycznym momencie, zaglądając śmierci w oczy, myślał o swojej bezcennej amunicji. Nie można jej marnować, kołatało mu się w głowie; przesunawszy zatem palce na lufę uniósł pistolet i ze straszliwą siłą dzielił Fosh-bal-soja rękojęścią między oczy. Ucisk szponiastych paluchów na

krtań natychmiast zelżał i stwór osunął się bezwładnie na podłogę obok Bradleya, który leżał jeszcze przez kilka minut, chwytając spazmatycznymi haustami powietrze i usiłując odzyskać oddech.

Przyszedłszy trochę do siebie, wstał i pochylił się nisko nad Wieroo, który leżał cicho i nieruchomo z oklapłymi skrzydłami, wpatrując się tępo wielkimi okrągłymi oczami w sufit. Pobieżne oględziny przekonały Bradleya, że stwór nie żyje i to przekonanie nappełniło go przytłaczającym przecuciem niebezpieczeństwa, jakiemu będzie teraz musiał stawić czoło. Ale jak się teraz stąd wydostać?

Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to znaleźć jakiś sposób na zatarcie śladów popełnionego przez siebie czynu i dopiero potem podjąć zuchwałą próbę ucieczki. Podszedł do drugich drzwi, pchnął je lekko i zajrzał do znajdującego się za nimi pomieszczenia. Wyglądało na magazyn. Walały się tam w nieładzie wielkie ilości tego samego materiału, z jakiego krojono tuniki Wieroo. Bradley zobaczył też tam sporo skrzyń pomalowanych na niebiesko i na biało, przy czym na skrzyniach niebieskich widniały pociągnięte grubą krechą hieroglify białe, a na skrzyniach białych – niebieskie. W jednym z kątów piętrzył się stos ludzkich czaszek niemal sięgający sufitu, a w drugim kupa zasuszonych skrzydeł Wieroo. Podobnie jak inne pomieszczenia, i to kształt miało nieregularny, a na przeciwległej ścianie znajdowało się jedno jedyne okno oraz drugie drzwi, natomiast brakowało wyjścia na dach. Co jednak najważniejsze, nie było tam żywego ducha.

Najszybciej, jak tylko potrafił, Bradley przeciągnął martwego Wieroo przez próg i zamknął drzwi; potem rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby ukryć trupa. Jedna ze skrzyń była wystarczająco obszerna, by pomieścić ciało, jeśli zgięłoby mu się nogi w kolanach, i z tą myślą Bradley podszedł do kufra, żeby go otworzyć. Wieko składało się z dwóch połówek zamocowanych na zawiasach do przeciwległych boków skrzyni i tak precyzyjnie dopasowanych, że pośrodku, tam gdzie się spotykały po zamknięciu, pozostawała ledwie widoczna szczelina. Zamka nie było żadnego. Bradley uniósł jedną połowę wieka i zajrzał do środka. Z przyciszonym „na Jowisza!” pochylił się niżej, żeby lepiej przyjrzeć się zawartości. Skrzynię wypełniały do połowy rozmaite złote ozdoby – wykonane ze szczerego złota bransolety, naszyjniki i brosze.

Widząc, że w tej skrzyni ciało Wieroo już się nie zmieści, Bradley odwrócił się, by poszukać innego zakamarka na ukrycie dowodu swej zbrodni. Między skrzynią a ścianą pozostawało trochę wolnego miejsca i tam właśnie wepchnął trupa przywalając go następnie porozrzucanymi wszędzie opończami, aż przestał być pod nimi widoczny. Ale jak teraz wymknąć się stąd niepostrzeżenie w pełnym blasku wczesnowiosennego dnia?

Podszedł do drzwi w drugim końcu izby i uchylił je ostrożnie o cal. Przed sobą, w odległości jakichś dwóch stóp, ujrzał ślepa ścianę drugiego budynku. Otworzył drzwi trochę szerzej i rozejrzał się na boki. Na rozległym dachu po lewej w polu widzenia nie było nikogo, a po prawej widok przesłaniał inny budynek wznoszący się w odległości mniej więcej dwudziestu stóp. Wyślizgnąwszy się za próg postąpił kilka kroków w prawo i natrafił na wąskie przejście między dwoma budynkami. Skręcił w nie i będąc już w połowie drogi zatrzymał się jak wryty na widok jakiegoś Wieroo, który pojawił się właśnie w przeciwległym końcu. Stwór co prawda nie patrzył w przejście, ale w każdej chwili mógł skierować wzrok w tę stronę, a wtedy od razu odkryłby obecność Anglika.

W ścianie budynku po lewej stronie Bradleya znajdowała się trójkątna nisza. Uskoczył w nią schodząc Wieroo z pola widzenia. Znalazł się przed drzwiami pomalowanymi na jaskrawożółty kolor i skonstruowanymi tak samo, jak inne drzwi Wieroo, które do tej pory widział, a mianowicie z wąskich drewnianych listew o długości od czterech do sześciu cali ułożonych jedna przy drugiej

w kwadraty, przy czym listwy tworzące sąsiednie kwadraty nigdy nie bieły w tym samym kierunku. Powstała w ten sposób płyta drzwi przypominała trochę pikowaną kołdrę zszytą bez ładu i składu z łątek różnej wielkości, a skojarzenie to przybierało na sile, kiedy poszczególne kwadraty były pomalowane na różne kolory. Listwy łączono ze sobą i ze szkieletem drzwi chyba za pomocą łyka, a ponadto spajano wszystko klejem. Później na drewno nakładało się warstwę farby. Jedną z pionowych krawędzi drzwi stanowił prosty okrągły kij o średnicy około dwóch cali, wystający od góry i od dołu, a te wystające końce wchodziły w okrągłe otwory w nadprożu i progu tworząc oś, na której drzwi się obracały. Kiedy chciało się zapobiec otwarciu drzwi przez intruza, wystarczało wsunąć w szczelinę we framudze krążek zamocowany mimośrodowo na wewnętrznej powierzchni drzwi.

Bradley przywarł do muru zamierzając zaczekać, aż Wieroo odejdzie, i nagle usłyszał szelest ocierających się o ściany budynków skrzydeł stwora, który zdążył wąskim przejściem w jego kierunku. Ponieważ jedyną drogę ratunku stanowiły żółte drzwi, Anglik zdecydował się zaryzykować bez względu na to, co może się za nimi znajdować. Popchnął je więc energicznie do środka, przekroczył próg i znalazł się w małej izdebce.

Uczyniwszy to usłyszał stłumiony okrzyk zaskoczenia. Spoglądając w kierunku, z którego ten dźwięk go dobiegł, ujrzał dziewczynę; z szeroko rozwartymi oczami i wyrazem niedowierzania na twarzy przywarła do ściany naprzeciwko. Na pierwszy rzut oka Bradley zorientował się, że nie należy ona do żadnej z ludzkich ras, z jakimi zdążył się zetknąć od czasu swego przybycia na Capronę – w jej sylwetce i rysach twarzy nie było śladu jakichkolwiek związków z ludźmi niższego rzędu, nie była też odziana na ich modłę, a należałoby raczej powiedzieć: nie była odziana tak skąpo, jak większość z nich.

Miękko wyprawiona skóra spływała z jej lewego ramienia sięgając trochę poniżej biodra z jednej strony i niemal do prawego kolana z drugiej, talię otaczał luźny pas, na ramiona i nogi nasunięte miała złote ozdobne obręcze, jakie Bradley widział w niebiesko-białej skrzyni, natomiast włosy nad czołem przytrzymała złota opaska z trójkątnym diademem pośrodku. Skórę miała dziewczyna białą, jakby od dawna pozostawała w zamknięciu, ale przy tym czystą i delikatną. Figura, tylko częściowo maskowana miękką skórą jelenia, była ideałem symetrycznych krągłości i młodzieńczej gracji, a rysów twarzy mogła jej z powodzeniem pozazdrościć większość obnoszonych na rękach kontynentalnych piękności.

Jeśli dziewczynę zaskoczyło nagle pojawienie się Bradleya, to ten ostatni był kompletnie osłupiały natrafiając na tak cudowną istotę pośród ohydnych mieszkańców Miasta Ludzkich Czaszek. Przez chwilę gapili się na siebie nie ukrywając zmieszania, po czym Bradley, wykorzystując najlepiej jak potrafił swoją mizerną znajomość uniwersalnego caspakijskiego języka, pierwszy przerwał milczenie:

– Kim jesteś – zapytał – i skąd pochodzisz? Tylko mi nie mów, że jesteś Wieroo.

– Nie – odparła – nie jestem Wieroo. – I wymawiając to słowo wzdrygnęła się nieznacznie. – Jestem Galu, ale kim jesteś ty? Jestem pewna, że nie Galu, bo inaczej się ubierasz, ale pod innymi względami jesteś do Galu podobny. Wiem, że nie pochodzisz z tego straszego miasta, bo przebywam już w nim od prawie dziesięciu księżyców i przez ten czas ani razu nie widziałam, aby sprowadzono tu jakiegoś mężczyznę z rasy Galu, a z takich jak ty i ja nie ma tutaj nikogo prócz więźniów krainy Oo-oh, ci zaś to same kobiety. Czy jesteś zatem więźniem?

Pokrótkie opowiedział jej o sobie, chociaż wątpił, czy cokolwiek z tego zrozumiała, a od niej

z kolei dowiedział się, że jest od wielu miesięcy uwięziona, ale z jakiego powodu, nie zdążył już usłyszeć, bo w trakcie ich rozmowy żółte drzwi rozwarły się i do izby wszedł Wieroo w opończy z żółtym pasem biegnącym przez pierś.

Na widok Bradleya stwór wpadł w szal.

– Skąd tu się wziął ten gad? – wrzasnął do dziewczyny. – Jak długo tu już jest?

– Wszedł drzwiami, tuż przed tobą – odpowiedział za dziewczynę Bradley.

Wieroo odetchnął z ulgą.

– To dobrze dla dziewczyny – powiedział – bo w takim razie tylko ty umrzesz. – I podchodząc do drzwi stwór wydał z siebie owo znane już Bradleyowi niesamowite, przygnębiające wycie.

Anglik zerknął na dziewczynę.

– Mam go zabić? – spytał wysuwając do połowy pistolet z kabury. – Co będzie dla ciebie najlepsze? Nie chcę cię narażać na przykrości.

Wieroo odwrócił się plecami do drzwi.

– O, ty skunksie! – wrzasnął. – Śmiesz grozić jednemu ze świętych wybrańców Luaty?!

– Nie zabijaj go – krzyknęła dziewczyna – bo wtedy nie będzie już dla ciebie żadnej nadziei.

Fakt, że jesteś tu i żyjesz, świadczy, że może wcale nie zamierzają cię zabić, a zatem masz jeszcze szansę, o ile ich nie rozgniewasz. Jeśli jednak go tkniesz, twoja zbielala czaszka ozdobi najwyższy postument w Oo-oh.

– A co z tobą? – spytał Bradley.

– Dla mnie nie ma już ratunku – odparła dziewczyna. Jestem *cos-ata-lo*.

*Cos-ata-lo! Cos-ata-lu!* Co za znaczenie miały te zwroty, że mieszkańcy Oo-oh często je powtarzali? Bradley wiedział, że *lu* i *lo* znaczą „mężczyzna” i „kobieta”; słowo *ata* miało kilka różnych znaczeń i zależnie od kontekstu oznaczało życie, jajo, młodego osobnika, rozmnażanie i pokrewieństwo; zaś słowo *cos* wyrażało negację. Ale kombinacja tych trzech słów była dla Bradleya zupełnie niezrozumiała.

– Chcesz przez to powiedzieć, że cię zabijają? – spytał Bradley.

– Pragnęłabym tego – odparła dziewczyna. – Mój los będzie gorszy od śmierci, a dopełni się za kilka nocy, wraz z nadejściem nowego księżyca.

– Ty nikczemna zmijo! – warknął Wieroo. – Staniesz się świętą wywyższoną ponad wszystkie inne samice. Wybrał cię sam Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty. Idziesz dzisiaj do jego świątyni – dosłownie Wieroo użył tu wyrażenia „Wysokie Miejsce” – gdzie odbierzesz święte przykazania.

Dziewczyna wzdrygnęła się i rzuciła Bradleyowi pełne smutku spojrzenie.

– Och – westchnęła – gdybym tak mogła ujrzeć jeszcze kiedyś moją rodzinną krainę!

Zanim Wieroo zdążył zareagować, Bradley postąpił krok, stanął tuż obok dziewczyny i spytał cicho, czy może jej jakoś pomóc w ucieczce. Pokręciła markotnie głową.

– Nawet gdyby udało nam się wydostać z miasta – odparła – to nie przeprawimy się przez wielką wodę, jaka oddziela wyspę Oo-oh od wybrzeża krainy Galu.

– A co jest za miastem, gdyby udało nam się z niego wydostać?

– Mogę się tylko domyślać z tego, co zasłyszałam od czasu, kiedy mnie tu sprowadzono – odparła. – Mówią, że roztacza się tam piękna kraina zamieszkiwana przez zaledwie kilka gatunków dzikich zwierząt i zupełnie bezludna, bo na wyspie żyją sami Wieroo, a oni woła mieszkać w miastach, których jest tutaj trzy. To jest największe. Pozostałe dwa leżą na przeciwległym krańcu wyspy, która ma około trzech marszów od brzegu do brzegu i mniej więcej jeden marsz

w najszerszym miejscu.

Z własnego doświadczenia oraz z tego, co mówili mu tubylcy ze stałego lądu, Bradley orientował się, iż z uwagi na fakt, że szło się przeważnie dzikimi bezdrożami, odpierając przez cały czas ataki strasznych bestii i gadów, co znacznie spowalniało marsz, przebycie dziesięciu mil dziennie uważane jest na Caspak za poważny wyczyn.

Rozmawiali szybko, ale przerwało im nagłe pojawienie się w otworze w dachu kilku Wieroo, którzy przybyli na zew osobnika z żółtym pasem.

– Ten *jaal-lu* – krzyknął „opiekun” dziewczyny – groził mi. Odbierzcie mu topór i umieście szybko tam, gdzie będzie nieszkodliwy, dopóki Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty nie zdecyduje co z nim uczynić. To jedna z tych obcych istot, na które pierwszy natknął się Fosh-bal-soj nad terytorium Band-lu i śledził je, kiedy podążył tam gdzie początek. Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty wysłał Fosh-bal-soja, aby sprowadził mu jedną z tych istot i oto ona. Możliwe, że pochodzi z innego świata i zna tajemnicę *cos-ata-lu*.

Wieroo rzucili się hurmem, by odebrać Bradleyowi „topór”, czyli pistolet zwisający w kaburze u biodra Anglika, na który wskazał ich przywódca, ale pierwszy z napastników, trafiony pięścią w podbródek, odleciał w tył wpadając na swych pobratymców, a Bradley, idąc za ciosem, skoczył za nim z zamiarem błyskawicznego wydostania się z izby. Nie wziął jednak pod uwagę otworu w dachu. Dwóch Wieroo leżało już na podłodze i w izbie rozbrzmiewało wycie i lament, kiedy z góry spłynęły posiłki. Bradley nie zauważył ich i chociaż dziewczyna krzyknęła ostrzegawczo, było już za późno, by Anglik mógł uskoczyć przed ogromnym Wieroo nurkującym nań głową naprzód, uderzającym go między łopatki i powalającym na podłogę. W jednej chwili przykrył Bradleya tuzin innych. Wyszarpnęli mu pistolet z kabury i przygnietli swym ciężarem do ziemi, tak że nie mógł się poruszyć.

Na polecenie Wieroo z żółtym pasem, który to osobnik najwyraźniej był kimś ważnym, jeden ze stworów wyszedł i wrócił zaraz ze sznurami z łyka, którymi Bradley został mocno związany.

– Teraz zanieście go do Błękitnego Miejsca Siedmiu Czaszek – rozkazał ważny Wieroo – a jeden niech pospieszy do Tego, Który Przemawia w Imieniu Luaty i opowie mu o wszystkim, co tu zaszło.

Wszystkie stwory uniosły jak jeden mąż dłonie grzbietem skierowanym ku twarzy, jak gdyby w salucie. Jeden pochwycił Bradleya i wyniósł go przez żółte drzwi na dach, skąd wzbił się w powietrze na szeroko rozpostartych skrzydłach i poleciał nad dachami ściskając w długich szponach swoje ciężkie brzemię.

W dole widział Bradley rozciągające się we wszystkie strony miasto. Nie było tak wielkie, jak mu się wcześniej wydawało, chociaż w jego ocenie zajmowało co najmniej trzy mile kwadratowe. Domy piętrzyły się jeden na drugim w trudne do opisanie piramidy, wysokie niekiedy na dobre sto stóp. Uliczki i alejki były krótkie i kręte, a budynki w wielu miejscach tak stłoczone, że do dolnych poziomów światło nigdy chyba nie docierało.

Kolory były urozmaicone i zaskakujące, a architektura wprawiała w zdumienie. Wiele dachów miało kształt filizanki albo spodka z małym otworem pośrodku, jak gdyby budowano je z myślą o łapaniu deszczówki i doprowadzaniu jej do ukrytego niżej zbiornika, co do pozostałych zaś, w niemal każdym znajdował się duży otwór używany przez tych latających ludzi w charakterze drzwi, o czym Bradley przekonał się już na własne oczy. Ze wszystkich poziomów sterczały w niebo miriady słupów zwieńczonych wyszczerzonymi w śmiertelnym uśmiechu czaszkami, ale do dwóch najbardziej rzucających się w oczy cech charakterystycznych miasta należały okrągła wieża z ludzkich czaszek, którą Bradley zauważył już wcześniej tego dnia i jeszcze jedna, o wiele większa

budowla wznosząca się prawie w środku miasta. Gdy się do niej zbliżyli, Bradley stwierdził, że jest to ogromny gmach wyrastający z poziomego gruntu na sto stóp i że stoi samotnie na otwartej przestrzeni, którą w innej części świata można by nazwać placem. Poszczególne fragmenty budowli łączyły się jednak ze sobą z tą samą dziwną nieregularnością, jaka cechowała architekturę całego miasta. Budowla przykryta była ogromnym spodkowatym dachem, wystającym daleko poza mury, co nadawało jej wygląd kolosalnego odwróconego chińskiego kapelusza.

Wieroo dźwigający Bradleya przeleciał nad narożnikiem otwartej przestrzeni otaczającej wielką budowlę i Bradley ujrzał pod sobą trawę, drzewa i płynący strumień. Minęli budowlę i jakieś pięćset jardów dalej stwór opadł na dach kwadratowego niebieskiego budynku, z którego sterczało siedem słupów zwieńczonych siedmioma czaszkami. A więc to jest owo Błękitne Miejsce Siedmiu Czaszek, pomyślał Bradley.

Wieroo ściągnął kratę przykrywającą otwór w dachu, po czym liną z łyka obwiązał Bradleyowi kostkę u nogi i zepchnął go przez krawędź do otworu. W dole panowały nieprzeniknione ciemności i Anglik był przez chwilę bliski poddania się uczuciu prawdziwego strachu, jakiego jeszcze w życiu nie doświadczył. Lecąc w tę mroczną otchłań poczuł nagle, jak lina zaciska mu się na kostce, a w chwilę później zatrzymał się z raptownym wstrząsem i zwisając głową do dołu zaczął się bujać niczym wahadło. Stwór jął go teraz opuszczać dalej i w końcu głowa Bradleya zetknęła się nagle i boleśnie z podłogą, a wtedy Wieroo zluzował zupełnie linę i ciało Anglika runęło z hukiem na drewniane dechy. Bradley poczuł, jak spada na niego wolny koniec liny i usłyszał zgrzyt zasuwaney na górze kraty.



## Rozdział XX

Po upadku Bradley leżał przez minutę na wpół ogłuszony, a potem powoli, zaciskając zęby z bólu, przyjął mniej niewygodną pozycję. Z początku nic nie widział w otaczającym go mroku i dopiero po kilku minutach, kiedy oczy przywykły do ciemności, rozejrzał się lustrując swoje więzienie.

Stwierdził, że znajduje się w pustym pomieszczeniu nie posiadającym ani okien, ani żadnego innego widocznego otworu poza tym, przez który został tutaj opuszczony. W kącie majaczyła jakaś masa, która mogła być wszystkim, od kupy szmat poczynając, a na czyichś zwłokach kończąc.

Niemal natychmiast po rozejrzeniu się w sytuacji Bradley zabrał się do pracy nad krępującymi go więzami. Był mężczyzną o silnej psychice, a ponieważ od początku przepajała go wiara, że sznury z łyka są za słabe, by nie dał sobie z nimi rady, pracował z przeświadczeniem, że wcześniej czy później zdoła się ich pozbyć. Po jakichś pięciu minutach był już pewien, że więzy krępujące nadgarstki zaczynają ustępować, ale – wyczerpany – musiał zrobić sobie przerwę na odpoczynek.

Kiedy tak leżał, jego oczy znowu spoczęły na bezkształtnym wzgórku w kącie i teraz mógłby przysiąc, że to coś się poruszyło. Leżał wyteżając w ciemnościach wzrok i obserwując przyprawiający o dreszcz grozy złowieszczy obiekt w rogu celi. Być może jego przeciążone nerwy płatały mu głupiego psikusa. Brał pod uwagę zarówno to, jak i fakt, że stan zupełnej bezradności, w jakim się teraz znajdował, może jeszcze bardziej pobudzać wyobraźnię. Zamknął oczy starając się rozluźnić mięśnie i uspokoić nerwy, ale kiedy spojrział ponownie w tamtą stronę, zyskał pewność, że się jednak nie pomylił – obiekt poruszył się; leżał teraz w nieco zmienionym kształcie i dalej od ściany. Był bliżej niego.

Bradley ze zdwojoną energią napał na swe więzy patrząc wciąż na bezkształtny kłęb jak zahipnotyzowany. Nie było już żadnych wątpliwości, że się porusza – uniósł się pośrodku o kilka cali i podpełzł jeszcze bliżej Anglika. Opadł i uniósł się ponownie – bezgłowy, odrażający, potworny stwór czający się w ciemnościach. Już tylko to, że poruszał się bez szmeru, sprawiało, iż wydawał się jeszcze straszniejszy.

Bradley był odważnym mężczyzną, nerwy miał jak ze stali. Ale być zdanym na łaskę i niełaskę nieznanego, bezimiennego straszdyła, niezdolnym do obrony – te okoliczności sprawiały, że zaczynał tracić zimną krew; przecież był tylko człowiekiem. Gdyby wiedział, z kim ma do czynienia, choćby nawet siły były nierówne, gdyby mógł użyć pięści, jakoś się bronić, dołożyć przeciwnikowi, wtedy z uśmiechem na ustach spojrzałby śmierci w oczy. To nie śmierci bał się teraz – paraliżował go strach przed nieznanym, strach, który jest częścią natury każdego syna kobiety.

Bezkształtna masa podpełzała coraz to bliżej i bliżej. Bradley leżał nieruchomo i nasłuchiwał. Co to było?! Oddech? Nie mógł się mylić... I nagle z tej kupy szmat dobiegł głuchy jęk. Bradley poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Mocował się z wolno ustępującymi więzami, które krępowały mu ruchy. Stwór będący już bardzo blisko uniósł się wyżej niż dotąd i Anglik gotów był przysiąc, że

dostrzegł jedno oko łypiące nań spośród wzgórkamiętoszonych gałganów. Kłęb pozostawał przez chwilę w bezruchu i jedynym odgłosem, jaki się z niego wydobywał, był oddech. Potem ryknął szaleńczym śmiechem.

Rozpaczliwie usiłującemu uwolnić się z pęt Bradleyowi zimny pot wystąpił na czoło. Ujrzał, jak szmaty unoszą się nad nim coraz wyżej i w końcu opadają na ziemię z ciała nagiego mężczyzny – chudej, kościstej, odrażającej karykatury człowieka, która bełkocząc coś i mamrocząc zatoczyła się na słabych, rozdygotanych nogach i padła z powrotem na podłogę wciąż zanosząc się dzikim, strasznym rechotem.

Po chwili nieznajomy znów pełzł w stronę Bradleya.

– Jeść! Jeść! – darł się. – Jest stąd wyjście! Jest wyjście!

Dowlókszy się do Bradleya, nieszczęśnik opadł ciężko na jego pierś.

– Jeść! – skrzeczał szukając kościstymi palcami i zębami odsłoniętego gardła Anglika.

– Jeść! Jest stąd wyjście!

Bradley poczuł jego zęby na szyi. Przekreślił się rozpaczliwym szarpnięciem na bok odzyskując na chwilę względną swobodę, ale odrażający osobnik zaraz znów wczepił się w niego jak pijawka. Osłabłe szczęki nie były w stanie wbić tępych zębów w ciało ofiary, ale Bradley czuł, jak próbują, próbują, próbują niczym potworny szczur pragnący dobrać się do krwi, która pozwoli mu przeżyć.

Pomimo wysiłków, jakich nie szczędził Bradley, by uwolnić się od stwora, wychudłe ramiona otoczyły go za szyję, a zęby były coraz bliżej. Stwór, pomimo że osłabiony, w swym szaleńczym dążeniu do nasycenia głodu miał na to wystarczająco dużo siły. Mozoląc się bełkotał bez ustanku: „Jeść! Jeść! Jest stąd wyjście!” i w końcu Bradley pomyślał, że owo mamrotanie wkrótce jego samego doprowadzi do szaleństwa.

Rzeczywiście bliski już obłądu, w ostatnim akcie rozpaczy wspartym siłą desperata, wyrwał wreszcie przeguby z krępujących je więzów, pochwycił przygniatającą mu pierś paskudę i odrzucił od siebie na środek celi. Dysząc ciężko jak zgoniony pies zaczął teraz szarpać pęta krępujące mu kostki nóg, a szaleniec leżał tymczasem tam, gdzie upadł, dygocząc i mamrocząc coś pod nosem. Kiedy po chwili Anglik zerwał się na nogi, czuł się wolniejszy niż kiedykolwiek dotąd, mimo że nadal był więźniem Błękitnego Miejsca Siedmiu Czaszek.

Oslabiony szamotaniną oparł się plecami o ścianę i na stojąco obserwował stwora na podłodze. Widział, jak tamten porusza się, powoli dźwiga na czworaki i kołysząc ciałem w tej pozycji szuka wzrokiem swej niedosłej ofiary; a kiedy wreszcie wypatrzył Bradleya, ze ściągniętych ust wydobyły się bełkotliwe słowa: „Jeść! Jeść! Jest stąd wyjście!” Żalony ton tej prośby ujął Anglika za serce. Orientował się, że to nie Wieroo, ale ktoś, kto być może był kiedyś takim jak on człowiekiem, którego wrzucono do tej jamy, gdzie długie odosobnienie dało skutek, jaki może stać się również jego udziałem.

A poza tym w upartym powtarzaniu słów: „Jest stąd wyjście” tkwiła jakaś sugestia nadziei. Co to za wyjście? Co wiedział ten nieszczęśnik?

– Ktoś ty i jak długo tu jesteś? – spytał surowo Bradley.

Człowiek na podłodze nie odpowiadał przez chwilę, po czym stęknął bełkotliwie: Jeść! Jeść!

– Przestań! – warknął Anglik, a słowo to zabrzmiało w jego ustach jak strzał z pistoletu. Sprawilo, że mężczyzna usiadł podpierając się rękami o ziemię. Przestał się kołysać tam i z powrotem; przestraszony starał się skoncentrować i zebrać myśli.

Bradley powtórzył ostro pytanie.

– Jestem An-Tak z rasy Galu – odparł mężczyzna. – Jeden Luata wie, jak długo tu jestem, może dziesięć księżyców, może dziesięć księżyców po trzykroć. – Był to caspakijski odpowiednik liczby trzydzieści. – Kiedy mnie tu wtrącili, byłem młody i silny. Teraz jestem stary i bardzo słaby. Jestem *cos-ata-lu*, to dlatego nie zabili mnie od razu. Gdybym zdradził im tajemnicę *cos-ata-lu*, wypuściliby mnie, ale jak mogę im powiedzieć to, co wie jeden Luata?

– Co to jest *cos-ata-lu*? – zapytał Bradley.

– Jeść! Jeść! Jest stąd wyjście! – wybełkotał Galu. Bradley podszedł zdecydowanym krokiem do mężczyzny, złapał go za ramiona i potrząsnął nim silnie.

– Powiedz mi – krzyknął – co to jest *cos-ata-lu*?

– Jeść! – zakwilił An-Tak.

Bradley zastanowił się. Nie zabrano mu plecaka. Oprócz brzytwy i noża znajdował się w nim drobny sprzęt oraz trochę suszonego mięsa. Cisnął konającemu z głodu Galu mały pasek tego ostatniego. An-Tak porwał go i pożarł łapczywie. Ten okrucieństwo przyzwyczajenia tchnął weń nowe życie.

– Co to jest *cos-ata-lu*? – ponowił pytanie Bradley. An-Tak próbował mu wyjaśnić. Jego wywód przerywały co chwila nawroty rozkojarzenia, podczas których znowu błagał płacząco o jedzenie i utrzymywał, że „jest stąd wyjście”; ale stanowczy i cierpliwy Anglik wyciągnął wreszcie z niego po kawałku mniej więcej klarowny opis nadzwyczajnego prawa ewolucji rządzącego na Caspak. Znalazł w nim wyjaśnienie tego, czego dotąd nie rozumiał. Dowiedział się, dlaczego wśród caspakijskich plemion, z którymi miał do tej pory do czynienia, nie widział niemowląt ani dzieci, dlaczego każde plemię zamieszkujące tereny bardziej na północ wykazywało wyższy stopień rozwoju niż jego sąsiedzi z południa, dlaczego w skład każdego plemienia wchodziły osobniki o cechach fizycznych i psychicznych z przedziału od najbardziej rozwiniętych rasy stojącej o szczebel niżej od najmniej rozwiniętych rasy znajdującej się o szczebel wyżej na drabinie ewolucji i dlaczego kobiety każdego plemienia zanurzają się każdego ranka na godzinę w ciepłych stawach, w pobliżu których umiejscowione są zawsze obozowiska ich ludu, jak również odkrył, dlaczego przy tych sadzawkach nie dochodzi do ataków zwierząt i gadów.

Dowiedział się, że z wyjątkiem tych, którzy są *cos-ata-lu*, wszyscy przychodzą z Cor-sva-jo, czyli „stamtąd gdzie początek”. Jajo, z którego wykluwają się zrazu w postaci kijanek, składane jest z milionami innych w jednym z ciepłych stawów wraz z trującym serum, którego instynktownie unikają drapieżniki. Ciepły strumień wypływający ze stawu unosi ze sobą niezliczone miliony jaj i kijanek, które dryfując powoli w kierunku morza rozwijają się. Część kijanek wykluwa się z jaj jeszcze w stawie, część w leniwym strumieniu, pozostałe dopiero po znalezieniu się w wielkim śródlądowym morzu. Kijanki wyrastają na ryby albo gady – An-Tak nie był pewien, na co dokładnie – i pod tą postacią, ciągle się rozwijając, płyną daleko na południe, gdzie pośród bagien i nieprzebranych dżungli część z nich przechodzi w stadium zwierząt ziemnowodnych. Zawsze istnieją takie, których rozwój zatrzymuje się na etapie ryby, inne przestają się rozwijać po osiągnięciu stadium gada, natomiast znakomita większość staje się łupem żarłocznym mieszkańców głębin, zanim w ogóle zacznie się rozwijać.

Niewiele jest takich, które ostatecznie stają się małpiatkami, a następnie małpami, czyli przechodzą do stadium uważanego przez Caspakijczyków za właściwy początek ewolucji. Wychodząc zatem z jaja, dany osobnik rozwija się powoli w coraz to wyższą formę życia – tak jak żaba, która powstaje z jaja i przebywa potem rozmaite stadia od rybki ze skrzelami do właściwej żaby oddychającej płucami. Mając to ostatnie na względzie, Bradley stwierdził, że nie jest wcale

trudno uwierzyć w możliwość istnienia takiego właśnie cyklu ewolucji – nie było tu niczego nowego. Dany osobnik, jeśli udało mu się przetrwać, przeistaczał się powoli z małpy w człowieka najniższego rzędu, Alu, a następnie, stopniowo, w Bo-lu, Sto-lu, Kro-lu, by wreszcie stać się Galu. I na każdym z tych etapów w ciepłych stawach rozmaitych ras składane były niezliczone miliony nowych jaj, które spływały do wielkiego śródlądowego morza, by przejść przez podobny proces ewolucji, jakiemu podlegają nasze młode, tyle że poza łonem matki. Cykl caspakijski jest jednak o wiele bardziej brzemienny w skutki, łączy bowiem w sobie nie tylko rozwój indywidualnego osobnika, ale i ewolucję całego gatunku oraz rodzaju. Jajo, jeśli przetrwa, przechodzi przez wszystkie etapy rozwoju, jakie przeszedł człowiek w ciągu niewyobrażalnych eonów, od momentu gdy życie po raz pierwszy zawitało na powierzchnię Ziemi.

Stadium ostateczne – które Galu niemal już osiągnęli i na osiągnięcie którego wszyscy żywią nadzieję – jest *cos-ata-lu*, co znaczy dosłownie „człowiek nie z jaja”, czyli taki, który przyszedł na świat bezpośrednio, tak jak rodzą się ssaki w świecie zewnętrznym. Niektórzy Galu wydają na świat zarówno *cos-ata-lu*, jak i *cos-ata-lo*; Wieroo tylko *cos-ata-lu* – innymi słowy wszyscy rodzący się bezpośrednio Wieroo są płci męskiej, porywają więc kobiety Galu, a czasami również będących *cos-ata-lu* po to, by torturami wydobyć z nich tajemnicę, która, jak uważają, da im nieograniczoną władzę nad wszystkimi innymi mieszkańcami Caspak.

Żaden Wieroo nie przychodzi „stamtąd gdzie początek” – wszyscy rodzą się z ojców Wieroo i matek Galu będących *cos-ata-lo*, a ze względu na długie i pełne niebezpieczeństw stadia rozwoju, tych ostatnich jest bardzo mało. Zanim będzie się mogło narodzić dziecko *cos-ata-lu*, „stamtąd gdzie początek” przyjść musi siedem pokoleń tego samego przodka. A jeśli weźmie się pod uwagę straszne zagrożenia, jakie czyhają na tę iskierkę życia od momentu, kiedy opuszcza ona ciepły staw, gdzie została złożona, by spłynąć do morza pomiędzy żarłocznymi stworzeniami rojącymi się na powierzchni i w głębinach, i podejmowane przez nią równie niewyobrażalne wysiłki, by przetrwać, kiedy już stanie się zwierzęciem lądowym i rusza na północ poprzez pełne niebezpieczeństw caspakijskie dżungle i lasy, to po prostu cud, że z kobiety Galu rodzi się od czasu do czasu dziecko.

Trzeba aż siedmiu cykli, żeby siódmy Galu mógł zakończyć siódmy najeżony przeszkodami krąg po tym, jak stanu Galu dostąpił jego pierwszy przodek tej rasy. Wcześniej przodkowie tego pierwszego Galu mogli się przez wieki całe rozwijać z jaja Band-lu albo Bo-lu, ani razu nie zamykając pełnego koła – to znaczy koła od jaja Galu z powrotem do w pełni rozwiniętego Galu.

Bradley miał z początku mętlik w głowie i nie od razu chwycił zawilności zasad caspakijskiej ewolucji, ale wszystkie zasłyszane informacje zaczynały mu się z wolna układać w logiczną całość – i im lepiej potrafił sobie wyobrazić ten system, tym wydawał mu się on prostszy. Prawdę mówiąc, był on chyba łatwiejszy do pojęcia od tego, który znamy my.

An-Tak zamilkł na kilka minut, jego słaby głos odpłynął w ciszę i Galu już się nie odezwał. Potem jednak podjął swoje „Jeść! Jeść! Jest stąd wyjście!” Bradley cisnął mu kolejny kawałek suszonego mięsa i czekał cierpliwie, aż nieszczęśnik go przeżuje, co tamten czynił tym razem z mniejszą zachłannością.

– Co masz na myśli mówiąc, że jest stąd wyjście? – spytał w końcu Anglik.

– Powiedział mi to ten, który umarł zaraz po moim przybyciu – odparł An-Tak. – Dowiedziałem się od niego, że jest stąd wyjście, że odkrył je, ale był zbyt słaby, by wykorzystać tę wiedzę. Próbował mi powiedzieć, jak je znaleźć, ale nie zdążył. O Luato, gdyby żył choć chwilę dłużej!

– Nie karmią cię tutaj? – spytał Bradley.

– Nie, raz dziennie podają mi wodę i to wszystko.

– No to w jaki sposób przeżyłeś?

– Jaszczurki i szczury – odparł An-Tak. – Jaszczurki nie są takie złe, ale szczury smakują okropnie. Muszę je wszak jeść, bo inaczej one zjedzą mnie, a poza tym lepsze szczury niż nic. Ostatnio przychodzą coraz rzadziej, a już od dawna nie miałem w ustach jaszczurki. Ale się najem – bełkotał. – Teraz się najem, bo nie możesz wiecznie czuwać. – Wybuchnął gardłowym, suchym rechotem. – Jak zaśniesz, An-Tak się naje.

Bradley wzdrygnął się. Siedzieli przez dłuższy czas w milczeniu. Anglik wiedział, czemu tamten się nie odzywa – czekał na chwilę, kiedy sen zmorzy jego ofiarę. Podczas tej przeciągającej się ciszy ucho Bradleya wyłowiło słaby, monotony szmer płynącej wody. Zaczął pilnie nasłuchiwać. Szum zdawał się dochodzić gdzieś z głębi, spod podłogi.

– Co tak szumi? – spytał. – Zupełnie jak woda przepływająca przez wąski kanał.

– To rzeka – odparł An-Tak. – Dlaczego nie kładziesz się spać? Przepływa dokładnie pod Błękitnym Miejscem Siedmiu Czaszek. Płynie przez tereny należące do świątyni, pod samą świątynią i pod miastem. Kiedy umieramy, odcinają nam głowy i wrzucają nasze ciała do rzeki. U jej ujścia czeka mnóstwo wielkich gadów. Żywią się w ten sposób. Podobnie czynią Wieroo z własnymi zmarłymi zatrzymując jedynie czaszki i skrzydła. Spijmy już.

– Czy gady zapuszczają się w górę rzeki pod miasto? – spytał Bradley.

– Woda jest tu zimna; one nigdy nie opuszczają ciepłych wód wielkiego stawu – odparł An-Tak.

– Poszukajmy tego wyjścia – zaproponował Bradley.

An-Tak pokręcił głową.

– Szukałem go od początku przez wszystkie księżyce – powiedział. – Jeśli ja go nie znalazłem, jak może się udać tobie?

Bradley nie odpowiedział, tylko przystąpił do drobiazgowych oględzin ścian i podłogi celi naciskając i opukując każdą stopę kwadratową powierzchni. W pobliżu jednej ze ścian celi, około sześciu stóp nad podłogą, odkrył grzędę do spania. Spytał o nią An-Taka, ale Galu odparł, że od czasu kiedy tu został uwięziony, pomieszczenia nie zajmował żaden Wieroo. Bradley obmacywał dalej podłogę i ściany tak wysoko, jak mógł sięgnąć. Na koniec wywindował się na grzędę, z której mógł zbadać przynajmniej jedną ścianę celi do samego sufitu.

Pośrodku tej ściany, niedaleko jej szczytu, odkrył miejsce o powierzchni około trzech stóp kwadratowych wydające przy opukiwaniu głuchy odgłos. Obmacał tam koniuszkami palców każdy cal. Tuż pod sufitem natrafił na małą okrągłą dziurkę o średnicy nieco większej od palca wskazującego, który natychmiast w nią wepchnął. Kłapa, jeśli była to kłapa, miała chyba jakiś cal grubości, a za nią jego palec natrafił na pustkę. Bradley zaczepił za kłapę zgiętym palcem i pociągnął ją do siebie spokojnie, ale ze znaczną siłą. I nagle kłapa runęła do wewnątrz niemal strącając go na podłogę. Była umocowana na zawiasach wzdłuż dolnej krawędzi, a po opuszczeniu opierała się górną krawędzią o grzędę tworząc małą platformę równoległą do poziomemu podłogi.

Za otworem ziała smolista pustka. Anglik wychylił się na zewnątrz i sięgnął ręką w ciemność najdalej jak mógł, ale nie natrafił tam na nic. Potem pogrzebał w swoim plecaku i znalazł zapalki, których pozostało mu jeszcze kilka. Kiedy zapalił pierwszą, An-Tak wydał okrzyk przerażenia. Bradley wysunął płonąca zapalkę w głąb zięjącego przed nim otworu i w jej migotliwym świetle ujrzał szczyt drabiny opadającej w czarną otchłań otwierającą się w dole. Jak daleko sięgała, nie potrafił stwierdzić, ale był pewien, że niebawem się tego dowie.

– Znalazłeś! Znalazłeś wyjście! – wrzasnął An-Tak. – O Luato! A ja jestem teraz zbyt słaby, żeby iść. Weź mnie ze sobą! Weź mnie ze sobą!

– Zamknij się! – warknął Bradley. – Za minutę będziemy mieli na głowie całe stado tych ptaszysk i żaden z nas nie ucieknie. Ty siedź tu cicho, a ja pójdę przodem. Jeśli znajdę wyjście, wrócę i pomogę ci, ale najpierw obiecaj, że nie będziesz już próbował mnie zjeść.

– Obiecuję! – krzyknął skwapliwie An-Tak. – O Luato! Jak możesz mnie potępiać? Jestem na wpół oszalały z głodu, długiego przebywania w zamknięciu, ze strachu przed jaszczurkami i szczurami i z nieustannego wyglądania śmierci.

– Wiem – powiedział zwyczajnie Bradley. – Żal mi ciebie, stary. Trzymaj teraz gębę na kłódkę. – Iz tymi słowami przeslizgnął się przez otwór, namacał stopą górny szczebel drabiny, zamknął za sobą klapę i zaczął schodzić w mrok.

Z dołu dobiegał coraz wyraźniejszy szum płynącej wody. Powietrze było wilgotne i chłodne. Wokół siebie nic nie widział i nie wyczuwał prócz gładkich, wytartych boków i szczebli drabiny, po której schodził wymacując ostrożnie stopami kolejne poprzeczki w obawie, aby na skutek braku którejś z nich albo złego stąpienia nie runąć w dół.

A ponieważ schodził powoli, drabina zdawała się nie mieć końca, otchłań zaś – dna; dotarłszy tam jednak wreszcie ocenił, że głębokość nie przekracza pięćdziesięciu stóp. Dolny koniec drabiny spoczywał na wąskiej półce wybrukowanej czymś, co kojarzyło się w dotyku z okrągłymi kamieniami, ale doświadczenie podpowiadało Bradleyowi, że to ludzkie czaszki. Zrazu nie mógł się nadziwić, skąd wzięło się tyle niezliczonych tysięcy czaszek, aż doszedł wreszcie do wniosku, że swoją młodość Caspak przeżywało niewątpliwie w zamierzchłych wiekach na długo przed tym, co w świecie zewnętrznym uważane jest za początki ziemskiego czasu. Wieroo mogli przez wszystkie te eony gromadzić czaszki nieprzyjaciół i swoich własnych zmarłych – i uzbierać ich tyle, że wystarczyłoby na zbudowanie całego miasta.

Posuwając się po omacku wzdłuż wąskiej półki Bradley natknął się w pewnym momencie na ślepa ścianę rozciągającą się nad wzburzoną wodą jak daleko mógł sięgnąć. Kiedy pochylił się i opuścił rękę, dotknął powierzchni wody, z czego wywnioskował, że ściana tworzy łukowate sklepienie nad strumieniem. Trudno było stwierdzić, jaka odległość dzieli powierzchnię wody od szczytu tego sklepienia ani jak głębokie jest koryto. Mógł się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób, a mianowicie wskoczyć w nurt. Wahał się tylko przez chwilę, szacując swoje szanse. Tam, skąd przyszedł, czekał go niemal na pewno straszny los An-Taka; idąc naprzód mógł się spodziewać, że nie spotka go nic gorszego jak stosunkowo bezbolesna śmierć przez utonięcie. Unosząc jedną ręką plecak nad głowę wysunął powoli nogi poza krawędź wąskiej platformy i spuścił je w dół. Niemal natychmiast poczuł wokół kostek wirującą zimną wodę, po czym, modląc się w duchu, zsunął się ostrożnie do strumienia.

Z wielką ulgą stwierdził, że woda sięga mu zaledwie do pasa, a dno pod stopami jest twarde i żwirowate. Macając w ciemnościach drogę przed sobą ruszył ostrożnie z prądem, który nie był wcale tak wartki, jak to sobie Bradley wyobrażał na podstawie szumu.

Posuwając się wzdłuż krętych krzywizn ściany po swej prawej stronie, przeszedł pod pierwszym łukiem. Po kilku jardach jego ręka natrafiła nagle na coś oślizgłego, co przylegało dotąd ściśle do ściany – ale teraz zasyczało i czmychnęło poza jego zasięg. Bradley nie miał pojęcia, czego dotknął; w każdym razie niemal natychmiast tuż przed nim rozległ się plusk wody, a zaraz potem następny.

Ruszył dalej przechodząc pod kolejnymi łukami rozmieszczonymi w rozmaitych względem siebie

odległościach. Wciąż otaczał go nieprzenikniony mrok. Niewidoczni mieszkańcy tego wielkiego ścieku, zaniepokojeni pojawieniem się intruza, skakali z pluskiem do wody i pospiesznie odpływali. Od czasu do czasu ręka Bradleya natrafiała przypadkowo na któregoś z nich i ani przez chwilę nie miał pewności, czy przy następnym kroku nie zaatakuje go jakiś makabryczny potwór. Plecak powiesił sobie na szyi, wystarczająco wysoko, by nie dotykał wody, a w lewej ręce ścisnął nóż. Nie przychodziły mu do głowy żadne inne środki ostrożności, jakie mógłby podjąć.

Monotonię tego trudnego marszu powiększał jeszcze fakt, że Anglik poczynając od chwili, kiedy odszedł od drabiny, liczył każdy swój krok. Obiecał An-Takowi, że wróci po niego. Jeśli okaże się to w ludzkiej mocy, a nie widział innego sposobu na odszukanie potem drabiny w tym mrocznym tunelu.

Przeszedł dwieście sześćdziesiąt dziewięć kroków – poprzysiął sobie później, że nigdy nie zapomni tej liczby – kiedy coś wpadło nań łagodnie od tyłu. Odwrócił się błyskawicznie z nożem gotowym do obrony, wyciągając przed siebie prawą rękę, by odepchnąć przedmiot, który przywarł mu teraz do brzucha. Macając w ciemnościach palcami wyczuł coś zimnego i lepkiego; przesuwał nimi tam i z powrotem dopóty, dopóki nie przekonał się, że to twarz nieboszczyka unoszącego się na powierzchni wody. Z cichym przekleństwem odepchnął swego makabrycznego towarzysza na środek strumienia, by niesiony głównym nurtem spłynął w kierunku wielkiego stawu, gdzie czekali nań padlinożerzy głębin.

Kiedy stawiał czterysta trzydziesty krok, wpadł na niego kolejny trup. Nie miał pojęcia, ile ich przepływało obok nie ocierając się nawet o niego, ale nagle odniósł wrażenie, że jest otoczony zastygłymi w odrażające maski martwymi twarzami płynącymi obok i wybałuszającymi martwe oczy na profana, który ważył się zakłócić spokój rzeki umarłych. Przerażająca była to eskorta – wywoływała straszne przeczucia i odbierała pewność siebie.

Szedł bardzo wolno i przez cały czas starał się stawiać kroki tej samej długości, tak więc kiedy przed nim zaczęły wreszcie rzednąć atramentowe ciemności, a za następnym zakrętem jęły wyłaniać się pomału z mroku mgliste zarysy otoczenia, wiedział, że chociaż upłynęło sporo czasu, nie przeszedł więcej niż czterysta jardów. Nad głową miał łukowate sklepienie, a po obu stronach ściany, w których w regularnych odstępach widniały szczeliny zamknięte drewnianymi drzwiami. Tuż przed nim ze sklepienia akweduktu ział okrągły czarny otwór o średnicy jakichś trzydziestu cali. Nagle wypadło stamtąd i wpadło do wody nagie ludzkie ciało, które niemal natychmiast wypłynęło ponownie na powierzchnię i oddaliło się uniesione prądem. W słabym świetle Bradley dostrzegł, że był to Wieroo z odciętą głową i bez skrzydeł. W chwilę później przepłynęło obok inne bezgłowe ciało i Bradleyowi przypomniały się słowa An-Taka opowiadającego o zwyczaju kolekcjonowaniu czaszek przez Wieroo. Bradleya zastanowiło, dlaczego nie był podobnie okaleczony pierwszy trup, na jakiego natknął się w tunelu.

Im dalej się teraz posuwał, tym robiło się jaśniej. Liczba trupów nie była wcale tak wielka, jak sobie wyobrażał; minęły go jeszcze tylko dwa, kiedy wreszcie, po przejściu sześciuset kroków, czyli około pięciuset jardów od miejsca, w którym zanurzył się w strumieniu, dotarł do końca tunelu i wyrzwał na roziskrzoną w słońcu rzekę toczącą swe wody między porośniętymi trawą brzegami.

Jeden z ostatnich trupów, jakie go mijały, był ubrany w białą szatę Wieroo zbroszoną krwią wokół bezgłowej szyi.

Przysuwając się bliżej do wylotu prowadzącego w słoneczny blask, Bradley przecesał wzrokiem okolicę. W niewielkiej odległości, pośrodku kilkakrotnej przestrzeni porośniętej trawą

i drzewami, ujrzał ogromną budowlę wznoszącą się w poprzek strumienia, który zniknął pod jej fundamentami. Po wielkim spodkowym dachu i żywej kolorystyce rozmaitych fragmentów konstrukcji rozpoznał w gmachu świątynię, obok której przelatywali w drodze do Błękitnego Miejsca Siedmiu Czaszek.

Tu i ówdzie widać było Wieroo lecących do świątyni i wylatujących z niej. Jeszcze inni, pomagając sobie wielkimi skrzydłami, szli pieszo ledwie muskając ziemię stopami. Wynurzenie się z tunelu równałoby się natychmiastowemu wykryciu i pojmaniu, ale Bradley nie widział innej drogi ucieczki, chyba że wycofałby się po własnych śladach pod prąd strumienia i poszukał szczęścia z drugiej strony miasta. Nie był jednak w stanie znieść nawet samej myśli o drodze przez mroczny i okropny korytarz – wierzył, że musi istnieć jakiś inny sposób. Może po zapadnięciu zmroku zdoła się przemknąć przez przyświątynne tereny i idąc dalej z biegiem strumienia wydostanie się poza granice miasta. Stał więc i czekał, dopóki chłódomal nie sparaliżował mu kończyn i nie przekonał go, że trzeba obmyślić inny plan ucieczki.

Choć zdawał sobie sprawę z faktu, iż lecący nad strumieniem Wieroo mogą go łatwo zauważyć, dojrzewała mu już w głowie decyzja, by podjąć ryzyko przepłynięcia pod wodą do świątyni. Wówczas ponownie jakiś niesiony z prądem obiekt wpadł na niego od tyłu i przywarł mu do pleców. Odwróciwszy się momentalnie, ujrzał to, co się z góry spodziewał zobaczyć – bezgłowego i pozbawionego skrzydeł trupa Wieroo. Parsknąwszy z odrazą miał go już odepchnąć od siebie, kiedy na widok białej szaty spowijającej ciało w pomysłowym mózgu Bradleya zrodził się zuchwały plan. Chwyciwszy trupa za ramię zerwał z niego odzienie i dopiero wtedy puścił ciało, które woda poniosła w kierunku świątyni. Z wielką pieczołowitością udrapował na sobie szatę, tak żeby zakrwawiona plama, przykrywająca wcześniej trupowi poszarpany kikut szyi, zasłaniała głowę. Plecak zwinął najciaśniej jak się dało i wepchnął pod własną kurtkę. Potem położył się na wznak na powierzchni strumienia i wypłynął z prądem na światło słoneczne.

Patrząc poprzez cienką tkaninę był w stanie odróżnić duże obiekty. Widział Wieroo przelatujących nad nim z posępnym łopotem i mijane powoli brzegi strumienia. W pewnej chwili usłyszał wycie, jakie podniosło się z prawej strony, i serce zamarło mu ze strachu, że jego fortel został odkryty. Ale nie zdradził się ruchem nawet jednego mięśnia i płynął dalej z nurtem rzeki niczym bezwładne, zimne ciało – i wkrótce, chociaż wydawało mu się, że minęła cała wieczność, słoneczny blask uległ przyćmieniu, co oznaczało, że wpłynął pod świątynię.

Wymacał szybko stopami dno i równie szybko stanął w wodzie prosto, zrywając z twarzy krwawą, mokrą szmatę. Po obu stronach wznosiły się ślepe ściany, a trochę dalej rzeka skręcała ostro za róg i zniknęła. Badając ostrożnie drogę przed sobą, zbliżył się do zakrętu i wyjrzał za narożnik. Po jego lewej stronie znajdowała się niska platforma usytuowana około stopy ponad powierzchnią strumienia; nie tracąc czasu wdrapał się na nią, bo był mokry od stóp do głów, zmarznięty i niemal doszczętnie wyczerpany.

Odпочyiwając na tej wybrukowanej czaszkami półce, pośrodku podziemia, ponad rzeką, wypatrzył kolejny ze złowieszczych okrągłych otworów, w którym w każdej chwili można się było spodziewać widoku bezgłowego trupa wypadającego w ostatnim locie nurkowym do wodnego grobu. Kilka kroków dalej wzdłuż platformy w gładkiej ścianie odznaczały się zamknięte drzwi. Gdy tak leżał – patrząc na nie i zastanawiając się dokąd prowadzą, a w jego umyśle roily się coraz bardziej zwariowane plany ucieczki – drzwi otworzyły się i na platformę wyszedł Wieroo w białej szacie. Stwór dźwigał wielki drewniany ceber pełen śmieci. Nie zauważył Bradleya, który poderwał się



szybko do pozycji kucznej i wcisnął w sam kąt niszy, w której osadzona była platforma. Wieroo podszedł na sam skraj platformy i wysypał śmieci do strumienia. Gdyby ruszając z powrotem do drzwi odwrócił się do Bradleya plecami, niewielkie byłyby szanse, żeby go nie zauważył; gdyby jednak odwrócił się przodem do niego, takich szans nie byłoby wcale. Bradley wstrzymał oddech.

Wieroo zwlekał przez chwilę wpatrując się w wodę, po czym wyprostował się i odwrócił przodem do Anglika. Bradley zamarł w bezruchu. Wieroo zatrzymał się i wbił weń czujny wzrok, a potem podszedł bliżej przypatrując mu się ze zdziwieniem. Bradley nadal siedział nieruchomo w kucki jak wyrzeźbiony z kamienia. Stwór był już naprzeciwko niego. Zatrzymał się. Nic na ziemi nie mogło sprawić, by nie zorientował się, kim jest Bradley.

Anglik zerwał się na równe nogi z szybkością kota i z całych sił, poparty jeszcze pokaźną wagą swego ciała, wyrznął Wieroo pięścią w podbródek. Nie wydawszy jęku stwór zwałił się na platformę, natomiast Bradley, działając niemal instynktownie pod wpływem podszeptu pierwszego prawa natury, zepchnął bezwładne ciało z półki do rzeki.

Wtedy dopiero spojrzął na otwarte drzwi, doskoczył do nich i zajrzał do znajdującego się za nimi pomieszczenia. Oczom jego ukazała się wielka, skąpo oświetlona sala z rzędami drewnianych pojemników ustawionych jeden na drugim pod ścianami. W polu widzenia nie było ani jednego Wieroo, tak więc Anglik przekroczył próg. W przeciwległej ścianie sali widniały drugie drzwi. Zmierzając ku nim Bradley zerknął na pojemniki. Były pełne suszonych owoców, warzyw i ryb. Bez ceregieli napchał sobie do pełna kieszenie i plecak, mając na uwadze nieszczęsne stworzenie oczekujące jego powrotu w ponurym Miejscu Siedmiu Czaszek.

Kiedy zapadnie noc, wróci i przeprowadzi An-Taka chociaż do tego miejsca; ale do tego czasu zamierzał trochę pomyszkować w nadziei, że odkryje może jakąś dogodniejszą drogę ucieczki z miasta niż ta prowadząca przez zimny, czarny kanał upiornej rzeki trupów.

Za drugimi drzwiami zaczynał się długi korytarz z wieloma zamkniętymi drzwiami prowadzącymi do innych części świątynnych podziemi. W odległości kilku jardów od magazynu stała tam drabina przechodząca przez otwór w suficie. Zatrzymawszy się przed nią Bradley zadał sobie pytanie, czy zamiast badać dalej teren, nie lepiej wracać już w górę rzeki, ale tkwiąca w nim dusza odkrywcy, która rozproszyła jego rasę po wszystkich zakątkach świata, przeważała. Jakie tajemnice kryją się w kryptach powyżej? Pragnienie ich poznania było silne, chociaż zdrowy rozsądek ostrzegał, że bezpieczniej będzie już wracać. Stał tak przez moment przeczesując palcami włosy, potem machnął ręką na ostrożność i zaczął się wspinać po szczeblach.

Zgodnie z zasadami sztuki architektonicznej Wieroo, jakie zdążył już zaobserwować, szyb, w którym tkwiła drabina, odchyłał się pod pewnym kątem od pionu. W mniej więcej regularnych odstępach widniały w nim otwory zablokowane drzwiami, ale żadnych nie udało mu się otworzyć, dopóki nie wspiał się pełne pięćdziesiąt stóp ponad poziom rzeki. Tam natrafił na uchylone drzwi otwierające się na wielką okrągłą salę, której ściany pokryte były skórami dzikich zwierząt oraz barwnymi kobiercami; ale jego najbardziej interesowali przebywający w pomieszczeniu Wieroo i dziewczyna o normalnej ludzkiej sylwetce. Dziewczyna stała oparta plecami o kolumnę wznoszącą się pośrodku sali i sięgającą od posadzki do sufitu – kolumnę o średnicy jakichś czterdziestu cali, pustą w środku. Widniał w niej trzydziestocalowy otwór. Dziewczyna zwrócona była bokiem do Bradleya i patrzyła w przeciwną stronę, na Wieroo, który teraz powoli się do niej zbliżał coś mówiąc.

Bradley słyszał wyraźnie słowa stwora, który namawiał dziewczynę, żeby towarzyszyła mu

w drodze do innego miasta Wieroo.

– Jeśli ze mną pójdziesz – kusił – ocalisz życie; jeśli zostaniesz tutaj, Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty upomni się o swoje; a kiedy z tobą skończy, twoja czaszka bieleć będzie na szczycie wysokiej laski, zaś twoim ciałem nasycą się gady u ujścia Rzeki Śmierci. Jeśli nie ujdiesz przed Tym, Który Przemawia w Imieniu Luaty, twój los będzie taki sam, nawet gdybyś wydała na świat Wieroo płci żeńskiej, idąc zaś ze mną ocalisz głowę, będziesz syta i nikt nie wyrządzi ci krzywdy.

Był już całkiem blisko dziewczyny, kiedy ta w odpowiedzi uderzyła go z całych sił w twarz.

– Będę walczyła przeciwko wam wszystkim – krzyknęła – dopóki nie zginę.

Z krtani Wieroo dobyło się owo posępne zawroźnienie, które Bradley już tak często słyszał – przypominało okrzyk bólu wygładzony jękiem – po czym stwór, wykrzywiając twarz w odrażających grymasach, skoczył na dziewczynę, pochwycił ją w swe szpony i zaczął okładać skrzydłami usiłując przewrócić nieszczęsną na posadzkę.

Anglik miał już skoczyć jej na pomoc, kiedy otworzyły się drzwi po drugiej stronie sali i wkroczył do środka Wieroo odziany całkowicie w czerwień. Na widok dwóch postaci szamoczących się na posadzce nowo przybyły podniósł głos do wściekłego wrzasku. Wieroo, który zaatakował dziewczynę, zerwał się natychmiast na nogi i stanął twarzą do tamtego.

– Wszystko słyszałem – darł się stwór, który przed chwilą wszedł. – Słyszałem, a kiedy usłyszy to Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty... – urwał i wykonał znaczący gest przeciągając kantem dłoni po szyi.

– On nic nie usłyszy – odparował pierwszy Wieroo rzucając się z potężnym zamachem ogromnych skrzydeł na osobnika w czerwonej szacie.

Tamten uniknął pierwszego ataku, wydobył spod czerwonej opończy dziwny, zakrzywiony nóż, rozpostarł skrzydła i doskoczył do napastnika. Bijąc skrzydłami, wyjąc i jęcząc, dwa odrażające stwory starły się w walce. Ten w białej szacie, jako że nie był uzbrojony, usiłował pochwycić przeciwnika za przegub ręki dzierżącej nóż i za gardło, podczas gdy tamten skakał dookoła niego na białych jak śnieg stopach szukając okazji do zadania śmiertelnego ciosu. Uderzył raz i chybił, a wtedy ten drugi dopadł go jednym skokiem zakładając jednocześnie oba chwyt, o które mu chodziło. Obaj zaczęli się teraz okładać nawzajem po głowach stawami skrzydeł, kopać miękkimi, pulchnymi stopami i gryźć po twarzach.

Tymczasem dziewczyna przesuwiała się wzdłuż ścian sali trzymając się jak najdalej od walczących; obserwując ją Bradley ujrzał nagle całą twarz i od razu rozpoznał dziewczynę z izby za żółtymi drzwiami. Nie ważył się na razie interweniować, dopóki jeden z Wieroo nie pokona drugiego, bo istniało niebezpieczeństwo, że obaj zwróciliby się natychmiast przeciwko niemu, a w tak nierównej walce, zwłaszcza przeciwko zakrzywionemu nożowi czerwonego Wieroo, musiałby zapewne ulec. Czekał więc przypatrując się, jak postać w białej szacie wydusza powoli życie z osobnika w czerwieni. Wywalony na wierzch język i wychodzące z orbit oczy zapowiadały rychły koniec i w chwilę później Wieroo w czerwonej opończy osunął się na posadzkę sali wypuszczając z niewładnych palców zakrzywiony nóż. Zwycięzca ścisnął jeszcze przez chwilę pokonanego przeciwnika za gardło, po czym wstał i wlokąc za sobą martwe ciało podszedł do kolumny. Tutaj dźwignął trupa i wepchnął go do otworu, w którym ten zniknął nagle Bradleyowi z oczu. Anglikowi stanęły natychmiast przed oczami okrągłe otwory, które widział w sklepieniu kanału rzeki, i wypadające z nich do wody trupy.

Gdy ciało znikło, Wieroo odwrócił się i rozejrzał po sali za dziewczyną. Przez chwilę stał

nieruchomo, mierząc ją wzrokiem.

– Wszystko widziałaś – mruknął – i jeśli im powiesz, co tutaj zaszło, Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty każe mi odrąbać żywcem skrzydła, potem głowę, i wrzucić do Rzeki Śmierci, bo taki los czeka nawet najdostojniejszych za zabicie czerwonej szaty. Widziałaś i musisz umrzeć! – zakończył wrzaskiem i rzucił się na dziewczynę.

Bradley nie zwlekał dłużej. Wpadł do sali i, schylając się po drodze po leżący na ziemi zakrzywiony nóż, ruszył pędem w kierunku Wieroo, który pochwycił już dziewczynę. Lewą ręką złapał zwróconego doń plecami stwora za szyję. Wieroo trzepnął błyskawicznie skrzydłami do tyłu i odwrócił się zbijając Bradleya z nóg, ten jednak, padając, nie wypuścił z ręki noża. W jednej chwili Wieroo był już przy Angliku. Bradley leżał uniesiony nieco na lewym łokciu, a prawą rękę miał wolną, i kiedy stwór był już blisko, mężczyzna z całych sił, jakie mu jeszcze pozostały, ciałem nożem przez szpetną gębę. Ostrze ugodziło w spojenie szyi z tułowiem z taką siłą, że niemal całkowicie ścięło Wieroo głowę z karku. Odrażający łeb upadł na posadzkę, a korpus runął na Anglika. Zepchnąwszy go z siebie Bradley podniósł się z podłogi i stanął przed wytrzeszczającą oczy dziewczyną.

– O Luato! – wykrzyknęła. – Skąd się tu wzięłaś?

Bradley wzruszył ramionami.

– Nieważne – mruknął. – Teraz trzeba się stąd zmywać, razem.

Dziewczyna pokręciła głową.

– To niemożliwe – oznajmiła ze smutkiem.

– Tak samo myślałem, kiedy wrzucili mnie do Błękitnego Miejsca Siedmiu Czaszek – odparł Bradley. – To niemożliwe. I udało mi się. A niech to! Okropnie paskudzisz podłogę, stary. – Te ostatnie słowa kierował do martwego Wieroo wlokąc już trupa w stronę kolumny. Podźwignął zwłoki do otworu i wsunął je do zsypu. Podniósł potem z posadzki głowę i wrzucił ją w ślad za ciałem. – Nie rób takiej ponurej miny – doradził tej ostatniej niosąc ją do szybu. – Uśmiechnij się!

– Ale jak on się może uśmiechnąć? – zaprotestowała na wpół oszołomiona, na wpół przerażona dziewczyna. – Przecież nie żyje.

– No właśnie – przyznał Bradley – i wydaje mi się, że trochę się tym przejął.

Dziewczyna potrząsnęła głową i odsunęła się od Anglika w stronę drzwi.

– Chodź! – powiedział Bradley. – Musimy stąd zniknąć. Jeśli nie znasz lepszej drogi niż rzeką, niech będzie rzeka.

Dziewczyna wciąż popatrywała na niego spode łba.

– Ale jak on mógł się uśmiechnąć, skoro nie żył? – Nie dawało jej to spokoju.

Bradley roześmiał się w głos.

– Myślałem, że my, Anglicy, mamy najmniejsze poczucie humoru ze wszystkich ludzi na świecie – krzyknął – a tutaj natrafiam na kogoś, kto nie ma go w ogóle. Nie rozumiesz, oczywiście, nawet połowy z tego co mówię, ale nie przejmuj się, mała, nie zamierzam cię skrzywdzić i jeśli potrafię cię stąd wyprowadzić, uczynię to.

Nawet jeśli nie zrozumiała wszystkiego, co powiedział, odczytała przynajmniej coś z jego roześmianej twarzy – coś, co ją uspokoiło.

– Nie lękam się ciebie – powiedziała – chociaż nie rozumiem wszystkiego, co mówisz, mimo że posługujesz się moim językiem i używasz słów, które znam. Ale co do ucieczki – tu westchnęła – to jak ją sobie wyobrażasz?

– Wydostałem się już z Błękitnego Miejsca Siedmiu Czaszek – przypomniał jej Bradley. – Chodź!  
– Rzekłszy to odwrócił się w stronę szybu i drabiny, po której wdrapał się tu z rzeki. – Szkoda czasu.

Dziewczyna podążyła za nim, ale w progu oboje się cofnęli, bo z dołu doleciał odgłos świadczący, że ktoś wspina się po szczeblach.

Bradley zbliżył się na palcach do drzwi i wychylił ostrożnie głowę spoglądając w dół szybu, po czym cofnął się i stanął obok dziewczyny.

– Włazi ich tutaj z pół tuzina, ale może ominą tę salę.

– Nie ominą – powiedziała – przejdą właśnie przez nią, idą do Tego, Który Przemawia w Imieniu Luaty. Może uda nam się ukryć w następnej sali, bo leżą tam skóry, pod które możemy wpełznąć. Nie zatrzymają się w tamtym pomieszczeniu, a w tym mogą sobie zrobić krótki odpoczynek. Tamta sala jest błękitna.

– I co z tego? – zapytał Anglik.

– Oni lękają się błękitu – wyjaśniła. – W każdej sali, w której popełnione zostało morderstwo, znajdziesz błękit – tym więcej, im więcej było tam morderstw. Kiedy sala jest całkowicie błękitna, wystrzegają się jej. W tym pomieszczeniu też jest dużo błękitu, ale najwyraźniej zabijali przeważnie w tamtym drugim, które jest teraz całe błękitne.

– Ale błękit widziałem tutaj na zewnętrznych ścianach każdego domu – zauważył Bradley.

– Tak – przyznała dziewczyna – i w każdym z tych domów są błękitne izby – kiedy wszystkie izby są już błękitne, to błękitny będzie i cały dom od zewnątrz, tak jak Błękitne Miejsce Siedmiu Czaszek. Wiele tu takich.

– No a czaszki zaznaczone błękitem? – zapytał Bradley. – Czy należą do morderców?

– Ci zostali zamordowani... część z nich; ci z małą ilością błękitu sami byli mordercami, uznanymi mordercami. Wszyscy Wieroo to mordercy. Kiedy popełnią określoną liczbę morderstw i nie zostaną na tym przyłapani, spowiadają się z tego Temu, Który Przemawia w imieniu Luaty i awansują nabywając praw do noszenia szat z kolorowym pasem przez pierś, najpierw jest to chyba pas żółty. Kiedy osiągną stan, przy którym cała ich szata jest żółta, zamieniają ją na szatę białą z czerwonym pasem, a kiedy któremuś uda się dosłużyć szaty czerwonej, zaczyna nosić długi zakrzywiony nóż, jaki trzymasz teraz w ręku. Potem następuje błękitny pas przez pierś białej szaty, a potem chyba szata całkowicie błękitna. Takiego jeszcze nie widziałam.

Rozmawiając przyciszonymi głosami przeszli z sali ze zsympem dla zmarłych do sąsiadującego z nią całkowicie błękitnego pomieszczenia, gdzie przycupnęli obok siebie w kącie opierając się plecami o ścianę i naciągając na siebie stos skór. W chwilę później usłyszeli, jak do pomieszczenia wkracza kilku Wieroo. Przechodząc przez nie albo ze sobą nie rozmawiali, albo też dwójka uciekinierów ich nie słyszała. Dotarłszy do połowy sali przystanęli, bo drzwi, do których zmierzali, otworzyły się i do środka wszedł jeszcze z tuzin ich pobratymców.

Bradley domyślił się tego wszystkiego z narastającego zamieszania i ponurych powitań. Ale ciszy, która niemal natychmiast zapadła, nie potrafił zinterpretować, nie wiedział bowiem, że spod jednej z przykrywających go skór wystaje jego ciężki, wojskowy bucior ani że gapi się nań osiemnastu wielkich Wieroo w albo całkowicie czerwonych, albo ozdobionych czerwienią bądź błękitem szatach. Nie słyszał też, jak zaczynają skradać się cicho w jego stronę.

Dopiero wtedy zorientował się, że został odkryty, kiedy ktoś chwycił go za stopę i wywlókł brutalnie spod skór, a nad sobą ujrzał krąg złowrogich ostrzy. Zabiliby go na miejscu, gdyby nie powstrzymał ich osobnik ubrany całkowicie na czerwono mówiąc, że Ten, Który Przemawia

w Imieniu Luaty pragnie widzieć tę obcą istotę.

Wiedziony pod strażą Bradley znalazł jeszcze sposobność, by zerknąć przez ramię i sprawdzić, co się stało z dziewczyną. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że nadal leży ukryta pod skórami. Nie był pewien, czy nie zabraknie jej odwagi, by samotnie próbować ucieczki rzeką i żałował, że nie może jej już towarzyszyć. Sam czuł się raczej pogrążony, w każdym razie bardziej pogrążony niż kiedykolwiek dotąd od czasu pojmania przez Wieroo, bo nie wyglądało na to, aby w obecnych okolicznościach istniała najmniejsza isierka nadziei. Zakrzywiony nóż upuścił pod skórami, kiedy wyciągano go obcesowo spod ich złudnego schronienia. Szedł posłusznie za swoimi prześladowcami przez sale i korytarze w kierunku serca świątyni w nastroju całkowitej rezygnacji.

## Rozdział XXI

Im dalej posuwała się grupa, tym bardziej barbarzyńskie i okazałe stawały się dekoracje. Dominowały w nich skóry leopardów i tygrysów, najwyraźniej przez wzgląd na ich piękne ubarwienie, i coraz więcej widziało się ozdobnych czaszek. Wiele z tych ostatnich oprawnych było w cenne metale i wysadzanych kolorowymi kamieniami oraz bezcennymi klejnotami, natomiast ze skór pokrywających ściany aż kapało od złotych ornamentów podobnych do tego, który nosiła dziewczyna i tych, które widział w skrzyni w magazynie Fosh-bal-soja, co doprowadziło go do przekonania, że ma przed sobą trofea wojenne albo łupy pochodzące z grabieży, ponieważ każda sztuka wyglądała na wykonaną z przeznaczeniem na ozdobę osobistą, a jak dotąd nie widział jeszcze Wieroo, który nosiłby jakiegokolwiek przybranie.

A do tego, im dalej się zapuszczali, tym więcej napotykali Wieroo kręcących się po świątyni. Wielu z tych tutaj miało na sobie całkowicie czerwone szaty albo szaty białe z błękitnym pasem przez pierś – istny rój morderców.

Grupa zatrzymała się wreszcie w sali pełnej Wieroo, którzy stłoczyli się zaraz wokół Bradleya wypytując strażników i przyglądając się ciekawie jemu oraz jego odzieniu, jeden z członków eskorty Bradleya zwrócił się do Wieroo stojącego przy drzwiach prowadzących do następnej sali. – Powiedz Temu, Który Przemawia w Imieniu Luaty – rzekł – że Fosh-bal-soja nie zdołaliśmy odnaleźć, ale że w drodze powrotnej znaleźliśmy tę istotę ukrywającą się w świątyni. Musi to być ten sam osobnik, którego pojmał Fosh-bal-soj w krainie Sto-lu podczas ostatniego mroku. Niewątpliwie Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty będzie chciał zobaczyć i przesłuchać to dziwne stworzenie.

Stwór, do którego skierowane były owe słowa, odwrócił się i wyślizgnął przez drzwi zamykając je za sobą, ale przedtem odłożył na podłogę swój zakrzywiony nóż. Na posterunku zastąpił go natychmiast inny Wieroo i Bradley dostrzegł teraz co najmniej dwudziestu takich strażników kręcących się w bezpośrednim sąsiedztwie. Odźwiernego nie było tylko przez chwilę; wróciwszy dał znak, że grupa Bradleya ma wejść do następnej sali. Najpierw jednak każdy Wieroo wyciągnął swój zakrzywiony nóż i położył go na podłodze. Drzwi rozwarły się i grupa zredukowana teraz do Bradleya i pięciu Wieroo wprowadzona została przez próg do wielkiego pomieszczenia o nieregularnym kształcie, w którym na wysokim podium siedział samotnie gigantyczny Wieroo w całkowicie błękitnej szacie.

Oblicze stwora było białe bielą trupa; jego martwe oczy – całkowicie pozbawione wyrazu; okrutne, kryjące żółte zęby cienkie usta – ściągnięte w wiecznym grymasie. Po obu jego rękach leżały ogromne zakrzywione miecze podobne do tych, w które uzbrojeni byli niektórzy Wieroo, ale większe i cięższe. Szponiaste palce stwora bawiły się bez przerwy to jednym, to drugim.

Ściany sali oraz podłoga pokryte były całkowicie skórą i tkaninami. Dominował błękit we wszystkich odcieniach. Ze skór sterczało wiele par skrzydeł Wieroo tak umocowanych, że przypominały długie czarne tarcze. Na suficie widniały wymalowane błękitnymi znakami

niezrozumiałe ciągi hieroglifów, a na stojących pod ścianami i rozstawionych po całej sali podwyższeniach spoczywało mnóstwo ludzkich czaszek.

Podchodząc do postaci zasiadającej na podium, Wieroo zginali się w głębokich ukłonach unosząc nad głowy skrzydła i wyciągając szyje, zupełnie jakby nadstawiali je pod cios ostrych mieczy tej posępnej i odrażającej kreatury.

– O Ty, Który Przemawiasz w Imieniu Luaty! – wykrzyknął jeden z członków grupy. – Przeprowadziliśmy ci dziwne stworzenie, które pojmał i dostarczył tu z twojego rozkazu Fosh-bal-soj.

A więc to było owo bożyszcze przemawiające w imieniu ich bóstwa! To ten arcymorderca był caspakijskim przedstawicielem Boga na Ziemi! Jego błękitna szata świadczyła o tym pierwszym, a widoczna uniżoność sług – o drugim. Przez długą minutę wpatrywał się w Bradleya. Potem zaczął go wypytywać – skąd i w jaki sposób tu przybył, jak się nazywa, jak wygląda jego rodzinny kraj i tak bez końca.

– Czy jesteś *cos-ata-lu*? – padło wreszcie pytanie.

Bradley odparł, że tak i że cały jego rodzaj, jak również każde stworzenie żyjące w jego części świata jest *cos-ata-lu*.

– Czy możesz mi wyjawić tę tajemnicę? – spytał stwór.

Bradley zawahał się, po czym, chcąc zyskać na czasie, odpowiedział twierdząco.

– A więc mów – zażądał Wieroo pochylając się w przód i zdradzając wyraźne oznaki pełnego ekscytacji zainteresowania.

Bradley nachylił się do niego i wyszeptał:

– Jest przeznaczona wyłącznie dla twoich uszu; nie powierzę tajemnicy nikomu innemu, a i tobie wyjawię ją tylko pod warunkiem, że odstawisz mnie i dziewczynę, którą widziałem w izbie za żółtymi drzwiami, nie opodal domostwa Fosh-bal-soja, z powrotem do jej krainy.

Stwór wpadł w gniew i wznosił nad głowę jeden ze swych mieczy.

– Kim jesteś, że śmiesz stawiać warunki Temu, Który Przemawia w Imieniu Luaty? – rozdarł się piskliwie. – Albo zdradzisz mi tajemnicę, albo zginiesz tam, gdzie stoisz!

– Jeśli teraz zginę, tajemnica zginie wraz ze mną – zwrócił mu uwagę Bradley. – Już nigdy nie będziesz miał okazji przesłuchać przedstawiciela mojego rodzaju, który ją zna. – Za wszelką cenę zyskać na czasie, pozbyć się reszty Wieroo z sali, aby zaplanować jakiś sposób ucieczki i wprowadzić go w czyn, myślał gorączkowo Anglik.

Stwór zwrócił się do przywódcy grupy, która przyprowadziła Bradleya:

– Czy to stworzenie ma broń? – spytał.

– Nie – brzmiała odpowiedź.

– Zatem wyjdźcie; ale przekażcie strażnikom, aby byli w pobliżu – rozkazał Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty.

Wieroo zgięli się w ukłonie i opuścili salę zamykając za sobą drzwi. Ten, Który Przemawia w Imieniu Luaty ścisnął nerwowo miecz w prawej ręce. Po jego lewej stronie spoczywał drugi taki sam. Nietrudno było odgadnąć, że osobnik ten żyje w ciągłym strachu przed skrytobójstwem. Świadczył o tym fakt, że nie dopuszczał do siebie nikogo uzbrojonego i że miał zawsze pod ręką dwa miecze.

Bradley wysilał mózg szukając pomysłu, jak wyplatać się z tej kłopotliwej sytuacji. Jego wzrok powędrował za plecy siedzącej przed nim niesamowitej postaci, błędził przez chwilę po ścianach

pomieszczenia jakby w nadziei znalezienia inspiracji w zdobiących ją martwych czerepach, skórach i skrzydłach, a potem skupił się ponownie na twarzy bożka Wieroo, wykrzywionej teraz złością.

– No, dalej! – wrzasnął stwór. – Tajemnica!

– A zwrócisz wolność mnie i dziewczynie? – nie ustępował Bradley.

Stwór zawahał się na moment, po czym warknął:

– Tak.

W tej samej chwili Bradley zobaczył, jak rozstępują się powoli dwie skóry wiszące na ścianie bezpośrednio za podium i w szparze pojawia się czyjaś twarz. Żaden mięsień na obliczu Anglika nie zdradził jego zaskoczenia, chociaż miał do tego pełne prawo, gdyż twarz w szczelinie należała do dziewczyny, którą dopiero co zostawił ukrytą pod skórami w innej sali. Za twarzą wsunęło się teraz do komnaty białe, kształtne ramię ściskające mocno w dłoni zakrzywiony nóż unurzany we krwi, który Bradley upuścił pod skórami w momencie kiedy go odkryto i wywlekano z kryjówki.

– A więc słuchaj – zaczął Bradley zwracając się niemal szeptem do Wieroo. – Poznasz tajemnicę *cos-ata-lu* tak samo dobrze jak ja, ale nie może jej usłyszeć nikt inny. Nachyl się bliżej ku mnie; wyszepecz mi ją do ucha.

Podszedł do podium i wstąpił na nie. Stwór uniósł miecz gotów go użyć na pierwszą oznakę zdrady, a Bradley wsunął głowę pod klingę i przytknął usta do szpetnego ucha. Czyniąc to, wsparł cały ciężar swego ciała na rękach kładąc je po obu bokach Wieroo i przykrywając prawą ręką koniec zapasowego miecza spoczywającego po lewej stronie Tego, Który Przemawia w Imieniu Luaty.

– Oto więc tajemnica życia i śmierci – szepnął chwytając jednocześnie Wieroo za nadgarstek prawej dłoni i swoją prawą ręką zadając dodatkowym mieczem niespodziewany cios w szyję, zanim tamten zdążył wydać z siebie choćby jeden alarmujący okrzyk. Potem, nie tracąc ani chwili, Bradley przeskoczył ciało martwego bożka i znikł za skórami skrywającymi dziewczynę.

Dziewczyna chwyciła go za ramię i z szeroko rozwartymi oczyma wykrzyknęła:

– Coś ty uczynił? Luata pomści Tego, Który Przemawia w Imieniu Luaty. Teraz nie ma już dla ciebie ratunku. Nie uciekniesz, bo nawet jeśli uda nam się dotrzeć do mojej krainy, Luata i tak cię odnajdzie.

– Bzdury! – zachnął się Bradley i zaraz dorzucił: – Ale przecież sama chciałaś go pchnąć nożem.

– Wtedy tylko ja musiałabym umrzeć – odparła.

Bradley podrapał się w głowę.

– Żadne z nas nie umrze – powiedział – a przynajmniej nie z rąk żadnego bóstwa. Ale jeśli się stąd nie wyniesiemy, to faktycznie zginiemy, i to zaraz. Potrafisz odnaleźć drogę z powrotem do tej sali świątyni, gdzie po raz pierwszy się na ciebie natknąłem?

– Wiem, jak się tam idzie – odparła dziewczyna – ale wątpię, czy zdołamy wrócić nie zauważeni. Dotarłam tutaj dzięki temu, że po drodze spotykałam tylko takich Wieroo, którzy wiedzieli, iż mam być o tej porze w świątyni. Ale tobie nie uda się ujść daleko.

Pomysłowość Bradleya natrafiła na mur nie do przebycia. Możliwości ucieczki zdawały się żadne. Rozejrzał się dookoła. Znajdowali się w małym pomieszczeniu zaśmieconym odpadkami – strzępami podartych ubrań, starymi skórami, kawałkami lin z łyka. Pośrodku wznosiła się cylindryczna kolumna z otworem w podstawie. Bradley dobrze wiedział, czemu służy. To tutaj arcyzbrodniarz wciągał swoje ofiary i wrzucał ich ciała do płynącej głęboko w dole Rzeki Śmierci. Posadzka wokół kolumny pokryta była grubą warstwą zaschniętej, ciemnej substancji, w której Anglik od razu rozpoznał zakrzepłą krew. To miejsce wyglądało na istną jatkę. Powietrze



przesiąknięte było odorem rozkładających się ciał.

Anglik podszedł do kolumny i zajrzał do otworu. W dole panował smolisty mrok, ale Bradley wiedział, że płynie tam rzeka. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł, który stał się inspiracją do powzięcia zuchwałego planu. Odwróciwszy się szybko zaczął myszkować po pomieszczeniu zbierając akcesoria potrzebne mu do wprowadzenia zamiaru w czyn – gromadził walające się wszędzie po posadzce splątane kawałki liny. Z pomocą dziewczyny rozsypał wprawnymi palcami poszczególne odcinki, po czym wiążąc ich końce sporządził trzy liny o długości około siedemdziesięciu pięciu stóp każda. Złożył je razem, połączył ze sobą z obu końców i bez słowa obwiązał dziewczynę jednym końcem pod pachami.

– Bądź spokojna – odezwał się wreszcie prowadząc ją do otworu w kolumnie. – Opuszczę cię do rzeki, a potem zejdę tam za tobą. Kiedy znajdziesz się bezpiecznie na dole, szarpnij linę dwa razy. Jeśli natkniesz się na jakieś niebezpieczeństwo i będziesz chciała, żebym wciągnął cię z powrotem na górę, szarpnij raz. Nie bój się, to jedyna droga.

– Nie boję się – odparła dziewczyna, w odczuciu Bradleya raczej wyniośle, po czym sama precyzyjnie się przez otwór i zawisła na rękach czekając, aż Bradley zacznie ją opuszczać.

Anglik popuszczał linę najszybciej, jak pozwalały na to względy bezpieczeństwa. Kiedy została mu już tylko połowa, usłyszał głośnie okrzyki i zawodzenie, jakie podniosły się raptem w sali, z której przed chwilą umknęli. Wieroo odkryli mord popełniony na ich bożku. Z miejsca ruszą na poszukiwanie zabójcy.

Boże! Czy ta dziewczyna nigdy nie dotrze do rzeki? W końcu, gdy był przekonany, że poszukujący lada moment wkroczą do pomieszczenia przez wejście za jego plecami, wyczuł dwa szybkie szarpnięcia liny. Natychmiast przymocował koniec pozostałego odcinka liny do kolumny, wślizgnął się do mrocznego cylindra i zaczął pospiesznie zjeżdżać w dół. Wkrótce stał już po pas w wodzie obok dziewczyny. Instynktownie wyciągnęła do niego rękę i chwyciła za ramię. To dotknięcie sprawiło, że przebiegł Bradleya dziwny dreszcz, ale mężczyzna przeciął tylko linę opasującą jej ciało i podsadził ją na małą półkę wystającą ze ściany.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytała.

– Rzeką – odparł. – Ale najpierw muszę wrócić do Błękitnego Miejsca Siedmiu Czaszek po jednego takiego nieszczęsnego drania, którego tam zostawiłem. Muszę z tym jednak poczekać do zapadnięcia zmroku, bo za dnia nie zdołam się przedostać przez otwarty odcinek rzeki w ogrodach świątyni.

– Jest inna droga – powiedziała dziewczyna. – Nigdy jej nie widziałam, ale słyszałam często, jak o niej rozmawiają, to korytarz ciągnący się wzdłuż rzeki z jednego końca miasta na drugi. Na terenie ogrodów przyświątynnych biegnie on pod powierzchnią ziemi. Gdyby udało nam się znaleźć wejście do niego, moglibyśmy ruszać od razu. Tutaj nie jest bezpiecznie, bo przeszukają każdy cal świątyni i przylegających do niej terenów.

– Chodźmy – zdecydował Bradley. – Rozejrzemy się za tym korytarzem. – I mówiąc to zbliżył się do jednych z wielu drzwi wychodzących na wybrukowaną czaszkami platformę.

Korytarz znaleźli bez trudu, bo biegł równoległe do rzeki i dzieliła go od niej tylko pojedyncza ściana. Posuwali się nim pod ogrodami i pod miastem, cały czas w atramentowych ciemnościach. Gdy dotarli do drugiego końca ogrodów, Bradley zaczął liczyć kroki i odliczył ich tyle, ile zrobił brnąc z prądem strumienia. Chociaż zmuszeni byli iść po omacku, pokonali tę odległość o wiele szybciej niż on sam poprzednio.

Oceniwszy, że są już mniej więcej naprzeciwko miejsca, w którym opuścił się z Błękitnego Miejsca Siedmiu Czaszek, Bradley odszukał drzwi wychodzące na rzekę, po czym, nadal w najczarniejszym mroku, zsunął się do strumienia i macając tam i z powrotem przeciwległą ścianę zaczął szukać małej półeczki i drabiny. Znalazł je dziesięć jardów od miejsca, gdzie się zanurzył, a dziewczyna czekała tymczasem po drugiej stronie kanału.

Wspięcie się do sekretnej kłapy było kwestią minuty. Tutaj Bradley zatrzymał się i nastawił ucha, na wypadek gdyby podczas jego nieobecności Wieroo zawitali do celi szukając tam jego albo odwiedzając drugiego więźnia. Ale z mrocznego wnętrza nie docierał żaden dźwięk. Bradley uśmiechnął się do siebie na myśl o radości człowieka po tamtej stronie, kiedy zeskoczy do niego z żywnością i nadzieją na ucieczkę. Otworzył klapę i zajrzał do pomieszczenia. W mdłym świetle wpadającym przez kratę na górze ujrzał stos szmat w kącie, ale jeśli leżał pod nimi człowiek, nie zareagował zupełnie na ciche pozdrowienie Bradleya.

Anglik opuścił się na podłogę celi i podszedł do szmat. Pochylając się uniósł je za róg. Tak, mężczyzna spał. Bradley potrząsnął nim – nie było odpowiedzi. Schylił się niżej i wyteżając wzrok przyjrzał się dokładniej An-Takowi, po czym wyprostował się z westchnieniem. Spod gałganów wyskoczył szczur i czmychnął w mrok.

– Biedaczysko! – mruknął Bradley.

Przeszedł na drugą stronę celi, by wywindować się na poprzeczną belkę i opuścić Błękitne Miejsce Siedmiu Czaszek na zawsze. Pod belką zatrzymał się.

– Nie dam im tej satysfakcji – warknął pod nosem. – Niech myślą, że uciekł.

Wrócił do kupy gałganów i wziął mężczyznę na ręce.

Miał trudności z podsadzeniem go na grzędę i przeciągnięciem przez mały otwór, a potem ze zniesieniem po drabinie, ale udało się i położywszy ciało na powierzchni rzeki Bradley puścił je z prądem.

– Żegnaj, stary! – wyszeptał.

W chwilę później był już przy dziewczynie i trzymając się za ręce ruszyli mrocznym korytarzem w górę strumienia, w kierunku drugiego końca miasta. Powiedziała mu, że Wieroo rzadko korzystają z tych podziemnych przejść, bo powietrze jest tu dla nich za chłodne; jednak od czasu do czasu schodzą tutaj, a ponieważ widzą w nocy równie dobrze jak za dnia, na pewno od razu zauważyliby Bradleya i ją.

– Jeśli podejdą blisko – ciągnęła – zobaczymy w ciemnościach ich świecące oczy; przypominają plamki przygaszonego światła. Nie pałają jak ślepia tygrysa czy lwa, ale jarzą się.

Bradley nie mógł nie zauważyć wyraźnej trwogi, z jaką mówiła o tych stworach. I na nim wywierały niesamowite wrażenie, ale ona przebywała wśród nich przez niemal rok i prawdopodobnie do końca życia będzie je bez przerwy widziała albo słyszała.

– Dlaczego tak się ich boisz? – spytał. – To mi wygląda na coś więcej niż zwykły strach przed krzywdą, jaką mogą ci wyrządzić.

Próbowała mu to wyjaśnić, ale zrozumiał z jej słów tylko tyle, że postrzegała Wieroo jako istoty niemal nadprzyrodzone.

– Wśród mego ludu krąży legenda mówiąca, że niegdyś Wieroo różnili się od nas tylko tym, iż mieli szczątkowe skrzydła. Mieszkali w wioskach w krainie Galu i chociaż obydwie narody często ze sobą walczyły, nie żywiły względem siebie specjalnej nienawiści. W tamtych czasach każda rasa przychodziła stamtąd gdzie początek i nieustannie rywalizowano o to, kto stoi wyżej w skali

ewolucji. Z Wieroo zrodzili się pierwsi *cos-ala-lu*, ale były to zawsze noworodki płci męskiej – nigdy nie wydali na świat kobiety. Zaczęły się u nich powoli rozwijać pewne cechy umysłu, które w ich mniemaniu stawiały ich na jeszcze wyższym poziomie i które dawały im nad nimi coraz większą przewagę, co widząc skoncentrowali się całkowicie na rozwoju umysłowym i ich umysły stały się jak gwiazdy i rzeki, poruszając się wciąż w ten sam sposób, niezmiennie. Nazwali to *tas-ad*, co znaczy robienie wszystkiego w jedyny właściwy sposób albo, innymi słowy, na sposób Wieroo. Nieważne, czy na drodze *tas-ad* stanął wróg czy przyjaciel, prawda czy fałsz, trzeba było zmiążdżyć tę przeszkodę.

Nie musiało minąć wiele czasu, żeby Galu oraz niższe rasy zaczęły ich nienawidzić i bać się ich. I wtedy Wieroo postanowili przenieść *tas-ad* w każdy zakątek świata. Byli bardzo wojowniczy i bardzo liczni, chociaż już dawno ustanowili prawo nakazujące zabijanie tych spośród siebie, których skrzydła nie wykazywały tendencji do wzrostu.

To wszystko trwało wieki, zmiany następowały bardzo powoli, ale w końcu Wieroo doczekali się skrzydeł, z których mogli korzystać. Na skutek tego, że wciąż wywoływali wojny z sąsiadami, ściągnęli na siebie powszechną nienawiść, bo nikt nie chciał na Caspak ich *tas-ad*, tak więc kiedy wszystkie rasy zwróciły się przeciwko nim i zagroziły, że wybiją ich do nogi, przelecieli na swoich skrzydłach na tę wyspę. Stali się tak okrutni i tak żądni krwi, że w ich sercach nie było już miejsca na miłość czy współczucie. Ale właśnie okrucieństwo i nikczemność nie pozwoliły im podbić innych ras, ponieważ byli okrutni i nikczemni również względem siebie samych i jeden Wieroo nie ufał drugiemu.

Zawsze zabijali tych, którzy stali wyżej od nich, aby dzięki temu zdobyć większą władzę i zwiększyć swój stan posiadania. Działo się tak, dopóki nie pojawił się potężniejszy od wszystkich, z własnym *tas-ad*. Zgromadził wokół siebie kilku najstraszniejszych Wieroo i ta garstka ustanowiła prawa, które zabraniały noszenia jakiegokolwiek broni wszystkim prócz nich samych.

Teraz ich *tas-ad* osiągnęło wysoki poziom. Czynią wiele cudownych rzeczy, których my nie potrafimy robić. Bez wątplenia rozmyślają o wielkich sprawach i wciąż marzą o wielkości, która ma nadejść, ale ich myśli i działania są podporządkowane zasadzie wprowadzonej przed wiekami; wszyscy są tacy sami – i są najnieszczęśliwymi istotami pod słońcem.

Posuwali się uparcie ciemnym korytarzem wzdłuż rzeki, a dziewczyna opowiadała. Przebyli już znaczną odległość, kiedy nagle ich uszu dobiegł przytłumiony szum spadającej wody, który przybierał na sile w miarę, jak szli naprzód, aż wreszcie wypełnił korytarz ogłuszającym rykiem. I tam korytarz kończył się ślepą ścianą, ale w niszy po prawej stała drabina prowadząca w górę, a po lewej widniały drzwi wychodzące na rzekę. Bradley podszedł najpierw do tych ostatnich i otworzywszy je poczuł na twarzy silny prysznic. Mała półka za drzwiami była mokra i śliska, huk wody wręcz ogłuszał. Nasuwało się tylko jedno wyjaśnienie: dotarli do wodospadu i jeśli korytarz rzeczywiście się tu kończył, mieli odciętą drogę ucieczki, nie mogli bowiem podążyć dalej korytarzem rzeki ani przebyć kaskady.

Ponieważ jedyną nadzieją była teraz drabina, zawrócili ku niej i zaczęli się wspinać – on pierwszy, ona za nim – szybem podobnym do tego, którym Bradley dostał się na górny poziom świątyni. Podczas wspinaczki Bradley macał ściany szybu szukając jakichś otworów wejściowych, ale aż do wysokości pięćdziesięciu stóp nie natrafił na żaden. Pierwsze drzwi, na jakie się natknął, były uchylone i przez szparę wsączało się do szybu przytłumione światło. Bradley zatrzymał się czekając, aż dziewczyna stanie na tym samym co on szczeblu, po czym oboje zajrzeli przez szparę do

niskiej izby, w której przebywało kilka kobiet z rasy Galu w towarzystwie tyłuż szkaradnych małych kopii dorosłych Wieroo. Bradley widział młode Wieroo po raz pierwszy.

Poczuł dreszcz, jaki przeszedł ciało przywierającej doń dziewczyny, kiedy jej oczy spoczęły na krajankach znajdujących się w izbie, i jego ręka otoczyła mimowolnie jej ramiona, zupełnie jakby chciał ochronić ją przed nieznanym zagrożeniem, które wyczuwał, ale którego nie potrafił określić.

– Nieszczęsne – wyszeptala. – Oto ich straszny los: uwięzione pod miastem ze swoim szpetnym potomstwem, którego nienawidzą tak samo, jak tych, którzy je spłodzili. Wieroo chowają swoje dzieci w ukryciu, dopóki te nie dorosną, bo inaczej zostałyby zamordowane przez ich pobratymców. Izby dolnych poziomów miasta są pełne takich jak te tutaj.

Kilka stóp wyżej natrafili na drugie drzwi, za którymi znaleźli małe pomieszczenie zawałone żywnością przechowywaną w drewnianych skrzyniach. Zakratowane okna w jednej ze ścian wychodziły na zaułek i wyglądając przez nie stwierdzili, że znajdują się tuż pod dachem budynku. Zapadał zmierzch. Postanowili pozostać w ukryciu aż do zmroku, by dopiero wtedy wspiać się na dach i rozejrzeć w sytuacji.

Ledwie podjęli tę decyzję, usłyszeli, jak ktoś schodzi po drabinie. Mieli nadzieję, że minie ich poziom i będzie schodził dalej; odgłos ten jednak zbliżył się do drzwi magazynu i wtedy wstrzymali zupełnie oddechy. Serca im zamarły, gdy usłyszeli, jak drzwi otwierają się i poprzez szpary między skrzyniami, za którymi się ukrywali, zobaczyli wchodzącego do pomieszczenia Wieroo w szacie z żółtym pasem. Rozpoznali go oboje natychmiast, a dziewczyna zasygnalizowała to ze swej strony nagłym zaciśnięciem palców na ramieniu Bradleya. Był to Wieroo mieszkający za żółtymi drzwiami, gdzie Bradley po raz pierwszy spotkał dziewczynę.

Stwór miał ze sobą drewniany ceber, który zaczął napełniać suszoną żywnością wybraną z różnych skrzyń. Po pewnym czasie odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia. Przez nie domknięte drzwi Bradley zobaczył, że Wieroo schodzi po drabinie na niższy poziom. Dziewczyna wyjaśniła, że znosi posiłek przebywającym kobietom i małym, i chociaż nie jest wykluczone, że zaraz wróci, istnieje jednak możliwość, iż zabawi tam dłużej.

– Znajdujemy się tuż pod mieszkaniem z żółtymi drzwiami – powiedziała. – To daleko od granic miasta; tak daleko, że nie mamy co marzyć o udanej ucieczce, jeśli wyjdziemy tutaj na dachy.

– A mnie się wydaje – odparł Bradley – że ze wszystkich miejsc w Oo-oh stąd najłatwiej będzie uciec. Tak czy inaczej, zamierzam wrócić do izby za żółtymi drzwiami i zabrać stamtąd swój pistolet, jeśli tam jeszcze jest.

– Jest tam jeszcze – zapewniła go dziewczyna. – Widziałam, jak Wieroo wkładał go do kufra, gdzie trzyma rzeczy odebrane swoim więźniom i ofiarom.

– Wspaniale! – wykrzyknął Bradley. – A więc chodźmy, szybko.

Przebiegli przez izbę, wślizgnęli się do szybu i weszli kawałek po drabinie na sam jej szczyt, gdzie znaleźli kolejne drzwi prowadzące do opuszczonej przez Wieroo izby – tej samej, w której Bradley po raz pierwszy zobaczył dziewczynę. Odnalezienie pistoletu zajęło towarzysze Bradleya tylko chwilę, po czym, na znak Anglika, dziewczyna podeszła za nim do żółtych drzwi.

Gdy dwójka zbiegów wymykała się do wąskiego przejścia między dwoma budynkami, na dworze było już bardzo ciemno. W kilku susach znaleźli się, przez nikogo nie zauważeni, przy wejściu do magazynu, w którym leżało ciało Fosh-bal-soja. Z dala, od strony świątyni, dobiegały odgłosy towarzyszące wielkiemu zgromadzeniu Wieroo – ponad smętny łopot niezliczonych skrzydeł wzbijało się szczególne, niesamowite zawodzenie.

– Dowiedzieli się już o zamordowaniu Tego, Który Przemawia w Imieniu Luaty – wyszeptała dziewczyna. – Niebawem rozproszą się na wszystkie strony, by nas szukać.

– I znajdą nas?

– To tak samo pewne jak światło, którym Lua rozjaśnia dzień – odparła. – A kiedy już nas znajdą, rozedrą na strzępy, bo tylko Wieroo mogą mordować, tylko oni mogą praktykować *tas-ad*.

– Ale ciebie nie zabiją – powiedział Bradley. – Nie ty zadałaś mu śmierć.

– To nie ma znaczenia – upierała się. – Jeśli pojmyją nas razem, zabiją i ciebie, i mnie.

– A więc nie pojmyją nas razem – oznajmił Bradley tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Ty zostań tutaj, nie spotka cię nic gorszego ponad to, co cię czekało, zanim się zjawiłem, a ja przedrę się tak daleko jak się da i zanim mnie dostaną, natłukę tych skurczybyków ile wlezie. Żegnaj! Dzielna z ciebie dziewczyna. Szkoda, że nie mogłem ci pomóc.

– Nie! – krzyknęła. – Nie zostawiaj mnie. Wolę już umrzeć. Żyłam nadzieją, że znajdę jakiś sposób na wyrwanie się stąd i powrót do mego kraju. Chciałam wrócić do An-Taka, który beze mnie musi czuć się bardzo samotnie; wiem jednak, że to niemożliwe. Trudno jest zabić nadzieję, ale moja jest już prawie martwa. Nie zostawiaj mnie.

– An-Tak! – powtórzył za nią Bradley. – Kochałaś człowieka imieniem An-Tak?

– Owszem – odparła dziewczyna. – Kiedy Wieroo mnie pojmyli, An-Tak był na polowaniu. Jakże musiał po mnie rozpaczać! On też był *cos-ata-lu*, starszym ode mnie o dwanaście księżyców i od najmłodszych lat byliśmy razem.

Bradley nie odzywał się. A więc kochała An-Taka. Nie miał sumienia powiedzieć jej, że An-Tak nie żyje ani w jaki sposób umarł.

Zatrzymali się przed drzwiami do magazynu Fosh-bal-soja i nastavili uszu. Ze środka nie dochodził najmniejszy szmer, toteż Bradley pchnął ostrożnie drzwi. Gdy weszli do izby, wszystko spowijał atramentowy mrok, ale po chwili oczy przywykły im do ciemności rozpraszanych nieco przez sączącą się z zewnątrz mdłą poświatą gwiazd. Anglik zaczął myszkować po izbie i niebawem znalazł to, po co tu przyszedł – dwie opończe, dwie pary zasuszonych skrzydeł i kilka odcinków liny z łyka. Jedną parę skrzydeł przymocował dziewczynie do ramion kawałkiem liny, po czym udrapował na niej opończę i nasunął na głowę kaptur.

Wydała okrzyk zdumienia pojmyjąc, jak genialny i zuchwały jest plan Bradleya, po czym, stosując się do jego poleceń, przymocowała drugą parę skrzydeł jemu i pomogła przywdziać opończę. Przebierając szybko silnymi, zwinnymi palcami, wkrótce się z tym uporała i wyszli oboje na dach przypominając na pierwszy rzut oka prawdziwych Wieroo. Oprócz pistoletu Bradley niósł jeszcze miecz zabitego proroka Wieroo, natomiast dziewczyna uzbrojona była w mały nóż zamordowanego Wieroo w czerwonej szacie.

Powoli, ramię w ramię, szli dachami w kierunku północnego krańca miasta. Nad ich głowami przelatywali z łopotem skrzydeł prawdziwi Wieroo, minęli też kilku innych, którzy podążali gdzieś dachami albo na nich siedzieli. Od strony świątyni dochodziły wciąż odgłosy zamieszania, ponad które wzbijał się teraz od czasu do czasu przenikliwy wrzask.

– Mordercy wylegli z domów – wyszeptała dziewczyna. – Niedługo ktoś inny zostanie językiem Luaty. Dla nas to dobrze, bo są teraz zbyt zaabsorbowani swoimi sprawami, by nas szukać. Sądzą, że i tak nie zdołamy wydostać się z miasta i wiedzą, że nie jesteśmy w stanie opuścić wyspy... i ja niestety się z nimi zgadzam.

Bradley pokręcił głową.

– Jeśli istnieje jakiś sposób, znajdziemy go – powiedział.

– Nie ma żadnego sposobu – odparła dziewczyna.

Bradley nic nie odpowiedział i szli dalej w milczeniu, dopóki nie zamajaczyły przed nimi zarysy krawędzi ostatnich dachów.

– Jesteśmy prawie na miejscu – szepnął Bradley.

Dziewczyna poszukała po omacku jego palców i ścisnęła je. Odwzajemniając ten uścisk poczuł, jak zadrżała; nie puścił jej dłoni i trzymając się za ręce dotarli do krawędzi ostatniego dachu.

Tutaj zatrzymali się i rozejrzeli dookoła. Gdyby ktoś zobaczył, jak próbują opuścić się na ziemię, zorientowałby się od razu, że nie są Wieroo. Bradley nie miałby nic przeciwko temu, aby skrzydła były przymocowane do ich ramion nie liną i łykiem, ale ścięgnami i mięśniami. Wysoko nad nimi słychać było łopot skrzydeł przelatującego Wieroo. Dwaj inni stali w odległości kilku jardów przy jakichś drzwiach. Przesuwając się między nich a jeden z poustawianych na zewnątrz postumentów, który wieńczyła oczywiście czaszka, Bradley umocował do niego koniec liny, równocześnie przerzucając zwój za krawędź dachu. Lina spadła na ziemię poza granicami miasta. Teraz pozostawało tylko czekać.

Peryferyjne dachy opustoszały całkowicie dopiero po godzinie i nadeszła wreszcie chwila, kiedy w zasięgu wzroku nie było żadnego Wieroo.

– Teraz! – szepnął Bradley.

Dziewczyna chwyciła linę i zsunęła się z dachu w zalegające w dole ciemności. Chwilę później Bradley poczuł dwa następujące szybko po sobie szarpnięcia i natychmiast poszedł w ślady swej towarzyszki.

Przebiegli przez małą polankę i wpadli między drzewa. Szli całą noc w górę rzeki jej brzegiem, kierując się w stronę źródła, a o świcie schronili się w zaroślach nad wodą. Ani razu nie usłyszeli ryku drapieżnika i chociaż czmychało przed nimi mnóstwo spłoszonych zwierząt, nie zagroziła im tej nocy żadna krwiożercza bestia. Kiedy Bradley głośno wyraził swoje zdziwienie brakiem najzjadlejszych zwierząt, tak licznie występujących na stałym lądzie Caprony, dziewczyna odpowiedziała mu jedną z ich starożytnych legend wyjaśniającą ten stan rzeczy.

– Kiedy tylko Wieroo wykształciły się skrzydła, dzięki którym mogli latać, odkryli tę wyspę. Nie zastali tu żadnych istot prócz garstki gadów żyjących i na lądzie, i w wodzie, ale tylko przy brzegu. Ponieważ Wieroo potrzebne było mięso do jedzenia, przetransportowali na wyspę takie zwierzęta, jakie ich zdaniem najlepiej się do tego celu nadawały. Od czasu do czasu sprowadzają je i teraz, co wraz z przyrostem naturalnym wśród zwierząt już tu żyjących rozwiązuje im problem zaopatrzenia w mięso.

– I nam też rozwiąże – mruknął Bradley. Pierwszy dzień spędzili w kryjówce posilając się tylko suszonym mięsem, które Bradley zabrał z magazynu w świątyni, a z nadejściem nocy ruszyli znowu w górę rzeki i maszerowali równym tempem niemal do brzasku, kiedy to dotarli do niskich wzgórz przeciętych krętym wąwozem, przez który przepływała rzeka – teraz niewiele szersza od małego strumyka, o wodzie przejrzystej, zimnej i pełnej ryb podobnych do pstrągów, tyle że sporo większych. Nie chcąc oddalać się od strumienia, dwójka zbiegów weszła do wody i brodząc jego łożyskiem dotarła do miejsca, w którym potok rozszerzał się pomiędzy dwoma urwistymi cyplami i rozlewał na zalesionym akrze płaskiego terenu. Tutaj zatrzymali się, bo tu właśnie kończył się strumień. Dotarli do jego źródła. Ze środka małego amfiteatru, który natura wyrzeźbiła w zboczach okolicznych wzgórz, tryskało wiele zimnych źródeł tworząc u podnóża przejrzysty i urokliwy staw

ocieniony drzewami z jednej strony, a z drugiej graniczący z niewielką polaną.

Gdy weszło słońce, zorientowali się, że natrafili na miejsce, którego Wieroo być może jeszcze nie odkryli i w którym mogą stawiać opór tym skrzydlatym stworom, bowiem drzewa zapewniały im ochronę przed napaścią z góry, jak również mogły stanowić dla Wieroo poważną przeszkodę, gdyby ci próbowali podejść ich pieszo przedzierając się przez las.

Trzy dni odpoczywała tutaj dwójka uciekinierów przed wyruszeniem na rekonesans po okolicy. Czwartego dnia Bradley oznajmił, że zamierza wdrapać się na urwiste brzegi strumienia i zobaczyć, co się za nimi znajduje. Dziewczynie zabronił wychodzić z ukrycia, ale nie chciała zostać sama twierdząc, że zamierza dzielić z nim los na dobre i złe, i w końcu był zmuszony przystać na to, by mu towarzyszyła. Przedzierali się zalesionym szczytem urwiska wznoszącego się od północnej strony stawu, ale drzewa szybko się skończyły i ujrzeli przed sobą wody śródlądowego morza, a w dali – zamglone zarysy wybrzeża upragnionego lądu.

Mniej więcej dwieście jardów od wzgórza, na którym stali, rozpościerała się plaża i między nimi a brzegiem wyspy, jak okiem sięgnąć, nie było ani jednego drzewa czy jakiegokolwiek innej osłony. Wśród pomysłów kłębiących się Bradleyowi w głowie był plan sklecenia krytej tratwy, ponieważ jednak taki środek transportu odznaczałby się na pewno dużym ciężarem, trzeba by go budować na wodzie, gdyż nie było nawet co marzyć o tym, by zdołali przeciągnąć go choćby na niewielką odległość lądem.

– Gdyby tak ten las ciągnął się aż do samej wody – westchnął.

– Ale się nie ciągnie – zauważyła dziewczyna i zaraz dorzuciła: – Skorzystajmy więc z tego, co jest. Przynajmniej na jakiś czas wymknęliśmy się śmierci. Mamy żywność, dobrą wodę, spokój i siebie. Cóż więcej moglibyśmy znaleźć na stałym lądzie?

– Myślałem, że pragniesz wrócić do swojej krainy! – wykrzyknął Bradley.

Spuściła oczy i odwracając się do niego bokiem powiedziała:

– Bo chcę; ale i tutaj jestem szczęśliwa. Tam byłabym tylko trochę szczęśliwsza.

Bradley nie odzywał się, pogrążony w zadumie. „Mamy żywność, dobrą wodę, spokój i siebie!” powtórzył w duchu. Odwrócił głowę, by spojrzeć na dziewczynę i wydawało mu się, że chociaż tyle dni spędzili już ze sobą, dopiero teraz zobaczył ją naprawdę. Okoliczności, które skrzyżowały ich drogi, niebezpieczeństwa, którym wspólnie stawiali czoło, całe to niesamowite, straszne otoczenie składające się na tło jego wiedzy o niej, odniosły taki skutek, że traktował ją dotąd tylko jako towarzyszkę przygód. Jej niezależność, jej wytrwałość, jej lojalność były dlań jedynie tym, czego jeden mężczyzna oczekiwałby od drugiego, i Bradley zrozumiał, że nieświadomie zaczął odnosić się do niej tak jak do mężczyzny. W tym nastawieniu była jednak pewna różnica – przypomniało mu się teraz dziwne uczucie uniesienia, jakie go przeniknęło, kiedy dziewczyna ścisnęła jego dłoń, oraz przygnębienie, kiedy wyznała mu, że kocha An-Taka.

Postąpił krok w jej kierunku. Naszło go dzikie pragnienie, by wziąć ją w ramiona i przycisnąć do piersi, lecz wtedy na ekranie wspomnień mignął mu obraz wspaniałego dworu otoczonego rozległymi ogrodami i starymi drzewami, i wyniosłego starca o krzaczastych brwiach – starca z wysoko uniesioną głową; na to wspomnienie Bradley wzdrygnął się i odwrócił od dziewczyny.

Wrócili do swojego małego amfiteatru. Mijały dni. Bradley sporządził włócznie, łuk i strzały, i polował zdobywając mięso za ich pomocą. Zmajstrował też sobie haczyki z rybich ości i łowił ryby na pomysłowe przynęty własnego wynalazku. Dziewczyna zaś zbierała owoce, przyrządzała mięso i ryby, a także mościła legowiska z gałęzi i miękkich traw. Zdierała skóry z upolowanych zwierząt

i zmiękczała je waląc w nie wytrwale kamieniem. Z tak wyprawionych skór sporządziła sobie sandały, a Bradleyowi uszyła strój na wzór tych, które nosili wojownicy jej plemienia, i nakłoniła go, żeby w nim chodził, bo jego własne ubranie wisiało już w strzępach. Była wciąż taka sama – słodka, miła i użyteczna – ale w jej zachowaniu i w wyrazie twarzy wyczuwało się zawsze ślad smutku i często, kiedy Bradley tego nie widział, siadywała wpatrzona w niego ze zmarszczonymi w zadumie brwiami, jak gdyby starała się zgłębić go i zrozumieć.

W zwietrzałym granicie stanowiącym ścianę urwiska Bradley wydrążył niszę, żeby mieli się gdzie schronić przed deszczem. Znosił drewno na ognisko, które rozpalali tylko w środku dnia, w czasie kiedy istniało małe prawdopodobieństwo, żeby tak daleko od miasta znalazł się w powietrzu jakiś Wieroo. Potem zaś Anglik wpadł na pomysł, by otaczać palenisko niskim wałem ziemnym, dzięki czemu, nie dając dymu, głównie żarzyły się aż do południa następnego dnia.

Bez przerwy snuł też plany przedostania się na drugi brzeg i nie było dnia, żeby nie wdrapał się na szczyt wzgórza i nie spojrzął na ciemną, odległą linię, która oznaczała dlań względną wolność i możliwość połączenia się z towarzyszami. Dziewczyna szła zawsze z nim, stawała u jego boku i obserwowała jego skupioną twarz z ledwie zauważalnym odcieniem smutku w oczach.

– Nie jesteś szczęśliwy – rzekła pewnego razu.

– Powinienem być teraz tam, z moimi ludźmi – odparł. – Nie wiem nawet, co się z nimi stało.

– Pragnę, żebyś był szczęśliwy – powiedziała tak po prostu – ale czułabym się bardzo samotnie, gdybyś odszedł i zostawił mnie tutaj.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Tego nie musisz się obawiać, maleńka – powiedział łagodnie. – Jeśli nie będę mógł zabrać cię ze sobą, nigdzie nie pójdę. Gdyby któreś z nas miało odejść samo, będziesz to ty.

Jej twarz rozjaśnił cudowny uśmiech.

– A więc się nie rozdzielimy – powiedziała – bo póki żyjemy, nigdy cię nie opuszczę.

Patrzył przez chwilę z góry na jej twarz, po czym zapytał:

– Kim był dla ciebie An-Tak?

– Bratem – odparła. – Czemu pytasz?

I teraz tym bardziej nie mógł jej powiedzieć. Uczynił więc coś, czego do tej pory nigdy nie robił – wziął ją w ramiona, pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Dopóki nie znajdziesz An-Taka – powiedział – ja będę twoim bratem.

Odsunęła się od niego.

– Mam już brata – powiedziała. – I nie chcę drugiego.



## Rozdział XXII

Dni rozciągnęły się w tygodnie, tygodnie w miesiące, a miesiące mijały jeden po drugim w leniwej procesji gorących, wilgotnych dni i parnych, ociekających wilgocią nocy. Zbiegowie ani razu nie zauważyli żadnego Wieroo za dnia, chociaż w nocy słyszeli często nad głowami posępny łopot ich skrzydeł.

Dzień nie różnił się od dnia. Wcześnie każdego ranka Bradley pluskał się przez kilka minut w zimnym stawie; po jakimś czasie dziewczyna też tego spróbowała i spodobało się jej. Na środku staw okazał się wystarczająco głęboki, by można było pływać, nauczył ją więc pływania – stała się prawdopodobnie pierwszą istotą ludzką w odwiecznych dziejach Caspak, która posiadała tę sztukę. Potem, kiedy dziewczyna przygotowywała śniadanie, Bradley golił się – tego nigdy nie zaniedbywał. Dziewczynę bardzo to z początku intrygowało, bowiem mężczyźni Galu nie posiadają zarostu.

Po śniadaniu, jeśli potrzebowali mięsa, Bradley wyruszał na polowanie, a jeśli mieli jeszcze zapas, zajmował się urządzaniem ich schronienia, sporządzaniem nowej i lepszej broni, doskonaleniem znajomości języka dziewczyny oraz uczeniem jej mówienia i pisania po angielsku – byle nie siedzieć beczynn timer. Bez przerwy snuł też coraz to inne plany ucieczki, z coraz mniejszym jednak entuzjazmem, bowiem każdy nowy pomysł rozbijał się o trudną do przewidzenia nieprzewidywaną przeszkodę.

I nagle, pewnego dnia, jak grom z jasnego nieba spadło na nich coś, co na zawsze zburzyło spokój i bezpieczeństwo ich azylu. Bradley wychodził właśnie z wody po swej porannej kąpieli, kiedy w górze rozległ się łopot skrzydeł. Spoglądając szybko w niebo mężczyzna dostrzegł tam krążącego wolno nad jego głową Wieroo w białej szacie. Nie miał wątpliwości, że został zauważony, bowiem stwor opuścił się niżej, jakby chcąc się upewnić, czy to, co widzi, to rzeczywiście człowiek. Potem wzbił się szybko w górę i machając skrzydłami odleciał w kierunku miasta.

Przez dwa dni Bradley i dziewczyna żyli w nieustannej obawie, oczekując z napięciem chwili, kiedy zjawią się po nich łowcy, ale dopiero o świcie trzeciego dnia łopot skrzydeł obwieścił im przybycie Wieroo. Podeszli razem na skraj lasu i spojrzawszy w górę ujrzeli pięć stworów w czerwieni opadających powoli coraz ciaśniejszymi spiralami w kierunku ich małego amfiteatru. Przybywali nie próbując się nawet maskować, przekonani o swojej przewadze nad dwojgiem zbiegów, i z niezachwianą pewnością siebie wylądowali na polance zaledwie kilka stóp od miejsca, gdzie stał Bradley z dziewczyną.

Wprowadzając w życie przedyskutowany już wcześniej plan, Bradley i dziewczyna wycofali się powoli w głąb lasu. Wieroo zbliżali się wzywając ich do poddania się, ale zbiegowie nie odpowiadali. Bradley wciągał łowców coraz głębiej w niewielki lasek, dopuszczając do siebie na coraz mniejszą odległość, potem zatoczył łuk i zaczął się wycofywać z powrotem w kierunku polanki – ku widocznemu zachwytowi Wieroo, którzy teraz posuwali się za nim już bez takiego pośpiechu, czekając na chwilę, kiedy wynurzą się spomiędzy drzew i będą mogli skorzystać ze skrzydeł.

Dotarłszy na skraj zagajnika rozsypali się w półkolistą tyralierę z wyraźnym zamiarem odcięcia swoim ofiarom drogi powrotu do lasu. Każdy ze zbliżających się Wieroo dzierżył w ręku gotowy do użycia zakrzywiony nóż. Twarze mieli obojętne i bez wyrazu.

I wtedy Bradley otworzył ogień z pistoletu – oddając jeden po drugim trzy strzały celował dokładnie, bo od dawna nie posługiwał się bronią palną, a nie mógł sobie pozwolić na marnowanie amunicji pudłując. Po każdym strzale padał jeden Wieroo, a pozostali dwaj próbowali ratować się wzlatując w górę z wrzaskiem i lamentem, jak to było w ich zwyczaju. Kiedy Wieroo ucieka, jego skrzydła rozpościerają się niemal bez udziału woli właściciela, ponieważ od niepamiętnych czasów stwory używają ich do zachowywania równowagi i przyspieszania marszu, przez co umykając na otwartej przestrzeni zdają się ślizgać po powierzchni ziemi. Ale tutaj, w lesie, między rosnącymi blisko siebie pniami, rozłożenie skrzydeł okazało się niewykonalne – zaczepiały o gałęzie, krępowały swobodę ruchu, toteż Wieroo padali na ziemię. Bradley rzucił się za nimi w pościg, grożąc natychmiastową śmiercią, jeśli się nie poddadzą i obiecując jednocześnie wolność, jeśli spełnią jego ultimatum.

– Jak widzieliście – krzyczał – potrafię was uśmiercać, kiedy chcę i z jakiej chcę odległości. Nie ujdziecie mi. Wasza jedyna nadzieja na pozostanie przy życiu leży w posłuszeństwie. Decydujcie się, bo zatłukę!

Wieroo stanęli i odwrócili się do niego przodem.

– Czego od nas chcesz? – spytał jeden.

– Odrzućcie broń – zakomenderował Bradley.

Po chwili wahania posłuchali.

– Teraz podejdźcie! – Niczym objawienie przyszedł mu nagle do głowy wielki plan, plan jedyny.

Wieroo podeszli bliżej i na jego rozkaz zatrzymali się. Bradley zwrócił się teraz do dziewczyny.

– W kryjówce jest lina – powiedział. – Przynieś ją!

Wypełniła jego polecenie, a wtedy Bradley kazał jej zawiązać jeden koniec pięćdziesięciostopowego odcinka liny na kostce jednego Wieroo, a drugi koniec na kostce drugiego. Stwory zdradzały objawy wielkiego strachu, ale nie śmiały protestować przeciwko tej operacji.

– Teraz wychodźcie na polanę – powiedział Bradley – i pamiętajcie, że idę tuż za wami; jeśli któryś spróbuje ucieczki, zastrzelę tego, który zostanie, a to powstrzyma zbiega do czasu, kiedy i jego będę mógł zabić.

Gdy znaleźli się na polanie, kazał im się zatrzymać.

– Dziewczyna wsiądzie na grzbiet tego z przodu – oznajmił. – Ja dosiędę drugiego. Dziewczyna ma przy sobie ostry nóż, a ja tę broń, która, jak się już przekonaliście, z łatwością zabija na odległość. Jeśli okażecie choć cień nieposłuszeństwa, złamiecie instrukcje, jakie zaraz wam wydam, obaj umrzecie. Nie przeraża nas, że wtedy będziemy musieli zginąć razem z wami. Jeśli spiszecie się jak należy, przyrzekam, że puszcze was wolno nie czyniąc żadnej krzywdy. Przeniesiecie nas na zachód i zostawicie na brzegu stałego lądu, to wszystko. To cena waszego życia. Zgadzaście się?

Wieroo pokiwali ponuro głowami. Bradley sprawdził węzły mocujące końce liny do ich kostek i stwierdziwszy, że są solidne, kazał dziewczynie wdrapać się na grzbiet Wieroo, który miał lecieć przodem, a sam dosiadł drugiego. Potem dał obu sygnał do jednoczesnego wzbicia się w powietrze. Z głośnym łopotem potężnych skrzydeł stwory oderwały się od ziemi, następnie zataczając krąg wzniosły się ponad wierzchołki drzew porastających wzgórze i dotarłszy nad wody śródlądowego morza obrały kurs na zachód.

Nigdzie wokół Bradley nie widział śladu innych Wieroo ani tych groźnych stworzeń, których pojawienie się mogło zrujnować cały plan ucieczki – to jest ogromnych, skrzydlatych gadów, szczególnie licznie występujących nad południowymi rejonami Caspak i często widywanych, choć już nie w takich ilościach, dalej na północ.

Łąd majaczył coraz to bliżej i bliżej – rozległa, parkowa kraina ciągnąca się aż do widocznego w dali niskiego płaskowyżu. Drobne punkciki na przednim planie rozrastały się z wolna w pasące się stada jeleni, antylop i krów; w błotnej kałuży po prawej wylegiwały się nosorożce włochate, a za nimi potężny mamut oskubywał młode pędy z wysokiego drzewa. Już dolatywały przytłumione ryki, wrzaski i pomruki gigantycznych drapieżników. Tak, oto Caspak w całej swej krasie. Pomimo wszystkich niebezpieczeństw tej krainy i jej pierwotnej dzikości, coś ścisnęło Anglika za gardło – jak kogoś, kto widzi i słyszy znajome obrazy i dźwięki rodzinnego domu po długiej w nim nieobecności. Po chwili Wieroo zniżyli szybko lot i wylądowali na rozgwieżdżonej kwiatami łące schodzącej niemal do samego brzegu. Zbiegowie zsunęli się z ich grzbietów i Bradley oznajmił odzianym w czerwone szaty stworom, że mogą odlecieć wolno.

Ledwie przeciął im pętle na kostkach nóg, wzbily się w powietrze z owym niesamowitym zawrotem na ustach, które zawsze przyprawiało Anglika o dreszcze, i machając posępnie skrzydłami odleciały w kierunku przerażającej krainy Oo-oh.

Kiedy stwory zniknęły im z oczu, dziewczyna odwróciła się do Bradleya.

– Dlaczego kazałeś im, żeby przyniosły nas akurat tutaj? – spytała. – Teraz jesteśmy daleko od mojej krainy. Nie wiadomo, czy zdołamy dotrzeć tam żywi, bo znajdujemy się wśród wrogów, którzy, jeśli nas dopadną, chociaż nie są tak straszni jak Wieroo, zabiją nas tak samo, jak zrobiliby to tamci. A oprócz tego mamy przed sobą wiele dni marszu poprzez ziemie rojące się od dzikich bestii.

– Były po temu dwa powody – odparł Bradley. – Powiedziałaś mi, że po wschodniej stronie wyspy są jeszcze dwa miasta Wieroo. Przelatując w ich pobliżu moglibyśmy ściągnąć sobie na kark setki ich mieszkańców, przed którymi raczej nie udałoby się nam umknąć. Poza tym gdzieś tutaj muszą przebywać moi przyjaciele – do fortu, o którym ci opowiadałem, nie może być więcej jak dwa dni marszu. Powrót do nich jest moim obowiązkiem. Jeśli jeszcze żyją, znajdziemy sposób na odstawienie cię do twojego ludu.

– A ty? – spytała dziewczyna.

– Uciekłem z Oo-oh – odparł Bradley. – Dokonałem już raz niemożliwego i dokonam tego powtórnie, wydostanę się z Caspak.

Mówiąc te słowa nie patrzył na nią, nie widział więc cienia smutku, który przemknął przez jej twarz. Kiedy znowu podniósł na nią oczy, uśmiechała się już.

– Twoje życzenie jest moim życzeniem – powiedziała.

Ruszyli na południe plażą, bo łatwiej było nią iść, ale przez cały czas trzymali się blisko drzew, by w razie czego schronić się wśród nich przed dzikimi zwierzętami i gadami, które tak często ich napastowały. Było już późne popołudnie, kiedy dziewczyna chwyciła nagle Bradleya za ramię i pokazała na coś rysującego się przy brzegu przed mmi.

– Co to jest? – wyszeptała. – Co to za dziwny gad?

Bradley spojrzał we wskazanym kierunku. Przetarł oczy i spojrzał raz jeszcze, po czym złapał dziewczynę za przegub i ciągnąc ją za sobą uskoczył pod osłonę kępy zarośli.

– Co to takiego? – spytała znowu.

– To najbardziej przerażający gad, jaki pływa po wodach świata – odparł. – To niemiecka łódź

podwodna!

Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia i zrozumienia zarazem.

– A więc to ta machina, o której mi opowiadałeś – wykrzyknęła – machina, który pływa pod wodą i przewozi w swym brzuchu ludzi!

– Zgadza się – odparł Bradley.

– To dlaczego się przed nią chowasz? – nie rozumiała. – Mówiłeś, że należy teraz do twoich przyjaciół.

– Minęło wiele miesięcy od czasu, kiedy ostatni raz ich widziałem – odparł. – Nie wiem, co się przez ten czas z nimi działo. Już dawno powinni się byli stąd wydostać na tym okręcie, nie mogę więc zrozumieć, co tu jeszcze robią. Zanim się ujawnię, wolę przeprowadzić małe rozpoznanie. Kiedy odchodziłem, na U-33 było więcej Niemców niż moich ludzi w forcie, a znam Niemców na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie można im ufać; nie wiadomo, czy po moim odejściu pilnowano ich odpowiednio.

Przemykając się skrajem lasu zaczynającego się kilka jardów od brzegu, podchodzili nie zauważeni do U-boota przycumowanego w miejscu, w którym Bradley rozpoznał teraz okolice roponośnych terenów leżących na północ od Fortu Dinozaur. Dotarłszy możliwie najbliżej łodzi zatrzymali się, przykucnęli w niskich zaroślach i zaczęli obserwować okręt wypatrując na nim śladów życia. Włazy były pozamykane – nikogo ani nie słyszeli, ani nie widzieli. Tak minęło pięć minut, po czym Bradley postanowił wejść na pokład i rozejrzeć się w sytuacji. Wstał, żeby wprowadzić swój zamiar w czyn, kiedy nagle poraził mu ucho stek wykrzykiwanych głośno i z wściekłością niemieckich przekleństw i obelg, wśród których kilka razy powtarzało się „*Englische Schweinhunde*”. Głos nie dolatywał od strony U-boota, ale z głębi ładu. Pełznąć przed siebie Bradley dotarł do miejsca, skąd poprzez pnącza zwisające z drzew zobaczył oddział ludzi zmierzających ku brzegowi.

Byli to baron Friedrich von Schoenvorts i jego sześciu ludzi – wszyscy uzbrojeni – pędzący przed sobą małą grupkę jeńców, w której skład wchodził Olson, Brady, Sinclair, Wilson i Whitely.

Bradley nic nie wiedział o zniknięciu Bowena Tylera i panny La Rue ani o perfidnym ostrzelaniu fortu przez Niemców i ich próbie ucieczki na U-33, ale to, co ujrzał, wcale go nie zaskoczyło.

Oddziałek posuwał się wolno przez wzgląd na więźniów, którzy uginali się i zataczali pod ciężarem kanistrów z ropą, a Schwartz, jeden z niemieckich podoficerów, kłął i okładał ich gdzie popadnie kijem. Von Schoenvorts zamykał pochód dopingując stamtąd Schwartza do znęcania się nad Brytyjczykami i wykpiwając ich upokorzenie. Dietzowi, Heinzowi i Klatzowi przedstawienie też się najwyraźniej ogromnie podobało, ale dwaj Niemcy – Plessler i Hindle – szli ze ściągniętymi twarzami patrząc prosto przed siebie.

Na widok tak podłego traktowania jego ludzi w Bradleyu zawrzała krew i przez te kilka chwil, jakie zajęło kolumnie dotarcie do miejsc, w którym leżał, przez głowę przelatywały mu najrozmaitsze ryzykanckie warianty działania. Potem przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Zostań tutaj – wyszeptał. – Ja wychodzę, żeby walczyć z tymi bydlętami i kto wie, czy nie zginę. Uważaj, żeby cię nie zobaczyli. Nie daj im się wziąć żywcem. Są okrutniejsi, tchórzliwsi i bardziej bestialscy od Wieroo.

Dziewczyna pobladła i przywarła do niego.

– Idź, jeśli tak trzeba – wyszeptała – ale jeśli zginiesz, ja zginę z tobą, bo bez ciebie nie wyobrażam sobie życia.

Spojrzał jej przenikliwie w oczy.

– O rany! – wykrzyknął. – Co ze mnie za idiota! Ja też nie mogę bez ciebie żyć, malutka. – I przytulił ją mocno do siebie całując w usta. – Do zobaczenia. – Uwolnił się z jej ramion i spojrzał na ścieżkę w samą porę, by zobaczyć mijający go właśnie koniec kolumny. Potem zerwał się na równe nogi i wyskoczył cicho z dżungli.

Von Schoenvorts poczuł nagle, jak czyjeś ramię zaciska się wokół jego szyi i ktoś wyszarpuje mu pistolet z kabury. Wydał okrzyk strachu i ostrzeżenia. Jego ludzie natychmiast odwrócili się, by ujrzeć na wpół nagiego białego mężczyznę trzymającego ich dowódcę pewnym chwytem od tyłu i mierzącego do nich ponad ramieniem Niemca z jego pistoletu.

– Rzucić broń! – padła z ust napastnika komenda wypowiedzana krótkimi, ostrymi sylabami w perfekcyjnym niemieckim. – Rzucić broń, bo wpakuję von Schoenvortsowi kulkę w potylice.

Niemcy zawahali się na chwilę, spoglądając najpierw na von Schoenvortsa, a potem na Schwartza, który najwyraźniej był jego zastępcą, i czekając, co rozkażą.

– To ta angielska świnia, Bradley! – krzyknął Schwartz. – Jest sam, brać go!

– Sam go sobie bierz! – warknął Plesser.

Hindle przysunął się do Plessera i coś do niego szepnął. Ten ostatni skinął głową. I w tym momencie von Schoenvorts wykonał gwałtowny półobrót i pochwycił obiema dłońmi rękę Bradleya, w której ten trzymał pistolet.

– Teraz! – wrzasnął. – Bierzcie go, szybko!

Schwartz i jeszcze trzech Niemców rzuciło się na odsiecz swemu dowódcy, ale Plesser i Hindle nie ruszyli się z miejsca, zerkając pytająco na angielskich jeńców.

– Nadeszła wasza szansa, *Engländer* – zawołał cicho Plesser. – Obezwładnijcie Hindlego i mnie i odbierzcie nam pistolety, nie będziemy stawiać większego oporu.

Olsonowi i Brady'emu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Dostyc się już napatrzili brutalności, z jaką von Schoenvorts traktował swoich ludzi i zauważyli jego szczególne upodobanie do gnębienia Plessera i Hindlego. Zrozumieli od razu, że ta dwójka może naprawdę pragnąć zemsty. Dwaj Niemcy zostali w mgnieniu oka rozbrojeni i Olson z Bradym pośpieszyli z pomocą Bradleyowi, ale wszystko wskazywało na to, że jest już za późno.

Von Schoenvortsowi udało się obrócić Anglika plecami do nadbiegającego z trzema ludźmi Schwartza. Schwartz dopadał już Bradleya z uniesionym w górę karabinem, gotując się do roztrzaskania Anglikowi czaszki. Brady i Olson wpadli na Niemców od tyłu, wspierani gołymi pięściami Wilsona, Whitely'ego i Sinclaira. Wydawało się, że dla Bradleya nie ma już ratunku, kiedy nagle rozległ się świst nadlatującej nie wiadomo skąd strzały, która ugodziła Schwartza w bok, weszła w jego ciało do połowy swej długości i powaliła Niemca na ziemię. Upadł z rozdzierającym wrzaskiem. W tym samym momencie Olson i Brady dostrzegli smukłą postać młodej dziewczyny stojącej na skraju dżungli i spokojnie zakładającej kolejną strzałę na cięciwę łuku.

Bradleyowi udało się teraz wyrwać rękę z uścisku von Schoenvortsa i powalić niemieckiego dowódcę ciosem kolby jego własnego pistoletu. Reszta Anglików i Niemców uwikłała się tymczasem w walkę wręcz. Plesser i Hindle nie brali udziału w bijatyce, za to nawoływali swych towarzyszy do poddania się i przyłączenia do Anglików, by wraz z nimi wystąpić przeciwko tyranii von Schoenvortsa. Heinz i Klatz, być może pod wpływem ich perswazji, opór stawiali wielce niezdecydowany; ale Dietz, ogromny brodaty Prusak o byczym karku, wrzeszcząc jak szaleniec, nacierał z uporem na „*Englische Schweinhunde*” – nie strzelał, co prawda, z obawy przed

zranieniem kogoś ze swoich, za to wywijał wściekle bagnetem.

Wziął go na siebie Olson i chociaż niewielkie miał szansę wobec długiego karabinu i bagnetu Niemca, to jednak stawiał czoło byczej szarzy tego Huna z chłodną, wyrachowaną precyzją i znajomością zasad angielskiej szkoły walki na bagnety. Nie było żadnego fechtowania, nie było cofania się i parowania ciosów, nie było też przechodzenia do ataku. Współczesna walka na bagnety nie jest widowiskiem przyjemnym dla oka, to nie finezyjny pojedynek, w którym walczący na przemian zadają i parują cięcia – to niechybna i szybko kończąca się rzeźnia.

Dietz natarł jak szalony mierząc w krtani Olsona. Krótkie sparowanie z ledwie widocznym skręceniem bagnetu w lewo i śmiertelne ostrze powędrowało ponad ramieniem Anglika. Ten przypadł błyskawicznie do napastnika, puścił trzymany pionowo karabin, by zaraz schwycić przesuając mu się między rękami broń obiema dłońmi za lufę, tuż przed muszką, i zdecydowanym, krótkim pchnięciem w górę wraził ostrze w podbródek Niemca, tak że sięgnęło mózgu. Wszystko to odbyło się tak szybko, że Olson odwrócił się na pięcie, by stanąć do walki z następnym przeciwnikiem, zanim jeszcze trup Niemca zdążył zwalić się na ziemię.

Ale walczyć nie było już z kim. Heinz i Klatz rzucili karabiny i z rękami w górze wrzeszczeli co sił w płucach: „*Kamerad! Kamerad!*” Von Schoenvorts leżał nadal tam, gdzie upadł. Plesser i Hindle tłumaczyli Bradleyowi, że są zadowoleni z wyniku walki, bo nie mogli już znieść brutalności kapitana U-boota.

Pozostali mężczyźni przypatrywali się dziewczynie, która podchodziła teraz do nich z napiętym łukiem. Bradley odwrócił się i wyciągnął rękę.

– Opuść łuk, Co-Tan – powiedział – to moi i twoi przyjaciele. – I zwracając się do Anglików wyjaśnił: – To Co-Tan. Wy, którzy widzieliście, jak ocaliła mnie przed Schwartzem, wiecie, co jej zawdzięczam.

Garstka obieżyświatów otoczyła dziewczynę, a kiedy ta, z uśmiechem na ustach tuszującym jej obcy akcent, przemówiła do nich łamaną angielszczyzną, każdy z nich, co do jednego, zapalał do niej gorącą miłością i poprzysiągł, że od tej pory będzie jej rycerzem i niewolnikiem.

Zaraz potem stek obelg zwrócił uwagę wszystkich na Plessera. Odwrócili się i ujrzeli, jak Niemiec pędzi w stronę podnoszącego się właśnie z ziemi von Schoenvortsa. Plesser trzymał w rękach karabin z nasadzonym na lufę bagnetem, który wyrwał z martwych dłoni Dietza. Twarz von Schoenvortsa wykrzywił paniczny strach; poruszał szczęką, jakby chciał wzywać pomocy, ale z jego zsiniałych warg nie wydobywał się żaden dźwięk.

– Biłeś mnie – wrzeszczał Plesser. – Uderzyłeś mnie, ty świnio, nie jeden, nie dwa, nie trzy razy. Zamordowałeś Schwerkego, swoim okrucieństwem doprowadziłeś go do obłędu i odebrał sobie życie. Jesteś tylko jednym z wielu takich jak ty, oni wszyscy, od kajzera w dół, są do ciebie podobni. Szkoda, że nie jesteś kajzerem. Jemu też bym to zrobił! – I pchnął von Schoenvortsa bagnetem w pierś. Potem wypuścił z rąk karabin pozostawiając go w ciele padającego mężczyzny i odwrócił się do Bradleya. – Oddaję się w wasze ręce – powiedział. – Róbcie ze mną, co chcecie. Przez całe życie byłem kopany i poniewierany przez takich jak ten, a jednak wypełniałem zawsze ich rozkazy ze śpiewem na ustach, gotów oddać życie, gdyby było trzeba, byle tylko utrzymali się u władzy. Dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, jakim byłem głupcem. Teraz nie jestem już głupcem, a poza tym jestem pomszczony i pomszczony jest Schwerke. Więc jeśli chcecie, możecie mnie zabić. Oddaję się w wasze ręce.

– Gdybym był królem – odezwał się Olson – przypiąłbym Krzyż Wiktorii do twojej szlachetnej

piersi; ale będąc zwykłym Irlandczykiem o szwedzkim nazwisku, za co wybaczyć mi, Boże, mogę ci najwyżej uściskać dłoń.

– Nie zostaniesz ukarany – powiedział Bradley. – Zostało was czterech, jeśli chcecie przyłączyć się do nas i wspólnie z nami pracować, przyjmujemy was do siebie; ale będziecie na prawach jeńców.

– Mnie to odpowiada – zgodził się Plesser. – Teraz, kiedy kapitan nie żyje, nie musisz się nas obawiać. Całe życie upłynęło nam na ślepych posłuszeństwie jego klasie. Podejrzewam, że gdybym go nie zabił, popełniłbym znowu to samo głupstwo i posłuchał go. Ale on nie żyje. Teraz będziemy słuchali ciebie, gdyż kogoś musimy słuchać.

– A wy? – zawrócił się Bradley do reszty ocalałych członków pierwotnej załogi U-33.

Każdy z nich przyrzekł posłuszeństwo.

Dwóch poległych Niemców pogrzebano we wspólnej mogile, po czym oddział wszedł na pokład łodzi podwodnej i napełnił ropą zbiorniki.

Tutaj Bradley opowiedział ludziom, co się z nim działo począwszy od pamiętnej nocy 14 września, kiedy tak tajemniczo znikł z obozu na płaskowyżu. Sam dopiero teraz dowiedział się, że Bowen J. Tyler i panna La Rue zaginęli jeszcze przed nim i że nie natrafiono na najmniejszy ich ślad.

Olson z kolei opowiedział Bradleyowi, jak Niemcy powrócili, zaczęli się na nich w zasadzce niedaleko fortu i pojмали wszystkich z zamiarem wykorzystania ich do pomocy przy rafinowaniu surowej ropy naftowej, a później uzupełnienia nimi załogi U-33, Plesser zaś zdał krótką relację z przygód niemieckiej załogi pod komendą von Schoenvortsa po ich ucieczce z Caspak kilka miesięcy wcześniej. Opowiedział, jak będąc już w drodze na północ stracili orientację po ostrzelaniu przez okręty, do których próbowali niezauważenie podpłynąć i jak w końcu, bez zapasów żywności i z niemal pustymi zbiornikami paliwa, bardziej przez przypadek niż z wyboru odnaleźli wreszcie ową tajemniczą wyspę, którą niedawno z taką ulgą zostawiali za rufą.

– Teraz – powiedział Bradley – poczynimy plany na przyszłość. O ile się nie mylę, Plesser, powiedziałaś, że łódź ma zapasy paliwa, żywności i wody na miesiąc. Do obsadzenia okrętu jest nas dziesięciu. Pozostał nam tutaj jeszcze ostatni, smutny obowiązek: musimy poszukać panny La Rue i pana Tylera. Nazwałem to smutnym obowiązkiem, ponieważ wszyscy wiemy, że ich nie odnajdziemy, niemniej jednak naszą powinnością jest przeczesanie linii brzegowej z oddawaniem w określonych odstępach czasu wystrzałów sygnalizacyjnych z działka pokładowego, abyśmy przynajmniej mogli na koniec odpłynąć z przekonaniem, że uczyniliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy, aby ich odnaleźć.

Nikt nie zgłaszał sprzeciwów i nie podniósł się ani jeden głos protestujący przeciwko planowi Bradleya, któremu zależało, by przed opuszczeniem Caspak na zawsze niczego w tej sprawie nie zaniedbać.

Tak więc podnieśli kotwicę i płynąc powoli wzdłuż wybrzeża oddawali co jakiś czas strzał z działka. Łódź zatrzymywała się często, a czujne oczy omiatały z jej pokładu brzeg wypatrując odzewu. Późnym popołudniem zauważyli kilku wojowników Band-lu, ale kiedy łódź podpłynęła bliżej brzegu i krajowcy zorientowali się, że na grzbiecie dziwnego morskiego potwora stoją ludzie, czmychnęli w popłochu, zanim Bradley zdołał doprowadzić łódź na odległość głosu.

Tej nocy rzucili kotwicę u ujścia leniwego strumienia, którego ciepłe wody roily się od milionów małych żyjątek podobnych do kijanek – mikroskopijnej ludzkiej ikry wyruszającej w niebezpieczną podróż z jakiegoś stawu w głębi lądu „tam gdzie początek”, w podróż, do której końca dotrze może jeden żywy organizm na milion. Już teraz, niemal u progu życia, witały je tysiące

zarłocznych paszcz najrozmaitszych ryb i gadów walczących między sobą, by je pożreć; pożeraczy tych ścigały inne większe stwory; te z kolei padały łupem innych jeszcze form życia, których niezliczona różnorodność zamieszkiwała głębiny przerażającego caprońskiego morza.

Drugi dzień nie różnił się niczym prawie od pierwszego. Posuwali się bardzo wolno, często przystając, a raz zeszli na ląd na terytorium Kro-lu, by zapolować. Zostali tam zaatakowani przez ludzi uzbrojonych w luki i strzały, którym nie mogli wyperswadować, by dali im spokój. Krajowcy byli tak zawzięci, że nie obeszło się bez oddania w ich kierunku salwy z karabinów, by ostudzić w końcu ich bojowy zapał.

– Jakie szansę przeżycia mogli mieć Tyler i panna La Rue wśród takich jak ci? – zastanawiał się Bradley, kiedy wracali na łódź z upolowaną zwierzyną.

Kontynuowali jednak swe bezowocne poszukiwania i trzeciego dnia, po opłynięciu wzdłuż brzegu głębokiej zatoczki, minęli wysokie urwiska zamykające tę lagunę od południa, a gdy słońce stało w zenicie, okrążyli ostry cypel. Co-Tan i Bradley byli na pokładzie sami. Kiedy po minięciu cypla ich oczom ukazał się dalszy ciąg linii brzegowej, dziewczyna wydała okrzyk radości i schwyciła Bradleya za rękę.

– Och, spójrz! – zawołała. – To kraina Galu! Kraina Galu! To mój kraj, którego nie spodziewałam się już zobaczyć.

– Cieszysz się, że wracasz do domu, Co-Tan? – spytał Bradley.

– Och, jeszcze jak! – krzyknęła. – A pójdziesz ze mną do mojego ludu? Możemy żyć wśród nich, a ty będziesz wielkim wojownikiem; och, a kiedy umrze Jor, możesz zostać nawet wodzem, bo nie ma nikogo tak potężnego jak mój wojownik. Pójdziesz?

Bradley pokręcił głową.

– Nie mogę, moja mała Co-Tan – odparł. – Mój kraj mnie potrzebuje i muszę tam wracać. Może któregoś dnia znów tu przypląnę. Nie zapomnisz o mnie, Co-Tan?

Spojrzała nań otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

– Chcesz ode mnie odejść? – spytała łamiącym się głosem. – Chcesz odejść od Co-Tan?

Bradley spojrzał z góry na małą spuszczoną główkę. Na swym nagim ramieniu poczuł dotyk miękkiego policzka i coś jeszcze – gorące kropelki ściekające mu po rękę aż do koniuszków palców i skapujące stamtąd na pokład, a każda z nich wypływała z kobiecego serca.

Pochylił się nisko i uniósł zalaną łzami twarz dziewczyny, by na nią spojrzeć.

– Nie, Co-Tan – powiedział. – Nie zostawię cię... pójdziesz ze mną. Popłyniemy do mojego kraju i zostaniesz moją żoną. Powiedz, że się zgadzasz, Co-Tan.

Pochylił się jeszcze niżej i pocałował ją w usta. Nie potrzeba mu było nic więcej ponad cudowne nowe światło w jej oczach, by zyskać pewność, że jeśli tylko będzie skłonny zabrać ją ze sobą, ona pójdzie za nim na koniec świata. W tym momencie spod pokładu wysypała się obsługa działa, by oddać kolejny strzał, i dwoje zakochanych zostało ściągniętych z wyżyn swego nowo odkrytego szczęścia na poharatany i zniszczone pokład U-33.

W godzinę później łódź sunęła w niewielkiej odległości od brzegu cudownej piękności, mijając łąkę sięgającą na milę w głąb lądu, aż do stóp płaskowyżu, i nagle okrzyk Whitely'ego zwrócił uwagę wszystkich na grupę postaci spuszczających się pospiesznie ze skarpy na rozciągającą się poniżej równinę. Zatrzymano łódź dając małą wstecz, i cała załoga wyległa na pokład, by obserwować zbliżający się nieliczny oddziałek.

– To Galu! – krzyknęła Co-Tan. – Moi krajanie. Pozwól mi z nimi porozmawiać, aby nie



pomyśleli sobie czasem, że przybyliśmy z nimi walczyć. Wysadź mnie na brzeg, mój kochany; wyjdę im naprzeciw.

Dziób U-boota kołysał się blisko stromego brzegu, ale kiedy Co Tan chciała zeskoczyć nań sama, Bradley chwycił ją za rękę i przytrzymał.

– Pójdę z tobą, Co-Tan – powiedział i ruszyli razem na spotkanie zbliżającego się oddziału.

Tworzyło go około dwudziestu wojowników posuwających się rozproszoną tyralierą, tak jak nasza piechota idąca do ataku. Wprawne oko Bradleya wyłowiło od razu znaczącą różnicę między tą formacją a bezładną kupą, jaką nacierają grupy niżej rozwiniętych plemion, z którymi miał do tej pory styczność. Swoim spostrzeżeniem podzielił się z Co-Tan.

– Wojownicy Galu idą tak zawsze do bitwy – powiedziała. – Prymitywniejsze ludy atakują bezładną masą, w której trudno im używać broni, dla nas zaś stanowią tak duży cel, że nasze włócznie i strzały nie mogą po prostu chybić. A kiedy uda im się rzucić swoje włócznie w naszych wojowników i nie trafią za pierwszym razem, to nie mają już żadnej szansy zabić kogokolwiek. Stój teraz spokojnie – ostrzegła na koniec Bradleya – i załóż ręce na piersiach. Nic nam wtedy nie zrobią.

Bradley zastosował się do jej rady i stali spokojnie z założonymi rękami obserwując zbliżającą się tyralierę. Tamci podeszli na odległość jakichś pięćdziesięciu jardów, zatrzymali się i jeden z nich przemówił.

– Kim jesteście i skąd przybywacie? – zapytał, a wtedy Co-Tan wydała cichy okrzyk radości i rzuciła się ku wojownikowi z wyciągniętymi ramionami.

– Och, Tanie! – krzyczała biegnąc. – Nie poznajesz swojej małej Co-Tan?

Wojownik gapił się na nią przez moment z niedowierzaniem, po czym i on wybiegł jej naprzeciw, i kiedy się spotkali, porwał dziewczynę w ramiona. Właśnie wtedy Bradley doświadczył całkowicie nowego dlań uczucia – nagłego przypływu nienawiści do tego obcego wojownika; miał ochotę go zabić, chociaż nie wiedział za co. Podbiegł szybko do dziewczyny i chwycił ją za przegub ręki.

– Kim jest ten człowiek? – spytał lodowatym tonem.

Co-Tan zwróciła ku niemu zdziwioną twarz i raptem wybuchnęła radosnym śmiechem.

– To mój ojciec, Bradli – krzyknęła.

– A kim jest ten Brad-li? – zapytał wojownik.

– To mój mężczyzna – odparła po prostu Co-Tan.

– Jakim prawem? – nie ustępował Tan.

Wtedy opowiedziała mu pokrótce o wszystkim, przez co przeszła od chwili uprowadzenia przez Wieroo, i o tym, jak Bradley ocalił ją, a także jak starał się ocalić An-Taka, jej brata.

– Czy on ci odpowiada? – zapytał Tan.

– Tak – odparła z dumą dziewczyna.

I w tym momencie uwagę Bradleya przyciągnęło jakieś poruszenie na krawędzi płaskowyżu. Wyteżając wzrok dostrzegł tam konia zsuwającego się w dół stromą skarpią i dźwigającego na grzbiecie dwie postaci. Dotarłszy na sam dół, zwierzę puściło się galopem przez łąkę. Było wspaniale: wielki gniady ogier z białą gwiazdką na czole, białymi do kolan przednimi nogami i szerokimi otoczkami bieli wokół chrap. Kiedy zarył kopytami obok Tana, Anglik zauważył, że dosiadają go mężczyzna i kobieta – wysoki mężczyzna i dziewczyna równie piękna jak Co-Tan. Dziewczyna, przyjrzawszy się Co-Tan, zsunęła się z konia i podbiegła do niej krzycząc z radości.

Mężczyzna również zeskoczył na ziemię i stanął obok Tana. Podobnie jak Bradley, ubrany był na modłę otaczających wojowników, ale między nim a jego towarzyszem istniała pewna subtelna

różnica. Być może zauważył podobną różnicę u Bradleya, bo pierwsze pytanie, jakie zadał, brzmiało: „Z jakiej krainy?” i chociaż mówił w języku Galu, Bradley wychwycił obcy akcent.

– Z Anglii – odparł.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz nowo przybyłego. Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Jestem Tom Billings z Santa Monica w Kalifornii – powiedział. – Wiem o tobie wszystko i jestem niezmiernie rad znajdując cię żywym.

– Skąd się tu wziąłeś? – spytał Bradley. – Myślałem, że jesteście jedyną grupą ludzi ze świata zewnętrznego, jaka kiedykolwiek trafiła na Capronę.

– Bo tak było, dopóki nie przybyliśmy tutaj szukając Bowena J. Tylera juniora – odparł Billings.

– Znaleźliśmy go i odesłaliśmy do domu wraz ze świeżo poślubioną żoną; tylko że ja zostałem tu zatrzymany jako więzień.

Twarz Bradleya pociemniała – a więc wcale nie znajdowali się wśród przyjaciół.

– Tam, na tej niemieckiej łodzi podwodnej jest nas dziesięciu uzbrojonych w broń ręczną i palną – powiedział szybko po angielsku. – Bez kłopotu odbijemy cię z rąk tych dzikusów.

– Nie byłbyś tego taki pewien – odparł Billings – gdybyś znał mojego strażnika. Zaczekaj, przedstawię ci go. – Odwrócił się do dziewczyny, która mu towarzyszyła, i zawołał ją po imieniu. – Ajor – krzyknął – pozwól, że ci przedstawię porucznika Bradleya; poruczniku, oto pani Billings... mój strażnik!

Anglik roześmiał się i wymienił z dziewczyną uścisk dłoni.

– Ze mnie lepszy od ciebie żołnierz – zwrócił się do Billingsa. – Ja, zamiast dać się wziąć do niewoli, sam wzięłem jeńca, pani Bradley, to pan Billings.

Ajor, która szybko zrozumiała, o co chodzi, odwróciła się do Co-Tan.

– Wracasz z nim do jego kraju? – spytała. Co-Tan przytaknęła.

– Nie boisz się? Ale przecież ojciec cię nie puści... Jor, mój ojciec, Wielki Wódz Galu, nie zezwoli na to, bo podobnie jak ja jesteś *cos-ata-lo*. Och, Co-Tan, gdybyśmy tylko mogły! Jak bardzo bym chciała na własne oczy zobaczyć te wszystkie dziwne i cudowne rzeczy, o których opowiada mi Tom!

Bradley pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Powiedz tylko słowo, a zabierzemy was obie. Billings usłyszał to i przechodząc na angielski zapytał Ajor, czy chce jechać.

– Tak – odparła – jeśli sobie tego życzysz, wiesz jednak, mój Tomie, że Jor nas pochwyti, a ty i mężczyzna Co-Tan zapłacicie za to życiem i nie ocali was nawet jego miłość do mnie ani podziw dla ciebie.

Bradley zauważył, że dziewczyna mówi po angielsku – co prawda łamaną angielszczyzną, jak Co-Tan, równie jednak rozczulającą.

– Możemy was z łatwością wprowadzić na pokład okrętu pod jakimkolwiek pretekstem – wtrącił się – a potem odpłyniemy. Nie będą w stanie nic nam zrobić, ani nas zatrzymać, my zaś nie będziemy nawet musieli do nich strzelać.

I tak też uczyniono. Bradley z Co-Tan zabrali Ajor i Billingsa na pokład, żeby „pokazać” im okręt, który niemal natychmiast podniósł kotwicę i wypłynął wolno w morze.

– Robię to z wielką przykrością – powiedział Billings. – Byli wobec mnie w porządku. Jor i Tan to wspaniali ludzie, a teraz będą mnie uważali za niewdzięcznika. Nie mogę jednak marnować tutaj życia, kiedy w świecie tyle jest jeszcze do zrobienia.

Gdy płynąc śródlądowym morzem mijali wyspę Oo-oh, nadeszła pora na ponowną relację przygód, jakie tam przeżyli, natomiast Bradley dowiedział się, że Bowen Tyler i jego żona opuścili krainę Galu dzień wcześniej i że wobec tego można się spodziewać, iż *Torreador* nadal czeka na Pacyfiku nie opodal podwodnego ujścia rzeki wypływającego w ocean ogrzane wody Caprony.

Pod wieczór drugiego dnia, po przedarciu się poprzez roje ohydnych gadów, zanurzyli się w miejscu, gdzie rzeka wpływała pod urwiska i wkrótce potem wynurzyli na skąpaną w słonecznym blasku powierzchnię Pacyfiku, ale, jak okiem sięgnąć, nie mogli dostrzec śladu żadnego innego statku. Popłynęli więc wzdłuż wybrzeża w kierunku plaży, z której Billings wystartował swego czasu hydroplanem, by przelecieć nad urwiskiem, i kiedy zapadał już zmierzch, obserwator krzyknął, że widzi światło przed dziobem.

Okazała się nim latarnia *Torreadora* i w pół godziny później na pokładzie jachtu doszło wreszcie do radosnego spotkania, na które każdy z jego uczestników dawno już stracił nadzieje. Wspominano tylko z żalem Tippeta i Jamesa z grupy Sprzymierzonych. Za poległymi Niemcami i zdrajcą Bensonem, którego haniebna historia opisana została w rękopisie Bowena Tylera, nikt nie płakał.

Tyler i członkowie wyprawy ratowniczej niewiele wcześniej, bo dopiero tego samego popołudnia, zdążyli dotrzeć do jachtu. Słyszeli stłumione odległością wystrzały z działa U-33, ale nie potrafili rozpoznać kierunku, z którego dolatuje huk, przyjęli więc, że to sygnały z *Torreadora*.

Na północ, ku słonecznej południowej Kalifornii żeglowała prawdziwie szczęśliwa załoga, a śladem *Torreadora*, pod pasiasto-gwiazdzistą flagą, pod którą w stoczni w Santa Monica przyszedł niegdyś na świat, podążał stary okręt U-33. Trzy świeżo zaślubione pary, których związek usankcjonował uroczyste kapitan jachtu, rozkoszowały się spokojem i bezpieczeństwem nieuczyszczanych wód Pacyfiku oraz jedynym w swoim rodzaju miodowym miesiącem, który, gdyby nie poważne obowiązki czekające ich u celu podróży, mogliby ciągnąć w nieskończoność.

I pewnego dnia dotarli wreszcie do doku stoczni, którą kieruje teraz Bowen Tyler. Tutaj do tej pory cumuje stary U-33. Natomiast ci, którzy w jego wnętrzu i poza nim – lecz niejako za sprawą tego okrętu – przeżyli tyle brzemiennych w wydarzenia dni, poszli każdy własną drogą.

# Edgar Rice Burroughs

(1875-1950), pisarz amerykański, któremu światową sławę przyniósł cykl opowieści o Tarzanie. Po ukończeniu Michigan Military Academy służył krótko w Amerykańskiej Kawalerii, potem wykładał w tejże akademii, był policjantem drogowym, właścicielem sklepu z materiałami piśmiennymi, udziałowcem w licznych interesach, kierownikiem działu stenograficznego w Sears Roebuck Company itd. aż do roku 1913, kiedy zdecydował się na karierę pisarską po udanym debiucie i pierwszych odcinkach *Tarzana wśród małp* (magazyn *All-Story*, październik 1912).

Debiutował w lutym 1912 roku sześcioodcinkową opowieścią „Under the Moons of Mars” na łamach *All-Story*. Pierwszą książkę wydaje ERB w 1914 roku. Jest nią tom 1 cyklu o przygodach Tarzana, chłopca wychowanego przez afrykańskie małpy. Na cykl ten składają się 24 książki (w Polsce wydano zaledwie 10, a wszystkie przekłady pochodzą z okresu międzywojennego), wielokrotnie wykorzystywane jako materiał do filmów, komiksów itp. *Księżniczka na Marsie* (zmieniona i rozszerzona wersja utworu „Under the Moons of Mars”) została wydana dopiero w 1917 roku, a pierwszy z trzech polskich przekładów pojawił się 10 lat później (następne noszą tytuły: *Córka Marsa i Księżniczka Marsa*). Ostatni, jedenasty tom cyklu, *John Carter of Mars* (1964) jest częściowo autorstwa syna ERB, Johna Colemana Burroughsa, i zawiera dwa długie opowiadania: „John Carter and the Giant of Mars” (1943) i „Skeleton Men of Jupiter” (1943); to ostatnie miało być początkiem nowego cyklu. Cykl marsjański jest tasiemcowatą przygodą, której akcja toczy się w nierealnej krainie, pełnej egzotyki, niebezpieczeństw, pięknych jajorodnych dziewcząt, zielonych ludzi o sześciu ramionach, i ona także podbiła serca czytelników na całym świecie. Trzecim ważnym cyklem ERB jest „Pellucidar”, liczący 7 tomów. Tym razem pomysł opiera się na dziewiętnastowiecznej (bardzo niegdyś popularnej) teorii Johna Clevesa Symmesa, która zakłada, że Ziemia ma puste wnętrze z małym słońcem w centrum i otworami na biegunach. Pomysł ten wykorzystywało wielu autorów, m.in. Juliusz Verne i Władimir Obruczew. Kolejnym cyklem jest wenusjańska przygoda licząca 5 tomów. Jej bohater nosi nazwisko Carson Napier. Trzyczęściowa historia księżycowa (wizyta na Księżycu oraz inwazja Selenitów na Ziemię) to *The Moon Maid* (1926, inny tytuł: *The Moon Men*; edycje paperbackowe, dwutomowe, noszą kolejno oba powyższe tytuły i zawierają pełny tekst drukowany pierwotnie w magazynie *All-Story*). Pozostałe książki fantastyczne ERB w kolejności alfabetycznej: *Beyond the Farthest Star* (1964), *Beyond Thirty* (1955, inny tytuł: *The Lost Continent*), *The Cave Girl* (1925), *The Eternal Lover* (1925, inny tytuł: *The Eternal Savage*), *Jungle Girl* (1932, inny tytuł: *Land of Hidden Men*), *The Lad and the Lion* (1938), *The Mad King* (1926), *The Man-Eater* (1955), *The Monster Men* (1929), *Tales of Three Planets* (1964).

Aczkolwiek trudno nazwać ERB pisarzem oryginalnym czy głębokim, pozostaje faktem, że jego utwory fascynują i pobudzają wyobraźnię do dziś – choć teraz czytają go prawie wyłącznie ludzie

bardzo młodzi. Fenomen ponadczasowej popularności zawdzięcza ERB oderwaniu się od realiów społeczno-politycznych, sprawnej narracji i instynktowi rasowego „pokrzepiacza serc”. Zapewne może poszczycić się większą liczbą naśladowców niż jakikolwiek inny autor fantastyki. Piewcy „marsjań-kiej romantyki”, Leigh Brackett i Ray Bradbury, zawdzięczają mu niemało. Irwin Porges, *Edgar Rice Burroughs: The Man Who Created Tarzan* (1975), John Flint Roy, *A Guide to Barsoom* (1976), Philip José Farmer, *Tarzan Alwe* (1972), Richard A. Lupoff, *Edgar Rice Burroughs: Master of Adventure* (1965, 1968) – to tylko kilka z wielu książek poświęconym jemu i jego twórczości.